

**THERESA  
WEIR**

**Dom**

na szczycie  
drzewa

## *Rozdział pierwszy*

Pilot, mający z nią polecieć do buszu, powinien tu już być przed godziną.

Corey McKinney tępo wpatrywała się w ponaddzieraną mapę Amazonki, naklejoną na przeciwległej ścianie. W wielu miejscach, wielkimi literami, wybijało się na niej szyderczo słowo NIEZBADANE. Corey pomyślała, że chyba postradała zmysły, odjeżdżając tak daleko od domu.

Westchnęła i jeszcze bardziej zagłębiła się w niewygodny fotel pokryty plastikową zieloną namiastką skóry. Czuła się bardzo zmęczona podróżą. Była jak otepiała. Jej wzrok po raz kolejny przyciągnęła zwisająca z sufitu żółtawa celofanowa wstęga lepu na muchy. Nie wiadomo dlaczego ten widok ją tak fascynował. Ostatni raz widziała coś takiego, kiedy miała pięć lat... Kręciła się wtedy chętnie koło sklepiku przy stacji benzynowej w swym miasteczku. To tam chodziła z ojcem na truskawkowe lody z wodą sodową. Ale nie była to tylko sprawa wspomnienia. Chodziło też o sposób, w jaki przytwierdzono kleistą wstęgę w sam środek umieszczonego pod sufitem dychawicznego wentylatora, który swym długim trójramiennym śmigłem jałowo mieszał gorące i zatęchłe powietrze. Ten widok niemal ją hipnotyzował. Taśma lepu, oklejona już co najmniej setką much, trzepotała i skręcała się tak, jakby chciała jej coś przekazać, coś oznajmić.

Corey uniosła ręce i szczupłymi, drobnymi palcami przeczesła splecione fale jasnych włosów, sięgających jej niemal do ramion. Odgarnęła je, odsłaniając wilgotny od potu kark. Nic już nie pozostało z kunsztownie zaczesanej do tyłu fryzury, z takim trudem upiętej z samego rana. Wilgotność i gorąco zrobiły swoje.

Opuściła ręce i spróbowała odchylić głowę na krawędź lepkiego plastikowego oparcia fotela. Starła się nie pamiętać o tym, że coraz bardziej chce się jej pić. Nie potrafiła sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek w życiu było jej tak źle i tak gorąco. Najgorsze było, że wciąż miała na sobie ubranie, w którym wyleciała z mroźnego o tej porze roku Chicago. Teraz żółta bluza z długimi rękawami i białe spodnie z prążkowanego welwetu wręcz kleiły się do każdego centymetra jej wilgotnej od potu skóry, stając się wyrafinowaną torturą.

Wątpliwości, które dręczyły ją przez ostatnie godziny, stawały się coraz większe. Czy przyjazd tutaj nie był czasem błędem? Miesiąc temu, kiedy rozmawiała o tym w staroświeckim biurze wielebnego ojca Michaela, podróż do Brazylii wydała się jej niezmiernie podniecająca. Zwłaszcza że Corey nigdy dotąd nie robiła niczego, co byłoby bardzo podniecające.

Zgromadzenie Kościoła, do którego należała, rozważało możliwość założenia misji w rezerwacie zwanym San Reys, który to rezerwat mieścił się gdzieś w głębi dżungli nad Amazonką. Jednakże przed podjęciem decyzji o przyznaniu na to funduszków rada Kościoła nalegała na wysłanie tam kogoś zaufanego, kto na miejscu spotkałby się z właścicielem tych terenów, George'em Dupree, a potem przedstawił radzie szczegółowe sprawozdanie. Corey miała za sobą studia uniwersyteckie na wydziale socjologii, rok praktyki w roli pielęgniarki i pewną łatwość mówienia (by nie rzec: bujania w razie potrzeby). Wszystko to wystarczyło, żeby przekonać wielebnego ojca Michaela, że właśnie ona będzie wprost idealną wysłanniczką do załatwiania tych spraw. Teraz jednak zaczynały ją nachodzić wątpliwości.

Trzymaj się, Corey! - powiedziała sobie. Jesteś po prostu bardzo zgrzana i zmęczona, ale dasz sobie radę. W końcu co w tym wszystkim może być takiego trudnego? Zawsze potrafiła sprawnie robić notatki, umiała też niezłe fotografować. Da sobie radę i w amazońskiej dżungli, to przecież tylko tydzień.

Uznała, że w tej chwili najbardziej potrzebuje odrobiny snu. Przymknęła piekące ją nieco powieki. Po prostu spróbuje się zdrzemnąć, zanim pojawi się pilot.

1 o z pewnością pani jest tą dobroczynną damą spod znaku białej lili, która wybiera się do San Reys, prawda?

Męski głos był niski, lekko schrypnięty, o raczej szorstkim brzmieniu.

Przeniknął w głąb świadomości Corey, choć jej mózg ledwie się budził, nadal spowity mgiełką snu.

Z wysiłkiem uniosła ciężkie powieki i uświadomiła sobie, że wpatruje się w parę wyszarganych brudnogrnatowych tenisówek. Z pewnym wysiłkiem zaczęła przesuwac wzrok w górę, a to, co jej się ukazywało, zapisywało się w jej oczach niczym zatrzymane w kadrze poszczególne części jakiegoś obrazu: długie dzinsy sprane niemal do białości, jeżeli nie liczyć miejsc przy szwach, miedziany guzik zapięcia ozdobiony tłoczonymi literami, szeroka klatka piersiowa wciśnięta w przeпоcoony podkoszulek, przypominający zaniedbane rżysko kilkudniowy zarost, ciemne, lotnicze okulary przeciw-słoneczne, a zaraz nad nimi brudny i przeпоcoony daszek baseballowej czapeczki kibica zespołu New York Yankees.

Głowa Corey była teraz przechylona do tyłu w pozycji już krańcowo niewygodnej. No tak, miejscowość Santarem w Brazylii raczej mało przypominała stan Illinois, a ten typ z pewnością nie był podobny do żadnej z osób, z którymi miała do czynienia jako pracownik opieki społecznej.

Nędzny budynek, szumnie zwany biurem wynajmu samolotów, był w gruncie rzeczy średniej wielkości barakiem, w którym do tego momentu przebywała tylko ona i muchy. Teraz stał przed nią ów mężczyzna i atmosfera od razu się zmieniła. Przybyły nawet nie próbował skrywać gniewnej nieżyczliwości. Nie zdjął ciemnych okularów i Corey nie mogła widzieć wyrazu jego oczu. Z całego jednak zachowania mogła bez trudu wyczytać, że traktuje ją niemal jak jakąś miernotę, by nie powiedzieć: jak błoto z jego butów.

Corey zdawała sobie sprawę, że nie jest typem współczesnej amerykańskiej piękności. Cerę miała zbyt jasną, brązowe oczy wydawały się za duże w drobnej twarzy, a wszystko razem sprawiało wrażenie czegoś kruchego i jakby staroświeckiego, co w żadnym wypadku nie było atutem w dzisiejszych czasach. Ludzie zazwyczaj albo spoglądali na nią z góry, albo też ujawniali skłonność do nadopiekuńczości i stałego chuchania na nią przy byle okazji. Natomiast zachowanie tego człowieka było dla niej czymś zupełnie nowym.

Nie patrzył już na nią, natomiast z niezwykłą uwagą przyglądał się wyciągniętej z tylnej kieszeni spodni skrajnie pomiętej paczce papierosów. Dwoma palcami wyciągnął z niej zgniecionego papierosa bez filtra, spróbował nadać mu jaki taki kształt, po czym umieścił go w kąciku ust. Jego ręce błędziły teraz po powierzchni wyblakłego zielonego podkoszulka, przepoco-

nego i tym mocniej przylegającego do rysujących się pod tkaniną mięśni. Klepnął się po miejscu, gdzie w normalnej koszuli powinna być kieszeń. Ponieważ jej tam akurat nie było, ręce mężczyzny przesunęły się w stronę bocznych kieszeni starych dżinsów, opinających długie, muskularne nogi. Jedna z nogawek była przetarta i postrzępiona na kolanie. Potem dał się słyszeć brzęk drobnych monet, kiedy przeszukiwał wnętrze kieszeni, by w końcu wyciągnąć z niej pognieciony i zawilgocony kartonik z zapalnikami.

- Niech to szlag! - mruknął, gdy trzecia z kolei wydartą z kartonika zapalnika odmówiła zapalenia się. - Trzeba by może przestać się pocić.

Wciąż trzymał w ustach nie zapalonego papierosa. Wyszargany kartonik odrzucił na podłogę, a jego ręce znów zaczęły machinalne przeszukiwanie kieszeni.

Corey sięgnęła w stronę sąsiedniego fotela, gdzie na stosie wystrzępionych numerów magazynu „Mad” leżała jej torba podróżna. Odsunęła zamek błyskawiczny bocznej kieszeni i wydostała z niej lśniący czernią i złotem ozdobny kartonik zapalników hotelowych, który zamierzała zatrzymać do swej kolekcji.

Wziął je, nawet nie dziękując.

- No oczywiście - powiedział zapalając zapalnik. - Wy, harcerki, zawsze jesteście przygotowane na wszelkie niedogodności.

Zgasił zapalnik, potrząsając nią, i rzucił na ziemię.

- Czy to pan jest Mikę Jones? - zapytała. Miała nadzieję, że to jednak nie on jest tym pilotem, na którego czekała.

- Nie - powiedział mężczyzna, zaciągnął się głęboko, a następnie wypuścił w jej stronę gęsty obłok dymu.

- A czy pan może wie, kiedy pan Jones tu będzie? - zapytała, starając się usilnie nie mrugać pod wpływem gryzącego dymu wchodzącego jej w oczy.

- Pan Jones - w słowie „pan” Corey uchwyciła ton lekkiej ironii - miał pewne trudności. Kiedy go ostatnio widziałem, był niezbyt przytomny. - Przyjrzał się trzymanym w ręku zapalnikom, uważnie przeczytał ozdobną reklamę restauracji „Black Tie” na kartoniku, po czym wsunął go do kieszeni. Stawy palców jego dłoni były zaczerwienione i obrzękłe, jedna z torebek stawowych skaleczona i pokryta zaschłą krwią.

- Dokładniej mówiąc, znalazłem Jonesa w miejscowej kantine pijanego do nieprzytomności i pałającego chęcią, żeby natychmiast lecieć. Miałem

pewne trudności z przekonaniem go, że w jego własnym interesie powinien jednak pozostać na ziemi. Ja mam na imię Ash - to znaczy Asher Adams - i wygląda na to, że to ja zawiozę panią do rezerwatu. Jeżeli wciąż jeszcze chce pani tam lecieć.

Corey nie zamierzała przyznawać się, co sobie wcześniej o nim pomyślała.

- Oczywiście, że wciąż chcę tam lecieć.

W końcu nie po to przebyła taki kawał drogi, żeby teraz zawrócić.

- A chce pani posłuchać mojej rady? - Mężczyzna ściągnął swą granatową czapkę na tył głowy i przetarł spocone czoło. Potem znów nasunął ją na zmierzwione brązowe włosy. - Niech pani wraca do domu. A tam niech pani wyjdzie za mąż i zajmie się rodzeniem dzieci. Co to się porobiło teraz, że wy, kobiety, musicie koniecznie udowadniać, że też jesteście mężczyznami. Przyjeżdża tu pani w poszukiwaniu dreszczyku, żeby potem wrócić do domu i stać się bohaterką w swoim miasteczku. I żeby cała ta kiepska historyjka mogła zostać opisana w miejscowej czterostronicowej gazecie, a pani mogła jeździć po miejscowych klubach i salach różnych waszych stowarzyszeń, wygłaszać odczyty z przezroczami i słuchać achów i ochów znajomych i przyjaciół.

Corey poczuła, że z gniewu na policzki wystąpiły rumieńce. Zaciśnęła usta w wąską linię i spojrzała na niego z wyrazem zaciętości i uporu. Co za obrzydliwy gbur! Przez lata pracy w Opiece Społecznej nigdy, ale to nigdy nie spotkała kogoś takiego. I dzięki Bogu! - prychnęła w duchu.

Tymczasem Asher Adams jeszcze raz zaciągnął się głęboko papierosem, po czym klapnął na fotelu naprzeciw niej, wyciągając przed siebie skrzyżowane nogi.

- Niech pani wraca do domu - powiedział zmęczonym głosem. - Tu, proszę pani, jest tylko twarda rzeczywistość, nic z filmu z Humphreym Bogartem. A już na pewno nie ma tu nic z jakiegoś tam sennego amerykańskiego miasteczka w Iowa czy skąd tam panią aż tutaj przyniosło...

- Z Pleasant Grove w Illinois - poinformowała go tonem starannie bezosobowym. - Proszę też przyjąć do wiadomości, że nie potrzebuję pańskich rad i nie oczekuję ich od pana.

Za kogo się uważa ten zarozumialec? Nie po to wzięła sobie urlop i przyjechała aż tu, żeby wysłuchiwać obraźliwych słów od jakiegoś wroga kobiet, demonstrującego swoje humory. Tak do niej mówił, jakby zamierzała

na stałe osiedlić się w tej brazylijskiej dżungli. Tymczasem trudno byłoby znaleźć coś bardziej dalekiego od jej zamiarów.

Zapięła torbę podróżną i sięgnęła po wełnianą kremową kurteczkę.  
- Chciałabym, żebyśmy wyruszyli natychmiast.

Popatrzył na nią i bardzo powoli zdjął ciemne okulary, zawieszając je z przodu na wyszarganym dekolcie podkoszulka. Kilkakrotnie przetarł oczy i znów na nią spojrział.

- Czy pani w ogóle słyszała, co do pani mówiłem?

- Ja chciałabym tylko wiedzieć, czy mój bagaż jest już w samolocie. Ja sama jestem gotowa.

Jej głos był spokojny, tak jak należy. Tego nauczyła się w czasie pracy z chłopcami z trudnych środowisk. Trzeba im pozwolić na wygadanie się, a następnie robić swoje, jak gdyby nic się nie zdarzyło. Z nim też sobie poradzi. W końcu był tylko wynajętym pilotem.

- No tak, niech to diabli - burknął, niechętnie wstając z fotela. Najpewniej nie był przyzwyczajony do stanowczości, zwłaszcza ze strony kobiet. - Niech pani posłucha. Właśnie zaliczyłem mniej więcej dwadzieścia godzin lotu na przestrzeni ostatnich trzech dni. Jestem wykończony. Wylądowałem ledwo godzinę temu i marzę tylko o tym, żeby wziąć prysznic i położyć się do łóżka...

Corey poczuła, że patrzy na niego życzliwiej. Sama była bardzo zmęczona i wiedziała, jaki wpływ mogło to mieć na czyjeś zachowanie.

- Ale jeżeli pani jednak chce lecieć, to ruszajmy stąd i skończmy z tą całą farsą.

Ten człowiek jednak nie miał najmniejszego pojęcia o manierach! Corey podniosła się i zarzuciła kurteczkę na ramię. Nie zamierzała pozwolić, by jego sposób bycia mógł wpłynąć na jej zachowanie.

- Jestem Corey McKinney. Jeżeli mamy podróżować razem...

Jej słowa jakby zawisły w próżni. Najwyraźniej nie obchodziło go nawet, jak ona się nazywa.

Stał i przyglądał się jej tak, jakby próbował ją oszacować, a jego oczy mrużyły się nieco od dymu z kolejnego papierosa.

- Wiem, jak się pani nazywa. George Dupree powiedział mi, że pani przyjeżdża. Zaskoczyło mnie tylko, kiedy zobaczyłem takiego brzdąca, dopiero co odjętego od... - przerwał, najwyraźniej nie chcąc być aż tak niegrzecznym. Ale widocznie przyszedł mu do głowy jeszcze inne myśli, inne argumenty.

- Amazonia źle działa na ludzi, wie pani o tym? Ze ślicznych małych panienek szybko robią się stare baby, jeżeli oczywiście tego dożyją. Tak jest między innymi dlatego, że ani tubylcy, ani sama dżungla nie jest dla nikogo przyjazna, a poza tym nikt tu nie przestrzega żadnych zasad. Chciałaby pani wiedzieć dlaczego? Bo tu nie ma żadnych zasad ani reguł.

Corey postanowiła, że nie pozwoli się zastraszyć temu aroganckiemu facetowi tylko dlatego, że jest od niej dużo wyższy. Była w końcu osobą dorosłą. Oddawała już krew dla szpitali, płaciła podatki i wybierała dwóch kolejnych prezydentów.

- Wszystko to jest niezmiernie interesujące, panie Adams. Rzecz w tym, że zamierzam tu być w najgorszym razie przez tydzień. Raczej zbyt mało czasu na to, bym zdążyła się zeschnąć i skurczyć do wymiarów staruszki - powiedziała z wyrozumiałym spokojem wzorowej pracownicy Opieki Społecznej.

- Może mi pani wierzyć, wiem, co mówię. Nawet tydzień może się wydać dłuższy niż wszystko, co się dotąd przeżyło, kiedy się jest odcięty od reszty świata i musi się żyć w tym zatęchłym, zapleśniałym piekle. '

- No cóż, jestem gotowa obejrzeć to piekło - oświadczyła Corey. - A poza tym mogę pana zapewnić, że sama chciałabym skończyć jak najszybciej z tą całą, jak ją pan nazwał, farsą. Być może, nie różnię się w tym od pana.

Pilot zrobił dwa kroki i uchylił przed nią szerokie drzwi obite metalową siatką przeciw owadom. W kącikach ust czał się z trudem ukrywany kpiący uśmiezek. Corey nie była więc pewna, czy przypadkiem nie będzie musiała w ostatniej chwili chwycić tych uchylonych drzwi, by, puszczone zniecka, nie walnęły jej mocno. Jednakże wbrew tym obawom mężczyzna przytrzymał kławkę, stojąc z boku, i nawet wysoce uprzejmym gestem zaprosił ją do przejścia.

Nie zdołała zrobić nawet dwóch kroków, gdy nagle poczuła, że ściany pomieszczenia chwieją się i zaczynają tonąć w jakiejś ogarniającej wszystko czerni, rozjaśnianej tylko gwałtownymi błyskami gdzieś w głębi jej własnych źrenic.

Chryste Panie! Nie może przecież teraz zemdleć, ośmieszyłaby się zupełnie! Przez całe życie nie zdarzyło się jej nic takiego.

Starła się oddychać równo i spokojnie i rozpaczliwie walczyła o utrzymanie świadomości. Pojawiające się wewnątrz jej oczu światła zaczęły



powoli blednąc i po chwili zdała sobie sprawę z dwóch rzeczy: że podtrzymują ją czyjeś silne ręce i że przygląda się jej badawczo para najbardziej niezwykłych oczu, jakie kiedykolwiek widziała. Te oczy nie były szare, były koloru dymu, a przez tęczówki, niczym promienie, biegły od środka ciemne linie, co sprawiało, że wszystko razem było zmienne i trochę przypominało migocące gwiazdy. Te oczy wydawały się poważne, głębokie, a jednocześnie czułe i wrażliwe... i należały do Ashera Adamsa. Corey pomyślała, że teraz zobaczyła w nich to, co przedtem ukryte było za ciemnymi okularami - smutek, który przebijał z ich szarej głębi. A zatem - jeżeli oczy rzeczywiście są zwierciadłem duszy - dusza Ashera Adamsa musiała być bardzo smutna.

Z wolna do jej świadomości zaczęły docierać i inne rzeczy. Choćby nieco niepokojący zapach tego mężczyzny - zapach jego wilgotnej skóry, tytoniu i jeszcze czegoś, co pewnie brało się z rozgrzanych smarów i samolotowego paliwa.

- Prawie udało się pani zemdleć - powiedział kpiąco, a rozbawienie w jego głosie ostatecznie ją otrzeźwiło. - Żałuję, że sole trzeźwiące zostawiłem akurat w salonie...

Corey szarpnęła się, by stać o własnych siłach, choć kolana wciąż miała miękkie.

- Wcale nie miałam zemdleć.

- Tere-fer!

- Nigdy w życiu nie zemdlałam.

- Niech pani da spokój. Nie jest z pani aż taka świetna harcerka, jaką chce pani udawać - dobijał ją bezlitośnie. - Ot choćby to: wciąż jest pani ubrana odpowiednio na to swoje miasteczko w Stanach, a nie na tropiki. Nad Amazonką nikt by czegoś takiego na siebie nie włożył.

Jego dziwne oczy, znajdujące się wciąż niepokojąco blisko jej twarzy, przesunęły się teraz po za ciepłej bluzie i białych welwetowych spodniach i zatrzymały się aż na jej stopach obutych w skórzane pantofle. Corey odniosła wrażenie, że wraz z jego wzrokiem przesuwa się wzdłuż jej ciała fala gorąca.

- Nie widziałam tu żadnej przebieralni dla pań - bąknęła niezbyt pewnie. Roześmiał się głośno.

- I nie zobaczy pani. Ostatnie graniczne słupy cywilizowanego świata pozostały daleko z tyłu, panno Lilijko.

Było w tym jawne szyderstwo. Corey mimo woli wyprostowała się, starając się stać pewnie na nogach.

- Czemu mnie pan wciąż tak nazywa? - zapytała rozzłoszczona.

- A nie jest pani taką lilijką? Wy wszystkie zajmujące się Opieką Społeczną? Udajecie, że jesteście twardsze niż mężczyźni, a w rzeczywistości tylko staracie się tym zastąpić własne, wciąż puste gniazda. Wpychacie się w życie innych ludzi, poświęcacie się do granic wyczerpania, żebyście mogły potem same siebie pochwalnie klepać po ramieniu.

Podszedł do drzwi i znów otworzył je przed nią szeroko.

- Na co czekamy? Niech pani dobrze zapnie swój pas cnoty i możemy ruszać.

Oczywiście, umiałyby mu odpowiedzieć jeszcze dosadniej... może nawet wręcz wulgarnie, ale byłoby to wbrew jej naturze. Mogłaby też po prostu kopnąć go dostatecznie boleśnie. Była jednak przeciwna stosowaniu przemocy. Pozostało więc tylko postępowanie zgodne z zasadą podstawiania drugiego policzka. Nie podnosząc wzroku przeszła obok niego.

Jak w ogóle mogła pomyśleć, że w tym człowieku może się kryć jakaś głębsza wrażliwość? Taki typ miałby być czuły czy wrażliwy? Dobry żart! Musiała w tym momencie kompletnie stracić poczucie rzeczywistości.

Siatkowe drzwi stuknęły za nimi. Szybкими krokami dogonił ją prawie natychmiast i zanim doszła do samolotu, on już był tam na długo przed nią. W pobliżu biura stały dwie maszyny. Jedna z nich, pomalowana srebrzystym lakierem, wyglądała, zdaniem Corey, na względnie sprawną. Druga, pokryta zakurzoną warstwą brudnej czerwonej farby, nadawała się w sam raz do składnicy złomu.

Nadzieja w niej gasła w miarę, jak pilot zbliżał się do czerwonego gruchota, a podeszwy jego tenisówek zostawiały ślady na papkowatym, rozgrzanym asfalcie. Gwizdnął dwukrotnie i natychmiast zza rogu baraku pojawił się ostrowłosy kundel średniej wielkości. Podbiegł do samolotu, wskoczył na skrzydło, a potem przez otwarte drzwi dał susa do środka.

## *Rozdział drugi*

Po starcie Ash włączył mały wentylatorek i skierował go w stronę Corey. Wnętrze kabiny przypominało trochę stary sportowy samochód MG, którym kiedyś jechała. Tablica rozdzielcza była wyłożona czarną dermą, pełna okrągłych, ukrytych za szkłem wskaźników i zegarów. I ten sam zapach gorącego oleju, wypalającego się na rozgrzanej powierzchni silnika.

Powietrze nawiewane przez wentylatorek nie było ani trochę chłodniejsze, ale przynajmniej się poruszało. Kłopot był jedynie z tym, że pilot teraz palił cygaro i wentylator kierował dym wprost na nią.

- Czy pilotom wolno palić w samolocie tak małym jak ten? - zapytała w końcu Corey, gdy już zupełnie nie mogła znieść tego gęstniejącego zaduchu.

W odpowiedzi pilot leniwie przesunął cygaro do przeciwległego kącika ust.

- To pomaga mi koncentrować się na trasie - powiedział, nawet nie myśląc o odłożeniu dymiącego okropienstwa. Nic dziwnego, że ma tak schrypnięty głos, skoro pali takie świństwa, pomyślała Corey.

- A nie sądzi pan, że jeden raz mógłby pan spróbować koncentrować się bez palenia? - zapytała, pokaszując przy tym z niewielką tylko przesadą.

- O mój Boże, a więc jeszcze i to! - mruknął. - No tak, przypuszczam, że w tej eleganckiej torbie ma pani nawet podkoszulek z napisem „Paleme szkodzi szalenie!”

Pies, śpiący dotąd na skrzyni za siedzeniem pilota, uniósł głowę słysząc ich podniesione głosy. Po chwili jednak ponownie zamknął oczy i znów ułożył pysk na przednich łapach.

Pełnym irytacji ruchem Ash rozgniół na popielniczce żarzący się koniec

cygara, po czym zgaszony już niedopałek wsadził sobie ponownie do ust, przygryzając go lśniącymi, białymi zębami. Corey tęsknie myślała o lekkim podkoszulku drukowanym w białe lilie, który - niestety - leżał teraz głęboko w walizce, upchniętej gdzieś na samym dnie tego bałaganu z tyłu samolotu, za ich siedzeniami.

Wyjrzała przez okno. Lecieli nisko nad samą Amazonką, rozpościerając się rozległymi mackami hen, aż za krzywizną horyzontu. Bardziej przypominało to jakieś olbrzymie jezioro z mnóstwem odnóg i zatok niż zwykłą, płynącą między brzegami rzekę. Promienie zachodzącego słońca, jakie przedzierały się między obłokami niby czerwonawe i złote trójkąty, odbijały się w migotliwej powierzchni wody. Raz po raz sprawiało to wrażenie błyskających diamentów, takich właśnie, jak owe bezcenne kamienie w legendach związanych z Amazonką. Od czasu do czasu jakaś ryba wyskakiwała nad powierzchnię i ponownie zapadała się, pozostawiając za sobą rozplywające się kolistcie drobne fale.

W miejscu, nad którym się znajdowali, na brzegu rzeki nie było żadnego pasa piasku czy kamieni na granicy między wodą i lądem. Ściana dżungli zaczynała się tam, gdzie kończyła się woda. Z góry wyglądało to trochę niczym dobrze utrzymany ogródek warzywny olbrzyma, z odpowiedni© wielkimi brokułami i jaskrawo zielonymi kalafiorami. Patrząc na to, trudno było<sup>1</sup> sobie wyobrazić, że pod tą gęstą pokrywą zieleni istnieje inny świat, zupełnie inny sposób życia. Corey patrzyła na to i poczuła nagle, że ogarnia ją dziwna wesołość, najpewniej w wyniku podniecenia przemieszanego z obawą.

Niespodziewanie samolot wpadł w dziurę powietrzną. Żołądek Corey podjechał do gardła. Uchwyciła się wytartych krawędzi skórzanego fotela. - Czy tu zawsze tak rzuca? - spytała.

- To intensywne parowanie nad powierzchnią wody - odpowiedział Ash. Spróbował zaciągnąć się trzymanym w ustach cygarem, po czym przypomniał sobie, że jest nie zapalone. - Za chwilę będzie lepiej, ale nie do końca, bo to samo występuje i nad dżunglą.

- No to świetnie - bąknęła nieco nerwowo. Puściła jednak obrzeże fotela.

Śmiech Ashera Adamsa odbijał się głośnym echem od metalowych ścianek samolotu.

- Mamy jeszcze około trzech godzin lotu, proszę więc siedzieć spokojnie i rozkoszować się podróżą.

Corey wyciągnęła ze swej zielonej torby aparat fotograficzny i zaczęła robić zdjęcia. W wizjerze uchwyciła rzekę i wdzierającą się w nią roślinność tak, by krawędź kadru obejmowała też kawałek kadłuba i usterzenia samolotu. Nacisnęła przycisk migawki.

- Widzi pani to urządzone? - spytał pilot, kiedy Corey założyła już z powrotem osłonę na soczewkę obiektywu. Wskazującym palcem postukał w okrągłe szkło jednego ze wskaźników na tablicy instrumentów pokładowych.

Ma ładne dłonie, nawet z tymi pokancerowanymi kostkami, przyznała niechętnie. Miał długie i opalone palce, w pełnym świetle widać było drobne, rozjaśnione słońcem włoski.

- To wskaźnik skrętu i przechyłu. Pokazuje nam, czy lecimy równo. - Odchylił nieco trzymaną w dłoni dźwignię i pozioma dotąd sylwetka samolociku za okrągłym szkiełkiem też się przechyliła. Potem Ash znów wyrównał lot. - Chciałaby pani spróbować?

Corey z pewnym przerażeniem spojrzała na czarną połówkę kierownicy przy wolancie przed jej siedzeniem.

- Nie umiem pilotować samolotu.

- Niech się pani nie boi, proszę spróbować. To łatwe.

Tłumiąc w sobie niespokojne poczucie, że popełnia szaleństwo, Corey odłożyła aparat fotograficzny i ostrożnie położyła dłonie na rozgrzanej od słońca kierownicy.

- O, dzielna harcerka. Proszę tylko nie pchać kierownicy od siebie ani do siebie, bo wtedy polecilibyśmy w dół albo w górę.

Corey nagle uświadomiła sobie, że samolot żyje w jej dłoniach. Pod stopami czuła jakieś intensywne pulsowanie, dobiegające od silnika, prawie jak bicie serca. To było wcale niezłe.

- Jakie wrażenie?

- Noo... Całkiem dobrze.

- W porządku. To proszę teraz trzymać go w poziomie, dopóki nie wrócę.

- Jak to - wrócę? A dokąd pan chce iść? - Jej głos nagle zrobił się wyższy, niemal piskliwy. On naprawdę miał zamiar odejść od sterów!

Ash Adams zgięty niemal we dwoje przepchnął się wąskim przejściem między fotelami i kucnął w ciasnej przestrzeni z tyłu samolotu, gdzie upchnięto bagaże.

- Panie Adams! Niech pan wraca! Ja nie umiem tego pilotować!

Ten człowiek chyba oszalał! Musiał oszaleć! Była sama w samolocie z wariatem!

Samolot przechylił się i Ash zaklął, uderzając głową o metalowy dźwigar sufitu. - Proszę łaskawie patrzeć na wskaźnik poziomu, panno McKinney!

Nie, nie stał się nagle taki uprzejmy. Całe zdanie, łącznie z tą „panną”, było pełne sarkazmu.

Corey pospiesznie skupiła się na wskaźniku, który jej uprzednio pokazywał. Udało się jej wyrównać położenie samolotu.

- Panie... Ash! - poprosiła, nie spuszczać tym razem oka z biało-czarnego wskaźnika. - Niech się pan pospieszy, bardzo proszę.

Usłyszała za sobą odgłos jakiegoś otwieranego zamka. - Tylko znajdę dla nas coś do picia. Porządne linie lotnicze zawsze podają napoje chłodzące.

Dzięki Bogu, wracał już i przeciskał się znowu na swoje miejsce. Kątem oka zobaczyła, że wyjmuje korkową zatyczkę z niebieskiego termosu w kształcie dzbanka, podnosi go do ust i długo pije.

- Teraz może już pani to puścić - powiedział jej wreszcie. Zanim go posłuchała, spojrzała jeszcze, by sprawdzić, czy przynajmniej jedną rękę trzyma już na kierownicy wolanta.

- Może trochę wody? - spytał niemal uprzejmie i wyciągnął w jej stronę trzymany w dłoni termos. - Proszę wybaczyć, że nie mamy szklanek.

Corey nieświadomie przesunęła koniuszkiem języka po wyschniętych wargach. Powiedzieć, że chciało się jej pić, to o wiele za mało. Wręcz umierała z pragnienia już od paru godzin. Napiła się, po czym oddała mu termos.

- A teraz może to. Zechce pani otworzyć? - Rzucił w jej stronę coś, co wyglądało na pudełko czekoladek.

Pochwyliła je w locie. - Czekoladki? - spytała zdziwiona. Z jakiegoś powodu uważała, że Asher Adams nie jest człowiekiem, który je słodycze. Do niego pasowałoby raczej coś innego, jakaś - na przykład - meskalina.

- Czekolada to też rodzaj pożywienia, a ja nie jadłem nic od rana.

W co ja się wpakowałam! - pomyślała Corey. Przecież nawet ona, kiedy przez parę godzin nie jadła, miewała zawroty głowy, a ten facet w końcu pilotuje samolot. - To panu się tak spieszyło, żeby natychmiast lecieć z Samarem - przypomniała mu kąśliwie. Wciąż miała mu za złe, że jej poważną wyprawę nazwał farsą.

- Nie lubię, żeby klienci czekali.

Corey wydobyła z siebie westchnienie, mające wyrażać pełną niewiarę w jego oświadczenie, i otworzyła pudełeczko.

- Jak się panu udało zdobyć ten gatunek czekoladek? Tu o nie chyba nie tak łatwo?

- Tak, trzeba się specjalnie postarać. Kupiłem je zresztą dla George'a Dupree. On ma niemal obsesję na ich punkcie.

Corey wyjęła jedną z czekoladek i odwinęła ozdobną cynfolię. Głęboko wciągnęła w siebie znajomy zapach. Jeszcze raz popatrzyła na zawartość pudełka i w końcu połknęła rozgryzioną czekoladkę. Ostatecznie nie jadła nic od samego Chicago, jeżeli nie liczyć torebki dropsów, które kupiła w bufecie w Tampa.

- Nie są może tak dobre jak te oryginalne - oświadczył Ash, kiedy już skończył jeść. - Ale jeśli ma się słabość do czekolady... Proszę mi rzucić jeszcze jedną.

Corey odwinęła następną czekoladkę. - Czy pan Dupree nie będzie zły? - Ogarnęło ją poczucie winy. To przecież właśnie ona, już od dzieciństwa, miała słabość do słodczy. Było to grzeszne, nieustające pożądanie, z którym stale musiała walczyć.

- Niech się pani nie przejmuje i zje jeszcze jedną. George nawet nie wie, że je w ogóle kupiłem. I niech pani da jedną także Bobbie'emu.

Corey dała czekoladkę psu i odwinęła jeszcze jedną dla siebie.

- Spotkała się już pani z George'em Dupree? - zapytał Ash.

- Nie... - odpowiedziała Corey z pewnym wahaniem. Ash nie wyglądał na człowieka, przepadającego za towarzyską pogawędką. - Ale czytałam jego list w sprawie funduszy dla rezerwatu San Reys. Wydaje się, że jest bardzo temu oddany - dokończyła, smakując słodkie śmietankowe nadzienie.

Ash skwitował jej wypowiedź nieokreślonym mruknięciem, nie odrywając wzroku od horyzontu.

- Jak na faceta zaangażowanego w dobroczynność, George jest w porządku. Może odrobinę ekscentryczny, ale w porządku. I pewnie łatwo się dogadacie. George zawsze miał słabość do dzieci.

Już drugi raz nazwał ją dzieckiem. Rzeczywiście, ludziom zdarzało się czasami brać ją za nastolatkę, ale przecież nie za dziecko!

- Mam dwadzieścia pięć lat. I wydaje mi się, że jestem wystarczająco

dorośla na tego rodzaju podróż - powiedziała sucho, nie umiejąc ukryć przebijającego w jej głosie rozdrażnienia. Rozgryzła ostatni kawałek czekoladki, zwinęła folię w kulkę i włożyła z powrotem do paczuszki.

- Dwadzieścia pięć? - spytał z niedowierzaniem Ash. - A sprawa pani wrażenie, jakby dopiero co wyszła z piaskownicy. Podejrzewam, że w sklepach wciąż nie chcą pani sprzedawać piwa, mam rację? - Spojrzył na jej dłoń bez obrączki. - Niezameężna?

- Nie, ale...

- Chwileczkę. Proszę mi pozwolić zgadnąć. Niezameężna, ale zaręczona z odpowiednim mężczyzną, którego oczywiście zna pani jeszcze od czasów szkoły powszechnej. Na pewno z kimś poważnym, o jakimś dobrze brzmiącym imieniu, jakimś Pierpontem czy innym Dudleyem Porządnickim. I oczywiście ochajtnicie się, jak tylko on uzyska dyplom czy tam aplikację prawnika, Potem z tym całym Dudleyem będziecie razem wychowywać dzieci w tym samym małym miasteczku, w którym się oboje urodziliście.

Czyżby tak łatwe było z niej to wyczytać? Rzeczywiście wszystko to wyglądało bardzo statecznie, może było po prostu... nudne? Jednakże niemal natychmiast zaczęła się bronić przed takimi myślami. Todd ją kochał. I nie było nic komicznego w życiu, które ten człowiek teraz wyśmiewał. Co on w ogóle mógł wiedzieć? Jakiś niezgorzej szajbnięty pilot, pewnie w ogóle bez żadnej rodziny czy jakichkolwiek korzeni.

A ona lubiła swoje życie i była dumna ze swojego na wpół wiejskiego środowiska w Pleasant Grove. Już od dziecka stale pomagała rodzicom na farmie. Później, po ukończeniu koledżu przez pewien czas próbowała mieszkać samodzielnie w wynajętym w miasteczku mieszkaniu. Wkrótce jednak zdała sobie sprawę, że brakuje jej dawnych porannych obowiązków na farmie, brakuje przyjemności orki należącym do ojca starym traktorem marki John Deere, brakuje tak wyraźnie tam odczuwanych zmian pór roku, brakuje rodziców i babci.

W rodzinach farmerskich dba się o bliskich, toteż gdy babcia McKinney rozchorowała się i nie mogła już wstawać z łóżka, Corey wróciła do domu, żeby się nią opiekować. Kiedy w rok później babcia umarła, Corey postanowiła zostać.

Było coś takiego w atmosferze Pleasant Grove, co dodawało jej pewności siebie i wiary. Ludzie dorastali tam, pobierali się, żyli i umierali - wszystko



to w obszarze wspólnoty o promieniu nie większym niż kilkanaście kilometrów. Każdy tam znał każdego, znał zarówno jego zalety, jak i słabości, wszyscy wiedzieli wszystko. Toteż słusznie oczekiwali, że Corey i Todd w końcu się pobiorą. Nawet nie rozmawiano o tym, po prostu tego się spodziewano. Podobnie jak każdy w tej miejscowości spodziewał się, że Todd Farley zacznie sadzić kartofle w żaden inny dzień, tylko w Wielki Piątek.

- Mój narzeczony nie jest prawnikiem. Jest teraz na praktyce lekarskiej po internie, a będzie anestezjologiem - prychnęła, sama nieco zaskoczona wyniosłym tonem, którym to powiedziała.

- Ach, anestezjologiem! Kiedyś znałem faceta, który był anestezjologiem. Powiedział mi, jaką frajdę ma ze swoimi pacjentami, kiedy ich już uśpi, a potem ogląda ich w stroju, w jakim ich matka zrodziła. Mówił mi, że czasami nawet bierze wtedy aparat fotograficzny i...

- Proszę natychmiast przestać! - krzyknęła Corey. W ostatniej chwili powstrzymała się, żeby nie zatkać sobie uszu palcami. - Nie mam najmniejszej ochoty słuchać opowieści o jakimś zboczonym pańskim przyjacielu.

Pilot wzruszył ramionami. - Jak pani sobie życzy. Chciałem tylko podtrzymywać niezobowiązującą towarzyską rozmowę.

Corey nagle zdała sobie sprawę, że wszystkie zęby aż ją bołą, tak mocno je zacisnęła. Nigdy, w całym swoim życiu, nie spotkała nikogo tak grubiańskiego, tak denerwującego, tak infantylnego! Ona sama może wygląda młodo, ale przynajmniej zachowuje się jak osoba dorosła.

Spojrzała nań z ukosa. Nic go nie usprawiedliwiało. Mógł mieć trzydzieści lat... może trzydzieści pięć. W kącikach oczu pojawiały się zmarszczki, kiedy się uśmiechał, ale nie dostrzegła nawet śladu siwizny w brązowych, gęstych i lekko falujących włosach, zachodzących mu aż na kark i niedbale wciśniętych pod przepoconą czapkę. O, na pewno już go przejrzała. Samotnik i pędziwiatr. Jeden z tych wiecznych chłopców typu Piotrusia Pana, którzy nigdy nie potrafią dorosnąć, nie chcą przyjąć na siebie jakiegokolwiek odpowiedzialności.

W pięć minut później Ash znów wypił parę łyków wody z termosu, zamknął go i podał Corey. - Może mi pani to przytrzymać?

Nim zdołała się zorientować, samolot już położył się w głęboki skręt.

- Co pan robi? - spytała. Skrzydło po jej stronie celowało teraz prosto w ziemię, jakby chciało wskazać gęste, splątane zarośla, między którymi nierzadko srebrna siatka mieniły się drobne, wąskie odnogi rzeki.

- Łąduję.

Walcząc ze zwielokrotnioną siłą odśrodkową podniosła rękę, by spojrzeć na zegarek. Od momentu startu upłynęła dopiero godzina.

Samolot wyrównał lot i Corey mogła już postawić termos na podłodze. Zaniepokoił ją fakt, że w samym środku blachy dostrzegła sporą rdzawą szczelinę, wprost dziurę na wylot, ale jeszcze bardziej zaniepokoiło ją to, że lądowali teraz gdzieś w środku nie zamieszkaney dżungli.

- Zdawało mi się, że pan mówił o trzech godzinach lotu?

- Mówiłem. Ale musimy zrobić małą przerwę w podróży.

Myśli w głowie Corey zaczęły nagle galopować. Przecież to on sam mówił, że w dżungli nie obowiązują żadne zasady.

- Ale dlaczego lądujemy akurat tutaj? - nie potrafiła ukryć lekkiego drżenia głosu. A co, jeśli to był ten gatunek mężczyzny, przed którym zawsze ostrzegała ją matka?

Pilot nic nie odpowiedział. Przeszawił tylko wentylator tak, że powietrze kierowało się teraz prosto na jego twarz. Corey przyjrzała mu się uważniej. Na zmarszczonym czole perliły się kropelki potu, a jego dłoń lekko drżała, kiedy podnosił ją do dźwigni sterującej podwoziem. Może był chory? A jeśli, tak jak podejrzewała, był to nienormalny facet, szarpany jakimiś zboczonymi namiętnościami, perwersyjnie planujący swoje postępowanie wobec niej? Co wtedy?

Nie bądź śmieszna, skarciła samą siebie i starała się nie pamiętać ostrzegającego głosu matki. Na szczęście już wcześniej nauczyła się brać poważnie ostrzeżenia pani Grace McKinney nie całkiem dosłownie.

- Spadło ciśnienie oleju - powiedział Ash.

Corey przebiegła wzrokiem po wskaźnikach na tablicy rozdzielczej i znalazła ten, o który chodziło. Strzałka była tuż przy czerwonej części skali. Corey nakrzyrzała na siebie w duchu za niedojrzałość, za to, że pozwoliła sobie przez chwilę popaść w sytuacyjną nerwicę - jeżeli takie pojęcie w ogóle istnieje w psychologii.

- Wylądujemy tam, na tej *playa*, to znaczy na tym płaskim terenie zalewowym. - Wskazał na niezbyt szeroki pas gruntu obok jednego z dopływów.

Łądowanie było twarde i bardzo nierówne. Corey raz po raz miała wrażenie, że samolot za chwilę rozpadnie się podczas kolejnych podskoków

i uderzeń podwozia o wyboje na popękanej glinie wyschniętego dna jakiegoś dopływu. W końcu jednak samolot się zatrzymał.

Ash wyłączył silnik, po czym odchylił się do tyłu i w pół leżąc w fotelu sięgnął do schowka za oparciem fotela Corey, wyciągając stamtąd brązową papierową torbę. Następnie usadowił się wygodniej i wydobył z niej niewielką płaską butelkę whisky Jack Daniels. Wyrzucił zmiażdżoną torbę za siebie i odkręcił metalowy korek.

- Ja myślałam, że chodzi o dolewanie oleju - powiedziała nieco sarkastycznie Corey. Ale w jej głosie znów pojawił się lęk. Jak zahipnotyzowana, z narastającą trwogą patrzyła na pilota. Przechylał głowę do tyłu i pił długimi rykami. A jednak to był ten typ mężczyzny, przed którym przestrzegała ją matka. Wszystko na to wskazywało, ba, teraz to się wprost rzucało w oczy. Ten jego wygląd. I sposób bycia. Nigdy, ale to nigdy nie powinna była wsiadać z nim do samolotu.

- Wie pan, nie obchodzi mnie, co pan robi poza pracą, to nie moja sprawa - powiedziała, zbierając się na odwagę. - Ale teraz zapłacono panu za to, żeby mnie pan dowiózł do San Reys, jak sądzę.

- Natomiast ja powinienem się domyślić, że na domiar złego pani jest abstynentką - powiedział na w pół do siebie i znów przechylił butelkę.

Corey wolno odpięła zaczep pasa bezpieczeństwa, po czym nieznacznie zaczęła przesuwając prawą rękę w stronę klamki drzwi. Bicie własnego serca słyszała niemal jak kolejne uderzenia pioruna. Z własnej głupoty oddała swe życie w ręce niebezpiecznego osobnika. Taki przypadek nie był w ogóle uwzględniany w precyzyjnym planie, pieczołowicie przygotowanym wspólnie z ojcem Michaelem. Jakiś kompletnie obcy typ powiada jej, żeby z nim leciała, a ona potulnie się na to godzi!

Zupełnie możliwe, że Asher Adams w ogóle zmyślił całą tę historię na temat drugiego pilota. Przed oczami Corey jawiła się teraz koszmarowa wizja. W wyobraźni widziała biednego Mike'a Jonesa związanego i zakneblowanego albo rannego w skroń, z której krew czerwonymi kroplami spływała na powieki. Przecież w Południowej Ameryce osiada wielu przestępców! Z całą pewnością gdzieś już o tym słyszała. Czy to nie matka o tym mówiła?

Serce Corey pracowało niczym tłok parowej lokomotywy, a oddech stał się szybki i płytki. O Boże, nie potrafiła sobie nawet przypomnieć, czy kiedykolwiek w życiu tak się bała. Przez głowę w szaleńczym tempie

przelatywały jej znane historie o gwałtach. Najlepiej w takim przypadku się poddać. To zazwyczaj zalecano teraz potencjalnym ofiarom, zwłaszcza w sytuacjach, gdzie napastnik mógł mieć rzeczywistą przewagę fizyczną. Należało się poddać, można było dzięki temu uniknąć pobicia i obrażeń.

Ale poddanie się było ostatnią rzeczą, o jakiej w ogóle myślała.

Kątem oka widziała jego profil, drapieżny i bezlitosny dla ofiary, jak u wilka. I te jego przekłete oczy. Na szczęście teraz oczy były przymknięte, głowa odchyłona do tyłu na oparcie, baseballowa czapeczka rzucona niedbale na jedną z dźwigni. Corey przytapała się na tym, że przez chwilę zaczęła mu się przyglądać uważniej, że jej wzrok przesunął się od okrągłego znamienia po szczepieniu ospy na połyskującym od potu ramieniu po wytarte dżinsy. Spojrzenie Corey zatrzymało się przez chwilę na płaskim brzuchu i szczupłych biodrach, potem przesunęło się na mocne mięśnie ud.

Niespodziewanie wyobraziła sobie, że to silne, prężne męskie ciało zbliża się, nachyla się do niej i przyciska do jej ciała... Przeszył ją nagły dreszcz, poczuła skurcz w okolicach łona. Gwałtownie przełknęła ślinę.

Powiną czym prędzej się stąd wydostać.

Końcami palców dotknęła przycisku blokującego klamkę, poczuła ciepło rozgrzanego metalu. Nie spuszczając oczu z pilota nacisnęła dźwignię, mimo woli mrużąc oczy, gdy zamek drzwi trzasnął niczym stara dubeltówka.

Ash Adams otworzył swoje fascynujące, szare oczy i spojrzał prosto na nią. Była bezbronnym jagnięciem, a on wilkiem w wilczej skórze.

## *Rozdział trzeci*

Co się, u diabła, z panią dzieje? - spytał Ash.

Corey zamarła, z jedną stopą już wysuniętą poza krawędź uchylonych drzwi.

- Ma pani taki wyraz twarzy, jakby wsiadła do samolotu z tym zwariowanym Normanem Batesem, idolem młodzieżowym. Nigdy dotąd nie widziała pani człowieka, który ma atak malarii?

- Malarii?

- Tak, malarii. Walczę z nią już od trzech lat. Wystarczy, że się przemęcę, nie dośpię przez parę dni i zaraz atakuje mnie ta cholerna malaria. Ale po krótkiej drzemce znów będę na chodzie, to sprawdzone. - Ash ponownie zamknął oczy, skrzyżował ręce na piersiach i jeszcze głębiej zapadł się w fotelu.

Corey głęboko odetchnęła. A więc to malaria. A ona... No, prawdę mówiąc, zachowała się jak idiotka. Najpewniej nadwrażliwość odziedziczyła po mamie. Asher Adams mógł być szorstki i nieokrzesany, ale przecież nie wyglądał na takiego, który fizycznie zagraża ludziom. Jego grubianstwo przejawiało się w słowach.

- Będzie pan spał? Tutaj? - zapytała z niedowierzaniem. Teraz, kiedy silnik był wyłączony, również wentylatorek już nie działał.

- No przecież nie będę spał tam na zewnątrz razem z tymi wszystkimi robalami - mruknął, nawet nie otwierając oczu.

- Powinien pan brać chininę. Zabrałam jej trochę ze sobą, to znaczy z lekarstwami z darów.

Jego oczy otworzyły się gwałtownie. - Ma pani chininę? Miałem kiedyś jakieś tabletki od malarii, ale nie wiem, co się z nimi stało.

Patrzył na nią już znacznie życzliwiej, a ją denerwowała świadomość, że jest teraz tolerowana, ponieważ ma coś, czego potrzebuje. I gdyby nie to, że chciała jak najszybciej skończyć już z tym wszystkim, z pewnością powiedziała mu, żeby sobie sam poszukał lekarstwa.

Zamiast tego, zgięta niemal we dwoje, musiała przeciskać się między fotelami. Tu jest brudniej niż w chlewie, pomyślała, kiedy deptała rzucone na podłogę stare gazety i amerykańskie magazyny ilustrowane.

W pomieszczeniu przeznaczonym na bagaże też nie można było dostrzec nawet śladu porządku. Bardziej przypominało to wnętrze szary jakiegos nieporządnego dziecka, które na siłę zamyka drzwi, zza których przy otwarciu natychmiast wali się lawina wepchniętych tam rzeczy. Skrzynki i paczki ustawione były byle jak, bez zwracania uwagi na ich rozmiary. Na podłodze walała się para podartych dżinsów, a całe ciasne pomieszczenie przesiąknięte było zatechłym zapachem dymu z papierosów i cygar.

- To chyba powinno być gdzieś pod śpiworem - poinformował ją z głębi kabiny mrukliwy głos Asha.

Musiała sięgać daleko ponad spiętrzonymi skrzynkami i paczkami, żeby wyciągnąć wymięty i wygnieciony śpiwór, z którego na domiar wszystkiego wysunęła się jeszcze poduszka bez poszewki i spadła na podłogę. W końcu udało się jej odnaleźć właściwe pudełko z lekami, wyszukać chininę i dobrnąć z nią z powrotem do kabiny.

Ash poderwał się z fotela. - Lepiej niech mi pani da podwójną dawkę. Mój organizm już się uodpornił na działanie takich lekarstw.

- Ile pan waży? - Corey uważnie czytała karteczkę z instrukcją dołączoną do szklanych ampułek.

- Niech pani po prostu napełni strzykawkę.

- Nie zrobię tego. Ile pan waży?

- Około siedemdziesięciu pięciu kilogramów.

- A więc trzy centymetry sześciennie. Tyle wynosi dawka dla pana - oznajmiła tonem zawodowej pielęgniarki. Napełniła strzykawkę.

- Niech mi pani da tę igłę. - Ash przekreślił się w fotelu i wyciągnął rękę po strzykawkę. Z jego twarzy odpłynęła prawie cała krew, skóra była pokryta kroplami potu. - Niech mi pani to da, do cholery! - powtórzył niecierpliwie, a wyciągnięta w jej stronę ręka zaczęła dygotać coraz mocniej.

- Nie może pan sam sobie robić zastrzyku.

- už nieraz robiłem.

- Ja mogę go panu zrobić. Mam za sobą roczną praktykę jako pielęgniarka. Ash opuścił rękę i położył ją na kolanie.

- Niech będzie.

Corey zaczęła dezynfekować mu skórę na rękę, przecierając ją zwilżonym w alkoholu tamponikiem waty, ale Ash gwałtownie cofnął ramię.

- Nie w rękę - powiedział tonem skargi.

- To musi być zastrzyk podskórny - tłumaczyła mu z zawodową wyrozumiałością.

- Nie. W rękę już mi robiono. Wtedy to działa zbyt wolno.

Z pewnym niepokojem zastanawiała się, gdzie też trzeba mu zrobić zastrzyk, żeby podziałał szybciej.

- Proszę mi to po prostu wstrzyknąć w udo albo w tyłek. Ot, choćby tu.

- Niecierpliwym ruchem uderzył się po nogawce spodni z przodu uda. - No już, niech się pani nie zastanawia. Niech pani to zrobi wprost przez spodnie i już. Nie mamy za wiele czasu, chyba że chce pani tu nocować. Za parę godzin będzie już ciemno.

- Nie mogę panu robić zastrzyku przez materiał spodni. To byłoby niehigieniczne. Lepiej już jednak w ramię.

- Ee tam, gadanie! - Ash podniósł się gwałtownie i jego ramię otarło się o jej piersi, a włosy o jej policzek. Pies przyglądał się temu wszystkiemu z umiarkowanym zainteresowaniem. Mężczyzna pochylił się, odpiął guzik, rozsunał suwak spodni i szybko ściągnął je razem z bielizną dostatecznie nisko, by odsłonić zaskakująco blade, prawie białe biodro i górę uda.

Corey poczuła, jak gorąco napływa jej do policzków i w duchu przeklinała swą jasną cerę, na której tym wyraźniej widoczne były wszelkie oznaki owych emocji.

Ash pochylił się i oparł o deskę rozdzielczą. - No już - powiedział niecierpliwie. - Niechże pani robi. Chciała pani mieć odsłoniętą skórę, proszę bardzo.

Na jego ciele wyraźnie zaznaczyła się linia opalenizny, jasny lewy pośladek jaskrawo odcinał się od pleców, gdzie pod ciemną skórą rysowały się żebra i mięśnie.

- Nigdy nie mówiłam, że chcę oglądać pańską skórę - powiedziała stanowczo, ale ręka trochę jej jednak drżała, gdy trzymanym w niej

tamponikiem dezynfekowała skórę na twardym pośladku. Wzięła głęboki oddech. Co się z nią działo? Widziała już przecież rozebranych mężczyzn, ich nagość. Ale musiała przyznać, że nigdy jeszcze nie widziała ciała takiego jak to. I żadne z nich nie zrobiło na niej podobnego wrażenia. Pomyślała, że w jakiś sposób przypomina jej te nieprzyzwoite i pełne seksu zdjęcia męskich modeli, które widywała w Chicago w witrynach wielkich magazynów, reklamujących bieliznę dla panów.

- Czy mogłaby pani być trochę szybsza, bezlitosna siostró Ratched?
- powiedział zgryźliwie i przeciągle, wrywając ją z chwilowego zamyślenia.
- Jestem pewien, że ten widok bardzo się pani podoba, ale nie mogę świecić tyłkiem przez całą dobę.

Corey pomyślała, że w ciągu ostatnich dwóch godzin usłyszała więcej obelg i niegrzeczności, niż zdarzyło się to dotąd w całym jej życiu. To samo dotyczyło grubianstwa. W końcu jest jakaś granica tego, co kobieta może znieść. W każdym razie przed wyciągnięciem igły celowo wbiła ją jeszcze głębiej, z dodatkowym bolesnym skręceniem.

Osiągnęła chyba zamierzony efekt, bo wiązanki przekleństw, jaka wyrwała się z ust Asha, mógłby mu pozazdrościć niejeden stary wilk morski.

- Trzeba mi było powiedzieć, że oblała pani praktykę jako pielęgniarka. To było robienie zastrzyku zardzewiałym gwoździem.

Corey dla przyzwoitości udała, że zdycha ze współczuciem i pieczołowicie starła spływającą po skórze pośladka kroplę krwi przemieszaną ze środkiem dezynfekującym.

- Bardzo mi przykro. Igła musiała być tępa.
- Oczywiście. Z pewnością.

Błyskawicznie podciągnął i zapiął dżinsy i opadł na fotel. Cała jego agresywność gdzieś znikła.

- Niech pani może wypuści Bobbie'ego, dobrze? - poprosił. W jego głosie wyczuwało się wyczerpanie, oczy miał znów przymknięte. - Aha, i niech pani nie idzie do dżungli, nawet za jakąś dziecianną potrzebą.

Umościł się w fotelu jeszcze niżej. - Jeżeli będę jeszcze spał, za godzinę proszę mnie obudzić - powiedział i zasnął niemal natychmiast.

- Wygląda na to, że zostaliśmy sami, Bobbie - powiedziała Corey. Nacisnęła klamkę i otworzyła drzwi. Bobbie patrzył na nią i ponieważ zamiast ogona miał jakiś mizerny ślad po nim, chcąc pokazać jej swoją



radość, puścił w ruch całą tylną część swojej psiej postaci. Było z niego prawdziwe brzydactwo - brązowy, bez jednego ucha i z licznymi bliznami na głowie. A jednak miał wyraźną osobowość, charakter. Siwa sierść wokół oczu i pyska wskazywałaby, że ma już swoje lata, ale jego ruchy wciąż były szybkie i pewne, jak u znacznie młodszych psiaków. No tak, teraz już zainteresowała się tym zwierzakiem i chciałyby wiedzieć, czy był u Asha już od szczenięcia.

Bobbie wyskoczył i pognął w stronę wolno płynącej wody, wzbijając za sobą obłok jaskrawożółtych motyli. Corey wychyliła się przez niskie drzwi i po skrzydle zeszła na popękany gliniasty ił, lekko uginający się pod jej stopami. Jakiś ptak odezwał się w dżungli z tyłu za nią i niemal natychmiast rozległa się odpowiedź z drugiej strony rzeki. W nieruchomym powietrzu wszystko słychać było bardzo wyraźnie.

Miło jest oddychać bez wchłaniania zapachu spleśniałej skóry, paliwa i spalonego oleju, pomyślała Corey. Uniosła nad karkiem długie, sięgające ramion włosy, żałując, że nie ma na sobie jakiegoś bardziej przewiewnego ubrania. Ale nie było możliwości wydostania go teraz z walizki, zakopanej gdzieś na samym dnie przedziału bagażowego. Rozpięła więc tylko kołnierzyk i podwinęła rękawy.

Czy latanie takim samolotem jest bezpieczne? - pomyślała z nieufnością, przyglądając się podejrzanym pęknięciom na spodzie kadłuba. Były tam widoczne miejsca, gdzie czerwona farba i plamy rdzy zostały zeszlifowane do gołego metalu, ale ktoś najwyraźniej nie dokończył roboty i teraz blacha znów zaczynała rdzewieć. Nie znała się specjalnie na samolotach, ale była pewna, że nigdy w życiu nie widziała czegoś tak starego, odrapanego i rozlatującego się.

Westchnęła z rezygnacją. Trudno powiedzieć, czy bardziej przypominało to koszmarny sen, czy jakiś głupi żart. Mogłaby się z tego śmiać, gdyby nie była tak bardzo zmęczona. Lepiła się od potu, gorąco ją obezwładniało. Przedsiębiorstwo lotnicze pana Adamsa to było coś żalospnego. Pilot, który musi po drodze lądować, żeby się przespać. Jego zmiennik zbyt pijany, by mógł w ogóle wystartować. A cały samolot nadawał się co najmniej do kapitalnego remontu, jeżeli nie na złom.

Chmara drobnych muszek pojawiła się nie wiadomo skąd i zaczęła brzęczeć nad jej głową. Kiedy jedna z nich usiadła na ramieniu i ucięła ją

boleśnie do krwi, Corey niechętnie przyznała, że Ash miał rację. Lepiej już siedzieć w cuchnącej kabinie niż zostać zjedzoną żywcem przez te okropne owady. Otrząsnęła je z ramion i pobiegła do samolotu, pozostawiając za sobą węszącego po kępach Bobbie'ego, którego muszki z jakiegoś powodu wydawały się zostawiać w spokoju.

Ash wciąż spał. Zdaje się, że nie było mu zbyt wygodnie siedzieć tak z głową opartą o drzwi, ale to w końcu jego sprawa. Między kolanami tkwiła wetknięta tam płaska butelka whisky, a opalone palce wciąż obejmowały jej wąską szyjkę.

Corey sięgnęła po butelkę i wyjęła ją z luźnego już uchwytu dłoni. Zastanowiła się przez chwilę, po czym podniosła do ust i z rozpacziwą determinacją łyknęła sobie zdrowo. Normalnie nie piła alkoholu. Ostatni raz próbowała smaku whisky przed wieloma laty, kiedy to babcia zmieszała ją z sokiem cytrynowym i kazała wypić jako lekarstwo na zapalenie gardła. Ale krańcowa absurdalność sytuacji, w jakiej się znalazła, po prostu zmuszała do podejmowania drastycznych kroków. A poza tym uznała, że jest nawet coś przyjemnego w takim podnoszeniu do ust butelki napełnionej palącym podniebieniem i gardło płynem. Zakręciła metalową nakrętkę, odchyliła się na oparciu fotela i przymknęła powieki.

Ash otworzył oczy i przeciągnął się, oczywiście na ile to było możliwe w ciasnej kabinie. Potem spojrzął na swą towarzyszkę podróży. Corey spała. Ash pomyślał, że tak jest lepiej, przynajmniej te brązowe oczy nie będą patrzyły na niego z nieustającym wyrzutem. Była inna, niż się spodziewał. Nie był to twardy, supernowoczesny babsztyl z męską fryzurą i wojskowymi glanami. Nie, ta osóbką robiła wrażenie cholernie kruchej i delikatnej, i ten, kto ją tu wysłał, musiał być niespełna rozumu.

Miał teraz okazję, żeby móc ją dobrze obejrzeć i podziwiać. Górne guziki koszuli, poczynając od tych pod szczupłutką szyją, były rozpięte, a rękawy podwinęte za łokcie. Było w niej coś takiego, co przypominało jasną łagodną twarz, którą pamiętał z obrazka z aniołem stróżem, wiszącego przed laty nad jego łóżkiem w stanowym Domu Dziecka.

Różowe, lekko rozchylone usta i niedorzecznie długie rzęsy, których złotawe końce rzucały cienie na zaróżowione od gorąca policzki. Wilgotne

pasemka jasnych, cieniutkich niczym u dziecka, lekko kręcących się włosów, które przylepiały się teraz do wilgotnej od potu twarzy i szyi, zwijały się w drobne kędzierzawe loczki po obu stronach jej buzi.

Przesunął wzrok niżej. Mógł się zaledwie domyślać kształtu piersi pod luźną koszulą, której żółta tkanina unosiła się i opadała przy każdym jej wzruszająco delikatnym oddechu. Przesunął wzrok jeszcze niżej, na wąskie niczym u chłopca biodra i długie nogi, po czym znów zaczął przyglądać się jej twarzy, ustom.

Wyciągnął rękę i ostrożnie wyjął butelkę z alkoholem z jej dłoni. Przez moment dobiegł go pełen świeżości zapach jej wilgotnej, delikatnej skóry.

Zastanawiał się, jak też mogłaby smakować ta skóra. I co taka dziewczyna by zrobiła, gdyby pochylił się teraz nad nią i spróbował smaku jej warg. Zdażył sobie jednak przypomnieć, że będzie lepiej, jeśli nadal będzie spała.

Odgłosy uderzenia metalem o metal rozbudziły Corey.

Maska samolotu była podniesiona, a w każdym razie to coś, co ona nazwałaby maską. Zgięty w pół pilot był niemal cały w środku i coś tam majstrował przy silniku.

A ona musiała natychmiast iść do toalety. Niech to licha! Czemu nie zrobiła tego wcześniej, kiedy ten facet spał? Na szczęście teraz był zajęty silnikiem, więc można było spróbować prześliznąć się obok niego i wejść głębiej w dżunglę.

Już sądziła, że uda się jej przemknąć i skryć za kępą rozłożystych gałęzi o ogromnych liściach, gdy nagle głos Asha zmusił ją do zatrzymania się.

- Gdzie to się pani wybiera?

Odwróciła się i zobaczyła go stojącego z żółtą puszką oleju silnikowego w ręce.

- Ja muszę... - Nieokreślonym ruchem wskazała w stronę dżungli. - Wie pan... muszę do toalety.

- Niech pani po prostu kucnie za samolotem - powiedział i odwrócił się, znów zajęty silnikiem.

- Nie ma mowy!

On mógł sobie rozpinąć i opuszczać spodnie, gdzie chciał i przed kim chciał, ale ona nie będzie się załatwiać bez żadnej osłony, w dodatku ledwo parę metrów od niego.

- Pójdę trochę głębiej w dżungłę.

Znów spojrzął na nią z nie ukrywanym zniecierpliwieniem. Bała się, że będzie nalegał, ale w końcu wzruszył ramionami i rzekł: - Tylko proszę nie iść za daleko. I niczego nie dotykać.

Zasalutowała mu kpiąco i poszła w głąb zieleni. Już po chwili zdała sobie sprawę, że wokół niej panuje prawie półmrok. Powietrze było ciężkie od zapachu bagna i słodkawej woni nie znanych jej z nazwy kwiatów. I jeszcze czuła jakiś duszny zapach, jakby wanilii zmieszanej z cynamonem.

Wokół niej latały niezliczone owady, napełniając powietrze zespolonym w swoistą muzykę brzęczeniem, narastającym i cichnącym w hipnotyzującym rytmie. Niektóre z palm i paproci, o które się niemal ocierała posuwając się po ledwo widocznej ścieżce, kojarzyły jej się mgliście z roślinami, jakie widywała u siebie w Ameryce. Ale właściwie wszystko wokół było dla niej nowe i zupełnie nie znane. Najróżniejsze drzewa, duże i małe, poczynając od najmniejszych, ledwie widocznych w trawie aż po olbrzymy, których poskrzypujące konary sięgały jakby turkusowego nieba. Od samego patrzenia na nie kręciło się w głowie. Niektóre z pni były ciemnoczerwone, z dziwną, gruzłowatą korą; inne zaś gładkie i miały kolor starej kości słoniowej. Były też i takie, których pni niemal w ogóle nie dało się zobaczyć, ponieważ były całkowicie zasłonięte licznymi warstwami gnijącej ściółki, lian i liści, na której to osłonie wyrastały jeszcze różne inne drobne rośliny, powoje i paprocie.

Corey znalazła wreszcie odpowiednie miejsce. Wracając do samolotu, nagle zdała sobie sprawę, że podziwiając nie znaną jej egzotykę dżungli nie myślała o zapamiętaniu drogi. Mimo to nie odczuwała strachu, że się zgubi. Była pewna, że wciąż jest dostatecznie blisko, by Ash usłyszał jej wołanie.

- Panie Adams!

Jej okrzyk sprawił, że stadko żółtych ptaków zerwało się z rozłożystej gałęzi nad jej głową. Przeleciały do następnego drzewa i znów siadły, tworząc na nim wielobarwną rozproszoną plamę. Tymczasem jakiś obrzydliwie wyglądający czerwonopomarańczowy owad wielkości konika polnego usiadł jej na ramieniu. Corey mogła wyczuć drobne zadry odnóży, przywierające do jej skóry. Pisnęła rozpaczliwie i zaczęła gwałtownie machać rękami, aż owad odleciał i zniknął w półmroku.

- Panie Adams! - Coraz mniej podobało się jej to, że jest tu sama. - Ash!

Coś poruszyło się w pobliżu. Dał się słyszeć narastający szelest rozgarnianych liści, aż z krzaczastego poszycia wyskoczył Bobbie i pędem ruszył w jej kierunku. Tryskała z niego duma i radość, że ją znalazł, czego dowodem było energiczne kręcenie tą częścią ciała, na której powinien znajdować się ogon. Corey odetchnęła z ulgą i pochyliła się, by pogłaskać jego zmierzwioną sierść.

- Jesteś tak dzielny jak Rin Tin Tin w starych filmach!

Pies polizał jej dłoń, po czym popędził z powrotem w stronę, z której przybiegł.

Właśnie stamtąd przez gęste poszycie dżungli szedł już ku nim Ash Adams. Szedł zupełnie inaczej niż Corey. Widać było od razu, że w tej dzikiej gęstwinie czuje się jak u siebie w domu.

- Mówiłem, żeby pani nie szła daleko. - Zatrzymał się, przesunął czapkę na tył głowy i oparł ręce na biodrach. - Wciąż jeszcze szuka pani tabliczki z napisem „Dla pań”?

- Bardzo śmieszne! - powiedziała sarkastycznie Corey, przeciskając się obok ogromnego liścia, który miał rozmiary wystarczające do zrobienia z niego dużego wachlarza dla jakiegoś szejka. - Po prostu nie mogłam znaleźć drogi z powrotem. Wszystko dookoła wygląda tak samo.

W tym momencie znudzona nieco twarz Asha nagle zmieniła się, a w jego oczach można było dostrzec nagłe skupienie uwagi i narastający niepokój.

- Stój! Nie ruszaj się! - krzyknął, wpatrując się w ziemię tuż u jej stóp. Z całej postawy przebijało wielkie napięcie.

Zaskoczona Corey zatrzymała się. - Co się stało?

Ash tymczasem zaczął zbliżać się w jej stronę nie wprost, ale jakby okrężnie, jednocześnie mówiąc do niej niezwykle spokojnym głosem. - Stoisz na samej krawędzi dołu-pułapki, przygotowanego przez Indian Xingu.

Poczuła nagły skurcz w okolicach mostka i miała wrażenie, że jej serce przestało bić. - O Boże! - słowa z trudem wydobywały się z zaschniętego nagle gardła.

- Zrób mały krok do tyłu, ale bardzo ostrożnie.

- Ja... tak się boję, że nogi mam jak wrosnięte w ziemię - wykrztusiła Corey. Jej oczy nagle napełniły się łzami. Nie umiała wprost oderwać wzroku od jego twarzy. Zastygłych w przerażeniu mięśni nie potrafiłaby teraz zmusić do jakiegokolwiek ruchu.

- Nie do uwierzenia. Taka dzielna harcerka? - powiedział drwiącym tonem. Podświadomie zdała sobie sprawę, że był to jego sposób na zmuszenie jej do działania.

- No, zrób ten krok. Potrafisz. - Był blisko, ledwie półtora metra od niej.

I właśnie wtedy, gdy już wydawało się, że nogi posłuchają jej rozkazów, rozległ się głośny trzask. I nagle ziemia zapadła się pod stopami. Zdażyła jeszcze usłyszeć własny rozpaczliwy krzyk przerażenia i runęła w głąb.

## *Rozdział czwarty*

Daremnie próbowała zaczepić się o jakiś korzeń, gałąź, o cokolwiek. Nic z tego. Osuwała się w głąb otwierającego się pod jej nogami dołu. Ash rzucił się do przodu i zdążył chwycić jej szczupły nadgarstek. Udało mu się przytrzymać ją, chociaż jej ramię przeszył ostry ból.

- Ash! - Jej pełen przerażenia głos brzmiał piskliwie. Wolną ręką nadal usiłowała zaczepić się o coś na obrzeżu dołu. Jedyнным rezultatem było dalsze osypywanie się ziemi spod młócających na osłep palców.

O Boże! Spadnie i umrze w tym strasznym, ciemnym dole!

Nie potrafiła opanować nagłego szloch przerażenia. Zamknęła oczy, mocno, aż do bólu, zacisnęła szczękę. Czuła zapach wilgotnej ziemi, która przywarła do jej policzka, mogła nawet wyczuć jej smak na wargach. To przypomniało jej ogródek matki. Jeśli coś się z nią stanie, jej rodzice tego nie przeżyją!

- Podaj mi drugą rękę!

Zmusiła się do otworzenia oczu i spojrzenia w górę. Ash leżał na brzuchu na krawędzi dołu i usiłował dosięgnąć drugą dłoń.

- No jazda! - ponaglał, nie odrywając od niej oczu. - Spróbuj dosięgnąć ręki!

Jego opanowanie podziałało uspokajająco. Odetchnęła głęboko i napięła mięśnie, starając się dosięgnąć wyciągniętej dłoni Asha. Wreszcie ich palce zetknęły się i nagle jej dłoń była już bezpieczna w mocnym uścisku. Spojrzała za siebie przez ramię i zamierającym głosem wydukała: „Pospiesz się!” W ponownym przypiływie strachu spróbowała znaleźć nogami jakiś punkt oparcia.

- Tam na dnie są ostrza! Dzidy! Wyglądają jak dzidy!
- Jeżeli się nie uspokoisz i nie przestaniesz się szarpać, to zginiemy oboje
- odpowiedział ostro Ash. W jego głosie znów pojawiło się rozdrażnienie.

Corey starała się stłumić duszący ją szloch. Ash ciągnął ją do góry, a ziemia osypywała się na jej twarz i przód koszuli. Potem puścił jedną z jej rąk i uchwycił za spodnie. Powoli wyciągnął ją wreszcie z przerażającej ciemności. I oto znalazła się wreszcie w świetle, bezpieczna, w obejmujących ją stalowych ramionach.

Przyłgnęła do niego całym ciałem. W skroniach czuła gwałtowne pulsowanie krwi. Z całej siły przytuliła twarz do uspokajającej miękkości bawełnianego męskiego podkoszulka. Jej omdlałe ze strachu ciało prawie leżało na nim, falujący biust opierał się teraz o mocne mięśnie szerokiej klatki piersiowej, między kolanami wyczuwała jego szczupłe i twarde udo. Ich oddechy przemieszały się ze sobą, tak jak splątały się ich ciała.

Trwali tak przez dłuższą chwilę, wreszcie Ash odezwał się: - Ktoś... musiał ruszyć ten cholerny dół - powiedział trochę kpiąco. Jego oddech nadal był przyspieszony, klatka piersiowa unosiła się i opadała, spazmatycznie łapiąc duszne powietrze. Przytulonym do jego piersi policzkiem wyczuwała, jak mocno bije mu serce.

Jej własny oddech też nadal był szybki i nierówny. Jeszcze przeżywała reakcję po strasznym lęku, ale była też świadoma tego, że jej ciało zaczyna przenikać fala nagłego gorąca, niczym jakiś niezwykły płynny ogień. Starała się uciszyć łomot własnego serca i nie myśleć o tym, że leżą tu tak mocno objęci, że jego skóra tak niepokojąco pachnie, że tak wyraźnie czuje jego męskość.

Milczała ciągle i bała się poruszyć, kiedy jego dłoń poufale zaczęła głaskać jej plecy. Zwinne palce szybko odnalazły najbardziej bolące miejsce i zaczęły je delikatnie masować. - Hej, Lily, wszystko w porządku?

Przestał masować jej plecy, ale nie przestawał jej obejmować. Odchylił się tak, że znalazł się w jakby pozycji półsiedzącej, trzymając ją niejako nad sobą, intymnie blisko, a w dodatku jeszcze wpijał w nią to swoje przenikliwe spojrzenie. Nigdy dotąd nie zdarzało się jej być w sytuacji, że musiała nieomal leżeć na mężczyźnie, którego prawie nie знаła. Lewym policzkiem stykała się z jego twarzą, czując mrowienie w miejscu, którym dotykała jego nie ogolonej skóry.

- Ttak... Czuję się już dobrze - zdołała wreszcie wyjąkać, nie mogąc jeszcze złapać tchu. Całą siłą woli starała się skoncentrować na bolących ją



teraz nogach, rękach... wciąż daremnie usiłując oderwać wzrok od wpatrujących się w nią oczu.

Z wolna jego spojrzenie straciło zimny, metaliczny odcień. W kącikach oczu pojawiły się drobne zmarszczki uśmiechu. - Czy tego rodzaju dreszczyków szukałaś? - zapytał swoim szorstkim i bardzo męskim głosem.

Gwałtownie bijące serce Corey wciąż nie chciało się uspokoić, choć jego twarde spojrzenie już złagodniało. Najwyższym wysiłkiem starała się zebrać myśli. Zdawała sobie sprawę, że jej policzki nadal płonąły. To przecież wciąż był ten sam mężczyzna, który ją stale obrażał, który potrafił jej mówić takie przykre rzeczy. Jak więc to może być, że tak ją do niego ciągnęło?

- Takie dreszczyki można bez trudu przeżyć choćby na lotni albo szusując z góry na nartach - powiedziała po chwili.

- Może tak - odparł, uśmiechając się niczym wielki zły wilk. - A może i nie.

- Niech mi pan pozwoli wstać - powiedziała. Czuła, że za chwilę wpadnie w panikę.

- Ależ, skarbie, to ty jesteś na górze - odparł z uprzejmym uśmiechem, nie wypuszczając jej jednak z objęć. Wtedy Corey nie wytrzymała.

- Puść mnie w tej chwili, ty... ty draniu! - krzyknęła, bezskutecznie usiłując odepchnąć go od siebie.

- Draniu? - W jego głosie brzmiało rozbawienie.

Bardzo chciała się uspokoić, ale już ją niestety poniosło. On ją po prostu przerażał. - Drań! Gbur! I niech pan wie, że mogłabym znaleźć jeszcze więcej równie tramych określeń.

Gniew błysnął w jego oczach, zastępując skrzące się w nich dotąd rozbawienie. Z niezwykłą łatwością przekreślił się nagle razem z nią i Corey niespodziewanie została niemal wciśnięta w ziemię przemożnym ciężarem męskiego ciała.

- Proszę bardzo! Tak z pewnością będzie lepiej. Powiniennem być raczej dominującym partnerem, prawda? - Nieco ochrypły głos był teraz podejrzenie miękki.

Oparł o ziemię łokcie po obu stronach jej głowy, a kolanami rozsunał jej nogi, wciskając się między nie twardo i mocno. Czuła każdy mięsień jego ciała, wgniatającego ją w podłóże.

- Może próbujesz udawać mężczyznę, ale jestem dziwnie pewien, że

czujesz jak kobieta - powiedział. Jego krystalicznie szare oczy były teraz tuż przy niej. - I myślę, że to ty potrzebujesz lekcji właściwego zachowania. Większość grzecznych panienek nie awanturuje się, kiedy ktoś je ratuje z opresji. Przeciwnie, większość dobrze ułożonych panienek, także tych z dobroczynnych stowarzyszeń, stara się okazać wdzięczność wybawcom.

Przywarł do niej teraz już w jednoznaczny cel. Nie pozostawił najmniejszej wątpliwości, jakiego rodzaju wdzięczność ma na myśli. - Nie uważasz, że to dobry pomysł? Co też na to powie panna Nienaganna?

- Jest pan wstrętny - syknęła Corey, daremnie próbując opanować narastający lęk. Zwijała się pod nim i próbowała go odepchnąć, niestety bezskutecznie. Wciąż była tam, gdzie on chciał.

- Mmmm!... To bardzo miłe - westchnął z emfazą. - To naprawdę przyjemne. Proszę tylko dalej tak się poruszać.

Corey natychmiast znieruchomiała i trwała nieomal jak posąg, jeżeli nie liczyć piersi, które gwałtownie unosiły się w przyspieszonym oddechu.

- Powiedz „dziękuję”, a natychmiast cię puszcze. - Jego głos brzmiał teraz łagodnie i miękko.

Mowy nie ma, żeby mu dziękowała. Corey zacisnęła powieki, ale okazało się, że tak jest jeszcze gorzej. Z zamkniętymi oczami jeszcze wyraźniej czuła leżące na niej ciało.

- Powiedz to! - nalegał. Opierał się teraz na jednej ręce, a drugą wsunął pod bluzkę na plecach.

- Panie Adams, proszę mnie natychmiast puścić! - Jej głos był teraz prawdziwie dramatycznym szeptem. Ogarnęła ją panika. Ash przygniatał ją tak, że prawie nie mogła oddychać. Naprawdę nie mogła już nabrać powietrza. I każdym nerwem odczuwała ruchy tej dłoni, pieszczącej jej ciało, coraz bardziej zbliżającej się do piersi, co powodowało, że krew szybciej płynęła w jej żyłach.

- Przestań - wyszeptała z trudem. - Proszę cię, przestań.

Nagle zamarła, kiedy na policzku poczuła jego usta, które za chwilę przesunęły się niżej, ku delikatnej skórze szyi. Ten człowiek całował ją, dotykał wargami i językiem, a ona zamiast go odepchnąć, poczuła słabość nie do odparcia. Gdzieś w dole podbrzusza pojawił się znajomy skurcz.

Można sądzić, że taki człowiek jak Ash będzie w podobnych chwilach brutalny i nieokrzesany, a tymczasem... Zniknęła gdzieś jego szorstkość, ironia...

Kiedy przestał całować jej szyję, Corey bezwiednie westchnęła. Z trudem, trzepocąc rzęsami, otworzyła na chwilę oczy i zdążyła zobaczyć, że znowu pochyła się nad nią, że jego wargi są coraz bliżej. Zamierzał teraz całować jej usta, a ona nie była w stanie temu się przeciwstawić.

Wreszcie jego gorące wargi poczuła na swoich. Były zaskakująco miękkie, jakby odrobinę słone, a może tylko z lekka pachnące whisky? Jak męczyzna może mieć tak delikatne wargi jak te, które teraz całowały każdy centymetr jej twarzy?

Odniosła wrażenie, jakby wszystko w niej topniało, stawało się nierealne. W uszach huczało. Zdawało jej się, że to wali w nią jakiś wodospad. Dżungla gdzieś znikła, znikła Południowa Ameryka i cała matka Ziemia. Pozostało tylko ich dwoje i to cudowne, tak nowe dla niej uczucie.

Wargi Corey stawały się coraz uleglejsze, a jego pocałunki coraz zuchwalsze i sięgające coraz głębiej. Jak to się dzieje, że te usta są tak cudownie wilgotne i tak... erotyczne, pomyślała zapadając się w słodką mgłę nieświadomości. Jedna z jej dłoni bezwiednie objęła go za szyję, przyciągając go do siebie. A druga ręka wcisnęła się pod jego podkoszulek i machinalnie głąaskała lekko wilgotne od potu, umięśnione plecy.

Jakby wbrew woli, objęła go uniesionymi kolanami, opierając je na jego łądwziach i jeszcze mocniej tuląc się do niego. Nawet przez ubranie natychmiast wyczuła jego podniecenie. Coś dużego, twardego i pulsującego teraz już otwarcie napierało na jej łono. Ash przesunął się nieco na bok i wsunął dłoń pod biustonosz, i objął gorącą kragłość wilgotnej od potu nagiej piersi, i zaczął ją delikatnie pieścić. Corey jęknęła i wyprężyła się spazmatycznie. Całe ciało przebiegały teraz fale gorąca, które sprawiały, że czuła się zupełnie bezwolna, bliska omdlenia.

- Ash - wyszeptwała. Była w tym prośba, choć sama nie wiedziała, o co go prosi.

Ash jednak usłyszał. Zdał sobie sprawę, że zarzuciła mu na szyję drobne dłonie przyciągając go coraz bliżej, że jej nogi objęły jego biodra, i że Corey, jakby tracąc poczucie rzeczywistości, poddała się całkowicie opanowującemu ją pożądaniu. Było to dla Asha wielkim zaskoczeniem.

O Boże! Mała drobina jego rozumu, jego resztką, która jeszcze była zdolna do myślenia, zastanawiała się, jak to się mogło stać? Najpierw go strasznie wkurzyła, obrzucając go niezbyt miłymi słowami, a jeszcze wcześniej

demonstrując swoje wytworne i świętoszkowate zachowanie. A kiedy trzeba jej było przyjść z pomocą, to nagle okazał się wystarczająco dobry, tak?

A on chciał jej tylko trochę przytrześć rogów i tylko pocałować, nic więcej. Tego, co się stało, zupełnie nie oczekiwał. Nigdy dotąd nie zdarzyło mu się też zapragnąć kogoś tak mocno i tak nagle. Teraz musi się zwyczajnie wziąć w garść, zapanować nad sytuacją. Zdawał sobie sprawę, że nie może jej tak po prostu posiadać. Nie należała do dziewczyn, które uprawiają seks dla sportu, chwilowej przyjemności, a potem jakby nigdy nic wracają do swoich szczytnych idei.

Najlepsze, co mógł zrobić, to podnieść się teraz i zachowywać się tak, jak gdyby nic wielkiego się nie stało. Potraktować to wszystko lekko, a potem w ogóle o tym zapomnieć. Tak będzie najlepiej dla niej. I dla niego.

Tymczasem dziewczyna prężyła się pod nim, jej język chciwie szukał jego języka, ręce niecierpliwie obejmowały jego ciało, a cała postać układała się wprost pod nim niemal zapraszająco. Ash stłumił westchnienie i odetchnął głęboko, żeby się opanować.

Jego usta nie dotykały już jej ust, a tłać się w jego oczach iskra przygasała. Pospiesznie doprowadził do porządku jej biustonosz i obciągnął bluzkę, przez cały czas starając się uspokoić swój wciąż jeszcze przyspieszony oddech. Ona zaś próbowała go jeszcze przytrzymać za ramiona, a jej oczy pociemniały i zrobiły się jakby szklane. Piersi gwałtownie podnosiły się z każdym oddechem.

- A więc... Nie ma za co dziękować - powiedział w końcu.

- Nie rozumiem... Co? - zapytała zaskoczona.

- Powiedziałem tylko „nie ma za co dziękować”. Po prostu uprzejmie odpowiedziałem na twoje podziękowanie. - Nie mógł powściągnąć uśmiechu, zastanawiając się, ile też czasu upłynie, zanim zrozumie jego zachowanie i jak prędko dostanie mu się za to, co zrobił. Odsunął się od niej jeszcze trochę, tak że przestali już przypominać dwie części tej samej układanki. - To chyba było jedno z najsympatyczniejszych podziękowań, jakie kiedykolwiek otrzymałem.

Powiedział to niezwykle lekko. Odsunął się od niej jeszcze i stanął na nogi. Potem pochylił się, by i jej pomóc wstać.

Corey przez dłuższą chwilę stała nieruchomo. Czuła się oszołomiona i zaszokowana. Zdawała sobie sprawę, że przez cały czas, kiedy Ash trzymał ją w ramionach, zatraciła wszelką zdolność postrzegania rzeczywistości.

Nieświadomie przesunęła językiem po nieco nabrzmiałych wargach. Po prostu nie mogła uwierzyć w to, co się stało. Nie chodziło jej o zachowanie Asha, to nie było dla niej żadnym zaskoczeniem. Zaszokowało ją i przerażyło to, co zrobiła ona sama. Nic takiego nigdy jej się dotąd nie zdarzyło, nawet z Toddem. Owszem, kładła się z nim do łóżka od czasu do czasu, może nawet częściej niż od czasu do czasu, ale nie było to szczególnie podniecające, raczej nieciekawe... a czasami wręcz przykre, bo pozostawiające poczucie pustki i niespełnienia. Przez pewien czas nawet martwiła się, że mogła być -jak to ludzie nazywali - oziębła. No więc jeśli nawet był w niej lód, to ten Asher Adams teraz go roztopił. Ku jej przerażeniu, by nie rzec, obrzydzeniu w stosunku do samej siebie.

- To tubylcy kopią te doły-pułapki, ale to jest pomyślane na zwierzęta, nie na ludzi - powiedział Ash, otrzepując czapeczką resztki zaschniętego błota z tyłu spodni.

Jej ręce były zbyt słabe, by go odepchnąć, jak na to zasłużył. Pułapki? Jakie pułapki? Zapomniała już o tym. Z jakiegoś powodu teraz to wszystko wydawało się już czymś błahym i nieistotnym. Martwiły ją ważniejsze sprawy. Na przykład, czy nie okazało się, że jest rozpasana seksualnie...

- Właściwie to jest ich podstawowy sposób łowienia zwierzyny. Ich broń myśliwska wciąż jest bardzo prymitywna.

Ash nadal zachowywał się tak, jak gdyby w ciągu tych ostatnich minut - a może to już były godziny? - zupełnie nic nie zaszło. Corey na wszelki wypadek unikała patrzenia na niego. Drżącą ręką odsunęła nieposłuszne włosy z czoła, ciągle świadoma tego, że ma czerwone, rozpalone policzki i że wciąż pamięta smak jego gorących, słonawych warg na swoich ustach. Teraz wreszcie mogła zrozumieć, jak to się dzieje, że dziewczyny popadają w kłopoty. Jak się okazywało, było to niezwykle łatwe.

Ale u mężczyzn było z tym inaczej. To przynajmniej już wiedziała. Mężczyźni to robią i na tym koniec. To dla nich nie jest żadna wielka sprawa, znaczy nie więcej niż jakaś jeszcze jedna rundka golfa albo wybranie się do kina.

Ash pochylił się, żeby podnieść okulary słoneczne, które spadły mu z nosa na samym początku. Szczęśliwym trafem nie przygniółł ich. Teraz nałożył je z zadowoleniem na nos. Stanowiły komplet z czapeczką kibica nowojorskich Jankesów. - Powinna pani była słuchać moich ostrzeżeń. Mówiłem, żeby nie iść do dżungli.

- Tak, rzeczywiście. - Corey z ulgą stwierdziła, że jej głos brzmi już prawie normalnie. - Teraz zdaję sobie z tego sprawę.

- Myślę, że to była dobra lekcja.

Nie żartuj! - pomyślała Corey, patrząc na jego szerokie plecy, idąc za nim w gęstwinie zieleni w stronę samolotu. No nic, powiedziała sobie i też rozprostowała plecy. Jeżeli on potrafił puścić w niepamięć cały ten incydent, to ona też to potrafi. W końcu za parę godzin będą już w San Reys i odtąd w ogóle nie będzie go musiała oglądać. Nigdy w życiu.

**W dwie godziny później ich samolot zbliżał się do celu, z rzadka** tylko rzucany w górę i w dół wielkimi bąblami gorącego i zimnego powietrza ponad dżunglą. Corey siedziała w fotelu z otwartym notesem na kolanie, usiłując zapisać to wszystko, co dotąd udało się jej zobaczyć nad Amazonką, i zapomnieć o obecności człowieka obok niej. Nie była dziennikarką, miała więc trudności ze znalezieniem odpowiednich słów, które mogłyby właściwie opisać to, co ogarniała wzrokiem. Wkrótce spostrzegła, że niemal każde zapisane przez nią zdanie zawierało słowo „piękny” lub „fascynujący”. Poczuli się mało zdolna i w ogóle rozczarowana. Próbowwała w wyobraźni powracać do tego, co się zdarzyło, przypomnieć sobie, jak dżungla pachniała niczym oranżeria pełna rozkwitających roślin, jak ciężkie i rozgrzane, wprost stojące tu powietrze miało smak niemal taki sam jak w latach jej dzieciństwa na farmie, tuż przed nadchodzącą letnią burzą... Ale natychmiast przypominała sobie także, jaki smak miały wargi Ashera Adamsa, kiedy je przyciskał do jej ust.

Rozdrażniona zatrzasnęła notes razem z wciśniętym w jego spiralną sprężynę długopisem, a wszystko razem wepchnęła z powrotem do torby. Nadal nawet nie spojrzała na siedzącego obok niej mężczyznę. Skrzyżowała ręce na piersiach i wyglądała przez okno, udając zainteresowanie widokiem wierzchołków drzew, przypominających wielkie rozłożone parasole, z przemykającym po nich stale zmiennym cieniem ich samolotu. Z całą pewnością już wkrótce będą na miejscu, u George'a Dupree. Całe szczęście - bo jej nerwy dłużej by już tego nie wytrzymały.

I rzeczywiście, w niecałe pięć minut później Ash zmniejszył obroty silnika.  
- Jesteśmy już na miejscu, tam jest San Reys.

Corey spojrzała we wskazanym kierunku i po chwili udało się jej dostrzec miejsce, gdzie wąski pas oczyszczonego z roślinności nagiego gruntu przecinał masyw dżungli. Równoległe do niego płynęła płytka rzeka, najpewniej jeden z dopływów. Na końcu tego pasa dla samolotów stał niewielki drewniany budynek kryty trzciniową strzechą, zupełnie jak na zdjęciach, które można czasami zobaczyć w „National Geographic”. Corey rozglądała się za jakimiś innymi domami, ale nie znalazła ani jednego.

- Czy to ma być San Reys?

- Tak.

- Ale przecież, sądząc z nazwy... Myślałam, że to będzie osada.

- W dżungli każdy dom ma własną nazwę. Ten nazwano San Reys na cześć jednego z zaginionych miast Eldorado.

Niewiele miała czasu, by przemyśleć sens tego, co usłyszała, bo Ash skierował samolot w dół i przeleciał tuż nad domostwem, płosząc stado białych kur, które z wielkim gdakaniem rozbiegły się po brudnym podwórku.

- To po to, żeby powiadomić George'a, że za chwilę lądujemy - powiedział. Samolot ponownie wzniósł się wyżej i kładł się teraz w szeroki łuk, by podejść do lądowania. Przeciążony silnik protestował głośnym hukiem.

Corey podniosła rękę i spróbowała poprawić wciąż skręcające się w wilgotnym powietrzu włosy. Jej palce natrafiły na zeschniętą gałązkę, którą pospiesznie wyrzuciła. Pochyliła się do przodu i przeczesła zmierzwiöne włosy palcami. Na jej kolana spadły kawałki suchych liści i trawy.

Ash spojrział na nią z pewnym rozbawieniem. - Nie warto tak się starać dla George'a. On takich rzeczy w ogóle nie zauważa. Jak go pani zobaczy, od razu się zorientuje.

Już po chwili koła dotknęły ziemi, a samolot nadal pędził podskakując na wybojach bez wątplenia z nadmierną szybkością, jak na tak krótki pas lądowania, w dodatku kończący się tuż przed stojącym budynkiem. Corey chwyciła się krawędzi fotela i z najwyższym wysiłkiem powstrzymała się od zamknięcia oczu ze strachu. Wreszcie samolot zatrzymał się o parę metrów przed ścianą domu. Wyłączony silnik zamilkł, ale Corey wciąż jeszcze dzwoniło w uszach.

Teraz mogła zobaczyć, że budynek postawiony został na palach, więcej niż metr nad ziemią. Okna werandy, rozciągającej się na całą szerokość domu, były zasłonięte zieloną siatką przeciw moskitom.

Ash otworzył drzwi kabiny i zeskoczył na ziemię, Bobbie wyskoczył w ślad za nim. Corey wciąż jeszcze siedziała w fotelu, mocując się z zapięciem pasa. W końcu udało się jej rozpiąć zaczep, otworzyła drzwi i stanęła na pokrytym czarną gumą stopniu na skrzydle samolotu. Ash już przeszedł na tę stronę i teraz czekał z wyciągniętą ręką, by jej pomóc. Corey zawahała się.

Nie chciała, by jej dotykał. Powiedźże sobie prawdę, pomyślała, drwiąc w duchu z siebie samej. To ty boisz się go dotknąć. Poza tym skąd nagle u niego te dobre maniere? Ostrożnie wyciągnęła dłoń i poczuła jego mocny, pewny uścisk. Zresztą najpewniej dbał głównie o to, by przypadkiem nie stanęła na dalszej części skrzydła, pokrytej już tylko płótnem.

Gdy tylko poczuła twardy grunt pod nogami, natychmiast wycofała rękę. Ale i tak wciąż czuła to miejsce, gdzie jego palce dotykały przed chwilą naskórka jej dłoni.

- A to jest Elwira - powiedział Ash, przedstawiając dużą białą kozę, która podeszła i natychmiast zaczęła skubać jego nogę. Ta poufałość zdawała się wskazywać, że Ash był tu częstym gościem. - Mam nadzieję, że lubi pani kozie mleko. Ona daje go prawie cztery litry dziennie. Zdarzyło się pani kiedykolwiek doić kozę?

Był pewien, że nie, można to było wyczuć w tonie, jakim zadał to pytanie.

- Parę razy - powiedziała, powstrzymując mimowolny uśmiech. Z wyrazu jej twarzy widać było, że jej nie wierzy.

- Jak bardzo rolnicze są okolice, z których pani pochodzi? - zapytał, drapiąc kozę za uchem.

- Bardzo rolnicze, jeżeli już o to idzie - powiedziała. — Gdyby pan zobaczył moją kukurydzę albo pomidory... Rozsada jak pod sznurek!

Ash znów przesunął czapeczkę na tył głowy, w jego szarych oczach mignęły błyski odbijających się w nich promieni zachodzącego słońca.

- A więc mieszkają tam sami hreczkosieje?

Wydawało się, że go to jakoś zainteresowało. Ale po chwili odwrócił się i ruszył w stronę wejścia, przeskakując po kilka stopni schodów.

- George! Hej, George! Przyjechała do ciebie pracownica Opieki Społecznej! Wiesz, włosy ostrzyżone po męsku, a dłonie jak bochenki! - mówiąc to, mrugnął do Corey, ukazując zęby w olśniewającym uśmiechu.

A w niej od tego uśmiechu serce natychmiast znów zamarło.



Ash tymczasem już otwierał przed nią szerokie wahadłowe drzwi. - Proszę uprzejmie - powiedział.

Corey jednak nadal stała na środku dziedzińca z rękami skrzyżowanymi na piersiach, jedną dłonią przytrzymując zarzucony na ramię pasek torebki.

- Ja... nie jestem pewna, czy powinniśmy tak po prostu tam wejść.

Ash popatrzył na nią, odwrócił się i wszedł, oczywiście nikogo nie pytając. Drzwi zamknęły się za nim z trzaskiem.

Corey przetarła oczy, czując się tak, jakby miała piasek pod powiekami. Potem musiała jeszcze wrywać torebkę z pyska kozy, która próbowała pożywić się lakierowaną skórą. A co będzie, jeżeli się okaże, że przebyli taki kawał drogi, a George'a Dupree na przykład w ogóle tu nie ma? Nie chciała nawet o tym myśleć. I tak wszystko szło coraz gorzej, a była już zbyt zmęczona, żeby zastanawiać się, co dalej.

Mimo tego utrudzenia i wciąż szarpiących ją różnych uczuć, starała się jednak nie zapominać o obowiązkach. Sięgnęła po aparat fotograficzny i patrząc w wizjer skierowała obiektyw na stojący przed nią parterowy budynek. Proporcje idealnie pasowały do kadru, jako że budynek był prostopadłościanem, najprostszym z możliwych, jeżeli nie liczyć dobudowanej z przodu werandy. Sam dom zbudowany był z nie znanego jej gatunku czerwonego drewna. Z lewej strony, oparty o pal grubości podkładu kolejowego, stał odrapany i poobijany motocykl bez błotników, na doszczętnie już zniszczonych oponach. Corey kolejny raz nacisnęła migawkę, mimochodem zastanawiając się, w jakim też wieku może być George Dupree. Jakoś nie wyobrażała go sobie jako człowieka, który jeździłby motocyklem.

Odwróciła się i jeszcze raz skierowała obiektyw na samolot Asha Adamsa. Miała nadzieję, że unoszące się wciąż znad kadłuba fale rozgrzanego powietrza będą widoczne na odbitkach. Z tyłu za samolotem zaczynała się ścieżka, prowadząca gdzieś w dół poza kępy krzewów i drzew. W prześwitach można było dostrzec jakąś wodę i odbijające się w niej błyski promieni słońca.

Corey zrobiła jeszcze parę zdjęć, po czym odłożyła aparat.

W pewnej chwili poczuła mocniejszy, wilgotny i przesycony zapachem pleśni powiew wiatru i zaraz potem usłyszała delikatny dźwięk dzwoneczków. Spojrzała w stronę werandy, zastanawiając się, skąd też mógł dobiegać ich odgłos. Jak się okazało, wisały na wystających krokwiach. Jednakże nie były to, jak można się było spodziewać, prawdziwe małe dzwoneczki czy też

płytki stosowane w dziecięcych cymbałkach. Zamiast nich wisały tam najróżniejsze drobne i większe kawałki metalu, śrubki, nakrętki i nawet kółka zębate, chyba parę tuzinów, od najmniejszych, przypominających jej perłowe guziczki rękawiczek, które w dzieciństwie nakładała idąc do kościoła, aż po największe, wielkości dużego słonecznika z ich wiejskiego ogrodu. Wszystkie te dźwięczące elementy zawieszono były na żyłce tak cienkiej, że praktycznie niewidocznej. Wyglądało to dziwnie, ale jej się podobało. Kto zechciał poświęcić tyle czasu i trudu, żeby to dobrać i zestroić? Czyżby George Dupree?

Te rozmyślenia przerwało pojawienie się Asha Adamsa, który zbiegał do niej, znów po kilka stopni na raz, trzymając w dłoni jakiś papier.

- Wiadomość od George'a - powiedział. - To może trochę panią wkurzyć. Pojechał do Samarem. Pewnie minęliśmy się o włos.

- Do Samarem? - A więc jej najgorsze przeczucia sprawdziły się. - Ale dlaczego miałby tam jechać właśnie teraz? Czy nie wiedział, że tu będę?

- Ależ wiedział. Tylko że George to straszna gapa, to znaczy... bywa cokolwiek roztargniony i pewnie po prostu zapomniał. Tu napisał, że wreszcie udało mu się umówić na spotkanie z Carlosem Santiago, prezesem Fundacji Indian Brazylii, a George na pewno chciałby wciągnąć go w finansowanie tego tu... Proszę - podał jej kartkę. - Niech pani to sama przeczyta.

Litery w każdej linijce zjeżdżały w dół, pismo było bardzo trudne do odcyfrowania, bardziej przypominało egipskie hieroglify niż litery łacińskiego alfabetu. Ale to nie miało większego znaczenia. W każdym razie z jego treści wynikało dokładnie to, co powiedział Ash.

A w dodatku gdyby George Dupree uzyskał jakieś pieniądze od Fundacji, cała wielka podróż Corey zdałaby się psu na buty. To rzeczywiście byłaby już tylko farsa.

Z prawdziwym wysiłkiem powstrzymała się od zgniecenia trzymanej w ręku kartki papieru i rzucenia na ziemię. - To jest po prostu śmieszne! Przejechałam parę tysięcy kilometrów, żeby się z nim spotkać i odwiedzić pobliskie wioski indiańskie! Co właściwie mam teraz robić? Mam zostać tu sama, w środku dżungli i czekać, aż on wróci?

Ash spojrział na dom i zaczynające się za nim zarośla. - Nie będzie pani tu sama.

- Oczywiście, że nie będę sama - zgodziła się, jeszcze bardziej zirytowana. - Będę miała do towarzystwa Elwirę, którą pewnie powinnam doić dwa razy

dziennie. Jeszcze są tu i kury. Zastanawiam się, dlaczego nie zostawił mi polecenia, żebym paru z nich ucięła łeb!

- Ja też tu zostaję - powiedział Ash.

Corey tylko prychnęła niecierpliwie na to niespodziewane oświadczenie. A więc jednak nie był on aż tak jej niechętny, jak sądziła. Teraz najwyraźniej zamierzał odegrać rolę opiekuńczego Tarzana w dżungli, z nią jako Jane oczywiście. Ale Corey nie po to leciała na to odludzie tym przeklętym samolotem i nie po to narażała się na koszmarny upał, na nieustanne słowne obrażanie i seksualne molestowanie, żeby teraz zostać tu przez tydzień sam na sam z bezpośrednim winowajcą wszystkich jej udręk i cierpień.

- Nie musi pan tu zostawać! Zaraz panu zapłacę i pańska praca jest skończona, jest pan wolny.

Ash uśmiechnął się. - Nie chcę od pani żadnych pieniędzy. Nie jestem pilotem do wynajęcia i nie wożę ludzi za wynagrodzenie.

- Co mi pan tu opowiada? Jak to?

- Najwyraźniej nie rozumiesz, Lilijko. - Sięgnął do kieszonki na piersi i dwoma palcami wyciągnął wypalony do połowy kawałek cygara, który następnie zapalił zapałką z kartonika, zabranego jej przed paroma godzinami.

- Ja tak czy inaczej musiałem tu lecieć.

Wyjął cygaro z ust i kątem oka spojrzął na jego żarzący się koniec.

- Chodzi o to, że ja tu po prostu mieszkam.

## *Rozdział piąty*

Ciągłe brzęczenie dotarło w końcu do świadomości wciąż rozespanej Corey. Przypominało to chór miliona cykad, wyśpiewujących coś znowu na tę samą nutę. Nie otworzyła oczu i tylko westchnęła cicho, przekręcając się się na plecy i czując, jak lepkie prześcieradło okleja się wokół jej nagich nóg. Powietrze było ciężkie i pachniało wilgotną pleśnią, a ona sama wciąż jeszcze była w tym na wpół halucynacyjnym stanie między snem i jawą i zastanawiała się, co też się mogło stać, że oto śpi w kamiennej piwnicy domu babci.

Potem gdzieś z dala dobiegło ją ostre skrzeknięcie jakiegoś ptaka, żywcem przypominające efekt dźwiękowy z telewizyjnego filmu o dżungli. Otworzyła oczy i zdała sobie sprawę, że wcale nie śpi w piwnicy babci, tylko w jakiejś prostokątnej klitce o ścianach z desek. Naprzeciwko jej łóżka wisiał na ścianie afisz, przedstawiający bohaterów filmowego serialu „Trzech głupków”.

To musiał być pokój Ashera Adamsa.

Nie wiedziała, gdzie on spędził tę noc, bo dosłownie już waliła się z nóg, kiedy ją tu przyprowadził. Zdażyła jeszcze zapytać, dlaczego jej nie powiedział, że sam mieszka w rezerwacie. Jego odpowiedź była prosta: w ogóle nie chciał, żeby tu przyjeżdżała. To był pomysł George'a, Ash nie miał z tym nic wspólnego.

Spała spokojnie, jeżeli nie liczyć momentów, w których równie wyraziście jak na jawie czuła na sobie ekscytujące dotknięcia warg Ashera Adamsa, całującego jej oczy, usta i całe ciało. Nigdy nie zdarzyło się, by miała takie erotyczne sny w związku z Toddem. Aż tak wyraziście, by budzić się w środku nocy bez tchu i niemal w gorączce. Czy rzeczywiście w snach ujawniają się

podświadome pragnienia? Postarała się pospiesznie zepchnąć tę niepożądaną konkluzję jak najgłębiej do podświadomości.

Wygramoliła się wreszcie spod białego prześcieradła i usiadła na krawędzi łóżka o bambusowej ramie i cienkim, rozłazącym się materacu. Bawełniana koszula nocna owinęła się wokół jej ud, pod stopami czuła szorstką powierzchnię podłogowych desek.

Co dalej z tym wszystkim? - zastanawiała się. Siedziała na krawędzi łóżka, oparłszy podbródek na dłoniach, łokcie na kolanach. Właściwie chciałyby, żeby ją odwieźć do Santarem natychmiast, z samego rana. Ale nie powinna pozwolić, by sama obecność Asha miała wpływać na ocenę sytuacji i decyzje, jakie podejmowała. Jej podróż została opłacona z funduszy kościelnych. Nie mogła się teraz wycofać nie zrealizowawszy zasadniczego celu wyprawy. Może nie była osobą bardzo silną, ale na pewno nie była tchórzem.

Przeciągnęła palcami po rozczochranych włosach. Wilgotność powietrza sprawiała, że skręcały się znacznie bardziej niż zwykle i Corey zdawała sobie sprawę, że najprawdopodobniej wygląda tak, jak te kudłate dziewczyny na obrazach Maxfielda Parisha. Ale martwiły ją teraz znacznie poważniejsze rzeczy niż to, jaką ma fryzurę.

Nic tu nie wyglądało tak, jak miało wyglądać. Była przygotowana na różne niewygody, jak brak elektryczności i bieżącej ciepłej wody, i z tym mogła się pogodzić. Ale wyobrażała to sobie zupełnie inaczej.

Przed wyjazdem myślała, że w Santarem powita ją jakiś uśmiechnięty ciemnoskóry tubylec, drobny, grzeczny i słabo mówiący po angielsku. Że podczas lotu będzie okazywał jej niezwykle szacunek, pokazując warte obejrzenia widoki na trasie. I że potem przywita ją - entuzjastycznie - sam George Dupree, starszy pan, trochę przypominający zakonnika, tyle że bez habitu i sandałów.

A tymczasem okazało się, że siedzi oto na jakimś łóżku z pozbijanych niedbale desek i wpatruje się w plakat „Trzech głupków”. Obok wisiał jeszcze ścienny kalendarz motocyklisty, tyle że nie z tego miesiąca i nawet nie z tego roku. Jeszcze dalej wisiała wielka lotnicza mapa terenów Amazonii. Niektóre punkty były zaznaczone czerwonymi kółkami. Poniżej stała komoda z ozdobnymi metalowymi uchwytami. Mogłaby być nawet ładna, gdyby nie fakt, że pomalowano ją łuszczącą się białą farbą. Ani jedna szuflada nie była porządnie domknięta, górą i dołem zwiślały jakieś skarpetki i nie odprasowane

podkoszulki. Szuflada na samej górze była zapchana nieprawdopodobnym śmieciem. Były tam nawet rzeczy wręcz odrażające, jak na przykład zatęchła wypchana papuga z pustymi czarnymi oczodołami. Obok leżała zakurzona, opróżniona w trzech czwartych butelka whisky, dalej dwie wielkie białoróżowe muszle, jakaś rozdęta wysuszona ryba, naszyjniki z orzechów i kolorowych piór, pudełka z nabojami do strzelby i pogniecione opakowania papierosów. Skarbiec z tysiąca i jednej nocy! Tyle że Asher Adams na pewno nie przypominał dobrego dżinna.

Corey wstała, podeszła do komody i sięgnęła po nadmuchaną rybę, która okazała się lekka jak balon. Jednocześnie strąciła na ziemię jakąś czarno-białą odbitkę fotograficzną. Poczuła się winna i pochyliła się, żeby ją podnieść i z powrotem postawić na komodzie. Kiedy zobaczyła, kogo przedstawia, zainteresowała się.

Na zdjęciu widać było dwóch chłopców z bardzo poważnymi minami. Jeden z nich miał ciemne włosy, drugi znacznie jaśniejsze. Siedzieli na betonowych schodach piętrowego budynku z cegły i obaj byli jednakowo ubrani: ciemne krótkie spodenki, białe koszule i czarne skórzane buty. Ten z jasnymi włosami był nieco starszy i wyglądał na jakieś dwanaście lat. Ale uwagę Corey przyciągnął drugi, młodszy chłopiec. Nietrudno było rozpoznać w nim Asha, choćby po wyrazie oczu. Można było zauważyć podrapane kolana i rozciętą skórę na czole.

Ze starej fotografii przebijał pewien smutek. To było coś takiego, jak zdjęcia, wystawiane dawniej w witrynach zakładów fotograficznych. Zdjęcia, na których ludzie się nie uśmiechają. Corey często zastanawiała się, czy ci ludzie nie uśmiechali się, bo nie wypadało, czy też po prostu nie było niczego, co mogłoby wywołać ich uśmiech.

Po raz pierwszy zaczęła się zastanawiać, jak to się mogło stać, że Ash trafił do Amazonii. W końcu z całą pewnością nie wyglądał na kogoś zajmującego się dobroczynnością.

Postawiła zdjęcie z powrotem na komodzie i w tej samej chwili usłyszała warkot szybko zbliżającego się, nisko lecącego samolotu.

To wracał George Dupree.

Corey sięgnęła po walizkę, rzuciła ją na łóżko i pospiesznie wyciągnęła z niej parę dżinsów. Były wymięte i wilgotne, jakby wchłonęły w siebie całą wilgoć parnego powietrza. Z pewnym wysiłkiem wciągnęła je na siebie

i pomyślała, że choć nie są ani w połowie tak wytarte, jak dzinsy Asha, to jednak są dostatecznie znoszone, żeby nie było w nich nieznośnie gorąco. Potem włożyła jeszcze białą bawełnianą bluzkę bez rękawów i właśnie kończyła zapinać guziki, gdy samolot wylądował i zatrzymał się w pobliżu jej okna.

Zdażyła jeszcze przeciągnąć szczotką po włosach, ściągać je do tyłu i spiąć gumką, pozostawiając tylko parę luźno wijących się pasemek wokół twarzy i na karku.

Dało się słyszeć trzaśnięcie drzwi, gdakanie kur, a potem zaczął szczekać pies.

- Wynoś się stąd do wszystkich diabłów, Jones - usłyszała męski głos, w którym natychmiast rozpoznała Asha. Z tym, że dziś ten głos był ostrzejszy i szczególnie daleki od zyczliwości.

- A ty najpierw oddaj mi dwieście zielonych za ten lot, który mi wczoraj podwędziłeś.

- Nikt ci nie jest winien ani centa. Jak dotąd jeszcze się nie płaci za to, że ktoś się spił w trupa.

Corey zbliżyła się do okna, zasłoniętego zieloną siatką przeciw moskitom. Stojąc z boku mogła widzieć Asha i drugiego mężczyznę, którym był zapewne ów Mikę Jones, pilot, który zgodnie z planem miał ją tu przywieźć. Ash stał tyłem do niej, nosił biały podkoszulek i wciąż te same wyblakłe dzinsy. Drugi mężczyzna był w niebieskiej roboczej koszuli, pod pachami i na karku widoczne były ciemne koncentryczne plamy potu. Stał twarzą do okna, miał mniej więcej taki sam wzrost, ale wyglądał na znacznie cięższego od Asha.

- I któż to tak mówi o chlaniu? - zapytał szyderczo Jones. Spoglądał wojowniczo spod tłustych czarnych włosów spadających mu na oczy, których wyraz niepokojąco przypominał Corey to, co widywała na wywieszanych w urzędach pocztowych plakatach ze zdjęciami poszukiwanych przestępców. - Kto?

Facet, który całe życie spędził na czytaniu naklejek na butelkach w każdym barze.

- Bo przynajmniej umiem czytać - powiedział Ash.

- Myślisz, że jesteś taki cholernie dowcipny, co? No to zaraz przestaniesz się śmiać.

W tym momencie Bobbie zawarczał, obnażając żółte kły.

- Każ mu się zamknąć, temu kundlowi! - krzyknął Mikę i spróbował kopnąć psa, Bobbie jednak uskoczył przed czubkiem czarnego roboczego buta. Warczenie dobywające się z jego gardła stało się głębsze i groźniejsze, łeb zniżył się jeszcze bardziej, gotów do ataku. - Nienawidzę tego bydlaka! - wrzasnął Mikę.

- Zdaje się, że on to samo czuje do ciebie - powiedział sucho Ash. - Jest bardzo mądry, wszelkie męty rozpoznaje na odległość. Więc lepiej spadaj, pókiś cały.

- Nie odejdę, póki nie dostanę moich pieniędzy.

Bobbie znów zawarczał, szykując się do ugryzienia.

- Jeżeli nie uspokoisz tego psa, to ja to zrobię! - Ręka Mike'a sięgnęła do pasa i nim Corey zdążyła mrugnąć, mężczyzna już celował w Bobbie'ego z rewolweru. - Przepędź go!

Corey widziała, jak mięśnie na plecach Asha sprężyły się pod tkaniną podkoszulka. - Bobbie, do nogi! - rozkazał.

Bobbie ucichł na chwilę, ale potem znów zaczął szczekać i warczeć.

- Do nogi!

Wciąż walcząc z chęcią zaatakowania Jonesa, Bobbie cofnął się jednak i położył obok nóg pana. W gardle jeszcze bulgotało mu ściszone warczenie. Corey dopiero teraz odetchnęła, nie zdając sobie sprawy, że wstrzymała ze zdenerwowania oddech. Ale odetchnęła tylko na chwilę, jak się okazało.

Gdy tylko Jones opuścił rękę z rewolwerem, Ash rzucił się naprzód i zwałił go na ziemię z taką siłą, że obaj donośnie jęknęli. Rewolwer wypadł z dłoni Jonesa i potoczył się po zaschniętej glinie. Jones zamachnął się i uderzył Asha pięścią, a tępy odgłos tego ciężkiego ciosu przypominał walnięcie piłki baseballowej z ogromną siłą trafiającej w skórzaną rękawicę. Rozwścieczony Ash ryknął i odpowiedział równie silnym ciosem. W tym samym momencie Bobbie poderwał się z głośnym szczeekaniem, rzucił na Jonesa i jednym kłapięciem zębów chwycił za nogawkę.

Corey tymczasem wybiegła z pokoju, przebiegła przez zaśmieconą kuchnię i living-room ku wąskiej werandzie, na której omal się nie wyróciła, potykając o zostawiony tam zardzewiały agregat. Jakoś jednak utrzymała się na nogach, mocnym pchnięciem otworzyła wahadłowe drzwi i zbiegła po wypaczonych stopniach schodów.



- Przepędź tego cholernego psa! - wrzeszczał Jones, starając się strząsnąć Bobbiego, który wpił się zębami w jego nogawkę. Tymczasem Ash przygniótł mu kolanami ręce do ziemi.

- Przepędź go!

- Rzygać mi się chce, kiedy cię widzę. Rewolwerowiec pieprzony! - Ash dyszał ciężko, a krew kapiąca z jego nosa spadała wprost na twarz Jonesa.

- Spróbuj tylko jeszcze raz wyciągnąć broń w mojej obecności! - Spojrzał przez ramię na psa. - Zostaw!

Bobbie puścił nogawkę.

- Ty musisz być świrnięty, wiesz? - powiedział Mikę przez zaciśnięte zęby. Jego małe oczka pod krzaczastymi brwiami spoglądały z nie ukrywaną nienawiścią. - Tylko takiemu wariatowi jak ty może zależeć na takim parszywym kundlu.

Corey spostrzegła, że dłoń Asha znów zwija się w pięść, a mięśnie się napinają. - Ash, zostaw go - zawołała błagalnie w obawie, że za chwilę wszystko zacznie się od początku.

Ash zostawił więc Jonesa, odpychając go z obrzydzeniem. Podniósł się, rozejrzał dookoła i poszedł po leżący na ziemi rewolwer. Obejrzał obrotowy bębenek, a Mikę zaczął się śmiać wysoko i piskliwie.

- Nawet nie był nabyty! - powiedział i też podniósł się na nogi.

Ash wcisnął bębenek na miejsce i rzucił rewolwer Jonesowi. - Już dawno powinni byli cię zamknąć.

- Próbowali, ale nie udało im się mnie przyłapać - odpowiedział chętnie Mikę i wsadził broń za gruby pasek od spodni. Odwrócił się i jego spojrzenie natrafiło na Corey. W przymrużonych i jeszcze przed chwilą pełnych agresji oczach pojawiło się zainteresowanie.

- A więc to jest ta pasażerka, którą mi podebrałeś! - Twarz Jonesa ociekała potem, przemieszanym z krwią. - Nie za bardzo wygląda na paniusią z Opieki Społecznej - dodał, przypatrując się zresztą nie tyle twarzy Corey, ile raczej jej figurze. Sądząc z wyrazu oczu, musiała mu się spodobać.

Corey czuła, jak promienie słońca bezlitośnie przenikają cienką tkaninę bluzki i dotkliwie palą wilgotną skórę. Machinalnie założyła ręce na piersiach, jak gdyby w obawie, że ten mężczyzna mógłby je zobaczyć nawet poprzez ubranie.

- Tradno się dziwić, żeś się aż tak napalił, żeby ją poderwać - powiedział szyderczo Mikę.

- Nie mieszaj jej do tych spraw - powiedział Ash. Podniósł ręce, chwycił brzeg swego poplamionego krwią białego podkoszulka i ściągnął go przez głowę. W jaskrawym słońcu jego mięśnie zarysowały się wyraźniej pod opaloną skórą.

- To nie twoja działka, Adams - powiedział Mike, przenosząc spojrzenie chytrze przymrużonych oczu z Corey na Asha. - Daleko ci do niej.

Ash zwinął w kłębek trzymaną w dłoni koszulę i otarł nią pot z opalonego ciała. Później z tym samym brakiem jakiegokolwiek skrępowania wytarł się pod pachami. - A ty nie powiedziałaś mi nic, czego bym sam nie wiedział.

Odchylił głowę do tyłu i przyłożył koszulę do wciąż krwawiącego nosa.

Zdegustowana, ale i zafascynowana Corey przypatrywała się grze światła i cieni na umięśnionej sylwetce Asha. Jego brązowa skóra była zadziwiająco gładka i czysta, bez żadnej skazy, jeżeli nie liczyć jaśniejszej blizny, dłuższej i wąskiej, ciągnącej się od płaskiego sutka lewej piersi w dół, aż do miejsca, gdzie zniknęła pod wypłowiałą tkaniną nisko zapiętych dżinsów. Ciekawe, gdzie też ją zarobił? Jeżeli to, co zademonstrował tego ranka, nie było dla niego rzadkością, to można przyjmować zakłady, że i tę szramę zyskał w bójce w jakimś barze.

Starła się nie myśleć, jak niezwykle elastyczna i jedwabista była ta skóra, gdy dotykała jej koniuszkami palców. Starła się zapomnieć, co czuła, kiedy to mocne męskie ciało tak nieskromnie przyciskało się do jej ciała. Już miała odwrócić wzrok, gdy nagle coś jeszcze zwróciło jej uwagę.

U samej góry lewego ramienia miał wytatuowany jakiś napis, ukryty dotychczas pod rękawem podkoszulka. Teraz można go było obejrzeć w całej prymitywnej krasie. Corey była dostatecznie blisko, by odcyfrować tekst wypisany ozdobnymi ciemnoniebieskimi literami: URODZONY DO ROZRABIANIA.

Miała ochotę pokiwać z politowaniem głową. *Tatuaż!* Nie do wiary! Wytatuować sobie taki napis!

Na wpół świadomie dotknęła ręką warg. Tej prawdy nie dawało się ukryć. Ona, Corey Jane McKinney, całowała się z mężczyzną, który z własnej woli ozdobił się tatuażem. I to nie jakimś tam rysunczkiem czy splecionymi ozdobnymi inicjałami. Nie, Asher Adams musiał sobie wytatuować właśnie URODZONY DO ROZRABIANIA.

- Pani potrzebuje kogoś, kto zawióźłby ją do Santarem - powiedział do

niej Mikę. - Bo George wyjechał, a chyba nie chce pani tu zostać sama z takim szajbniętym sukinsynem, jak Adams.

Corey wciąż jeszcze przypatrywała się napisowi na ramieniu Asha. Odwróciła wzrok, spojrzała na Mike'a i bezwiednie cofnęła się o krok.

- Jeżeli będzie chciała wrócić do Santarem, sam ją tam zawiozę - powiedział Ash.

Jones zignorował go. - Jeśli pani jest mądra, to poleci ze mną. Coś pani powiem. Da mi pani te dwieście dolców, które jest mi pani winna za wczoraj, a ja z panią zaraz polecę do Santarem, już za darmo. Co parę na to?

- Nic mi nie wiadomo, żebym była panu coś winna - powiedziała Corey. - A przyjechałam tu na trochę dłużej, ponieważ muszę przygotować sprawozdanie, w którym powinno być coś więcej poza opisem walki na pięści.

Ash roześmiał się, choć jego śmiech był nieco stłumiony przez przyciśnięty do krwawiącego nosa podkoszulek.

- Będzie pani żałować - ostrzegł ją Mikę Jones. - Ten Adams to przecież czubek. Tylko wariat siedziałby tu przez lata, na okrągło szukając jakichś duchów i upiórów.

• Ash opuścił nagle rękę wraz z zakrwawionym podkoszulkiem, a Mikę obrócił się teraz do niego. - I wiesz, co ci jeszcze powiem? - powiedział z chichotem, z którego przebijała nienawiść. - Tak mi się widzi, że to nie ten brat umarł, co powinien. To ty powinieneś zdechnąć zamiast niego.

Ash wciągnął głośno powietrze, a w jego pociemniałych, nagle pozbawionych blasku oczach pojawił się ból, którego nie potrafił już ukryć. Widać było, że walczy ze sobą. Przez krótką chwilę, nim odwrócił się i odszedł, Corey wydało się, że zajrzała nagle w głąb jego duszy.

Mikę Jones odprowadził wzrokiem odchodzącego Asha i psa, który pobiegł za swym panem. Kiedy już zniknęli w dżungli, znów odwrócił się do Corey, a jego twarz wykrzywiła się w szyderym uśmiechu. - Jak dobrze pójdzie, to i on zgubi się kiedyś w tej puszczy, tak jak ten jego brat.

Ponieważ Corey nie odpowiedziała, mówił dalej. - Słyszała pani o Lucasic Adamsie? To właśnie on zaczął budować ten dom. Ale któregoś dnia polazł w dżunglę i nie wrócił. - Mikę parsknął śmiechem. - A w parę dni później pojawił się tu Asher Adams, żeby go szukać. To było trzy lata temu. I ten zwariowany sukinsyn wciąż go jeszcze szuka.

Obrzydliwy uśmiezek Jonesa napawał Corey obrzydzeniem. Ona sama czuła się nim zbrukana.

Tymczasem jego wzrok znów przesunął się z upodobaniem po jej postaci. - Uważam, że znacznie lepiej pani zrobi, jeżeli poleci ze mną. Nie może pani zostać z tym wariatem.

Corey cofnęła się jeszcze o krok.

Uśmiezek Jonesa przygaśł nagle. - Chyba nie myśli pani pomagać Adamsowi w poszukiwaniu ducha? Przecież sama pani widziała, jaki on jest. Dostaje szału z byle powodu.

- Wiedziałam, że dzieci potrafią mówić rzeczy straszne i okrutne - powiedziała Corey głosem, który na szczęście nie drżał i nie załamywał się, jak mogła się tego obawiać. - Zawsze tłumaczyłam takie postępowanie dzieci tym, że nic nie wiedzą i nie mają doświadczenia. Ale czym można wytłumaczyć pana?

- No, na pewno nie tym, że nic nie wiem. Ja tam swoje wiem! - powiedział Jones. Podeszedł do niej bliżej i chwycił ją za rękę. - A co do doświadczenia, to niech każda kobita powie. Mogę to robić nawet przez całą noc.

- Proszę mnie natychmiast puścić! - krzyknęła, próbując wyrwać rękę z jego łap. Oddech Mike'a zionął kwasem, a całe ciało cuchnęło potem i obrzydliwą wonią przetrawionej whisky. Początkowo próbował przytrzymać ją jeszcze mocniej, jego grube palce wpiły się w jej ramię. Potem jednak puścił ją i odsunął się do tyłu.

- Szybko się zmęczysz rolą opiekunki - powiedział gniewnie, kiwnięciem głowy wskazując kierunek, w którym odszedł Ash. - Zobaczysz, jak go chwyci malaria. Jak zwariuje i weźmie się do ciebie. Zapamiętaj moje słowa, jeszcze będziesz się modlić, żeby Mikę Jones tu wrócił i zabrał cię stąd!

Nikogo nie powinno się tu zostawiać z tym łajdakiem Jonesem, powiedział sobie w pewnym momencie Ash, kiedy już był dosyć daleko w dżungli.

Zatrzymał się więc, a potem zawrócił. Zdołał już dojść niemal do samej przecinki, kiedy usłyszał warknięcie uruchamianego silnika i przypominający sapanie znajomy odgłos śmigła, które zaczyna się obracać. Usłyszał też trzaśnięcie drzwi werandy i w tym momencie wiedział już wszystko, co chciał wiedzieć. Jones odleciał, Lily pozostała.

Skrecił i skierował się wąską ścieżką ku rzece. Usiadł na brzegu, opierając plecy o pień brazylijskiego orzecha. Zapalił papierosa i zaciągnął się głęboko pierwszym sztachem. Potem powoli wypuszczał dym, przyglądając się podobnym do pajaków nartnikom, ślizgającym się po powierzchni wody stojącej nieruchomo w płytkim zakolu rzeki. Siedział tak i rozmyślał, przypominając sobie rzeczy, o których, być może, lepiej byłoby zapomnieć.

Różnili się z Luke'em we wszystkim. Byli jak noc i dzień, jak czerń i biel. Albo jak ucieleśnienie zła i dobra, jeżeli ktoś chciałby wierzyć starej lady Fielding, przezywanej „gestapową”, która była przełożoną sierocińca, gdzie *mu* z bratem spędzili lata determinujące kształtowanie się osobowości.

Pani Fielding pewnie miała rację. Z Ashem zawsze musiały być jakieś kłopoty. Duże musiałyby być drzewo, z którego ktoś zechciałby zrobić tyle papieru, ile zużyto na opisanie wszystkich jego wyczynów w przewidzianych regulaminem notkach dotyczących wykroczeń i naruszania dyscypliny przez wychowanków. Na przestrzeni lat złożyło się to na całość pełnego wyzywających występków dzieciństwa. A Lukę nie miał nawet jednej niepochlebnej notki.

Gdyby nie byli braćmi, a tylko po prostu spotkali się w szkole, najpewniej w ogóle nie zechcieliby ze sobą rozmawiać. Ale ponieważ poza sobą nie mieli nikogo, stali się dla siebie więcej niż braćmi. Jeden dla drugiego był także matką, ciotką, wujkiem i najbliższym przyjacielem. Co w żadnym przypadku nie znaczyło, że myśleli i postępowali podobnie. Wtedy i później.

Dziesięć lat temu Lukę przyłączył się do Korpusu Pokoju. Ash nazwał go wtedy idiotą. Potem, po pięciu latach, kiedy Lukę zaproponował, żeby Ash zrezygnował z prowadzenia na Florydzie małej firmy, organizującej tanie wyjazdy na safari, Ash jeszcze raz oświadczył kategorycznie, że nie chce mieć z tym nic wspólnego. Powiedział też Luke'owi, by nie próbował z niego robić filantropa. A potem - to było już tylko trzy lata temu - George przysłał wiadomość, że Lukę zaginał w dżungli i najpewniej nie żyje.

Poczucie dojmującej straty połączyło się u Asha z poczuciem winy. Oczywiście, Lukę zawsze miał w sobie dziecięcą wiarę, która zagrażała przede wszystkim jemu samemu. Naiwny optymizm nie za bardzo nadaje się do dżungli nad Amazonką. Ale wtedy Ash jeszcze nie znał wszystkich tutejszych niebezpieczeństw, nie wiedział, że co roku setki ludzi giną bez wieści na bezkresnym obszarze. Wtedy był przekonany, że dżungla to po

prostu takie miejsce, gdzie łowcy przygód przyjeżdżają, żeby szukać złota, a misjonarze - żeby ratować dusze. Nie myślał wtedy o ludziach, którzy w dżungli umierają, ani o tym, że i Lukę może tu umrzeć.

Minęły trzy lata. Mało kto potrafi przeżyć nawet trzy dni w prawdziwej dżungli, a co dopiero trzy lata. Ale człowiek żyje wspomnieniami i bardzo trudno jest zrezygnować i po prostu się poddać, zwłaszcza jeżeli -jak to było u Asha - wszystkie jego wspomnienia wiązały się z osobą brata.

Jak na przykład w przypadku tego dnia, kiedy to urwał się ze szkoły i całe popołudnie spędził z chłopakami na grze w centy, w alejce na tyłach Stubbie's Pool Hall. Tego dnia wypadały właśnie jego urodziny. Miał trzynaście lat i zdążył się już nauczyć wielu rzeczy. Między innymi tego, że nie należy wygrywać za dużo za jednym razem, ponieważ wtedy niemal na pewno cię napadną, kiedy będziesz wracał do domu, zabrają wygraną i jeszcze pobiją.

Wiatr wiał dość mocno, kołysał drzewami w alei i rozwiewał włosy chłopca. Ash czuł, jak zimne powietrze chłodzi jego nogi i próbuje *dostać się* i wyżej, ale oczywiście daremnie. Bo tam już chroniła go wspaniała lotnicza bluza, którą wypatryzył kiedyś wśród używanej odzieży w sklepie Armii Zbawienia. Początkowo nawet myślał, żeby ją ukraść, ale potem z jakiegoś niewytłumaczalnego powodu starsza pani, która pracowała w tym sklepie, po prostu mu ją dała. Bluza była na niego trochę za duża, ale i tak była to pierwsza i jedyna rzecz z ubrania, którą kiedykolwiek polubił i chętnie wkładał. Pierwszy raz dbał o to, jak wygląda.

W powietrzu unosił się zapach spalin od silników Diesla, napędzających nowojorskie miejskie autobusy, jak zawsze zachlapanane błotnistą breją. Para unosiła się nad okrągłymi pokrywami włazów do studzienek kanalizacyjnych na środku jezdni.

Ash chuchnął w dłonie, bardziej po to, by mieć szczęście w grze, niż by trochę rozgrzać zziębnięte dłonie. Szczęśliwie miał w nich centa z podobizną Lincolna. Potrząsnął głową, odrzucił z czoła nieposłuszny kosmyk włosów, a potem przymierzył się i rzucił monetą. Jego chuda, koścista piastka wystawała daleko z zawiniętego aż za łokieć rękawa. Lśniący miedziany krążek poleciał długim łukiem, przez chwilę błysnął w słońcu, odbił się od ściany z czerwonej cegły i spadł na tłusty od smarów asfalt.

- Wygrałem! - wrzasnął Ash i z ręką zgiętą w łokciu potrząsał pięścią jak zawodnik. Jak mu szło, to mu szło. Chciał wygrać tyle pieniędzy, żeby móc

kupić wspaniałą wieloczynnościowy scyzoryk, duży, czerwony, powszechnie znany jako „nóż szwajcarskiej armii”. Taki właśnie nóż widział niedawno na wystawie pobliskiego lombardu.

Brakowało mu już tylko jednego dolara, kiedy jakiś głupek nagle krzyknął „Oszukuje!”

W takiej grze każdy oszukiwał, ale niedobrze było, kiedy cię przyłapali. Wtedy pięści szły w ruch, palce były wybijane ze stawów, z nosów ciekła krew. Ash został zepchnięty na ciężki metalowy pojemnik na śmieci, a potem razem z nim rzucony o ścianę. Pobliskie drzewa zaczęły nagle wirować w jego oczach. Przez chwilę nie widział nic dookoła. W tym czasie czyjeś ręce szybko i z wprawą sprawdziły kieszenie jego bluzy i spodni. Potem słyszał już tylko oddalający się tupot ich nóg.

Przez chwilę było cicho, a kiedy Ash znów otworzył oczy, niespodziewanie zobaczył pochylającego się nad nim brata. Włosy Luke'a jak zawsze były porządnie uczesane i nawet posmarowane brylantyną, a spodnie nienagannie wyprasowane.

- Ci dranie zabrali mi pieniądze - wymamrotał Ash i dopiero po chwili przyszło mu do głowy, że przecież jego brat nigdy dotąd nie zapuszczał się w te podejrzane okolice. - Co ty tu robisz?

- Szukam cię - powiedział Luke z nieco niepewnym, pełnym zatroskania wyrazem twarzy. - Znów urwałeś się z lekcji.

A potem nagle wcisnął coś do dłoni Asha. - Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin, braciszku! - powiedział i wyszczerzył zęby w uśmiechu.

Na otwartej dłoni Asha leżał czerwony scyzoryk. „Nóż szwajcarskiej armii”.

## *Rozdział szósty*

Corey znów sięgnęła po stojącą na komodzie fotografię dwóch chłopców. Tym razem zauważyła, że starszy trzymał dłoń na ramieniu młodszego. Odwróciła zdjęcie i przeczytała napisane ostrym i równym charakterem pisma imiona i nazwiska chłopców:

*Lucas Adams, Asher Adams*  
*Dom Dziecka dla Chłopców, East End*

Corey ponownie odwróciła fotografię i patrzyła na nią z poczuciem dojmującego smutku. Tak, to naprawdę było smutne - mieć takie zdjęcie rodzinne. Przypomniła sobie wyraz bólu w spojrzeniu Asha, zanim odwrócił się i poszedł w stronę dżungli. I nagle, ku własnemu zdumieniu, uświadomiła sobie, że chciałyby go w tym momencie objąć... utulić i uspokoić. Zawsze byłaś nadmiernie wrażliwa, skarciła samą siebie. Postawiła zdjęcie na miejsce i usiadła na krawędzi łóżka.

Kiedy Mikę Jones spytał ją, czy słyszała o Lucasie Adamsie, coś jej się przypomniało. Co prawda nie była szczególnie uważną czytelniczką wiadomości prasowych, ale historia Lucasa Adamsa zwróciła jej uwagę, może dlatego, że reporterzy i dziennikarze zrobili z tego niemal powieść przygodową, przyrównując zniknięcie Luke'a do słynnego przed laty zaginięcia doktora Livingstone'a. Jeżeli dobrze pamiętała, Lucas Adams zajmował się różnoraką działalnością dobroczynną i pracował dla najbiedniejszych.

Nie wiedziała, co ma teraz myśleć o Ashu, który oosesyjnre *uczepi!* się wątlutkiej jak pajęczyna nadziei, że odnajdzie brata, chociaż wszyscy inni



dawno uznali go za zmarłego. Czy rzeczywiście był już wariatem, jak to głośno wykrzykiwał Mikę Adams? Czy tylko był nieludzko uparty? Większość ludzi, których znała, z całą pewnością już dawno zrezygnowałyby z poszukiwań.

Odgłos odlatującego samolotu Mike'a Jonesa ucichł w oddali, a ona wciąż pozostawała w pokoju, wstawała i znowu siadała, nie mogąc się na nic zdecydować. Myśl, że ma teraz stanąć oko w oko z Ashem Adamsem sprawiała, że czuła się wciąż spięta i zdenerwowana. Po tym wszystkim, co zaszło i co teraz wiedziała, czuła się trochę jak intruz, jak osoba, która niepotrzebnie stała się świadkiem czegoś, czego w ogóle nie powinna była widzieć.

Minęło już chyba ponad pół godziny i dopiero wtedy Corey poprzez zamknięte drzwi usłyszała odgłos kroków, potem otwieranie kolejnych szafek w kuchni i inne znane jej już odgłosy.

To znaczyło, że Ash wrócił.

Corey rozpoznawała jego sposób szukania czegoś do zjedzenia, szuranie garnkami na kuchni - słyszała to wczorajszego wieczoru, kiedy wreszcie uraczył ją na kolację jakimś podejrzanym makaronem z ketchupem.

No cóż, czy chciała, czy nie, musiała zacząć pisać sprawozdanie. A więc im prędzej, tym lepiej.

Włożyła cienkie bawełniane skarpetki i białe sportowe pantofle, wyjęła z torby notes, odetchnęła głęboko i otworzyła drzwi.

Przeszła przez drugą sypialnię, należącą zapewne do George'a Dupree. Poza tym w domu była już tylko kuchnia połączona z pokojem dziennym oraz wielka weranda. Całość przypominała raczej prymitywną letnią chatę nad rzeką, tyle że nie było tu wrażenia ciasnoty, może ze względu na ogromne, obite siatką przeciw moskitom okna.

- Siadaj, Lilijko - powiedział Ash, kiedy Corey stanęła niepewnie w drzwiach kuchni.

A więc wciąż ją tak nazywał, choć przecież nigdy go do tego nie upoważniła. Dlaczego wyobrażała sobie, że stanie się skromniejszy i mniej pewny siebie po tym wszystkim, co zaszło przed domem?

Najwyraźniej jednak miał talent do zapominania o rzeczach, o których nie chciał pamiętać. Taki rodzaj wybiórczej amnezji, na życzenie wymazującej z pamięci to, co niepożądane. A ją przede wszystkim denerwowało to, że tak lekko potraktował wszystko, co stało się po wyciągnięciu jej z indiańskiego dołu. I w ogóle...

- Wolałabym, żeby pan mnie tak nie nazywał - powiedziała, nie umiejąc ukryć poirytowania.

- To znaczy jak? Aha, że mówię na panią Lilijka? Ale to pasuje. Zwłaszcza do pani.

- Serdecznie dziękuję.

- Już nie sztywna i wykrochmalona Biała Lilia z Opieki Społecznej. Nie, to było wczoraj. A teraz naprawdę myślę o pani jak o kwiatku, który nagle wyrósł w dżungli nad Amazonką. Lilijka. Delikatna i krucha.

Czy on udawał, czy naprawdę próbował mówić do niej jak poeta? Choć Corey zawsze chlubiła się, że dość łatwo rozpoznaje intencje i zachowania ludzi, tym razem nie potrafiła wyrobić sobie jasnego poglądu.

- Pomyślałem, że może trochę tu posprzątam - powiedział Ash, kiedy spostrzegł, że Corey rozgląda się po całym pomieszczeniu, szukając pustego krzesła. - Dotąd jakoś nie było czasu.

Od razu rzucało się w oczy, że gospodarzą tu mężczyźni. Kuchnia, jak i cała reszta pomieszczeń, wyglądała tak, jakby ktoś się do tego domu wprowadził, ale nie skończył się rozpakowywać. Patelnie stały jedna na drugiej na białej emaliowanej kuchence na gaz z butli, stół zavalony był kartonami, pełnymi puszek i pudełek z różnymi produktami spożywczymi. Nie było ani firanek, ani chodnika na podłodze czy jakiegokolwiek próby ozdobienia gołych ścian. Jedyne meble to ów okrągły stół z blatem z drewna na czterech rozchwianych nogach z bambusa i cztery mocno zniszczone krzesła. W kącie leżał stos byle jak rzuconych starych tygodników i kilka grubych książek w niebieskiej oprawie, które przy bliższym obejrzeniu okazały się naukowymi periodykami medycznymi, poświęconymi głównie chorobom tropikalnym.

Jednym słowem, całość przypominała owo pomieszczenie bagażowe w samolocie Asha. Corey rozpoznawała nawet niektóre śmieci i graty. Na przykład kij i rękawicę do baseballa widziała przedtem w samolocie. A więc, jak się okazało, Ash potrafił być na swój sposób gospodarny i starowny, skoro wyjął część tych gratów z samolotu i rzucił je na podłogę w kuchni. Jakiś porządek musiał być, nawet u niego.

On tymczasem uprzątnął stos starych tygodników z jednego z krzeseł.

- George jest zapalonym czytelnikiem i wielbicielem magazynu „Mad” - powiedział i zaczął się rozglądać za miejscem, gdzie mógłby rzucić leżące dotąd na krześle egzemplarze.

- George?

Po co jej to wmawia? Przecież zapamiętała charakterystyczną twarz Alfreda E. Newmana, uśmiechającą się do niej z okładki ostatniego egzemplarza, pozostawionego na stole poczekalni biura wynajmu samolotów. Jakoś nie chciało jej się wierzyć, żeby to Mike Jones mógł go tam zostawić.

- To znaczy... ja też lubię ten magazyn - przyznał Ash. - Prawdę mówiąc, tylko w nim jeszcze można znaleźć obiektywnie podane wiadomości - powiedział bez mrugnięcia okiem.

Udało mu się znaleźć kawałek wolnego miejsca na podłodze i tam zwałił naręcze owej bezstronnej literatury.

- Może niech pani tego nie pisze w tym sprawozdaniu. To nie sprawi dobrego wrażenia. Niech lepiej pani im napisze, że czytamy na przykład „Newsweek” i „Time” - powiedział i sięgnął po krzesło. Na wszelki wypadek sprawdził jeszcze wszystkie nogi i bambusową ramę okrągłego siedzenia, by się upewnić, że krzesło nadaje się do siedzenia.

Zauważyła, że zdążył się ogolić. Znikła czarna, niemal aż granatowa szczecina, która sprawiała, że jego policzki wydawały się nieco zaokrąglone. Teraz ujawniała się pięknie zarysowana twarz z wystającymi trochę kośćmi policzkowymi. Włosy, zaczesane do tyłu i od dawna nie strzyżone, spadały na zarośnięty, opalony kark. Tym razem Ash miał na sobie zielony podkoszulek bez rękawów. Na podkoszulku wydrukowana była sylwetka samolotu, jakby wylatującego wprost z szerokiej klatki piersiowej. Nad samolotem wyblakły napis wielkimi czarnymi literami głosił: KEY WEST SAFARI, PRZYGODA W POWIETRZU I NA LĄDZIE. Ash zmienił również dzinsy na inne, ale równie wytarte.

- A więc postanowiła pani nie lecieć z Jonesem. Myślę, że słusznie. Kiedy w szkole chodziłem do pierwszej klasy, było tam kilkoro dzieci, które głównie zajmowały się obrywaniem nóg muchom albo podjadały klajster. Zawsze zastanawiałem się, co też z nich może wyrosnąć. Teraz już wiem. Ten Jones za dolara sprzedałby własną matkę. Budzi we mnie więcej wstrętu niż pijawka. Co prawda nie wrywa nóg muchom, ale za to wozi różnych znudzonych bogatych gości do indiańskich wiosek nad Amazonką, żeby mogli tam gapić się na tubylców, tak jakby ci byli jakimiś dziwolągami do oglądania na jarmarkach!

Postawił na stole dwie filiżanki, stukając nimi o blat trochę głośniejszym, niż zamierzał, po czym wrócił do szafki i zajrzał do środka. - Przykro mi o tym mówić, ale George'owi ostatnio odbiło na temat zdrowego odżywiania się.

Mamy same płatki zbożowe, niełuskane ziarna, kiełki, naturalny błonnik i inne takie tam... Wszystkie amerykańskie firmy bogato reprezentowane. Z pewnością jadają to zwolennicy diety jakiejś tam, choć nie wiem, czy płynna miazga drzewna wprost z papierni może być uważana za dietę.

Corey oparła łokcie na stole, a podbródek na dłoniach. - Zawsze sądziłam, że zdrowa żywność to ciemny chleb i grubo mielone ziarna. O pulpie drzewnej nic nie wiem.

- O, a tu znalazłem chyba coś jadalnego. Cap'n Crunch. Chyba że woli pani pulpę?

Corey uśmiechnęła się kącikami ust. - Niech już będzie Cap'n Crunch - powiedziała. Otworzyła notes, zamierzając zadać mu parę pytań podczas jedzenia.

- Bardzo rozsądny wybór, proszę pani. Pudełko nawet nie odpieczętowane, więc zapewne jeszcze nie ma w tym robali. I nie będzie tak wilgotne. O, niech pani spojrzy! - stuknął palcem w obrazek na odwrocie. - W środku jest premia, mały kompas z fosforyzującą igłą!

- Fascynujące! - powiedziała Corey. - Jak znalazł, kiedy będzie pan miał trudności z nawigacją.

Roześmiał się i kiwnął głową. - Ma pani rację. - Postawił paczkę na stole i poszedł do drugiej szafki, skąd wrócił z dwiema miseczkami, które najpewniej w przeszłości były opakowaniami margaryny. - Całe szczęście, że urodziła się pani na farmie, bo dzięki temu będziemy mogli pić ciepłe kozie mleko.

Podał jej jeszcze łyżkę oraz puszkę soku pomarańczowego, a potem sam klapnął na krzesło po drugiej stronie stołu.

- Widzę, że podziwia pani mój tatuaż.

Corey nawet nie zdawała sobie sprawy, że znów mu się przygląda. Pospieszenie przeniosła wzrok na wyblakły rysunek pomarańczy na puszcze z sokiem. - Ja... to znaczy... - bąknęła. Nigdy nie umiała dobrze kłamać.

- Z tym tatuażem związana jest dość ciekawa historia. - Ash otworzył paczkę i wsypał trochę płatków do jej miski, a potem do swojej. - Podejrzewam, że się pani spodoba.

Zalał płatki mlekiem wprost z dwulitrowego wiaderka, do którego došlo się kozę. - To było mniej więcej dwa lata temu. Obudziłem się rano w takim jakimś zapyziałym hoteliku w Rio. Karaluchy latały tam prawie w powietrzu

i były tak wielkie jak nietoperze. Nie bardzo mogłem sobie przypomnieć, co przedtem robiłem i jak trafiłem do tego hotelu...

Metalowym otwieraczem zrobił w puszcze otwory w kształcie litery „V” i wlał sok do miseczek. - Krótko mówiąc, dopiero w połowie drogi do domu zauważyłem ten cholerny tatuaż.

Musi zmyślać, pomyślała Corey. Jednak miała niewyraźne poczucie, że tym razem Ash chyba jednak nie zmyśla. Nie wiedziała też, czy ma śmiać się, czy płakać.

- Jedyne, co sobie jak przez mgłę przypominałem, to jakieś takie dosyć dziwne przyjęcie. Każdy miał kartę, taką jak w bingo, do skreślania. I był tam taki facet w białym garniturze, który wywoływał kolejne liczby. W życiu by pani nie zgadła, co się działo, kiedy się miało bingo.

- Co takiego? - spytała z niewinną miną.

- Wtedy wygrywający szedł się, powiedzmy, zabawić z jedną z uroczych asystentek tego pana.

Corey spuściła wzrok i patrzyła w talerz. Płatki już zaczynały się rozklejać.

Ash znacząco podniósł palec, razem z trzymaną w dłoni łyżeczką. - Nigdy nie upijaj się aż do tego stopnia, Lilijko. Bo możesz się kiedyś obudzić i zobaczyć, że masz na swym ślicznym ramieniu taki cholerny tatuaż. Albo co gorsza, może się okazać, że grasz w bingo z jakimiś kompletnie nie znanymi ci ludźmi. - Ash pochylił się ku niej i dodał przyciszonym głosem, jak gdyby zdradzał jej sekret. - Nigdy nie graj w bingo z nieznanymi!

Corey zagłębiła łyżeczkę w rozmokłych już płatkach.

- A może chciałabyś wiedzieć, co działo się, gdy dwie osoby miały bingo jednocześnie?

- Nie! - powiedziała Corey, a jej oczy błysnęły. - W żadnym wypadku!

Ash wzruszył ramionami i wrócił do jedzenia płatków. Corey natomiast starała się zachować spokój. Z pewnością tylko ją podpuszczał. Ta cała opowieść była po prostu śmieszna.

- Mało brakowało, a kazałbym usunąć ten tatuaż podczas ostatniego pobytu w Stanach. Ale pomyślałem sobie, że właściwie po co? Tubylcom to nawet imponuje.

Płatki Cap'n Crunch zmieszane z kozim mlekiem były w smaku po prostu okropne. A może to wcale nie te płatki sprawiały, że czuła teraz mesmak w ustach?

Przyszło jej do głowy, że może jednak było coś z prawdy w tym, co mówił

Mike Jones. W końcu człowiek, który potrafił się upijać tak, że nawet nie zauważył, kiedy mu zrobiono tatuaż... który wymyślał niestworzone historie, palił cuchnące cygara i przy tym odżywiał się gorzej niż nałogowi pożeracze odpadkowych hamburgerów - taki człowiek naprawdę chyba potrzebował kogoś, kto by się nim zajął. Zdziwiałoby było, że przy takim trybie życia nie tylko się dotąd nie wykończył, ale nawet był w niezłej formie, przynajmniej fizycznie.

Ale i tak było to po prostu smutne. Corey przestała mu się przyglądać i przeniosła wzrok dalej, na stojące poza jego plecami biurko. Na środku, oparta o wielozakresowe przenośne radio, stała przekrzywiona fotografia jakiejś pary w średnim wieku. Łysawy mężczyzna nosił okulary w ciemnej oprawie, kobieta miała czarne włosy i wyglądała na bardzo zadbaną.

- To George i jego żona Francine - powiedział Ash, patrząc za jej wzrokiem. - W zasadzie powinienem powiedzieć: była żona, ale oni ciągle jeszcze nie podpisali dokumentów rozwodowych. Tyle że ona nie potrafi tu wytrzymać, a George za bardzo jest tu z tym wszystkim związany, żeby stąd wyjechać, nawet dla niej.

- Czy to znaczy, że ona tu też mieszkała? - Corey skorzystała z okazji, żeby wreszcie zacząć rozmawiać o czymś w miarę normalnym.

- Mieszkała przez parę miesięcy. To ciężkie życie, zwłaszcza dla kobiety. Nie za bardzo przypomina amerykańskie marzenia o pięciopokojowym domu z trzema łazienkami i dwoma garażami. Każdy, kto tu przebywa dłużej, łapie malarię. Albo ma gnilną gorączkę, albo ameby. A jak ktoś ma szczęście, to ma to wszystko na raz. Chorobę otrzymuje się wraz z miejscem zamieszkania, to taki bezpłatny dodatek. Bo to wszystko razem jest jak jedna wielka szcurza jama, pełna zarazy i robactwa. I może pani to wszystko napisać w tym swoim raporcie.

A jednak on sam pozostawał tu już trzy lata.

- A czy pan też ma coś wspólnego z tym projektem rezerwatu? Jest pan jakoś formalnie w to zaangażowany?

Ash skończył jedzenie płatków i odchylił się na oparcie krzesła. - Latam jako pilot. George nie ma pojęcia o lataniu. Startuje i ląduje jak postrzelona kura. Za każdym razem umieram ze strachu.

Przechylił się wraz z całym krzesłem, żeby sięgnąć po paczkę papierosów, potem znów się odchylił do tyłu z kolejnym głośnym stuknięciem bambusowych nóg maltretowanego mebla. - Moim zdaniem najlepsze, co możemy dać tym wszystkim plemionom nad Amazonką, to święty spokój i niewtrącanie

się w ich życie. Indianie mają własną religię, własne obyczaje. Dlaczego biali ludzie uważają, że ich wiara i obyczaje są lepsze? Ja lubię Indian takimi, jakimi są.

- I nie uważa pan, że powinno się ich kształcić?

- A niby po co? Żeby umieli przeczytać menu w restauracji? Albo żeby wiedzieli, na którym przystanku mają wysiąść z autobusu w dżungli? Czy żeby umieli wypełniać zeznania podatkowe? Na szczęście ten projekt, dotyczący naszego rezerwatu, nie przewiduje nawracania tych ludzi. Chodzi jedynie o ratowanie im życia.

- Miałam nadzieję, że pan może mnie zabrać do jednej z ich wiosek. Ale jeżeli pan jest tak dalece przeciwny memu przyjazdowi...

Ash zapalił papierosa, znów zgasił zapałkę machając nią w powietrzu, a potem wrzucił ją do puszki po tuńczyku, służącej za popielniczkę. - My, oczywiście, mamy tu problemy... to znaczy przede wszystkim George. Potrzebuje pieniędzy na lekarstwa i szczepionki. Kiedy przed wieloma laty przyjechali tu misjonarze i różni odkrywcy, to nie tylko przywieźli ze sobą nie znanego Boga i nie znane dotąd strzelby, ale przywieźli też nie znane dotąd choroby. Do ludzi, którzy do tego czasu nawet nie wiedzieli, co to jest przeziębienie! A to znaczy, że ich system odpornościowy praktycznie nie istniał. Całe plemiona zostały zgładzone przez zwykłą parodniową gripę. To najlepszy przykład rajy utraconego. Tak więc, jak pani widzi, potrzebujemy tu pomocy. Ale gdyby to ode mnie zależało, nie ukrywam, że wolałbym ją otrzymać od Fundacji Indian Brazylii. Bo ich celem jest zachowanie życia tych ludzi, a nie zbawianie ich dusz i ubieranie tubylców w nylonowe koszule ze sklepów z używaną odzieżą.

- Czy to znaczy, że nie zabierze mnie pan do ich wioski?

Ash pochylił się do przodu i zgniótł w popielniczce niedopałek papierosa.  
- Jeżeli naprawdę potrafi pani robić zastrzyki, zwłaszcza bez celowego przekręcania igły... Zabrałbym panią do wioski Czikao i pomogłaby mi pani ich zaszczepić. Aha, i niech pani się lepiej wykapie, zanim się tam wybierzemy. Bez obrazy. Wcale nie mówię, że jest pani brudna, chodzi tylko o to, że owady są mniej natrętne, jeżeli człowiek wykapie się przed samym wyjściem. Szczególnie gdy użyje przy tym specjalnego mydła, które tu mamy. I bardzo proszę nie używać potem niczego pachnącego, nawet dezodorantu.

- Miałam chyba pięć lat, kiedy ostatni raz kazano mi iść do łazienki i dobrze się umyć.

- Nie wiem, czy u nas w ogóle można to nazwać łązienką. Zbiornik jest dziurawy, więc nie mamy wody deszczowej, żeby napełnić wannę. Nie mamy też studni. Ale mogę przynieść wodę z rzeki, w wiadrze. Albo może pani po prostu wykapać się w rzece, tak jak ja to zrobiłem.

Było w tym jawne wyzwanie. Corey wzruszyła ramionami, z pewną przesadą pokazując, że nie sprawi to jej różnicy. W końcu taka kąpiel nie powinna się chyba bardzo różnić od kąpeli w wiejskim stawie?

- Musi pani uważać na ryby, które tu nazywają *piraiba*.

- *Piraiba*!"

Tylko tego mi brakowało, pomyślała.

- To taka mała rybka, która potrafi wpłynąć w różne miejsca ludzkiego ciała. Nie muszą pani mówić, w które. Potem można ją stamtąd usunąć już tylko drogą zabiegu chirurgicznego.

- Jeżeli to ma być dowcip, to wysoce niesmaczny.

- To nie jest dowcip. Ale po prostu trzeba pozostawać na płytkiej wodzie, wtedy nic pani nie grozi. Aha, i jeszcze trzeba uważać na anakondy. To takie węże - dodał tonem wytłumaczenia.

- Jestem przyzwyczajona do węży - powiedziała Corey, odzyskując nieco pewności siebie. - Kiedy byłam dzieckiem, mój ojciec nauczył mnie, jak można złapać węża i trzymać, nawet jadowitego.

- Takiego, o którym mówię, nie dałoby się złapać. Widziałem tu anakondy nawet dwudziestometrowe, grube jak słup telefoniczny. I znam człowieka, który twierdzi, że widział anakondę prawie trzydziestometrową.

- Pan mnie chyba nabiera.

Ash potrząsał przecząco głową. Corey poczuła niemiłe skurcze w okolicach żołądka. Miała nadzieję, że nie jest to zbyt widoczne na jej twarzy. A może Ash po prostu chciał ją nastraszyć? Tęsknie pomyślała o wannie, ale teraz już było za późno, żeby się wycofać.

- Nie ma niebezpieczeństwa, jeżeli ma się oczy otwarte. Anakondę łatwo zauważyć.

- No, tego jestem pewna - powiedziała Corey. Czekają ją więc coś w rodzaju kąpeli z potworem z Loch Ness.

- Aha, jeszcze jedno. Mam nadzieję, że nie ubierze się pani równie bez sensu jak prawie każda amerykańska turystka. Taki strój prosto ze sklepu można od razu wyrzucić na śmietnik. W zeszłym roku przyjechał tu do nas



pewien botanik i wyglądał tak, jak gdyby wyszedł wprost z kadru filmu o dżungli nakręconego w latach pięćdziesiątych. Ludzie przyjeżdżają tu przekonani, że powinni coś tam na siebie wkładać, podczas gdy tu należy wszystko zdejmować. Więc jeżeli ma pani w walizce kostium khaki z jakiegoś butiku „safari”, niech go pani zostawi razem z wysokimi sznurowanymi butami. Niech pani po prostu włoży tenisówki.

- Zawsze sądziłam, że stopy i nogi powinny być chronione przed zadrapaniami. I przed ukąszeniami węża.

- Wysokie, sznurowane buty już po przejściu kilkuset metrów zaczynają ważyć po dobrych kilka kilogramów każdy. Niech pani zostawi na nogach te, które pani ma. Są w porządku.

Odsunął krzesło, podszedł do stojącej w kącie szafy i wyciągnął z niej kąpielowy ręcznik o barwie przypalonego cukru. Corey skłonna była przypuszczać, że kiedyś był biały. Ash rzucił go w jej stronę. - Jeżeli mogłoby to pani w czymś pomóc, będę tam w pobliżu.

Corey podniosła się, zabierając ręcznik. - Nie może pan się przyglądać, jak będę się kąpać.

- Powiedziałem tylko, że będę w pobliżu. - Teraz stał przy niej nie dalej niż na wyciągnięcie ręki. Wyraźnie widziała przypominający trochę gwiazdę wzór na tęczęwkach jego wyzywających oczu. - Dostatecznie blisko, żeby usłyszeć, gdyby zaczęła pani krzyczeć.

Uśmiechnął się i nagle wszystko, co było rozsądne i ważne dla właściwego postępowania, zniknęło gdzieś. Przestała myśleć o tym, że jest przemądrzały, że wdaje się w bójki w knajpach i upija do nieprzytomności. Zapomniała o wytatuowanym na ramieniu napisie i nawet o grze w bingo.

Liczyła się tylko jedna jedyna rzecz. Na policzku Ashera Adamsa, kiedy się uśmiechał, pojawiały się dołeczki. Po jednym na każdym policzku. Dlaczego właśnie on musiał mieć dołeczki? Jakby mało było wszystkiego innego! Czyżby Opatrzność, która w końcu powinna jakoś czuwać nad nią, nie wiedziała, że dołeczki mogą ją zaprowadzić nawet do piekła?

- No więc gdzie jest ta rzeka? - spytała ostro.

Uśmiechnął się jeszcze szerzej, a jego dołeczki stały się głębsze.

## *Rozdział siódmy*

Wielka szkoda, że kąpiel wytwornej młodej damy obyła się bez jakichkolwiek ekscytujących wydarzeń, pomyślał Ash. A można by odegrać piękną scenę ratowania z opresji.

Ustawił cięgotło ssania na maksimum i dodał gazu. Samolot nabierał szybkości. Kątem oka Ash widział, że Corey znów chwyta nerwowo poręczę fotela. Oczywiście, nawet nie piśnie, tylko jej niepokojąco drobne dłonie zaciskają się na czarnym, skórzanym obiciu poręczy z taką siłą, że przez skórę prawie przeświecają białe kosteczki.

Na szczęście nie wie, że ten pas startowy jest za krótki dla jego samolotu. Powściągnął uśmiech, który pojawił się w kącikach ust. Tak, to prawdziwe szczęście. Potrzebował stu pięćdziesięciu metrów, a pas miał może sto trzydzieści pięć.

Należało wznosić się ostro w górę, on jednak musiał dziób trzymać długo jak najniżej, inaczej mogliby się rozwalić. Trudność polegała na tym, żeby we właściwym momencie oderwać podwozie od ziemi.

Nigdy się nie przyznał, że właśnie latanie było treścią jego życia. Wtedy czuł się wolny. Bez więzów, bez praw obowiązujących na ziemi. Kiedy człowiek w samolocie wzbijał się w górę, już nie należał do tego wszystkiego, co za sobą pozostawiał.

Terez kołowali właśnie coraz szybciej i gwałtownie zbliżali się do kępy wysokich drzew, które rosły na końcu pasa wykarczowanego w dżungli.

- Poderwij go. No, poderwij go! - bezgłośnie pomrukiwał sam do siebie, kiedy zielona ściana, gwałtownie rosła przed oczami.

Samolot nagle przechylił się i już byli w powietrzu. Ryk przeciążonego silnika, spalającego żarłocznie paliwo razem z olejem, zdawał się rozrywać bębunki. Ash błyskawicznie nacisnął dźwigenkę wciągania podwozia, przez chwilę czuł dygotanie podłogi pod stopami, potem podwozie ostatecznie weszło i opór powietrza się zmniejszył. Wydawało się, że mimo to muszą uderzyć w ścianę zieleni, ale w ostatniej chwili samolot wspiął się w górę i spód kadłuba o centymetry minął szczyty drzew.

Towarzyszka lotu głośno odetchnęła. - Nie przyszło wam kiedyś do głowy, żeby ten pas trochę wydłużyć?

- Wtedy nie byłoby już takiej frajdy.

Spojrzała na niego niezbyt rozbawiona. Sięgnęła po aparat i pochyliła się do przodu, żeby zrobić kilka zdjęć przez przednią szybę. Ash z wysiłkiem oderwał od niej wzrok i starał się patrzeć na horyzont.

Czuł się winny z powodu nieskromnych myśli, które go nachodziły. Pożądanie Corey McKinney trochę za bardzo przypominało pożądanie na przykład Joanny d'Arc. Gdyby przynajmniej nie wydarzyło się to, co się wydarzyło, całe to wyciąganie jej z dołu-pułapki, może nie miałyby tak żywo w pamięci jej ciała i tych chwil, kiedy tak słodko lgnęła do niego i otwierała się pod jego rozpalonym ciałem. Podobne poczucie uskrzydlenia i zachwytu miał już kiedyś, dawno temu, kiedy po raz pierwszy sam wystartował i leciał. Cóż to był za wzlot! Potem coś takiego przeżył jeszcze tylko w momencie, gdy piorun uderzył ledwie kilka kroków od niego.

A on co? Zamiast nacieszyć się dziewczyną w samym środku dżungli, po prostu podniósł się i odszedł. Czasami sam nie potrafił siebie zrozumieć.

A w ogóle niech diabli wezmą George'a razem z jego rewelacyjnymi pomysłami. Od samego początku był przeciw. Z zasady nie lubił prosić o jałmużnę kogokolwiek, a już najmniej zależało mu na tym, żeby zaczęły tu przyjeżdżać nafaszerowane szlachetnością świątobliwe damy.

No i oczywiście właśnie coś takiego musiało się przydarzyć! Potrzebna mu rola opiekuna! No, skoro jednak już tak się stało, to teraz trzeba jej przynajmniej pokazać, że spacer w dżungli to nie to samo, co spacer w parku w Pleasantville.

Ona po prostu nie pasowała tutaj. Nie powinna tu przyjeżdżać z tą swoją delikatną karnacją, którą palące słońce Amazonii natychmiast zniszczy. Właściwe miejsce dla niej to senne amerykańskie miasteczko. Powinna tam

siedzieć w bujanym fotelu na pomalowanej na biało werandzie i prowadzić towarzyskie pogawędki z przechodzącymi akurat sąsiadami.

Nie, z całą pewnością nie! - zapowiedział sobie kategorycznie. Nie ma mowy, żeby wdać się w niezobowiązującą przygodę seksualną z tą Miss Małych Miasteczek Ameryki. Choćby dlatego, że dla niej nigdy nie mogłoby to być czymś niezobowiązującym. Kobiety w ogóle, a już zwłaszcza kobiety takie jak ona, zupełnie inaczej myślały o seksie niż faceci. Takiej dziewczynie nie wystarczy parę chwil przyjemności, o których potem należy szybko zapomnieć. Nie, taka jak ona biczowałaby się po tym wszystkim albo i nakładała włosienicę. Po diabła mu coś takiego na sumieniu! Miał i bez tego dosyć kłopotów. Teraz tylko powinien jeszcze zapomnieć, jak delikatną miała skórę, zapomnieć o tym, jak jej nogi...

- To wygląda jak te zwariowane kołdry, które moja babcia zszywała z kawałków materiału - powiedziała Corey, przerywając jego rozgorączkowane myśli.

Niech to diabli! On rozmyśla o tym, co wtedy czuł, gdy oplotła go długimi nogami, a ona opowiada coś o jakiejś cholernej kołdrze. I w tym cały ich problem! Przybywali z dwóch zupełnie różnych światów, ich życie biegło całkowicie odmiennymi torami.

- Co wygląda jak kołdra? - O czym, u diabła, ona mówi?

- Szczyty drzew. Wyglądają jak kołdry babci, zszywane ze starych skrawków, a te jej szmatki miały najdziwniejsze kształty.

No wspaniale. Więc ona miała babcię, która zszywała kołdry. Zresztą to go właściwie nie zdziwiło. W myśli usytuował babcię w drugim fotelu, zaraz obok siedzącej na werandzie Corey.

- Mnie z kolei zawsze wydawało się, że te szczyty drzew przypominają ogromne zielone kalafiory. - Ta uwaga powinna znaleźć się w jej notatniku. Ash wyjął papierosa i już miał go zapalić, gdy przypomniał sobie, że dym wyraźnie jej przeszkadza. Z pełnym desperacji westchnieniem wcisnął papierosa z powrotem do pudełka, a pudełko do kieszonki podkoszulka. Nie jest dobrze, kiedy człowiek nie może nawet zapalić w swoim własnym samolocie. Całe szczęście, że nigdy się nie ożenił. Nie potrafiłby sobie wyobrazić żony, która miałaby strofować go za byle drobiazg. Doprawdy trudno pojąć, dlaczego kobiety uważają, że jest ich narzuconym przez samego Pana Boga obowiązkiem, by stale gdzieś wkaczać i cywilizować, dopóki

wszystko wokół nie stanie się nieskazitelne jak jakiś cholerny sztywny kołnierzyk.

W pięć minut później przelatywali nad niewielkim skupiskiem chat, przypominających stogi siana ustawione na środku polany. Wydeptane w różnych kierunkach ścieżki, widziane z góry, wyglądały w oczach Asha jak rysunek żył i tętnic w atlasie anatomicznym. - Niech pani spojrzy tam w dół - wskazał kierunek ręką. - Widzi pani ten pas do lądowania, gdzie wycięto drzewa?

- Do lądowania? Ale przecież tam jest pełno pni...

- Tak, wiem - roześmiał się cierpko. - Ludzie Czikao wycięli tu drzewa, żebym mógł lądować bliżej ich wioski. Ale nie wiedzieli, że i pnie trzeba też usunąć. W żaden sposób nie potrafiłem im tego wytłumaczyć.

Ash wiedział, że ciężko, całymi tygodniami nad tym pracowali. Wycinali drzewa niesłychanie prymitywnymi narzędziami, które już w ogóle nie nadawały się do karczowania pozostałych po zwałonych drzewach potężnych pni. Najbardziej kłopotliwy był moment, kiedy Barari powiedział mu o wyrąbanym pasie. Szef plemienia był tak z tego dumny!

Lecieli jeszcze przez pięć minut i wylądowali na wyschniętym dnie odnogi jednego z dopływów Amazonki. Śmigło ledwie zdążyło się zatrzymać, gdy Corey już otworzyła drzwi po swojej stronie i wyskoczyła, przytrzymując zawieszony na szyi aparat fotograficzny.

- Niech pani będzie stale w zasięgu wzroku - ostrzegł ją Ash, podając metalową walizeczkę z lekami i medykamentami.

- Czy tubylcy są niebezpieczni?

Ash musiał przyznać, że dziewczyna ma odwagę... albo umie dobrze ukrywać swój strach. Parokrotnie wydawało mu się, że dostrzeża ślad lęku w jej łagodnym na ogół spojrzeniu. Zastanawiał się też, czego bardziej się boi - dżungli czy może jego.

- W dżungli są setki różnych plemion. Niektóre z nich nie są zbyt przyjazne. Ale ci, do których się dzisiaj wybieramy, ludzie Czikao, jeszcze nie nauczyli się nienawidzić białego człowieka. Przynajmniej do tej pory. Więcej kłopotów może pani mieć z samą dżunglą.

Sięgnął po zielony wojskowy plecak, pochylił się, żeby przejść przez drzwi kabiny i uważnie postawił nogę na stopniu skrzydła. - Dżungli nigdy nie wolno lekceważyć. Każdego roku ludzie przyjeżdżają nad Amazonkę - od-

wrócił się i chwycił dłonią za klamkę - i każdego roku wyjeżdża ich stąd mniej, niż przyjechało.

Na przykład jego brat Luke. Palce Asha zacisnęły się nagle na klamce z taką siłą, że aż zbiały. Zamknął drzwi z trzaskiem. - Kto się tu zgubi, ten może trafić już tylko do urzędowych statystyk osób zaginionych. W każdym razie rząd Brazylii nie kiwnąłby nawet palcem, żeby pani szukać. - Z jego słów przebijała wyraźna gorycz. Miętko zeskoczył na ziemię obok niej.

Teraz ona mu się przyglądała zaciekawionymi oczami, przypominającymi oczy zwierząt. Ku swemu zdumieniu i zaskoczeniu zobaczył w tym spojrzeniu i ból, i współczucie. Przez ułamek sekundy poczuł dziwny wstrząs nagłego rozpoznania, tak jak to się dzieje, kiedy sobie uświadomiamy, że dostrzeżone w szybkiej wystawowej czyjeś odbicie jest w rzeczywistości odbiciem nas samych.

Jasne, że chciałaby się czegoś od niego dowiedzieć na temat jego brata. Ale Ash nie zwykł odsłaniać swojej duszy nikomu, a już na pewno nie komuś zawodowo zajmującemu się dobroczynnością. Gdzieś tam bardzo głęboko kryła się w nim świadomość, że któregoś dnia będzie musiał się z tym wszystkim pogodzić. Będzie musiał przyznać przed samym sobą, że Luke umarł. Ale jeszcze nie był do tego gotowy.

Wziął od Corey metalową walizeczkę z lekarstwami. Za kilka dni dziewczyna odjedzie. A on nie chciał, żeby po powrocie zaczęła opowiadać o losie jego brata podczas odczytów z wyświetlaniem przezroczy, zatytułowanych „Moje przygody w dżungli”. Nie chciał, żeby opowiadała o Luke'u przypadkowym, obcym ludziom, których to akurat tyle obchodzi co zeszłoroczny śnieg. Bo niby dlaczego miałyby obchodzić?

Kiedy ludzie czytają czyjś nekrolog, zazwyczaj nie przejmują się losem kogoś, kogo nigdy nie znali. A jednak... Ash zawsze dziwił się, że można tak bez wrażenia czytać te chłodne, bezosobowo formułowane zdania, zdając sobie sprawę, że gdzieś tam ktoś wypłakuje całą duszę nad tym imieniem i nazwiskiem, które dziesiątki tysięcy par oczu przeczytało z całkowitą obojętnością.

Więc może Jones ma rację. Może ja jestem po prostu szalony? - pomyślał. Który to już raz?

- No a ci tubylcy? - zapytała Corey. - Może oni mogliby pomóc w poszukiwaniu kogoś, kto zaginął w dżungli.

- O tak, oni nawet bardzo chcieliby pomóc. Ale to właśnie raczej utrudnia sprawę. Nie można ani w połowie wierzyć w to, co opowiadają. Kłamstwo

jest dla nich rozrywką. Im większe kłamstwo, tym lepiej, a jeden próbuje prześcignąć w tym drugiego. A poza tym oni mają zupełnie inne od naszego poczucie czasu. Opowiadają na przykład, że kogoś widzieli, a tymczasem to mogło być wiele lat temu.

Poprawił czapkę, spojrzął na Corey i z naciskiem powtórzył ostrzeżenie, które już od niego słyszała. - Więc jeśli chce pani w ogóle wrócić do tego swojego Dudleya i reszty miasteczka, niech się pani pilnuje, żeby nie zabłądzić w dżungli.

Odwrocił się i ruszył w zarośla. Wielkie liście rozsuwały się napierane jego szerokimi ramionami.

- Zawsze pan sobie tak pokpiwa z ludzi? - zapytała Corey, ruszając w ślad zanim.

- To chyba nawyk. Przyzwyczajenie.

A ten jej Dudley, czy jak mu tam? - pomyślał Ash. Mógłby postawić wszystkie pieniądze, że nudny jak cholera. Bez wyrazu, podobny do wszystkich innych, w ogóle nie można go zapamiętać, zamiast twarzy ma coś takiego rozmazanego. - Ciekawe, że takie palanty, jak ten jakiś tam Dudley, zdają się przyciągać kobiety... - To ostatnie zdanie musiał chyba wypowiedzieć na głos, bo Corey niespodziewanie mu odpowiedziała.

- Pan przecież go nawet nie zna. A prawdę mówiąc, i mnie pan nie zna.

A więc usłyszała, co tam sobie mruczał pod nosem. Akurat wyrażał się językiem niekoniecznie dżentelmena. No cóż, nie będzie zmieniać sposobu wystawiania się dla panny Corey McKinney. W końcu wyzwiska, przekleństwa i rzucanie mięsem to była wielka i niełatwa sztuka, której tajniki zaczął zgłębiać jeszcze w szkole podstawowej. A o takich jak ona, to wiedział właściwie wszystko. I już dawno nauczył się omijać te, które noszą się jak królowe piękności małego miasteczka.

- Ja tam o pani wiem wszystko - rzucił przez ramię. - Jako dziecko regularnie chodziła pani w niedziele do kościoła, po południu były podwieczorki z lemoniadą i domowymi ciasteczkami. Taki właśnie model dzieciństwa. Mogę się założyć, że brała pani lekcje gry na fortepianie i lekcje tańca, i lekcje śpiewu. A latem bawiła się pani lalkami na wielkiej, białej werandzie.

Zatrzymał się na chwilę, żeby odsunąć z jej drogi jakąś większą gałąź i zaczął, aż zrówna się z nim.

Przez chwilę sprawiało to wrażenie, że oboje zostali zamknięci w kokonie z ogromnych liści. Powietrze wokół przesycone było piżmowym zapachem bagna. Niektórzy ludzie nie znoszą takich ciężkich zapachów, ale Ash nawet je lubił.

Za plecami Corey rosnęło drzewo *jagua*. Miejscowi czarownicy utrzymywali, że jego owoce są afrodyzjakiem. Cały jego pień oplatał powój, znany w Amazonii jako „wino duszy”. Jego błyszczące listki zawierały narkotyk podobny do opium.

- Wypchanymi zwierzętami - oświadczyła Corey. Podniosła wzrok i patrzyła mu prosto w oczy. W jej głosie można było wyczuć rozbawienie.

- Wypchanymi zwierzętami co? - spytał, nie rozumiejąc.

- Kiedy siedziałam na werandzie... - powiedziała, wciąż lekko zdyszana od wysiłku dotrzymywania mu kroku. Musimy odtąd iść wolniej, powiedział sobie Ash.

- Kiedy siedziałam na werandzie, nie bawiłam się lalkami. Bawiłam się wypchanymi zwierzętami i ptakami.

Teraz się uśmiechała, a była tak blisko, że mógł dostrzec złote koniuszki jej długich rzęs i liczne piegi na nosku. Część włosów wysunęła się z przytrzymującej je opaski i ich drobne, skręcone od wilgoci pasemka tworzyły wokół twarzy rodzaj migotliwej aureoli.

A on jej pożałował. Tak, pożałował.

Pomyślał, że jednak za długo siedział sam w dżungli bez kobiecego towarzystwa.

Znów zaczęła go swędzić skóra, a zwłaszcza blizna. Pot ściekał mu po plecach, zmywając resztki warstwy ochronnej po kąpieli z mydłem odstrasającym insekty. Koszula lepiła się do skóry jak pijawka, a różne latające robale teraz już zjadały go żywcem. A on i tak pożałował Corey. Właśnie teraz. Właśnie tu.

- A pan? Jakie było pańskie dzieciństwo? - zapytała z całą naiwnością.

Ash pomyślał, że gdyby jego dzieciństwo oraz to, jak w nim dorastał, zestawić z dzieciństwem i dorastaniem Corey, to nie wyszłoby z tego nic dobrego. Takie porównanie nieuchronnie musiałyby prowadzić do bardzo cynicznych konstatacji.

Wątpił, czy jakkolwiek, nawet dobrze znająca życie i świat kobieta zdolna byłaby do końca zrozumieć, jak wtedy żył i jakie to było dzieciństwo. Czegoś takiego nie ma w melodramatycznych książkach panny Norman Rockwell.



Gdyby opowiedział, jak spał na ulicach albo w opuszczonych budynkach, jak uciekał z lekcji, żeby z podobnymi sobie ulicznikami grać o pieniądze, Corey i tak by mu nie uwierzyła. Zresztą w ogóle nie wierzyła ani w połowę tego, co mówił.

- Powiem może tylko tyle, że gdybym przypadkiem przebywał wtedy w pani miasteczku zamiast w Nowym Jorku, z całą pewnością nie zaproszono by mnie na pani przyjęcie urodzinowe.

Odwrocił się na pięcie i oboje ruszyli w dalszą drogę.

Ody doszli do wioski, otoczyła ich grupa mężczyzn, kobiet i dzieci. Ich skóra miała kolor mahoni, oczy mieli ciemne niczym heban, zęby doskonale równe i białe. Czarne jak węgiel, proste i lśniące włosy przycięte były „pod garnek”, jak to określiła Corey. Niezliczone naszyjniki z najróżniejszych muszelek, piór, koralików a nawet łusek po nabojach zdobiły szyje kobiet i mężczyzn. Poza tym nie mieli na sobie nic.

Corey dobrze wiedziała, że samopoczucie człowieka w znacznym stopniu zależy od tego, czy tam, gdzie trafi, czuje się „na właściwym miejscu”. Ale nie sądziła, że będzie musiała to sprawdzać na samej sobie.

Okazało się, że nie nagość Indian jest krępująca, ale raczej to, że to ona czuje się wśród nich właśnie nie na miejscu, równie niezręcznie, jak ktoś, kto wybrałby się w wieczorowym garniturze na przyjęcie w pełnym słońcu na plaży.

Ash przyglądał się jej, ciekaw jej reakcji. - I co, czujesz się teraz nadmiernie zakryta? - zapytał. Zdjął swe ciemne okulary pilota i zaczępił je na przepoconym dekolcie podkoszulka. Corey zauważyła lekkie wgłębienie, które okulary pozostawiły na jego nosie.

Objął ramieniem jej szczupłe plecy. Była to poufałość, przeciw której z pewnością zbuntowałyby się w normalnych okolicznościach. Teraz jednak z wdzięcznością przyjmowała tę bliskość. Dawała jej poczucie bezpieczeństwa.

- Mówiłem ci już, że im mniej masz na sobie w dżungli, tym lepiej się czujesz - powiedział. - Zwłaszcza kiedy skóra na stopach zacznie ci się łuszczyć, a pod pachami pojawią się pęcherze. Wtedy będziesz wiedziała, o czym mówię.

- Wprost nie mogę się doczekać - powiedziała bez entuzjazmu.

Gestem starszego brata Ash poklepał ją po ramieniu. - Jeżeli chodzi o mnie, zazwyczaj rozbieram się aż do przepaski na biodra. Ale myśląc o tobie tym razem zostawiłem ją w domu.

Odszedł od niej lekkim krokiem, a Corey nie potrafiła powściągnąć grymasu irytacji. W końcu byli tu w samym środku dżungli, otoczeni przez ludzi prawie że pierwotnych. A on nie potrafił się zachować poważnie. Nie potrafiłby, nawet gdyby sytuacja tego wymagała. Nie była tym zaskoczona. Jeżeli szło o Ashera Adamsa, nic już nie mogło jej zaskoczyć.

Chwilowa irytacja z wolna jednak mijała i Corey z coraz większym zainteresowaniem przyglądała się scenie, która rozwijała się na jej oczach.

Jeden z tubylców o otwartej i przyjaznej twarzy, z ciemnymi, bystrzymi i inteligentnymi oczami, mówił coś do Asha gardłowym, niskim głosem. Ash kątem oka spozjrzał na Corey, potem na swego rozmówcę i potrząsnął przecząco głową. Corey była zaskoczona, że Ash odpowiadał mężczyźnie w tym samym dziwnym języku. W pewnej chwili, kiedy obok nich przebiegał mały chłopiec, Ash pochwycił go i posadził sobie na ramieniu, nie przestając rozmawiać z gestykującym żywo mężczyzną.

Co też mogło być dla nich wspólnym tematem, że trwało to tak długo?

Corey sądziła, że tubylcy okażą się podejrzliwi, ostrożni, może obojętni. Tymczasem ludzie Czikao zachowywali się tak, jakby odwiedzili ich bardzo lubiani krewni. Ich nie udawana życzliwość, przyjazne nastawienie, a także łatwość, z jaką Ash porozumiewał się z owym mężczyzną, zupełnie nie pasowały do zakodowanego dotychczas w umyśle Corey typowego wyobrażenia o spotkaniu białego człowieka z prymitywnymi Indianami znad Amazonki. No, ale też i Asher Adams z całą pewnością nie był typowy.

Śmiał się łatwo i głośno. Sięgnął po siedzącego wciąż na jego ramieniu malca i postawił go na ziemi. Teraz chłopiec miał na głowie czapkę kibica zespołu baseballowego New York Yankees i co sił w nogach pobiegł, żeby pokazać ją innym dzieciom.

Ash coś tam tłumaczył niby obojętnym tonem, mężczyzna odpowiadał pełnym rozbawienia niedowierzaniem, a w końcu cała rozmowa przekształciła się w długi ciąg męskich chichotów, a potem śmiechu, tak że w pewnym momencie obaj już musieli się wzajemnie podtrzymywać, by nie upaść z tej wesołości.

W głowie Corey zaczęły się rodzić brzydkie podejrzenia co do tematu tej konwersacji, zwłaszcza że ich ukradkowo rzucane w jej stronę spojrzenia bardzo przypominały zachowanie uczniów, opowiadających sobie nieprzyzwoite dowcipy. Na wszelki wypadek skrzyżowała ramiona na piersi i starała się wyglądać pewnie i niewzruszenie.

Ash wreszcie przypomniał sobie łaskawie o jej istnieniu, przestał błaznować ze swym rozmówcą i znów podszedł do niej.

- To jest Barari - powiedział tonem poważnej prezentacji, choć nutki rozbawienia wciąż pobrzmiwały w jego głosie. - Jest wodzem plemienia Czikao. - Odwrócił się i powiedział kilka zdań do Barariego. Jedynym zrozumiałym słowem, które wychwytiła, była „Lilijka”.

- I o czym tak ze sobą rozmawialiście? - zapytała, kiedy już wszyscy troje przestali kiwać głowami i uśmiechać się do siebie.

- Nie wiem, czy mogę... Nie, chyba lepiej nie.

- Ale ja chcę wiedzieć - oświadczyła Corey.

Ash nie wzbraniał się nazbyt długo. - No cóż, pytał mnie, czy zabrałem cię, żeby... To znaczy... Oczywiście musisz uwzględnić, że ci ludzie są raczej prostoduszni, by nie powiedzieć ordynarni. Cokolwiek rubaszni. No więc on pytał mnie, czyja cię zabrałem, żeby...

Podparł podbródek dwoma palcami i wzorem wielkich myślicieli przechylił głowę, zastanawiając się demonstracyjnie. - Jakby to delikatnie ująć...?

Corey gotowa była się założyć, że Ash Adams nigdy w życiu nie próbował ujmować delikatnie czegokolwiek.

Teraz też patrzył wprost na nią, a iskierek rozbawienia pojawiały się w jego niezwykłych oczach. - Barari pytał mnie, czy zabrałem cię po to, żeby z tobą kopolować i żebyś mi potem urodziła dzieci - oświadczył w końcu, najwyraźniej zadowolony ze sformułowania.

- Ha, ha, ha - powiedziała niezbyt rozbawiona Corey.

- Ale nie martw się. Powiedziałem mu, że nie.

- Więc co było w tym tak śmiesznego?

- Chodzi o to, że kiedy zapytał mnie, czy ja cię zabrałem, żeby...

Stężyła twarz Corey powstrzymała go od powtórzenia niedawnego, tak udanego sformułowania.

- No więc powiedziałem, że jesteś za mała, to znaczy za niska dla mnie. A on na to powiedział, że to nie będzie miało znaczenia, jeżeli się położymy.

Corey gwałtownie wciągnęła powietrze, a jej oczy błysnęły ostrzegawczo.

Ale wyglądało na to, że Ash dopiero się rozkręcał. - Potem Barari powiedziała jeszcze, że chyba trochę wyblakłaś od słońca, to znaczy twoja skóra. I włosy też wypłowiły. - Ash delikatnie przesunął palcem po jej gwałtownie zaróżowionym policzku.

Nagle gorąco, które w tym momencie ją zalało, z pewnością nie było spowodowane gniewem, próbowała sobie wmówić Corey.

- Ale potem powiedział, że i ten twój defekt czy feler nie ma większego znaczenia, jeśli tylko nie świeci słońce albo księżyc. A poza tym zawsze można zamknąć oczy.

Gniewnie odepchnęła od siebie jego rękę z niejasną świadomością, że gdzieś z tyłu dają się słyszeć na wpeł tylko tłumione chichoty tubylców.

- Przede wszystkim można by było już wreszcie dorosnąć! - syknęła. - Wiem, że sama chciałam tu przyjechać, ale wtedy nie zdawałam sobie sprawy, że będzie mi towarzyszyć tak przemądrzały dowcipniś, specjalista od koszarowego humoru.

- Ano tak - westchnął ze skromnością hollywoodzkiego gwiazdora. - Już w szkole byłem najlepszy w uczeniu się nieprzyzwoitych wyrazów. I to mi zostało.

Najbezczelniej śmiał się z niej... albo może do niej. Te jego równe i białe zęby w opalonej twarzy... i te cholerne dołeczki! Ale teraz nawet one mu nie pomogą.

- Oczywiście, taka osoba jak ty nigdy nie mogła przyznać, że to było bardzo zabawne. Wiesz co? Z tym właśnie masz największy problem. Nie masz poczucia humoru!

- To akurat nieprawda! - zaprotestowała natychmiast. - Tyle że trzeba mieć naprawdę szczególne poczucie humoru, żeby śmiać się z żartów dla skrajnie niedojrzałych wyrostków.

- Więc z czego się śmieje ktoś taki jak ty? Co dla ciebie jest naprawdę zabawne? - w jego głosie znów słyszało się wyzwanie.

- No w każdym razie nie dowcipy z magazynu „Mad”.

Krąg otaczających ich tubylców stawał się coraz ciaśniejszy. Najwyraźniej zaciekawiała ich sprzeczka dziwnie ubranych białych ludzi.

- A film o trzech głupkach? - zapytał. - Śmiałaś się, oglądając „Trzech głupków”?

- Ja... To znaczy...
- Aa, widzisz. Więc jednak się śmiałaś! No, niech kulturalna dama się przyzna.
- To śmieszne!... to znaczy, chciałam przez to powiedzieć, że to zupełnie bez sensu.

Corey spojrzała dookoła, uświadomiła sobie, że tubylcy są coraz bliżej i że najwyraźniej to ona przede wszystkim wydaje się być obiektem ich nie ukrywanego zainteresowania.

Natychmiast przestała myśleć o toczonym przed chwilą sporze. - Czego oni chcą? - zapytała, mimo woli przesuając się w stronę Asha. - I czemu mi się tak przypatrują?

- Należy przypuszczać, że nigdy dotąd nie widzieli rozgniewanej białej kobiety. A tu mają podwójną frajdę, bo nie dość, że rozgniewana, to jeszcze i blondynka. Łukę też miał włosy blond, ale ani w połowie nie były tak jasne, a poza tym jego włosy były proste, nie kręciły się jak te...

Corey zastygła zmrożona, gdy Ash wyciągnął rękę i przeczesał palcami luźne pasemka włosów, które wiły się wokół jej twarzy. W pewnym momencie na jego czole, tuż nad szarymi oczami, pojawiła się pionowa zmarszczka, gdy palce natrafiły na mocniej splecione pasemko. Rozczesał je bardzo delikatnie.

Nie zrobiła kroku do tyłu, choć pewnie powinna była się cofnąć. Zdała sobie sprawę, że Indianie i Indianki przypatrują się im z jeszcze większym zaciekawieniem. Wszyscy znieruchomieli w oczekiwaniu, co teraz zrobi pilot.

Wyglądało na to, że Ash był tu już znany także w roli taniego aktora i błazna. Odwrócił się w stronę widowni i uniósł na dłoni luźne pasmo włosów Corey tak, żeby błysnęły w promieniach słońca. Potem zaczął coś mówić w tym dziwnym, gardłowym języku, a otaczający ich ludzie nagle westchnęli niemal jednocześnie.

- Co takiego powiedział im pan tym razem? - zapytała, już przygotowana na to, że zostanie po raz kolejny obrażona.
- Nic, po prostu parę zdań ze starej legendy ludu Czikao.
- Co? Jakiej legendy?

Ku swemu zaskoczeniu, a i niemałej satysfakcji, Corey zobaczyła, jak Ash na moment traci kontenans. Ale trwało to tylko chwilę, niemal natychmiast odzyskał swój zwykły luz.

- Jest taka stara indiańska legenda o bogini, której włosy są przędzą z promieni księżyca. Ale nie ze zwykłych promieni, tylko z tych, które przeniknęły przez liście i gałęzie drzew, by ogrzać podłoże dżungli. Powiedziałem im, że włosy tej bogini muszą być bardzo podobne do twoich...

No i proszę. Znow udało mu się ją zaskoczyć.

Kiedy już postanowiła dać mu naprawdę boleśnie po łapach, on właśnie powiedział coś niezwykle miłego.

Nim zdołała wymyślić właściwą odpowiedź, jeden z Indian gestem przywołał Asha do stojącej w pobliżu grupy. Rozmawiali tam przez krótką chwilę, po czym, ku zdziwieniu Corey, Ash zniknął we wnętrzu jednej z chat. Zostawił ją samą, otoczoną przez dziesiątki par ciemnych, wpatrujących się w nią oczu.

Ale już po chwili Ash wychylił głowę z chaty. - Corey, chodź tu szybko. I przynieś walizeczkę z lekarstwami.

Cud prawdziwy, po raz pierwszy powiedział do niej Corey. Ale nie było czasu, żeby się nad tym zastanawiać. W głosie Asha wyczuła napięcie, musiało więc chodzić o coś poważnego. Uśmiechając się przepraszająco, Corey przepychała się między zgromadzonymi u wejścia ludźmi. W jednej ręce niosła walizeczkę z lekami, drugą przytrzymywała swój aparat.

Gdy jej oczy przyzwyczyły się już do panującego w chacie półmroku, zobaczyła leżącą na sienniku kobietę. Obok niej Ash klęczał na podłodze badając nogę chorej Indianki.

- To jest Para - powiedział do Corey. - Skaleczyła się parę tygodni temu, a teraz zrobiło się z tego zakażenie.

Corey podeszła bliżej i postawiła walizeczkę na podłodze. Ash wyszedł do zebranych przed chatą i bardzo szybko mówił coś do nich w języku Czika. Zebrani ludzie zaczęli się rozchodzić. Wkrótce pozostał tylko jeden, który był mężem chorej kobiety i teraz stał przy żonie, przyglądając się jej z niepokojem. Coś mówił do Asha, jego głos był cichy, niepewny, czasami słowa więzły mu w gardle.

Ash odpowiadał mu również cicho, tłumaczył mu coś łagodnie, starając się go uspokoić. Już nie przypominał błaznującego przed chwilą wesołka.

Spojrzał na Corey i powiedział: - On czuje się winny, ponieważ nie przyszedł i nie wezwał mnie wcześniej. Ale starałem się wytłumaczyć mu, że zakażenie może się rozwinąć bardzo szybko.

Otworzył walizeczkę, wyjął butelkę z alkoholem do dezynfekcji i zaczął polewać nim swoje ręce.

- Co pan chce zrobić? - zapytała szeptem Corey, wyraźnie przestraszona.
- Przede wszystkim zastrzyk przeciwtężcowy.

Przez chwilę słychać było tylko brzęk szklanych buteleczek i ampułek. Ash napełnił strzykawkę. Potem jeszcze raz przyjrzał się opuchniętej nodze.

- Zrobię nacięcie i otworzę ranę, żeby ropa wypłynęła.

- Pan przecież nie jest lekarzem - powiedziała Corey. Ale po chwili sama ukłękła obok niego na podłodze z uklepanej gliny.

- A pani myśli, że oni akurat zastanawiają się, czy mam dyplom i czy złożyłem przysięgę Hipokratesa? - Pokiwał głową i z wprawą napełnił strzykawkę.

- A przynajmniej robił pan już kiedyś coś podobnego? - zapytała, nie umiając ukryć niepokoju, przebijającego w jej głosie.

- Tak, w wieku piętnastu lat zapisałem się na korespondencyjny kurs wypychania zwierząt - powiedział poirytowany. Położył na miejsce butelkę ze środkiem znieczulającym, a potem spojrzął na Corey. - No więc zechce pani w końcu zdezynfekować ręce i trochę mi pomóc, czy nie?

- Specjalista od wypychania zwierząt! - prychnęła. Jak mógł żartować w takiej sytuacji.

- Uszy do góry - powiedział Ash. - Jeżeli dzięki tej wiadomości miałyby się pani lepiej poczuć, to poinformuję, że przeszedłem podstawowe przeszkolenie w udzielaniu pomocy w nagłych wypadkach.

Podstawowe przeszkolenie mogło znaczyć różne rzeczy. Ale uwzględniając, kto to mówił, pewnie było to coś takiego jak sprawność sanitariusza u harcerzy.

Mruknęła pod nosem, że nie za bardzo podoba się jej takie bawienie się w lekarza.

- Albo ja będę się bawił w lekarza, a pani niech sprawdzi, czy są tam jeszcze ampułki z napisem „combiotic”, albo ona tu umrze na zakażenie krwi.

Corey zdawała sobie sprawę, że Ash ma rację. Na pierwszy rzut oka widać było, że jest źle, i Corey z niepokojem pomyślała, że w ogóle może już być za późno, jeżeli zakażenie poszło dalej.

Corey szukała ampułek, które jej kazał znaleźć, a Ash rozmawiał z chorą kobietą. Jak to możliwe, że jego głos, tak zazwyczaj szorstki, może nagle mieć tak kojące, choć stanowcze brzmienie?

Corey spojrzała na kobietę, która wyraźnie odprężyła się i uspokoiła. A więc Asher Adams jednak potrafił w jakiś sposób przekształcić się z marnie dowcipkującego błazna w człowieka, który umie obchodzić się z chorymi i wie, jak z nimi należy rozmawiać. Niejeden lekarz mógłby mu tego pozazdrościć.

Prymitywna chata była mroczna, zątechłe powietrze pachniało pleśnią. Senne muchy lepiły się do spoconej skóry jak pijak do butelki. Ash uniósł dłoń ze skalpelem, a chora kobieta przyglądała mu się spokojnymi, ufnymi oczami.

Corey zauważyła, że dłoń Asha drży leciutko, zauważyła też napięcie mięśni jego szerokich ramion, których nie przykrywał pozbawiony rękawów podkoszulek. Niełatwo było ciąć żywe ludzkie ciało. Ona sama w każdym razie wątpiła, czy w jakiegokolwiek sytuacji potrafiłaby się na to zdobyć.

Usłyszała, jak wciągnął głęboko powietrze. Wyrównał oddech. Jego dłoń przestała drżeć, można było zauważyć, że skalpel trzyma teraz bardzo pewnie.

- Mam nadzieję, że przygotowała pani dość gazy i ligniny. To może buchnąć jak wulkan.

Mówił zupełnie jak prawdziwy chirurg. Corey przysunęła bliżej otwarty pakiet z prostokątami gazy.

Ostrze skalpela przecięło skórę. Corey zauważyła wtedy, że Ash był leworęczny. Trzymająca teraz skalpel dłoń wyrastała zatem z tego właśnie ramienia, na którym ciemnoniebieskie litery tatuażu układały się w słowa URODZONY DO ROZRABIANIA. Może nawet było to w jakiś sposób symboliczne.

Kiedy było już po wszystkim, Corey natychmiast zebrała i schowała do plastikowej torebki wszystkie przesiąknięte krwią i ropą tampony i kawałki gazy, żeby ich zapach nie przyciągał much.

- Zostawimy jej trochę płynu odkażającego, gazę i tabletki do dezynfekcji. Miejmy nadzieję, że nie zechce któregoś dnia połknąć ich wszystkich naraz - powiedział Ash. Owinał nogę chorej luźnym bandażem. Potem jeszcze zrobił jej zastrzyk antybiotyku.

- Dobra robota, siostró - powiedział tonem doktora Kildare'a. - Jest pani znacznie lepszym asystentem niż George, któremu zawsze w końcu robi się niedobrze i musi biec na dwór, żeby wymiotować.

Corey czuła, że kropelki potu wystąpiły nie tylko na jej czole, ale nawet



na wargach, a przepecone kosmyki włosów, które wysunęły się spod przytrzymującej je opaski, spadają na kark i szyję, niczym jakieś powodujące swędzenie wodorosty. Ash przykucnął obok niej, spocony nie mniej niż ona. Odpoczywał siedząc na własnych piętach. Przez pęknięcie przetartych spodni widać było nagie kolano.

Nigdy nie spotkała nikogo takiego jak on. W dodatku z dnia na dzień coraz bardziej ją zaciekawiał. Nie potrafiła już nad tym zapanować. Dopiero co oskarżała go, że jest niepoważny i zachowuje się jak dziecko. Ale przecież wcześniej sama mu uwierzyła, kiedy mówił, że nie ma nic wspólnego z tym całym rezerwatem, że tylko lata jako pilot George'a Dupree. A to też nie była prawda.

Nie wiadomo, co było prawdą. I kim naprawdę był on sam. Jeżeli nie liczyć tego, że wobec niej zawsze był oszustem.

Teraz czuła się zawstydzona swoją zasadniczością. Tak uparcie domagała się wszędzie zawodowstwa. Ash miał lepszą metodę. Tyle że to w ogóle nie była metoda. Po prostu był sobą.

- Z czego się pani śmieje? - zapytał podejrzliwym tonem.

- Uśmiecham się. Do pana. Bo przypominałam sobie, jak to pan używa brzydkich wyrazów, stale się skarży i wydziwia na pracowników Opieki Społecznej i wszelkich innych funkcjonariuszy dobroczynności, której pan nie znosi. Przez chwilę nawet panu uwierzyłam, że nie jest pan wcale zaangażowany w pomaganie ludziom, że pan tylko pilotuje samolot, nic więcej. A tymczasem pan też należy do tego tu wszystkiego. Pan jest i dobry, i humanitarny, panie Adams. I bardziej dobroczynny niż niejeden filantrop.

Corey samą zaskoczyły jej słowa. Mówiła, zanim zdążyła pomyśleć. Ash popatrzył na nią z pewnym zastanowieniem, ale po chwili już tylko skrzywił się ironicznie, trzasnął metalową pokrywką walizeczki i powiedział. - Akurat!

## *Rozdział ósmy*

Wreszcie Corey mogła zamknąć walizkę z lekarstwami. Przez prawie trzy godziny razem z Ashem robili szczepienia i zajmowali się najróżniejszymi powszechnymi w wiosce dolegliwościami, poczynając od jątrzących się skaleczeń aż po różne pasożyty i grzybice skóry. Mogła już odgarnąć z czoła wilgotne od potu pasemka włosów i rozprostować plecy. I stanąć prosto na nogi, obolałe i zdrętwiałe od długiego przycupnięcia i siedzenia na piętach.

Trudno się dziwić, że u Indian Czikao tak często występują pasożyty skóry, pomyślała. Kłapięciem dłoni zabiła na sobie jeszcze jednego krwiożerczego moskita, mogąc mieć tylko nadzieję, że tabletki przeciw malarii, które od wczoraj brała, uchronią ją przed chorobą. Indianom potrzeba wielu jeszcze rzeczy. Może drobnych, ale ważnych. Powinni mieć na przykład siatki przeciw moskitom, przynajmniej przy wejściach do chat, wewnątrz powinni spryskiwać preparatem owadobójczym...

Poczuła zapach dymu z papierosa. Tak, to Ash wypuścił w jej stronę szarobłękitny obłoczek, który teraz leniwie płynął w gorącym powietrzu.

- Jesteśmy zaproszeni na coś w rodzaju przyjęcia - oznajmił Ash. - Na indiański ślub i wesele.

Już znów miał na głowie ulubioną czapkę, a ciemne okulary jak zwykle zaczepił na dekolcie podkoszulka.

Indiański ślub! Naprawdę mam szczęście! - pomyślała Corey. - Och tak, bardzo chciałabym to zobaczyć! - zawołała ucieszona jak dziecko, ale jej uśmiech przygasł na widok miny Asha. - Co znowu? Coś nie w porządku?

- Po prostu muszę panią ostrzec. Ich wesela zaczynają się dosyć niewinnie

i łagodnie, ale skończyć się mogą dosyć dziko. Ale i tak nie mamy wyboru. Gdybyśmy nie przyjęli zaproszenia, byłaby to wielka obraza. - Zaciągnął się jeszcze raz i rzucił niedopałek na ziemię. W tej samej chwili coś przemknęło między nimi. Indiański chłopiec, szybki niczym małe zwierzątko, skoczył w kierunku jeszcze tłącego się papierosa.

- Zjeżdżaj stąd, ty łobuziaku! - krzyknął Ash.

Oczywiście bez skutku. Brązowy jak czekoladka malec, chyba najmniejszy z całej grupki chłopców, już trzymał papierosa w ustach i zaciągał się nim głęboko.

- Chodź tu natychmiast! Daj to!

Z pobliskiej chaty dały się słyszeć chichoty dzieci. Ashowi w końcu udało się wyrwać niedopałek z zaciśniętej piąstki. Chłopiec, w najmniejszym nawet stopniu nie przejęty reprimendą, odwrócił się i pobiegł do reszty dzieciaków.

Tymczasem nieco zaniepokojona Corey wciąż zastanawiała się, co też mogłoby znaczyć to, co Ash Adams jakby mimochodem nazwał „dziko”. Znała go ledwie dwadzieścia cztery godziny, ale i tego wystarczyło, żeby zdać sobie sprawę, że to, co dla niego było trochę dzikie, dla niej mogłoby się okazać absolutnie nie do przyjęcia. - Jak bardzo dzika jest ta dzikość? - zaryzykowała pytanie.

Ash potarł skórę na karku. - No cóż... Po pierwsze oni lubią się upić, a potem grają w taką swoją grę, dosyć podobną do amerykańskiego futbolu, tylko trochę bardziej twardą. To znaczy, mecz dopiero wtedy uznają za udany, jeżeli przynajmniej kilka nóg zostanie złamanych i kilka łbów rozbitych. Ja kiedyś dość nieostrożnie powiedziałem im, że w zasadzie wolę baseball. Oczywiście musiałem im wszystko tłumaczyć. A kiedy już skończyłem opowiadać o sprzęcie i przepisach, okazało się, że już zabrali się do ścinania grubej gałęzi na pałkę, a zamiast piłki wzięli okrągły kamień wielkości pięści. - Ash pokiwał głową. - I dopiero krew się lała! Dla nich sport w ogóle nie istnieje, jeżeli z założenia nie przewiduje rozlewu krwi.

W tym momencie pojawił się jakiś mocno przejęty młody mężczyzna i chwycił Asha za rękę. - Ten dżentelmen to pan młody! - zdążył jeszcze rzucić przez ramię Ash, ciągnięty teraz w stronę czegoś, co przypominało jakby dom bez ścian, stojący na skraju polany i przykryty jedynie strzechą. Ash dał ręką znak, by Corey poszła za nimi. - Chodź!

Już po chwili siedziała ze skrzyżowanymi nogami na podłodze domu pod

strzechę. Ash rozparł się wygodnie o parę metrów od niej. Uśmiechnięta Indianka podała im płaskie placki, przypominające meksykańską tortillę, i czarne kubki z wypalanej gliny, napełnione płynem koloru bursztynu.

Ash uniósł do góry kawałek placka, czy może raczej płaskiego chleba. - To się nazywa *beiju* i jest ich zasadniczym pożywieniem.

Corey spojrzała na trzymany w rękę kawałek i niepewnie podniosła go do ust. Dało się to ugryźć i na szczęście nie miało żadnego wyraźnego smaku. Kłopot był jedynie z tym, że w miarę żucia ów chleb stawał się coraz twardszy, coraz bardziej przypominał coś pośredniego między gumą i suszoną na słońcu wołowiną. Corey starała się nie myśleć o tym, w jaki sposób to pieczywo mogło być tu przygotowywane, ani o tym, co najłagodniejszy nawet amerykański inspektor sanitarny powiedziałby o higienie kuchni plemienia Czikaio.

Tymczasem Ash, który najwyraźniej nie miał żadnych tego rodzaju oporów, sprawiał wrażenie człowieka, który świetnie się czuje w roli ważnego gościa. Rozluźniony i wygodnie oparty na łokciu, w drugiej ręce trzymał nadgryziony kawałek *beiju*, który od czasu do czasu kładł na zgiętym kolanie. - Oni to produkują z trujących korzeni manioku - powiedział niewyraźnie, bo z pełnymi ustami.

Corey popatrzyła na niego trochę zaszokowana.

- Nie ma się co tym przejmować. - Machnął lekceważąco ręką. Cóż to dla niego jeść taką czy inną truciznę! - Maniok najpierw jest gotowany. I to z jakiegoś tam powodu nieszkodliwia toksyny.

- A to tu, co to jest? - Corey podejrzliwie popatrzyła na swój kubek. Ona też, jak się okazało, musiała mówić z pełnymi ustami. - To się nazywa *kosili*. Nie jest wcale złe. Mnie trochę przypomina ciepłe piwo.

Corey odpędziła muchę, która chciała usiąść na krawędzi kubka, i nieumie wypić łyżeczek. Wprawdzie sam kubek miał własny smak wilgotnej gliny, ale napój okazał się do przyjęcia. W każdym razie można było tym popić ów chleb *beiju*.

- Wszystkie ich wyroby garncarskie są czarne - powiedział Ash. - Oni mówią, że powinny być właśnie takie jak niebo między gwiazdami.

Corey przyjrzała się uważniej trzymanemu w dłoni kubkowi. Był bardzo prosty, wręcz prymitywny, ale w swojej prostocie piękny.

- To ładne... to, co oni mówią o tej przestrzeni między gwiazdami. W jaki sposób można się tak dobrze nauczyć ich języka?

Ash wzruszył ramionami. - Baran mi pomagał. Nie było to szczególnie trudne, ich słownik nie ma zbyt wielu słów. No a jak smakuje *kasilP*.

- Prawdę mówiąc nie takie złe.

- Chodzi o to, że oni mają dość oryginalną technologię doprowadzania tego napoju do fermentacji. - Ash odchylił głowę do tyłu i wypił resztę ze swojego kubka. Stara Indianka podeszła natychmiast, wzięła od niego pusty kubek i kazała stojącej obok młodej dziewczynie znów go napełnić.

- Zamiast używać roztworu drożdży, oni do tej fermentacji wykorzystują bakterie z własnej śliny - dokończył Ash.

Corey właśnie zdążyła wypić ostatni łyk.

Patrzyła teraz na niego ponad wciąż trzymanym w dłoni kubkiem i miała nadzieję, że znów kłamie. Czy on nigdy nie potrafi być poważny? Zauważyła rozbawienie w jego szarych oczach i zmarszczki pojawiające się przy tym w kącikach ust. Najpewniej odgrywał się teraz na niej za to, że nawymyślała mu od dobrych i humanitarnych.

- To szczerza prawda - powiedział. Roześmiał się i wziął z rąk Indianki swój ponownie napełniony kubek.

- To znaczy, że oni do tego... plują?! - musiała to w końcu wiedzieć.

- Tak, oczywiście. Podczas spotkań waszego kółka parafialnego z pewnością wymieniacie recepty potraw i napojów. Ale gotów jestem się założyć, że nie było jeszcze takiej, która zaczynałaby się od słów: - Weź filiżankę plwociny...

- Nie - odpowiedziała zaskakująco spokojnie. Postanowiła, że nie sprawi mu przyjemności i nie okaże obrzydzenia. A nawet udowodni mu, że i ona potrafi w razie potrzeby żartować na tym samym poziomie. - O ile pamiętam, w tych receptach mówiło się co najwyżej o jednej lub dwóch łyżeczkach.

Iskierka w jego oczach rozbłysła na moment i Corey przez króciutką chwilę poczuła coś w rodzaju absurdałnej wspólnoty. Ale jego spojrzenie już się przeniosło na gromadzących się na polanie Indian. Było ich coraz więcej, a Corey dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że hałaśliwa dotąd grupa nagle przycichła.

Barari zaczął coś mówić, zwracając się do panny młodej i pana młodego. W jego głosie słychać teraz było wyraźny zaśpiew i choć Corey nie była w stanie zrozumieć słów, to jednak wychwytywała ich melodyjność, coś w rodzaju melorecytacji, która wskazywała na dziesięciolecia, a może

i stulecia tradycji i wierzeń, utrwalonych w opowieściach i pieśniach kolejnych pokoleń Indian Czikao.

Wzdrygnęła się lekko, kiedy Ash niespodziewanie zaczął swym szorstkim i głębokim głosem tłumaczyć jej słowa Barariego prosto do ucha. Był tak blisko, że czuła jego oddech. - Wódz mówi, że bogowie są potężni, ale dżungla jest jeszcze potężniejsza. Teraz będzie opowieść o stworzeniu ludzi. - Ash jeszcze się przybliżył, jego klatka piersiowa otarła się o ramię Corey. - Indianie wierzą, że na początku była tylko dżungla. Potem w dżungli pojawił się syn nietoperza, przelatujący ponad ciemnościami, i zakochał się w córce drzewa; atote. Z ich miłości wzięli się pierwsi ludzie. Dżungli to się spodobało i dlatego uczyniła z mężczyzny płomień na niebie, który rozjaśnia dzień... a z kobiety podobny płomień, który rozjaśnia noc.

Corey słuchała z uwagą tej opowieści, dzięki której odczuła wprost fizyczne i intensywne życie dżungli, bicie jej serca. Słyszała pokrzykiwania małp, świergot i skrzeczenie ptaków i nigdy nie ustające brzęczenie miliardów i miliardów owadów. Mężczyzna leżący obok niej też pachniał dżunglą, ale i wnętrzem samolotu. Nagle znalazła się jakby w zaczarowanym świecie.

Barari skończył mówić, a zebrani odpowiedzieli mu chóralnymi, kilkakrotnie powtórzonymi okrzykami. Potem wszyscy zaczęli zbliżać się do ogromnej kadzi, pełnej *kosili*. Ceremonia zajęła nie więcej niż dwie minuty. Corey widziała stojących na środku nowożeńców, otoczonych przez mężczyzn i kobiety.

Teraz ludzie zaczęli tańczyć w rytm bębnów i piszczałek, wspomaganych dodatkowym hałasem, wywoływanym uderzaniem w puste tykwy i muszle. Napoje, z całą pewnością alkoholowe, lały się strumieniami. Wszyscy też z zapalem palili papierosy bez filtra, najpewniej dostarczone przez Asha. Jeszcze była w tym pewna tajemnicza magia, ale nastrój powoli się zmieniał. Zabawa stawała się coraz bardziej hałaśliwa, coraz bliższa niezrozumiałego szaleństwa.

Corey chciała zaproponować ulotnienie się stąd, bo z pewnością byli już wystarczająco długo, nawet jak na wymagania obowiązującej w dżungli etykiety. Jednak ku swemu strapieniu zorientowała się, że Ash gdzieś przepadł. Nie oznaczało to jednak, że brakowało jej męskiego towarzystwa.

Naprzeciwno usiadł młody czerwonoskóry mężczyzna i jednoznaczny ruchem wyciągał w jej stronę dłoń z kubkiem pełnym *kosili*.

Corey uśmiechnęła się lekko i potrząsnęła przecząco głową. I tak już kręciło się jej w głowie.

Młody mężczyzna przysunął kubek z napojem jeszcze bliżej. Nie rozumiała, co mówił, ale w jego głosie było natarczywe ponaglenie. Nie chcąc go dotknąć, przyjęła w końcu kubek. Nie miała zamiaru pić tego czegoś, co -jak się zbyt późno zorientowała - było nawet mocniejsze niż różne alkohole, jakie знаła. Trzymała więc kubek w dłoni i czekała, aż młody mężczyzna sobie pójdzie.

Ale on wcale nie myślał odejść. Przeciwnie, dał jej do zrozumienia, żeby opróżniła kubek. Nastawał tak zdecydowanie, nawet natrętnie, że Corey w końcu uznała, iż lepiej już to wypić, niż ściągnąć na siebie nieżyczliwą uwagę całego plemienia. Odetchnęła więc głęboko, podniosła kubek do ust i wypiała jego zawartość, mając nadzieję, że Indianin nie zauważył, jak jej się odbiło.

Spodziewała się, że to go zadowoli i że na tym cała sprawa się skończy. Tak się jednak nie stało. Młody mężczyzna wziął z jej rąk pusty kubek, ale nadal trwał naprzeciwko niej nieruchomo i było oczywiste, że jeszcze czegoś od niej oczekuje.

Nie miała najmniejszego pojęcia, o co mu idzie.

Przeraziła się jeszcze bardziej, gdy mężczyzna chwycił ją za rękę, pokazując, żeby wstała. Zastanawiała się, czy nie będzie przesadną reakcją, jeżeli zacznie wrzeszczeć, ale na szczęście pojawił się Ash.

- Gdzie się pan podziewał? - zapytała Corey z wyraźną ulgą, ale i niepokojem. Popatrzyła na Asha, a potem znów przeniosła wzrok na stojącego przed nią młodego Indianina. Ten puścił już jej rękę, ale nadal nie ruszał się z miejsca.

- Musiałem trochę przypudrować sobie nos - oświadczył Ash. Spojrzał na nią, spoważniał i zapytał o coś Indianina, który zmarszczył brew i odpowiedział coś w swoim języku.

- Nie wiem, co pani tu zmalowała, Lilijko. Ale Takari z jakiegoś powodu uważa, że umówiła się pani z nim na dziś wieczór.

- Coo?! - wybuchła Corey.

- I nie ma to być pójdzie do wesołego miasteczka na partyjkę minigolfa czy na pizzę z peperoni i z pożegnalnym całusem w policzek na dobranoc. Ten młodzian ma nadzieję pieścić panią w pozycji horyzontalnej.

- Niech mu pan powie, że nie jestem zainteresowana - oświadczyła, na wszelki wypadek chwytając ramię Asha obiema rękami. - Proszę mu powiedzieć, żeby mnie zostawił w spokoju!

- Z tym mogą być pewne kłopoty. Widzi pani, oni nie słyszeli tu nigdy o prawach kobiet. Feministki z waszego ruchu wyzwolenia tak daleko na południe jeszcze nie docierają. Zobaczą, co da się zrobić.

Corey nieświadomie jeszcze mocniej zacisnęła dłoń na ramieniu Asha, który starał się wytłumaczyć młodemu mężczyźnie, o co chodzi.

Ale ten przecząco potrząsał głową, a na jego twarzy malował się upór.

- Nie zgadza się, ale może uda mi się go namówić na handel wymienny. Zamiast pani coś o podobnej wartości.

Ash sięgnął do kieszonki na piersi i wyjął z niej dopiero co otwartą paczkę papierosów razem z nowiutkim kartonikiem zapalek. Indianin pochwycił jedno i drugie, ale nie dał za wygraną.

- A jeżeli dorzucę to? - Ash wskazał na czapeczkę, jak zawsze zsuniętą na tył głowy.

Indianin nadal kręcił przecząco głową.

- No a okulary słoneczne? Człowieku, ty nawet nie wiesz, że te szkła są polaryzowane! - Ash westchnął zniechęcony. - Wygląda na to, że jest pani cenniejsza, niż sądziłem, Lilijko. - Ash najwyraźniej zdecydował się na podniesienie stawki. Sięgnął głębiej do kieszeni wystrzępionych džinsów i z triumfem wyciągnął talizman w postaci pomalowanej na zielono króliczej łapki. Potrząsnął nią kusząco tuż przed oczami Takarięgo, którego spojrzenie z wolna zaczęło się rozjaśniać.

- Zdaje się, że mamy lekkie branie - powiedział Ash cichym głosem wędkarza, który widzi drgający nieznacznie spławik. Ale po chwili Takari odwrócił wzrok, a Ash westchnął głęboko z wyraźnym niesmakiem.

- A gdyby mu dać mój aparat? - zaproponowała Corey, przeklinając się w duchu za to, że nie potrafiła ukryć nutki hysterii w głosie. - Może go weźmie?

Ash potrząsnął głową. - Nie taki. Gdyby to był polaroid, to może.

Corey nie zdawała sobie sprawy, że przez cały czas kurczowo trzyma go to za ramię, to za bark, szarpiąc i niemal urywając rękaw jego podkoszulka. W szarych oczach Asha pojawiło się dziwne światło. - Niech pani uważa, Lilijko. Narozrabiała pani, ale uszy do góry! - Ostrożnie, jakby ów



podkoszulek był jego najlepszym strojem wyjściowym, uwolnił maltretowaną bawełnianą tkaninę z jej zaciśniętych palców. - Pogniecie pani moją wieczorową koszulę.

Corey dopiero teraz zobaczyła ślady pognieceń zostawione na niej przy rękawach, a nawet na przodzie. - Bardzo przepraszam - bąknęła i spojrzała mu w oczy.

Ash przyjrzał jej się uważnie. - Niech się pani odpręży - powiedział i dość niezgrabnie poklepał ją po ramieniu. - Coś wymyślimy. - Potem znów spojrzał na jej wystraszoną twarz i wyraz oczu nagle mu się zmienił, jak gdyby jakaś myśl niespodziewanie przyszła mu do głowy. - Hej, Lilijko, ale pani chyba nie jest... To znaczy nie jest pani taką zupełnie białą lilią, prawda?

Dopiero po chwili zrozumiała, o jak bardzo intymne sprawy ją pyta.

- Ma to już pani za sobą, jak sądzę.

Corey pomyślała o tych iluś tam razach, kiedy była z Toddem... i o pustce, jaką czuła po tym wszystkim. Ale zanim zdołała wybąkać odpowiedź, Ash mówił dalej. - Zresztą moim zdaniem sam fakt utraty dziewictwa... - westchnął głęboko - ...jest zdecydowanie przeceniany.

Jak on mógł być tak niedelikatny? Czuła niesmak, ale znacznie silniejszy był teraz ogarniający ją zwykły strach. Może on wciąż nie zdawał sobie sprawy z powagi sytuacji? Czy w ogóle potrafił być kiedykolwiek poważny?

- Ja tylko żartowałem, Lilijko. Żartowałem.

- Ash, bardzo pana proszę...

Jeszcze raz uśmiechnął się do niej, potem jego twarz spoważniała. Brwi miał ściągnięte, widać było, że się nad czymś zastanawia. Jego oczy patrzyły gdzieś w przestrzeń ponad jej głową.

I ymczasem Takari najwyraźniej znudził się już tym oczekiwaniem na coś, do czego w jego przekonaniu miał pełne prawo. Chwycił Corey za rękę i pociągnął do siebie, tak że niemal oparła się o jego szeroką, pomalowaną na różne kolory pierś.

- Ash -jęknęła Corey, a jej oczy błagały o pomoc.

Wyglądało na to, że i do Asha wreszcie to dotarło. Uniósł obie ręce do góry. - W porządku, spokojnie! Bez nerwów! - Znów zaczął przeszukiwać kieszenie, podczas gdy Corey daremnie próbowała się wyswobodzić z nieustępliwego uchwytu Indianina.

Najwyraźniej z niemałymi wewnętrznymi oporami Ash w końcu wyciągnął z kieszeni czerwony, wieloczynnościowy scyzoryk, „nóż szwajcarskiej armii”. Otwierał kolejne ostrza, ustawiając je w rodzaj wachlarza i objaśniał wykorzystywanie i możliwości każdego z nich. - Duży nóż do krojenia i^ strugania. Mały nożyk, bardzo ostry, do przycinania. Otwieracz do konserw. Śrubokręt zwykły, śrubokręt krzyżowy. Korkociąg - bardzo przydatny przy otwieraniu szampana na waszych indiańskich przyjęciach. Aha, tu jeszcze pilnik do paznokci. A to do ryb, do zdzierania łuski.

Ash ujął teraz nóż dwoma palcami, żeby nie zasłaniać żadnego z rozłożonych ostrzy i narzędzi. - Cudo nie nóż, może nie?! - I żeby zademonstrować, jak ostre jest największe ostrze, paroma ruchami ogolił kawałek owłosionej skóry na przedramieniu. Nawet na Corey zrobiło to wrażenie.

Tym razem Ash musiał trafić w dziesiątkę, ponieważ Takari uśmiechnął się szeroko. Widać było, że już zapomniał o Corey, tak jak dziecko zapomina o starej zabawce, kiedy na Gwiazdkę dostanie nową.

Ash systematycznie zatrząskiwał kolejne ostrza, po czym przeniósł spojrzenie z wyciągniętej dłoni tubylca na nieco już odprężoną twarz Corey, która najwyraźniej nabrała otuchy. - Jest pani zupełnie pewna, że nie chciałaby spróbować...? - Parokrotne ruchy palca pokazywały, czego spróbować.

Corey spiorunowała go wzrokiem.

- A więc nie. Rozumiem, że jednak nie. - Ash zrobił zrezygnowaną minę i z efektywnym klaśnięciem położył nóż na wyciągniętej dłoni Takariego.

- Więc bierz go, koleżko.

- Zwrócę panu pieniądze - obiecała Corey. Indianin wreszcie poszedł sobie. Szedł szybko, z nisko pochyloną głową, przypatrując się nowemu nabytkowi.

Ash, podobnie jak ona, patrzył w ślad za tubylcem odchodzącym z jego nożem. Ale twarz Asha była teraz tak pełna żalu i rozgoryczenia, że Corey mimowoli poczuła się dotknięta.

- Nie, no na miłość boską! - wykrzyknęła. - Przecież to w końcu tylko zwykły scyzoryk! - A on zachowywał się tak, jakby nagle stracił najdroższego przyjaciela.

Ash przez chwilę milczał, potem kiwnął głową. - Taak. W sumie to była nienajgorsza transakcja. - Uśmiechnął się trochę krzywo, jednym tylko kącikiem ust. I nie było to ładne. - Kieszonkowy scyzoryk za pójście z kobietą.

Corey zavrzała gniewem. A jednak temu Asherowi Adamsowi brakowało czegoś podstawowego: ludzkiej wrażliwości. W sferze takich uczuć był po prostu analfabeta, krańcowo opóźnionym, jeżeli chodzi o formowanie się więzi międzyludzkich wyższego rzędu.

Gdy teraz do niego mówiła, jej głos był jednocześnie ostry i kruchy, jak pęknięte szkło. - Już panu powiedziałam, że za ten nóż zapłacę gotówką! A co do ceny za pójście z kobietą do łóżka, to może mi pan wierzyć, że z panem nie zrobiłabym tego nawet wtedy, gdybyśmy byli ostatnią parą na ziemi i gdyby od nas zależało przetrwanie ludzkiego gatunku.

- Na razie uciekajmy stąd jak najszybciej - przerwał jej, najwyraźniej nie dbając o jawne sprostowanie go jako mężczyzny. - Zanim ten czerwono-skóry Romeo nie zmieni zdania albo pani nie zacznie kusić jeszcze kogoś innego.

Corey już otwierała usta, żeby znów zaprotestować, ale w końcu zdała sobie sprawę, że wyklócanie się z nim jest bezcelowe. Ten człowiek uważał ordynarność i bezceremonialność za rodzaj sztuki. Taki był jego sposób bycia. Był mistrzem w tej dyscyplinie. Nie mogła więc z nim walczyć. Nazbyt przypominałaby małe dziecko wymachujące bezradnie piąstkami, podczas gdy silniejszy przeciwnik po prostu trzyma je za głowę w bezpiecznej odległości.

## *Rozdział dziewiąty*

Przez całą drogę powrotną nie odzywali się do siebie, nie licząc jego pomruków czy westchnień, które chyba nie miały nic wspólnego z indiańskim weselem. Corey zresztą nawet wołała to jego opryskliwe milczenie, bo jeśli kiedykolwiek coś do niej mówił, obojętne na jaki temat, to zazwyczaj było to coś, czego nie miała ochoty słuchać.

Gdy wreszcie dotarli do samolotu, Corey ze zmęczenia nie tylko kłuło w boku, ale i miała silny ból głowy.

Przytrzymując aparat, żeby nie uderzyć nim o kadłub, stanęła na stopniu skrzydła, otworzyła drzwi i weszła do kabiny. Siadła w fotelu, sięgnęła po leżącą obok płócienną torbę i po krótkim szukaniu znalazła buteleczkę aspiryny. Łyknęła dwie gorzkie, pachnące kredą tabletki i popiła je resztką wody z niebieskiego termosu.

Zakreśliła korek. Ash tymczasem wspiął się do kabiny bez słowa, zaniósł walizeczkę z lekarstwami do pomieszczenia bagażowego, wrócił i usiadł na fotelu obok niej. Sięgnął po końcówkę pasa bezpieczeństwa i wcisnął w gniazdko. Zaczep zaskoczył z metalicznym trzaskiem.

Wprawnie i szybko przełączał kolejne przyciski i dźwigienki na desce rozdzielczej. Potem nacisnął czerwony guziczek startera. Jedynym skutkiem był powolny, powtarzający się zgrzyt, przypominający trochę piłowanie. Spróbował jeszcze raz, ale silnik znów nie zapalił.

Ash trzasnął otwartą dłonią w półkolistą kierownicę. - Cholera!

Corey zastanawiała się, czy jeszcze kiedyś odezwie się do niej pełnym zdaniem.

Ash był wyraźnie wściekły. Rzucił w kąć czapeczkę, odpiął pas bezpieczeństwa, zgiął się w pół i wyskoczył z powrotem na ziemię, mruczając coś pod nosem na temat paliwa.

Corey wciąż jeszcze miała ból głowy, a teraz dodatkowo zaczęło ją mdlić. Próbowwała nie przyjmować tego do wiadomości i z ponurą miną patrzyła przed siebie, podczas gdy Ash szarpał się z pokrywą, a potem pochylił się nad silnikiem.

Po chwili wyszedł spod uniesionej maski i popatrzył na Corey poprzez szybę kabiny, upstrzoną setkami rozbitych o szkło owadów. Spoglądał tak niezyczliwie, jakby to wszystko, co się stało, było jej winą. - Przynieś mi skrzynkę narzędziową! - polecił.

Corey zasalutowała mu żartobliwie, żeby go trochę rozchmurzyć. Trzeba to przyjąć ze stoicyzmem, westchnęła w duchu, odpięła pas bezpieczeństwa i podniosła się z fotela. Aparat fotograficzny zostawiła na półce deski rozdzielczej.

Schyliła głowę i przedostała się do pomieszczenia bagażowego. Poszukiwanie zajęło jej trochę czasu, ale w końcu znalazła pod śpiworem coś, co wyglądało na skrzynię z narzędziami. Co gorsza, ważyło to chyba z tonę. Ta skrzynka nie mogłaby być cięższa, nawet gdyby ją napełnić ołowianym śrutem! To było prawdziwe narzędzie tortur, nie wykluczone, że Ash specjalnie je wymyślił, żeby jak najdotkliwiej waliło ją w uda przy każdym kroku i boleśnie obcierało skórę. Z najwyższym trudem przyciągnęła tę przeklętą skrzynkę do drzwi. Ani myślała dźwigać to świństwo na dół. Zamiast tego zepchnęła skrzynkę przez próg, aż ta walnęła o ziemię z głośnym hukiem.

Corey zeszła w ślad za nią. - Mam nadzieję, że nie ugrzęźliśmy tu na dobre, co? - Jej głos brzmiał lodowato, z dezaprobatą godną surowej przełożonej staroświeckiej pensji.

- Niech pani posłucha... - powiedział Ash. Podeszedł do skrzynki, przykucnął nad nią i otworzył wieko. - Nigdy nie mówiłem, że jestem królem przestworzy z telewizyjnych seriali. I na pewno nie jest ze mnie żaden Indiana Smith czy jak mu tam.

Dopiero po dłuższej chwili zorientowała się, o czym mówi. Prychnęła drwiąco. - Jones, proszę pana - poprawiła go bezlitośnie. - Indiana Jones.

- A więc widać, że nie byłem w kinie od czasu, kiedy przebojem był „Easy

Rider" - burknął Ash, co prawda raczej do skrzynki z narzędziami niż w jej stronę. Znalazł to, czego szukał, i wrócił do silnika. - Czterocalowy przedłużacz! - usłyszała po chwili kolejne polecenie. Niezbyt wyraźne, ponieważ nie chciało mu się nawet odwrócić głowy.

Miała ochotę go udusić, ale ponieważ martwy pilot mógłby okazać się jeszcze mniej przydatny niż żywy, westchnęła tylko i przykucnęła nad skrzynką z narzędziami. Podejrzliwie dotykając palcem wytłuszczonego metalu, przesuwiała na bok rzeczy leżące na wierzchu. Udało się jej rozpoznać tylko jakieś płaskościgi i kilka śrubokrętów. W końcu wyciągnęła kawałek metalu, który wydawał się mieć około czterech cali długości.

- To? - zapytała i pokazała mu, co znalazła.

Popatrzył na nią, a z jego szczupłej twarzy można było wyczytać niesmak i poirytowanie. - Nie, nie to! - powiedział. - To jest akurat przebijak. Kurczę blade, Lilijko! Nie wie pani nawet, jak wygląda czterocalowy przedłużacz do klucza zapadkowego?

Corey podniosła się znad skrzynki i wyprostowała z godnością. - Nie. - Poruszyła palcami i krytycznie przyglądała się pozdieranym naskórkom. - Minęło sporo czasu od chwili, kiedy ostatni raz naprawiałam silnik.

Ash ruszył gwałtownie w jej stronę, ale Corey bez lęku patrzyła na niego sponad oglądanych uważnie czerwonych paznokci. Zwłaszcza że zdążył już usmarować sobie nos na czarno i choćby z tej racji jego gniew wydawał się jakby mniej groźny.

- To! - Ash wyciągnął kawałek stali z wyprofilowanymi w kwadrat końcówkami. Przystawił go do jej oczu, tak blisko że mimo woli zamrugnęła i musiała się cofnąć. - To jest czterocalowy przedłużacz. Ten kwadratowy koniec pasuje do takiego samego gniazda w ręczce klucza zapadkowego. - Trzaśnięciem dłoni złączył obie części. - W ten sposób.

Po tej pogłądowej lekcji mechaniki stosowanej odwrócił się plecami i wrócił do maszyny.

Corey patrzyła, jak pochyła się nad silnikiem i bezwiednie obserwowała przez mokry od potu podkoszulek fascynującą grę napiętych mięśni jego szczupłych i mocnych pleców. I jeszcze te jego włosy, długie, zmierzwione, spadające aż na opalony kark! Wręcz proszące się o grzebień i nożyczki.

Aż szkoda, że z niego taki narwaniec.

A jednak - jeżeli miała być uczciwa przynajmniej wobec siebie samej

- było w nim coś, co na nią działało. Po prostu ciągnęło ją zwyczajnie do niego. Fascynował ją jego głos, ostry jak smak taniej whisky, który czasami tak niespodziewanie załamywał się na samym końcu zdania, a w niej nagle topniało serce. Instykt macierzyński, powiedziała sobie Corey. Stąd się bierze to, co czuję do tego wiecznego chłopca. Jeszcze jednego Piotrusia Pana.

Słumione przekleństwo wyrwało ją z tych rozmyślań. - Cholerna pompa paliwowa!

Zatrzasnął pokrywę silnika z takim hukiem, że aż metal jęknął, wrzucił narzędzia do skrzynki i zamknął ją kopnięciem.

Ból głowy Corey nie ustępował, ciągle też odczuwała jakieś nieprzyjemne sensacje żołądkowe. Teraz marzyła już tylko o tym, żeby wrócić do rezerwatu i wreszcie móc się położyć. - Potrafi pan ją naprawić?

Ash przeczesał palcami włosy, wsadził ręce do kieszeni džinsów i spojrzał w szybko ciemniejące niebo. Zrobił głęboki, pełen desperacji wdech i znów patrzył na nią tak, jakby miał jej coś za złe. - Pomp paliwowych się nie naprawia. Pompy się wymienia.

- Ach... - powiedziała Corey. I potem jeszcze dodała. - A ma pan nową?

- Oczywiście. Mam nową pompę.

Corey odetchnęła z ulgą.

- Ale w domu. W San Reys.

- To znaczy... Chce pan powiedzieć, że ugrzęźliśmy tutaj na dobre?

- Wciąż nie chciała w to uwierzyć.

- Dokładnie tak. Ugrzęźliśmy.

Poczuła się bardzo zmęczona, przetarła oczy. - I co teraz zrobimy?

- No cóż. Gdybym był sam, pewnie mógłbym dojść do rezerwatu w jakieś sześć godzin. Ale z panią... - potrząsnął głową. - To trochę tak, jakbym taszczył ze sobą na łańcuchu żelazną kulę od kajdan, jak to pokazują w starych filmach.

Corey natychmiast zapomniła o bólu głowy i dolegliwościach żołądkowych. Przyjęła postawę obronną, ręce na biodrach, nogi rozstawione. - Zechce pan zauważyć, że to nie ja jestem winna, iż znaleźliśmy się w tak idiotycznej sytuacji. To nie ja zwlekałam z założeniem nowej, sprawnej pompy. I to nie ja doprowadziłam ten samolot do takiego stanu, że za chwilę wszystko się w nim może rozlecieć. Czy w ogóle słyszał pan kiedykolwiek o czymś takim, jak przeglądy i konserwacja?

Podeszła pod tę część kadłuba, w której mieścił się silnik i wzięła na koniec palca spływającą po metalu gęstą tłustą kroplę. - A to co? - spytała, oskarżycielsko wyciągając w jego stronę umazany na czarno palec. - Brudniejsze niż smoła, którą diabli palą w piekle. Kiedy ostatni raz raczył pan zmieniać olej, drogi panie pilocie? - Jej głos ociekał sarkazmem. - Założę się, że pan nawet nie pamięta.

Ash patrzył na nią, a Corey wyciągnęła rękę i otarła brudny palec o jego klatkę piersiową, pozostawiając długi czarny ślad. - Niech mnie diabli, jeżeli wiem, dlaczego w ogóle wsiadłam do tego rżęcha razem z panem. Chyba musiała to być chwilowa utrata poczytalności. Gorączka tropikalnej dżungli - zawróciła na pięcie i ruszyła przed siebie.

- Dokąd się pani, u diabła, wybiera?

Zwolniła, odwróciła się, popatrzyła na niego i nie spodobało się jej to, co zobaczyła. Pomyślała, że może jednak posunęła się za daleko.

Ash skrzyżował ręce na piersiach, usta miał zaciśnięte w dziwnym, okrutnym grymasie, a w oczach czaiły się pioruny wzbierającej burzy. Od pewnego czasu przestała się go bać, ale teraz znów poczuła lęk.

Ale też tym wyżej uniosła podbródek i oświadczyła: - Wracam do San Reys.

Potrząsnęła głową, a jego krzywy uśmiech teraz już naprawdę ją przerażał.

- Mowy nie ma. - Pokazał palcem na niebo. - Za piętnaście minut będzie ciemno jak u Murzyna... Zresztą San Reys jest na wschód stąd, nie na północ.

- Opuścił ręce i ruszył w jej stronę, najwyraźniej zamierzając ją zatrzymać.

Corey rzuciła się do ucieczki, ale nie była dość szybka. Opalona na brąz ręka dosięgła jej niemal natychmiast, długie ciemne palce chwyciły ją za ramię i zmusiły do odwrócenia się w miejscu, tak że znów stali twarzą w twarz.

- Będziemy musieli poczekać do rana. Ja i pani. Pani przecież nie ma nic przeciw temu, prawda? - Jego głos był teraz niepokojąco miękki, prawie jedwabisty. Jak sam grzech, jak cień przemykający w półmroku. - Zwłaszcza jeśli uwzględnimy, że zapłaciłem za panią. Scyzoryk za kobietę, pamięta pani o tym? Ma pani wobec mnie dług.

- Rany boskie, jak ja pana nienawidzę - powiedziała przez zaciśnięte zęby i próbowała kopnąć go w kostkę.

Ale Ash zręcznie tego uniknęła. Daremnie chwyciła go za nadgarstki i próbowała wyrwać swe ramiona z mocnego uchwytu męskich dłoni. Trzymały ją tak mocno, jakby były przyspawane. - Niech mnie pan



natychmiast puści! - zażądała. - Już naprawdę wolałabym być z tym Takarim, bo on przynajmniej nie zdaje sobie sprawy, że robi coś złego. A pan z całą świadomością chce mnie zgwałcić. Tak, zgwałcić!

Usłyszała, jak głośno wciągnął powietrze, ale uścisk trzymających ją rąk nie stał się ani odrobinę luźniejszy.

- I kto to mówi z takim przekonaniem?! Zakłamana mała obłudnica. Już zapomniałaś o tym, co było wczoraj? Jak jęczałaś pode mną niczym rozpalona, głodna seksu kotka? Jak bardzo wtedy tego chciałaś... właśnie tego, może nie?

Corey aż pobladła, dotknięta tym mocniej, że przecież w tych urągliwych i brutalnych słowach była prawda. Ile razy jeszcze będzie się musiała wstydić tego, że jej ciało tak zareagowało wtedy na jego ciało, na tę bliskość, męskość...

Zrezygnowała z daremnych prób rozginania mu palców i tylko coraz szybciej młóciła drobnymi białymi piąstkami tę szeroką klatkę piersiową. - Ty okrutny, sadystyczny sukinsynu!

Rozdygotana i dogłębnie zraniona, dopiero po dłuższej chwili zdała sobie sprawę, że po jej twarzy spływają łzy. Płakała! Ona, Corey McKinney, która za punkt honoru miała, żeby nikt nigdy nie widział jej łez! Nie życzyła sobie, żeby ktokolwiek oglądał ją płaczącą, ale też nie przydarzyło jej się nic podobnego od niepamiętnych lat. A teraz to zwierzę, ten rozpustnik bezkarnie przyglądał się jej swoimi przekłętymi oczami i widział, jak słone strumyczki spływają po jej policzkach, aż na szyję, a ona nic nie może na to poradzić! Zbyt była zapłakana, żeby dokładnie ujrzeć wyraz jego twarzy. Ale nie musiała go widzieć, żeby być pewną, że patrzy na nią z drwiącym lekceważeniem, a może nawet z pełną pogardy satysfakcją.

Kolejny raz poczuła te same sensacje żołądkowe, które dolegały jej już od jakiegoś czasu. Teraz jednak było to znacznie gwałtowniejsze, nagle poczuła się naprawdę chora. Zdażyła jęknąć i zupełnie niespodziewanie cała dzungla wokół niej zachwiała się, zawirowała, wszystko dookoła stawało się coraz bardziej mgliste. Jej ciało nagle zrobiło się straszliwie ciężkie i Corey, zamiast się wyrwać, nagle uchwyciła się żelaznych ramion tego człowieka, żeby nie upaść na wyschniętą ziemię.

- Czyżby to było owo słynne omdlenie dziewicy? - usłyszała jego spydczy głos.

Jeszcze próbowała spojrzeć na niego z góry i powiedzieć mu coś, co poszłoby mu w pięty, ale język już jej nie słuchał, a obraz tego, co ją otaczało, stawał się zupełnie rozmazany. Im bardziej starała się nad tym zapanować, tym gorzej jej to szło, aż w końcu poddała się i zamknęła oczy.

- Lilijko?! - dobiegł ją jego głos.

Czy to możliwe, że w tym szorstkim głosie dał się teraz słyszeć niepokój? Akurat! Prędzej śnieg zacznie padać nad Amazonką, niż Asher Adams zatroszczy się o nią.

- Co się, u diabła, z tobą dzieje?

Jej żołądek. O Boże, te mdłości! czuła się tak strasznie chora... I bała się otworzyć usta, lękając się, że natychmiast wymiotuje.

- Corey! - Potrząsał nią, aż w końcu poruszyła głową, choć oczy dla pewności miała nadal zamknięte.

- Proszę mnie... zostawić... - zdołała wykrztusić ochrypłym głosem. - Ja... ja bardzo źle się czuję... - Jej głos był coraz cichszy i coraz mniej wyraźny.

Podniosła ręce do twarzy, a jej delikatne palce drżały jak w gorączce. Zdziwiła się, że czoło ma lepkie i pokryte kroplami potu. I natychmiast poczuła, że jej dłonie stają się straszliwie ciężkie, cięższe niż ta cholerna skrzynka z narzędziami. Kolana ugięły się pod nią i byłaby upadła, gdyby Ash nie pochwycił jej, obejmując ją lewym ramieniem.

Potem poczuła jeszcze, jak jego mocna ręka chwyciła ją za podbródek.

- Otwórz oczy! - zażądał kategorycznie.

- Nie... ty... ty świntuchu!

W ustach czuła słony smak własnych łez i jak przez mgłę przypominała sobie, że źle się wobec niej zachował. Zawsze źle się wobec niej zachowywał. Może z wyjątkiem...

- Otwórz oczy, do cholery!

Jak ktoś, kto słyszy rozkaz w hipnotycznym śnie, otworzyła oczy wbrew własnej woli. Świat wokół niej wydawał się przekrzywiony, a jego obraz rozmazany, głównie przez łzy, ale zdołała rozróżnić krwistoczerwony blask nieba na zachodzie i pochylone nad nią oczy koloru stali.

Pokancerowany bliznami palec Asha przesunął się najpierw po jednym, potem po drugim jej policzku, ścierając wilgotne ślady łez. - Kurczę blade! - mruknął na w pół do siebie. - W ten sposób nawet nie mogę dobrze obejrzeć tęczówek. Corey! Corey, słyszysz mnie? Obudź się!

- Nie po... nie potrząśnij mną... Wtedy czuję się jeszcze... gorzej. Mam chorobę mor... morską. Rozumiesz? Muszę się położyć... Położyć...

- Odpowiedz mi, a potem natychmiast się połóżysz. Dobrze?

Niespodziewanie jego głos był teraz poważny jak nigdy dotąd, a ona sama nagle zapomniała, że jest na niego obrażona. Kiwnęła potakująco głową, mimo woli uderzając czołem w jego piersi. Niejasno zdała sobie sprawę, że czuje się jakoś pewniej i bezpieczniej w tych ciasno obejmujących ją ramionach.

- Chcę, żebyś uważnie pomyślała. Przypomnij sobie, może cię coś ukąsiło, jakiś owad, robal, cokolwiek. A może dotykałaś czegoś, kiedy wracaliśmy do samolotu? Pomyśl. Dotykałaś czegoś? Mógł to być jakiś chrząszcz albo na przykład kłujący liść... albo gąsienica? - W jego głosie słychać było napięcie.

- Przypominasz sobie? - Znów nią potrząsnął. - Spróbuj się pozbierać i pomyśl, Corey. To może być bardzo ważne.

Podobało się jej, kiedy nazywał ją jej imieniem. To było o wiele miłsze niż Lilijka. Za często szydził z niej, kiedy nazywał ją Lilijką. Potrząsnęła głową i w jej czaszce nagle wszystko zahuczało, miała wrażenie, że jakieś ciężkie fale walą tam w środku w skalisty brzeg. - Może... może wypiałam trochę za dużo tego... tego obrzydliwego świństwa... - Wzdrygnęła się, przypominając sobie napój, który przyniósł jej Takari.

- To nie mogło wywołać aż takich skutków. Wypiłaś tylko jeden kubek - Pstryknięciem palca strącił moskita, który przysiadł na jednej z jej ściągniętych w namyśle brwi. - Po jednym kubku nie poczułabyś się aż tak źle.

Corey potrząsnęła głową przecząco, starając się zrobić to znacznie ostrożniej, ale i tak niewiele to pomogło. Znów miała poczucie, że wewnątrz jej czaszki przetaczają się potworne fale. - Dwa... wypiałam dwa... kubki. Ta... Takari zmusił mnie, żebym... wypiała jeszcze jeden. - Umęczona głowa znów opadła bezwładnie na jego pierś.

W środku czaszki wciąż huczał ocean. Potem coś się zmieniło. Zaczęła coraz wyraźniej słyszeć głębokie, rytmiczne uderzenia czyjegoś serca. Tuliła się więc do tego serca.

To było przyjemne. Nawet bardzo przyjemne. Już prawie nie czuła żadnych sensacji żołądkowych, tylko jakieś ciężkie, obezwładniające ciepło, które nagłą falą zaczęło rozplływać się po wszystkich częściach krańcowo osłabionego ciała. Gdyby Ash nie trzymał jej w ramionach, teraz już na pewno rozkleiłaby się i upadła na ziemię.

- No to nic dziwnego, iż Takari uważał, że na tę noc należysz do niego.

Głos Asha wydawał się jej trochę dziwny. Jakby zdyszany po szybkim biegu, albo... jak gdyby starał się usilnie powstrzymać się od śmiechu. To ostatnie wydawało się nawet bardziej prawdopodobne.

- No tak, sama rozkosz dla farmaceutów! - Jego głos dobiegał gdzieś z głębi klatki piersiowej, tuż pod jej uchem. - Tu naprawdę można znaleźć wszystkie narkotyki, jakie tylko są możliwe, a nawet i niemożliwe. Mają specyfiki na wszystko. A co do ciebie, to - uwzględniając skłonności plemienia Czikao do uciech cielesnych i orgii po zażyciu indiańskich narkotyków - najpewniej dostałaś do wypicia *kosili* ze sporą porcją afrodyzjaku. Na powitanie z Amazonką poczęstowano cię czymś w rodzaju „hiszpańskiej muchy”. I stąd to wszystko!

Corey nie była w stanie określić dokładnie, w którym momencie zdała sobie sprawę, że jej mózg już nie funkcjonuje z normalną sprawnością. Myśli były raczej zamglone, chociaż coś tam do niej docierało. Jej umysł z najwyższym wysiłkiem starał się ogarnąć to, co jej powiedział. Ale teraz była w stanie przyjąć tylko jedną myśl na raz. A tą jedyną myślą było to, że z jakiegoś powodu Ash odzyskał dobry humor, który przedtem stracił właśnie przez nią.

- To po prostu niesłychane! - Ash odchylił głowę do tyłu i śmiał się tak, że aż spłoszone stadko ptaków zerwało się z sąsiedniego drzewa. Wciąż nie mógł złapać tchu. - Kurczę blade, Lilijko! - wykrztusił. - Ty jesteś po prostu naćpana!

## *Rozdział dziesiąty*

Nie powinien się z niej śmiać. Ale to wszystko nagle wydało mu się tak cholernie zabawne. Ta panienczka przez cały czas zadzierała nosa, usiłując nie przyjmować do wiadomości, że w końcu ich ciała - czy chcieli tego, czy nie chcieli - jakoś tam przemawiały do siebie nawzajem przez cały czas. Niejeden raz udało mu się spostrzec, jak patrzyła na niego tym swoim spojrzeniem zadziwionej łani. O, doskonale zdawał sobie sprawę, o co jej chodziło! Starła się odgadnąć, jaki jest, co tak naprawdę jest tam w nim, w środku. I co sprawia, że ich ciała - jak się okazało - aż tak do siebie pasują. On oczywiście mógłby jej to wytłumaczyć jednym słowem: seks. Po prostu! Człowiek jako gatunek w końcu także jest zwierzęciem, a zwierzęta mają wynikające z instynktu potrzeby. W tym najbardziej pierwotną potrzebę spółkowania.

A jeśli chodzi o Corey, to teraz żaden pierwotny zew chyba do niej nie docierał. Nawet przeciwnie, wyglądało na to, że za chwilę zemdleje.

Ash lewą ręką podtrzymał jej plecy, prawą podłożył pod zgięcie kolan i podniósł do góry. A jej dwie drobne jak u dziecka ręce uniosły się i ufnie objęły go za szyję. Szczupłe ciało przylgnęło do niego jeszcze mocniej.

No tak. Po prostu wspaniale! - pomyślał z sarkazmem.

Teraz niósł ją w gęstniejącym miękkim mroku, kierując się w stronę odległego o kilkanaście kroków samolotu. I starał się nie zauważać napięcia, które niemal fizycznie poczuł w piersiach, w sercu. Nie mówiąc już o innych, bardziej jednoznacznych napięciach.

Powinien był bardziej na nią uważać, oczywiście. Ale kto mógł przypusz-

czać, że biała kobieta pozwoli sobie wmusić to zaprawione afrodyzjakiem *kosili* niczym szklanę Mickey Finna, amerykańskiej wódki z narkotykiem. Teraz już był pewien, że w kubku, który dał jej Takari, było to, co tubylcy pieszczotliwie nazywają „napojem spółkowania”. Zazwyczaj taki napój przygotowywano dla panny młodej, po której - przynajmniej w zasadzie - należałoby się spodziewać, że pozostała wstydliwą dziewicą. Ale dawano ten napój również i innym kobietom, zwłaszcza jeśli nie było w pobliżu nikogo z rodziny, kto mógłby zaprotestować przeciw rozluźnieniu seksualnemu. Prawdę mówiąc, większość tubylców, zarówno mężczyzn jak i kobiet, miała hyzia na punkcie najzwyczajszego kopulowania. Ash w każdym razie podejrzewał, że jeżeli w wieku powyżej lat trzynastu ktoś tu jeszcze mówił o dziewictwie, to wyłącznie dla podtrzymywania ducha dawnej tradycji.

W końcu nie dalej jak miesiąc temu taka właśnie „dziewica” z dzisiejszej uroczystości, gdy tylko na chwilę znaleźli się sami, niedwuznacznie rzuciła się na niego, nie mówiąc już o tym, że przy tej okazji niemal w strzępy podarła na nim ubranie, twierdząc, że chce zobaczyć, co on ukrywa w spodniach. Co prawda nie nazywała tego spodniami, tylko „bambusami, w które on wkłada nogi”. Udało mu się wyrwać z jej oszalałych uścisków dopiero wtedy, gdy zagroził, że powie jej ojcu. Ten z kolei, by zachować twarz, musiałby sprawić córce publiczne lanie. Zachowanie twarzy było dla tubylców sprawą ogromnie ważną.

Nim Ash doszedł do samolotu z niesioną na rękach dziewczyną, kłębiła się nad nimi cała chmara żądnych krwi moskitów. Słońce już dawno zaszło, z mokradeł napłynęła ciężka mgła, leżąca już prawie na samym poszyciu. Księżyc był niemal w pełni, ale wkrótce i on miał zniknąć, zasłonięty gęstniejącymi białymi oparami. Zapadała prawdziwa noc dżungli nad Amazonką - kompletnie czarna, bez najmniejszej nawet odrobiny światła. Tak zresztą było lepiej. Ciemna noc to mniej owadów.

Unióś dziewczynę odrobinę wyżej i stanął z nią na stopniu skrzydła. Teraz jeszcze wyraźniej czuł jej ciepłe ciało w swoich ramionach. Jej oddech delikatnie łaskotał mu szyję, przez podkoszulek czuł kragłość lewej piersi, przyciśniętej niemal do jego klatki piersiowej. Mógłby nawet przysiąc, że przez dwie cienkie warstwy tkaniny czuł uginający się sprzężycie czubek drobnej sutki.

Nawet nie próbuje o tym myśleć, ostrzegł sam siebie. Ona miała rację,

podejrzewając, że musi być szajbnięty. W każdym razie na pewno zaczynał czuć się jak szajbus, kiedy ona zaczynała płakać. Najgorsze było, że właściwie chciał ją ukarać, chciał, żeby ją zabolalo.

Udało mu się podtrzymać jej ciało nogą zgiętą w kolanie, sięgnąć drzwi kabiny i wejść do środka.

Był wkurzony, ponieważ w końcu oddał Takariemu scyzoryk, który był prezentem od Luke'a. A to znaczyło dla niego bardzo wiele. Tymczasem Corey wcale nie zamierzała przestać mu dokuczać i nawet wręcz się czepiać. Nazwała jego samolot rżechem. A on przeszedł z tym samolotem niejedno, sam czuł się w jakiś sposób jego częścią, więc kiedy dyskredytowano jego maszynę, dyskredytowano także i jego.

Nigdy jednak nie chciał, żeby płakała. Kiedy zobaczył, że jej brązowe oczy zaczynają się napełniać, a potem i przepełniać łzami, rozpaczliwie chciał cofnąć wszystko, co powiedział. Cofnąć każde podłe i nikczemne słowo. Tak, to prawda, niewiele było trzeba, żeby zrobić z niego wzorcowego sukinsyna.

Posadził dziewczynę w fotelu, a ta półprzymkniętymi wyczuła jego imię.

- Poczekaj tu - szepnął i delikatnie odchylił palce jej dłoni, wciąż obejmujące jego kark.

Dlaczego, u diabła, powiedział to szeptem? Za bardzo się tym wszystkim przejmował i zdenerwowało go to. - Spróbuję zrobić posłanie, żebyś mogła się położyć.

Zanim udało mu się wnieść ją do środka, dookoła zapadła ciemność. A mało rzeczy może być ciemniejszych od ciemności nocy nad Amazonką, zwłaszcza kiedy napłyną nisko idące chmury, całkowicie zasłaniające księżyc i gwiazdy.

Sięgnął ręką pod siedzenie pilota w poszukiwaniu latarki, którą położył tam chyba parę miesięcy temu. W końcu znalazł ją i przesunął zardzewiały przełącznik. Ku jego zaskoczeniu latarka działała, choć wąski promień, który pojawił się z reflektorka, był żółtawy, słaby i zdawał się z najwyższym trudem przebijać ciężkie powietrze, rzucając wokół dziwaczne cienie.

Ash położył latarkę obok siebie na podłodze i zaczął przestawiać różne rzeczy, żeby zrobić trochę miejsca. Przesuwane pakunki i skrzynie zgrzytały o metalowe dno kadłuba samolotu.

Ona w ogóle nie powinna była tu przyjeżdżać, pomyślał po raz nie wiadomo który. W tym momencie czubkami palców wyczuł plastikowy

zamek śpiwora i przyciągnął go do siebie. Powinna była zostać w domu, w swoim miasteczku czy osadzie i robić szydełkiem serwetki albo koronkowe narzuty, które starsze panie tak lubią kłaść na stołach, kanapach i w ogóle na wszystkim, co tylko jest w pobliżu i co się nie rusza. Powinna była zostać w domu, a jeśli już coś miałyby kochać, to najlepiej uroczą grządkę afrykańskich fiołków w przydomowej szklarni.

Rozpiął śpiwór i rozłożył go na podłodze, potem sięgnął po poduszkę. Oczywiście nie miała poszewki, ale w końcu to nie hotel... a on nie jest żadną cholerną pokojówką. Rzucił poduszkę tam, gdzie powinna leżeć, z irytacją poprawił zagięty róg pościelenia i wreszcie podniósł się, uważając, żeby nie uderzyć głową w metalowy sufit.

A jednak gdyby teraz wykorzystać sytuację, nie byłoby to nic innego niż gwałt. I to niezależnie od tego, czy ona by go o to prosiła, a nawet błagała. Na pewno będzie go błagać, powiedział sobie, kierując się w stronę swego miejsca w kabinie. W końcu od czasu do czasu zdarzało mu się oglądać takie indiańskie wesela i już wiedział, że działanie tego właśnie narkotyku ma trzy stadia. Ona teraz była spokojna, ale to był taki spokój, jaki na krótko pojawia się przed wybuchem oka cyklonu. Już za chwilę mogło się zacząć następne stadium, którego naprawdę się obawiał.

Szybko zdał sobie sprawę, że próba przenoszenia na rękach rozgrzanej i seksualnie podnieconej kobiety z ciasnej kabiny do jeszcze ciaśniejszego pomieszczenia bagażowego to niekoniecznie to samo, co wspólny spacer w parku. Przecież z przemieszczaniem się w tym samolocie było wystarczająco dużo kłopotów nawet wtedy, gdy próbowała poruszać się tam jedna osoba, i to w normalnych, dużo mniej ekscytujących okolicznościach.

W końcu udało mu się jakoś ułożyć ją na śpiworze i mógł spróbować znów rozprostować plecy.

- Nie odchodź - szepnęła nieco ochrypłym głosem i przyłgnęła do niego całym ciałem, które teraz znów było rozpalone, miękkie i omdlewające.

Łagodnie, ale stanowczo wyswobodził się z jej objęć. - Będę spał w kabinie.

- Nie idź.

Nagle ogarnęła go prawdziwa panika. Z najwyższym wysiłkiem opanował się, zabraniając sobie zwłaszcza jakichkolwiek sentymentów. Kurczę blade, jak to się dzieje, że młoda kobieta może tak wyglądać? A tak właśnie wyglądała. Tak cholernie pociągająco i tak niewinnie jednocześnie. Kwintesen-



cja seksu. Te ciemne, sennie oczy, w których odbijało się światło. Oczy, które były teraz pełne obietnic... słodkich obietnic namiętnej, gotowej do rozbudzenia kobiecości. Jej wargi były wilgotne i rozchylone, jakby zapraszały go, żeby...

A może on po prostu dopiero co umarł i teraz diabli w ten sposób się nad nim znęcają? Tak, to z pewnością tak właśnie musiało być. Bo chyba tylko szatan mógł wymyślić równie sadystyczną torturę, w postaci tego tak cudownego ciała, chętnego i błagającego, by je kochać. Ale za tym kryła się pułapka - moralna pułapka.

Nie, tak jednak nie wolno. Tak, jak nie wolno startować, kiedy wiatr wieje od strony usterzenia, jak nie wolno iść do dżungli bez szczepionki przeciwjadowej. I jak nie wolno grać w pokera z kimś, kto nawet dobrze nie zna kart.

Najbardziej denerwowała go świadomość, że nie było z tego dobrego wyjścia, że cokolwiek zrobi, zawsze będzie to wyglądało źle. Kiedy rzecz dochodzi do seksu, zawsze wina spada na faceta. I co z tego, że teraz gotowa byłaby nawet czołgać się i chwytać go za nogi. Przyjdzie rano i na kogo wtedy spadnie cała ta cholerna odpowiedzialność, gdyby teraz ustąpił i posłuchał jej próśb?

Na niego.

A on mógł być taki czy owaki, ale na pewno nie był żadnym pieprzonym gwałcicielem. Co to, to nie.

- Leż i śpij - powiedział. Niemal brutalnie odepchnął jej dłonie i pospiesznie się podniósł. Przeszedł do przodu samolotu i tam osunął się w fotel pilota.

Powietrze wokół wydawało się przepełnione brzęczeniem dziesiątków tysięcy drobnych owadów. Od czasu do czasu jakiś większy chrząszcz spadał w stronę światła latarki niczym nurkujący bombowiec i rozbijał swój chitynowy pancerzyk o szybę samolotu.

Ash zapalił papierosa, po czym zgasił latarkę. No i znów wtrąciło się to moje sumienie, powiedział sobie, patrząc na jarzący się w ciemności koniec papierosa. Starał się nie słyszeć lekkich poruszeń tam w głębi, za jego plecami. Tak to blisko, a jednak tak cholernie daleko.

A może ona zemdleje od tego wszystkiego? Byłoby lepiej i dla niego, i dla niej. Zaciągnął się jeszcze raz, zgasił niedopałek i odchylił się głębiej w fotelu. Przymknął obolałe, zmęczone oczy. Lepiej jednak zrobi, jeżeli będzie czuć. Tyłko przez chwilę trochę sobie odpocznie.

Walczył z ogarniającą go sennością, ale w końcu nie dał jej rady. Za dużo było kolejnych nie przespanych nocy, a jeszcze dołączyła się malaria, zawsze wierna, zawsze gotowa skrycie odbierać mu siły. Jego myśli stawały się coraz mniej posłuszne, przyplływały i odpływały niczym gasnące fale. Pomyślał nagle o psie. Nie powinien był zostawiać Bobbie'ego w San Reys. Ale znowu Indianie nie rozumieją białego człowieka, który trzyma psa do towarzystwa. Zdaniem tubylców pies najlepiej nadaje się na pieczeń. A Elwira? Elwirę przecież trzeba wydoić. Jak się jej nie doi, może dostać zapalenia wymion. I jeszcze kury... też powinno się je nakarmić...

Przez większość czasu Ash nie śnił. Po prostu trochę go nie było, jak po przedawkowaniu. Ale potem zaczęło mu się coś śnić, i ten sen był przyjemny. Naprawdę bardzo przyjemny. Chciałby mieć takie sny codziennie. A gdyby miał je codziennie, to z pewnością nie chciałby się w ogóle budzić.

Było potwornie gorąco, to mu jednak nie przeszkadzało. Lubił gorąco. Zwłaszcza kiedy pochodziło od tak pięknego ciała.

Coś miękkiego, uległego i bardzo kobiecego tuliło się do jego piersi. Nie ogolone policzki i brodę, szorstkie jak papier ścierny, muskały lekkie pocałunki. Drobną dłoń wśliznęła się pod przepocony podkoszulek i przesuwając się w górę, po żebrach. Dotknięcie było leciutkie jak sen, ale skóra pod tym dotknięciem ładowała się elektrycznością. Palec wskazujący tej dłoni leniwie przejechał raz i drugi wokół płaskiej męskiej sutki, a potem skierował się w dół, wzdłuż blizny, tam, gdzie biały ślad na skórze zniknął pod paskiem dżinsów. E.

Ash nagle oprzytomniał, wyrwał się z niewidzialnych zapadlin głębokiego snu.

- Co u diabła...?

Szarpnął głową do tyłu, z niewielkim skutkiem, jako że tylko uderzył tyłem o zagłówek fotela. Było za ciemno, żeby móc cokolwiek widzieć, ale z całą pewnością można było wyczuć. A to, co wyczuwał, nie za bardzo mu się spodobało.

Udało mu się nieco odsunąć smukłe ciało, na wpół leżące właśnie na jego napiętych mięśniach. - Przestań w tej chwili! - syknął i mocno chwycił jej nieposłuszne dłonie, które wciąż próbowały dostać się tam, gdzie nie powinny.

- Ja chcę tylko... zobaczyć, gdzie... kończy się ta twoja blizna... - Głos Corey był przeciągły i ochrypły.

- Wcale nie musisz tego oglądać.

- Ale ja chcę. Delikatnie, obiecuję ci. - Nieco zdyszana Corey znów prawie na nim leżała. - Powiedz mi, jak chcesz, żeby to było. Szybko... czy może wolno? Ja... wołę wolno. Bardzo wolno i bardzo delikatnie. Tobie też się tak spodoba. Obiecuję ci...

Czuł jej oddech muskający jego ucho, miękka kragłość dziewczęcej piersi opierała się o jego pierś, splecione dłonie obojga walczyły ze sobą gdzieś w okolicach pasa. Corey nagle pocałowała go w ucho, a potem jej wargi leniwie przewędrowały po nie ogolonej brodzie aż do podbródka, a potem do ust.

Trzeba powiedzieć, że dotrzymała obietnicy. Musiał jej to oddać, ponieważ zawsze starał się być sprawiedliwy.

To rzeczywiście działo się powoli. Naprawdę powoli.

Jej wargi były miękkie, wilgotne, delikatnie przymilne. Nigdy nie przypuszczał, że coś, co dzieje się tak wolno, może być aż tak dojmujące, tak wspaniałe. Corey przestała go całować, a zamiast tego równie powoli, z leniwą premedytacją, przeciągnęła koniuszkiem języka po jego górnej wardze. Potem po dolnej. Teraz obie jego wargi marzyły, żeby zechciała zrobić to jeszcze raz. I kiedy już był pewien, że dłużej tego nie wytrzyma, Corey chwyciła ustami jego dolną wargę i zaczęła ją ssać, równie wolno i leniwie.

Rany boskie! Gdzie ona się czegoś takiego nauczyła i od kogo? Czyżby od tego swojego Dudleya, kiedy na schodach werandy całowała się z nim na dobranoc?

Ogarnęła go niezrozumiała i niepohamowana wściekłość, ale przeszła niemal równie szybko, kiedy poczuł, jak jej mały, ale bardzo aktywny język wciska się do jego ust. Huczało mu w głowie, jakby ktoś uruchomił w niej olbrzymie śmigło. Miał wrażenie, że głowa zaczyna wirować razem ze śmigłem.

Puścił wreszcie jej dłonie, które dotąd wciąż przytrzymywał w obawie przed tym, co chciały zrobić. Teraz ważniejsze było, żeby móc ją objąć, przytulić, poczuć ją całym ciałem. Ustami i językiem znaleźć jej usta i język. W ciemności, czarnej jak atrament, nie tylko dotykał Corey, ale czuł się przez

nią jakby otoczony ze wszystkich stron, niemal nią owinięty. Czuł smak jej wilgotnych, lgnących do niego ust, piżmowy zapach skóry, niewiarygodną miękkość włosów, dotykających swymi koniuszkami jego skóry na karku. To wszystko, co teraz poznawał, składało się na to drobne i delikatne stworzenie, które w myśli nazywał Lilijka.

To, że potrafiła robić to tak zabójczo powoli, działało na niego niczym narkotyk. Nigdy w życiu nie spotkał kobiety, która byłaby taka kusząca, tak sexy. I taka cudowna!

Kiedy na chwilę przestała go całować, czuł się prawie zamroczony. Tylko gdzieś na samym dnie kołatały się resztki świadomości. I to tam zapaliło się czerwone światełko niczym lotniczy wskaźnik alarmu. - Musimy przestać... - powiedział ochryple. Dla niego samego ten głos zabrzmiał jak dźwięk zawiasów zardzewiałej żelaznej bramy.

- Nie! Nie teraz. Nie teraz! - w jej głosie brzmiała rozpaczliwa prośba. - Ty... nie masz pojęcia, co ja teraz czuję. Jak mi tam... tam głęboko, w środku... jak mi wszystko...

Ash westchnął i powiedział: - To może opowiedz mi o tym.

Usłyszał szelest bawełnianej tkaniny i odgłosy rozpinania guzików. Dopiero po chwili zorientował się, co to oznacza. Próbowała zdjąć bluzkę. Tego tylko brakowało! Znów złapał ją za nadgarstki, próbując unieruchomić jej dłonie.

- Nie rób tego! - Jego szukające na oślep palce natrafiły najpierw na jedwabistą tkaninę biustonosza i dopiero potem odnalazły bluzkę i rozpięte już guziki. Zaczął je pospiesznie znowu zapinać. Corey najpierw protestowała głośno, a potem przesunęła się trochę w dół i nagle się okazało, że sytuacja stała się jeszcze trudniejsza.

Nie, no do cholery! To, co ona teraz robi...

Corey najwyraźniej celowo i świadomie wtulała się teraz w miejsce, w które chyba najmniej powinna. Już i tak bał się, że coś mu się tam może stać... z napięcia. A teraz...

- Corey...!

- Za dużo mówisz - powiedziała po chwili. A właściwie szepnęła. - Lubiłabym cię bardziej, gdybyś w ogóle nic nie mówił.

- Nigdy cię nie prosiłem, żebyś mnie lubiła.

Delikatnie zamknęła mu usta dotknięciem palca. - Nie mów już.

- Ja...

- Nic nie mów.

Ash wobec tego wznowił poszukiwania w ciemności i udało mu się zapiąć jeszcze jeden guzik na jeszcze jedną dziurkę. Nie dbał o to, czy zapina równo, ważne było, że w ogóle coś zapinał. Udało mu się to z jeszcze jednym guzikiem, gdy nagle poczuł pociągnięcie za uchwyt zamka błyskawicznego przy džinsach.

Pozostawił nieszczęsne guziki, pospiesznie sięgając tam, gdzie jej dłoń już delikatnie pieściła nabrzmiewającą męskość. - Corey! - powiedział ochryplym od emocji głosem. - Dość już tego, do cholery! - Na oślep, z zamkniętymi oczami, co zresztą nie miało znaczenia w kompletnej ciemności, pochwycił i unieruchomił jej nadmiernie skłonne do eksploracji ręce.

- Ash, proszę cię...!

Doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że jeszcze chwila, a jego świadomość wyłączy się całkowicie i wtedy jego ciało będzie działać już tylko automatycznie niczym samolot przestawiony na autopilota. A jest bardzo niedobrze zdawać się na autopilota, kiedy wiadomo, że samolot zbliża się do obszaru silnych turbulencji. Dlatego musiał natychmiast wziąć się w garść, pozbierać się jakoś, choćby nie wiem co się działo.

Bardziej wbrew sobie niż z własnej woli i ze znacznie większym opanowaniem niż to, o które siebie kiedykolwiek podejrzewał, odsunął jej ręce.

- Kochaj się ze mną, Ash.

Masz z tego wyjść za wszelką cenę, pilocie Adams. Za wszelką cenę.

- Kochać się? - w jego głosie już znów pojawiła się drwina i szyderstwo. - Ciekawy sposób nazywania tego, o co ci chodzi. Myślisz, że akt seksualny przestanie być aktem seksualnym, kiedy użyjesz słowa kochać się? Więc coś ci powiem, skarbie. Jeżeli my to zrobimy, to może się to nazywać tylko pójściem do łóżka albo seksualną przygodą, albo zwyczajnym... - Przerwał nagle, zaskoczony i nawet rozdrażniony tym, że jednak nie potrafi wypowiedzieć tak ordynarnego słowa. W każdym razie nie do niej. - Zresztą możesz to sobie nazywać, jak chcesz, ale jestem cholernie pewny, że nie może tu być mowy o jakimkolwiek kochaniu.

Zdawał sobie sprawę, że jego brutalne słowa musiały do niej dotrzeć, ponieważ poczuł, jak nagle znieruchomiała. Po chwili sztywno i niezręcznie odsunęła się od niego. Usłyszał jeszcze, jak przeciska się w stronę pomieszczenia bagażowego, gdzie leżał śpiwór.

Ash zaplął guzik spodni i podciągnął do samej góry zamek błyskawiczny. Potem zaczął się wsłuchiwać w otaczającą go ciemność, żeby usłyszeć... właśnie, żeby usłyszeć co? Odgłosy niepoohamowanej wściekłości? Czy ledwo słyszalny płacz?

Ale nie słyszał niczego poza odgłosami dżungli.

Rozmyślał nad tym, coraz bardziej zaniepokojony, aż wreszcie po pół godziny zdecydował się włączyć światło.

Corey leżała na boku, kolana miała podciągnięte prawie do piersi, jak to czynią czasami dzieci. Musiała spać albo może zemdlała. Jedną ręką jakby się osłaniała, jej dłoń ponad piersią sięgała aż do drugiego ramienia. Jasne włosy wysunęły się już całkiem z przytrzymującej je elastycznej opaski. Na rozpalonych policzkach wciąż jeszcze widać było wilgotne ślady wylanych bezgłośnie łez.

No więc tak. Rzeczywiście nie musiał się bardzo starać, żeby zrobić z siebie prawdziwego sukinsyna.

Uświadomił sobie, że od dłuższej chwili przygląda się jej ręce. Dłoń była bardzo jasna, prawie biała, zgięte palce, bezwiednie naśladujące kształt na wpół zamkniętego kielicha kwiatu, wydawały się wciąż trzymać coś delikatnego i kruchego. Ash nagle poczuł niepokojący skurcz w okolicach serca. Czegoś takiego nigdy dotąd u siebie nie zauważył. Podobnie jak tego intensywnego i dojmującego przecucia, że oto jemu samemu, teraz właśnie, zagraża niebezpieczeństwo.

Sięgnął po papierosa i zapałki, po czym zgasił światło. Przez dłuższy czas siedział tak w ciemności, z nie zapalonym papierosem w dłoni, i słuchał jej płytkiego, równego oddechu.

## *Rozdział jedenasty*

No więc może ona po prostu już umarła - i tylko nikt jej o tym nie powiedział? Może dlatego czuje się teraz tak okropnie. Gorzej niż okropnie. Z pewnością za chwilę zacznie się zeszywnienie pośmiertne, *rigor mortis*.

Pamiętała tylko, że była na przyjęciu. Sylwestrowym. Grupa pielęgniarek namówiła się w internacie i wydała to przyjęcie w jednej ze zbiorowych sypialni. Oczywiście najważniejsza część zabawy kończyła się już w hallu.

Corey zazwyczaj nie piła nigdy więcej niż jeden lub dwa kieliszki wina. Raz albo dwa razy do roku. Ale tym razem jakoś wciągnęła ją ta zbiorowa zabawa, pełna ludzi tłoczących się w zgiełku i zamieszaniu.

Cała łazienka zastawiona była pojemnikami, z których wystawały obłożone lodem butelki najróżniejszego alkoholu. W świetle wyglądało to trochę tak, jak owe załadowane po brzegi skrzynie migotliwych klejnotów z opowieści tysiąca i jednej nocy. W każdym razie zapasy wydawały się niewyczerpane, toteż ani przez moment nikt nie miał prawa mieć pustego kieliszka.

Todda wtedy z nią nie było, ponieważ właśnie miał nocny dyżur na oddziale chirurgicznym szpitala St Mary's. Nie było więc nikogo, kto mógłby w odpowiednim momencie powiedzieć Corey, że już dosyć. Kto na czas wyjąłby kieliszek z jej palców i delikatnie popchnął w stronę drzwi, za którymi na pewno było świeże, skutecznie orzeźwiające, zimowe powietrze.

Teraz Corey ostrożnie otworzyła jedno oko, spodziewając się uderzenia jaskrawego porannego światła. Ale zamiast wesołych promieni słońca, wpadających przez białe siatkowe zasłony na oknach, powitał ją półmrok dopiero zbliżającego się świtu, pełen podpełzających z każdej strony cieni.

A zamiast białego sufitu sypialni, zobaczyła nad sobą odrapane płyty aluminiowej blachy.

O Boże!

Gwałtownie zacisnęła powieki.

Boże, przecież to nie może być prawda. To jej się tylko śni!

To niemożliwe, żeby leżała rozciągnięta na starym śpiworze w ładowni bagażowej samolotu w środku dżungli nad Amazonką. Niemożliwe, żeby piła tu indiański biber, robiony na sfermentowanej plwocinie. I żeby naprawdę miała tak potwornego, najgorszego w jej życiu kaca. A już w każdym razie niemożliwe, żeby w ogóle nie mogła sobie przypomnieć, co się działo ostatniej nocy i jak się tu w ogóle znalazła.

Ostrożnie przekręciła się na bok, ponieważ nawet najdelikatniejszy ruch mógł spowodować, że jej zmaltretowany żołądek zaczęłby się niebezpiecznie burzyć. Tak więc bardzo, bardzo powoli, by nie wywołać nagłej żołądkowej rewolucji, zdołała w końcu jakoś usiąść. Po tym wysiłku przez chwilę siedziała nieruchomo, czując się jak ktoś, kto dopiero co przeszedł poważną operację. Próbowwała się jakoś pozbierać.

Trzeba najpierw uruchomić mózg. Żeby zaczął myśleć.

Tymczasem jej umysł jakoś tylko ociężałe przerzucał biegi, z trudem wchodził na obroty. Zaczęła sobie przypominać wydarzenia ostatniego dnia. To, jak szli z powrotem do samolotu, jak potem się okazało, że samolot nie może wystartować i jak poczuła się niedobrze. A Ash...

Od tego momentu zaczynała się czarna dziura, ale w tej czerni rozbłysła nagle isierka. Coś sobie przypomniała w związku z Ashem. Trzymał ją wtedy w ramionach i śmiał się tak głośno i kpiąco. Co on wtedy powiedział? I dlaczego uważał, że to takie zabawne?...

Krew nagle napłynęła jej do twarzy, a całe ciało pokryło się warstewką potu. Szybko spojrzała w stronę kabiny, ale oba fotele były puste. Westchnęła z ulgą. Nie chciałyby właśnie teraz stanąć z nim twarzą w twarz. Musiała najpierw pozbierać myśli, zrozumieć, co się stało.

To miał być... afrodyzjak! Ash twierdził, że wypija afrodyzjak.

Ale przecież nie mogła wypić czegoś takiego, mówił - cokolwiek drwiąco - jej wewnętrzny głos. To po prostu jeszcze jeden z tych jego niesmacznych żartów. Zresztą chyba w ogóle nie ma czegoś takiego jak afrodyzjak. Oczywiście, przez długie wieki ludzie utrzymywali, że posiadli wiedzę



o czarodziejskich napojach. Corey pamiętała nawet, że gdzieś o tym czytała. Chińczycy na przykład mieli cenić poroże pewnego gatunku jelenia bardziej nawet niż złoto. Ale Corey nigdy nie wierzyła w takie brednie. Jej zdaniem afrodyzjaki należały do tej samej kategorii, co wszelkiego rodzaju uzdrawiające *placebo*, czy przynoszące szczęście amulety i talizmany.

Ale jak wobec tego mogła sobie wytłumaczyć tę nagłą pustkę w głowie, kiedy próbowała sobie przypomnieć, co stało się ostatniej nocy? Dlaczego nie pamiętała już nic od chwili, kiedy zaczęły się te sensacje żołądkowe?

Podniosła rękę i ostrożnie przesunęła palcami po wargach. Wydawały się nadmiernie uwrażliwione i nieco obrzękłe. Czyżby to miał być efekt długiej nocy miłosnej? Jakieś niejasne przypomnienia kołatały się w jej głowie, niczym błędne ogniki na bagnach. A potem nagle pamięć wróciła. Pamięć dotyku tych ust, które czasem bywały drwiące, czasem czułe i które tak delikatnie przesuwawały się po jej wargach...

Jęknęła cicho i ukryła twarz w dłoniach. Nie chciała o tym myśleć, a przede wszystkim nie chciała mieć do czynienia z nim. Właśnie teraz, kiedy czuła się tak okropnie. Kiedy była jednocześnie i brudna, i wciąż chora, i do tego straszliwie zagubiona. Nie potrafiłaby sprawnie myśleć, nie potrafiłaby się bronić.

Swędziała ją cała pokąsana przez owady skóra, a bluzka przypominała wilgotną zmiętą szmatę, wręcz kleiła się do ciała. Corey pociągnęła za rąbek, próbując ją trochę rozprostować, ale prawa połowa bluzki nadal była wyżej niż powinna.

O Boże! Jej palce nagle znieruchomiły na kolejnym guziczku. Bluzka była zapięta krzywo. Tysiące myśli naraz pojawiło się w jej głowie, a żadna nie była miła. To przecież znaczyło, że w ciągu nocy przynajmniej przez jakiś czas musiała być bez bluzki. A jeżeli była bez bluzki, to... Szybko spojrzała w dół na dzinsy i westchnęła z ulgą. Ze spodniami wszystko było w porządku, ale bluzkę musiała natychmiast doprowadzić do ładu.

Drżącymi palcami rozpiniała kolejne guziki. Nie zdążyła dojść do ostatnich, gdy drzwi kabiny otworzyły się.

- Już na nogach?

Ash przytrzymał drzwi i zajrzał do środka. - Musimy zaraz ruszać, jeżeli mamy dojść do rezerwatu przed nocą.

Corey pospiesznie ściągnęła razem oba brzegi rozpiętej bluzki. - Chciałabym wiedzieć, co się stało ostatniej nocy. - Jej głos był trochę drżący.

Nie odpowiedział natychmiast, a dopiero po chwili: - Nie pamięta pani?

- Nn... nie.

Ash chwycił się framugi i wszedł do środka, przy okazji zasłaniając sobą znaczną część światła.

- Nic. Nic się nie stało.

- Nic?

Nie uwierzyła mu. Czy on ją uważa za kompletną idiotkę? - Obudziłam się i stwierdziłam, że wszystkie guziki mojej bluzki są krzywo pozapinane. A pan mi mówi, że nic się nie stało?!

Spojrzenie Asha przesunęło się na wciąż nie dopiętą bluzkę i lewy kącik jego ust uniósł się w urągliwym, jak się jej wydawało, uśmiešku.

Nagle poczuła, że wewnątrz samolotu jest za małe, za ciasne. Zbyt intensywnie odczuwała w nim jego obecność. Poczynając od zapachu jego niezwykle gładkiej, lekko przepeconej skóry, aż po te przenikliwe oczy, które teraz wpatrywały się w nią tak uważnie. I nagle, gdzieś z głębi podświadomości pojawił się trochę nieostry, ale jawnie erotyczny obraz: widziała własne palce, które wolno, pieszczotliwie przesuwały się po jego wilgotnej, gorącej skórze... O Boże, nie!

Pochyliła głowę i zaczęła borykać się z guzikami. Jak na złość wszystkie dziurki nagle stały się za małe, jakby się skurczyły. A jej palce drżały tak bardzo, że nie potrafiła zapiąć nawet jednego guzika.

- Najlepiej po prostu zapomnieć o ostatniej nocy - powiedział Ash, robiąc krok w jej kierunku z nisko schyloną głową, by nie uderzyć o sufit. Wydawał się bardzo wysoki.

Po prostu zapomnieć - o czym? Jej biedny mózg już niemal kazał jej krzyżeć, kiedy tak w myśli odrzucała nazbyt oczywiste konkluzje.

Ash kucnął na wprost niej. - Nie była to pani wina, prawda? Więc po prostu niech pani o tym zapomni.

Była za bardzo rozdygotana, żeby zauważyć ton dość niezwykłego ciepła w jego zazwyczaj szorstkim głosie. Odsunął na bok jej bezradne palce i sięgnął do zapięcia bluzki. Corey zamarła, oczekując, że jedna z tych wielkich i mocnych dłoni za chwilę dotknie jej piersi. I w tej samej chwili powróciło jeszcze jedno wspomnienie, krótkie jak błysk: tak, to jej palce znów przesuwały się po jego gładkiej skórze, ale tym razem wzdłuż blizny na jego piersi. Z góry w dół, coraz niżej, tam gdzie tej powolnej wędrówce

palców przeszkadzały zapięte na metalowy guzik dzinsy. Ale potem już nie przeszkadzały. I pamiętała, jakie to było uczucie, kiedy dotykała czegoś tak twardego, napiętego i gorącego.

Zerwała się i ze zgrozą popatrzyła na jego pochyloną nad nią twarz.  
- Zgwałcił mnie pan, prawda? - powiedziała ochryple, nie mogąc wydobyć głosu ze ściśniętego gardła. Nie za bardzo zastanawiała się przy tym, jak niedorzecznie brzmiało to oskarżenie... zwłaszcza w zestawieniu z tym, co sobie przypominała.

Ash uniósł głowę, a jego ręce znieruchomiały.

- Łajdak! - wybuchła Corey. - Widywałam już nikczemników, ale teraz...  
- Brakowało jej słów, by wyrazić to, co w tej chwili czuła. Było w tym wszystko - szok, i ból, i gniew. I upokorzenie.

Ash wypuścił z ręki jej bluzkę i wyprostował się. Przez moment coś błysnęło w jego oczach, ale zgasło równie szybko, jak się pojawiło. Smutek i udręka? A zaraz potem gniew? Ale szybko odrzuciła takie przypuszczenia. To ona została zraniona, nie on. Zraniona i zdradzona, oszukana.

Przez dłuższą chwilę stał tak obok niej, a jego twarz znów stała się twarda, opanowana, nieprzenikniona. A Corey uważała, że jego zacięte milczenie oznacza przyznanie się do winy.

- Zrobił pan to. Zgwałcił mnie, prawda? - Miała wrażenie, że teraz każde słowo kaleczy jej gardło.

Ash w końcu odpowiedział. - Właściwie nie trzeba tu było żadnego gwałtu.  
- Jego głos był teraz tak chłodny, że poczuła nagły dreszcz wzdłuż kręgosłupa. W tym głosie znów słyszała ów niebezpieczny, pozornie bezosobowy ton, który zapamiętała już wczoraj, zanim zaczął się do niej dobierać. Tak, to było tuż przed tym, kiedy zaczął jej grozić i twierdził, że należy mu się coś za ten bezcenny nóż.

A więc to była prawda. Więc to się stało. Nagle poczuła w sobie dojmujący ból. I ten ból nie mijał, wciąż trwał. Gdzieś tuż pod sercem.

- Proszę mi łaskawie pozwolić odświeżyć pani pamięć. To pani tego chciała. Prosiła mnie o to. Wręczyła zebrała.

- Nie zamierzam tego słuchać - powiedziała Corey i zatkała sobie uszy palcami. - Nie będę tego słuchać.

- Proszę cię, Ash - sparodiował szyderczo jej wczorajsze słowa. - Kochaj się ze mną.

Corey oddychała szybko i urywanie, coraz trudniej było opanować tłumione łkanie. Opuściła ręce, mocno przycisnęła je do podołka w okolicy żołądka i znów popatrzyła na niego. - Jak pan mógł? Jak pan mógł tak ze mną postąpić? Co z pana za człowiek?

- Przecież nie człowiek, a świnia. Świntuch, sama pani powiedziała. Nie pamięta pani?

Nie, nie pamiętała. A więc była z kimś blisko i zupełnie nic z tego nie pamiętała. To musiał być jakiś koszmarny sen. A tymczasem, jak się okazało, snem było co innego. Snem była jej biała sypialnia, snem były zwidujące się jej obrazki z zabawy w internacie. A to tu - to była prawda.

Czy rzeczywiście zaledwie dwa dni temu to wszystko się zaczęło? Kiedy w poczekalni na lotnisku w Santarem powiedział do niej, a właściwie warknął: „Tu jest tylko rzeczywistość, proszę pani!” Ale nie powiedział jej wtedy, że to wszystko jest nie tylko rzeczywiste, ale też okrutne i wstrętne. Mogła wytrzymać to, że stale kąsały ją owady, mogła wytrzymać gorąco, brak wanny, szczoteczki do zębów i nawet ubikacji. To wszystko można było jakoś znieść. Ale ludzkie okrucieństwo ją porażało, czuła się wtedy bezbronna i wyzuta ze wszystkiego.

- Może po prostu pani tego potrzebowała. Jak ktoś, kogo coś swędzi, potrzebuje, żeby go podrapać. - Ash pochylił się, sięgnął po swoją czapkę i nasadził ją na tył głowy. - Kiedy kogoś swędzi, ja staram się pójść na rękę. To znaczy - podrapać.

Ruszył w kierunku drzwi, potem jeszcze zatrzymał się na chwilę. - Proszę być gotową za dwie minuty albo wróć tu i wyciągnę panią siłą.

Wyskoczył z samolotu, a ona znów popatrzyła na siebie. I nagle, jeszcze wciąż w szoku, wciąż pełna bólu i urazy, zobaczyła coś, co znów nią wstrząsnęło. Ostatnie dwa guziczki jej bluzki były zapięte tak jak trzeba. Normalnie.

Musiała już upłynąć co najmniej minuta z tych wyznaczonych dwóch, a ona wciąż siedziała i niewidzącymi oczami patrzyła przez siebie. Otrząsnęła się. Musi się jednak pozbierać, doprowadzić do porządku. Nad resztą będzie mogła zastanowić się później.

Skończyła zapinać bluzkę, potem przycisnęła się ku przodowi samolotu, żeby poszukać aspiryny. Znalazła ją w końcu i wysypała na dłoń trzy tabletki, gdy nagle zdała sobie sprawę, że nigdzie nie ma niebieskiego termosu. Ash

musiał go zabrać, a ona przecież nie poprosi go teraz o wodę. Za żadne skarby, nawet gdyby miała zaraz potem iść pieszo przez Saharę. Nie zważając na nic włożyła tabletki do ust, rozgryzła je szybko i połknęła, otrząsając się przy tym niczym pies, który wyszedł z wody.

Musiała z nim pójść, nie było absolutnie żadnej innej możliwości. W normalnych okolicznościach każda w miarę poczytalna osoba na jej miejscu odeszłaby natychmiast, raz na zawsze i jak najdalej. Ale to nie były normalne okoliczności. A poza tym już sam fakt, że wybrała się tu, mógł być wystarczającym powodem, żeby zwątpić we własną poczytalność. Teraz była po prostu zdana na jego łaskę i niełaskę. Przynajmniej do chwili, kiedy dojdą na miejsce. Wtedy może się ktoś pojawić, na przykład Mikę Jones, i zabrać ją do Santarem. Dlaczego nie poleciała z nim już wczoraj?

Zapakowała aparat fotograficzny do podręcznej torby i znów pomyślała o Ashu, o tym, jak go całowała... i dotykała. Dziwne, że nie była w stanie przypomnieć sobie kompletnie nic poza tym. Ale jej umysł już się budził, już zaczynał funkcjonować.

A co, jeżeli Ash kłamał? Jeżeli rzeczywiście nic się nie stało? Asher Adams nigdy nie odznaczał się szczególną prawdomównością, co do tego nikt nie mógł mieć wątpliwości. Więc istnieje i taka możliwość, że skłamał, choćby tylko po to, żeby zobaczyć, jak ona będzie się skręcać ze wstydu. Żeby ją dręczyć.

Niczym błyskawica zajaśniała w jej głowie kolejna rewelacja. Oczywiście, usta mogły się wydawać spuchnięte od pocałunków, a całe ciało było rzeczywiście obolałe. Ale czy to wszystko nie było po prostu rezultatem spania przez wiele godzin na twardej metalowej podłodze, a nie skutkiem jakiejś szalonej nocy miłosnej?

Oczywiście kłamał! Teraz już była pewna. Kłamał po to, żeby sprawić jej ból, żeby cierpiała. Tak właśnie musiało być, powiedziała sobie stanowczo, choć tej stanowczości nie czuła w sobie aż tak bardzo. Zarzuciła torbę na ramię i otworzyła drzwi.

Świt zaczął się nagle i - niczym po podniesieniu kurtyny w teatrze - cała dżungla natychmiast się obudziła. Od masywu zieleni, otaczającej dno wyschniętego dopływu rzeki: napływały narastające, jak przypływ, kolejne fale przemieszanych dźwięków: śpiew ptaków, jazgot małp, nieco mechaniczny odgłos trących się o siebie chitynowych pancerzyków dziesiątków tysięcy

cykad i nakładające się na to wszystko stałe brzęczenie niezliczonych fruujących owadów. Nieostre jeszcze słońce już rozpraszało i wypalało resztki mgły, wciąż snującej się tu i ówdzie przy ziemi. I czuło się już teraz atmosferę parowej łaźni.

A tam, na skraju tego kawałka wolnego od zarośli terenu, stał on. Ten patologiczny wręcz kłamca, Asher Adams. Stał na samym obrzeżu gęstej ściany dżungli, na plecach miał zielony wojskowy plecak, a w dłoni trzymał rewolwer. Przez chwilę jego twarz zwrócona była w jej stronę, ale Corey nie była w stanie dostrzec wyrazu ukrytych za ciemnymi okularami oczu. Potem odwrócił wzrok, spozjrzał na trzymany w dłoni rewolwer, po czym wsunął go za pas dżinsów.

Powinna teraz wybrać najlepszy moment. Cierpliwie wyczekać aż do chwili, gdy poczuje, że ma już dosyć sił, żeby znów z nim się zetrzeć. W dotychczasowych słownych utarczkach nie zawsze szło jej tak, jak chciała, nawet kiedy jej umysł był w pełni sprawny i jasny. Czego w tej chwili nie można było o niej powiedzieć - całe jej myślenie wciąż było spowolnione i ospałe.

Stanąła na gumowym stopniu skrzydła, mimo woli mrużąc powieki, ponieważ każdy najdrobniejszy ruch i wstrząs natychmiast czuła wewnątrz obolałej głowy. Podobno kac polega na tym, że obrzękły mózg naciska na ściany czaszki. Ale nawet jeśli to była prawda, wcale nie czuła się z tym lepiej.

- Ruszamy - powiedział Ash, nie racząc nawet spojrzeć na nią. - Pora na nas.

- Czy mogę jeszcze pójść do toalety?

- Byle nie na długo.

Tym razem nie poszła daleko, starając się uważać, gdzie wchodzi, i niczego po drodze nie dotykać. Gdy wróciła, Ash ledwie spojrzął w jej stronę i zaczął iść, nie zadając sobie nawet trudu, żeby się obejrzeć albo żeby od czasu do czasu sprawdzić, czy idzie za nim.

Tempo, które narzucił, było mordercze. Mimo to Corey nie mogła nie poczuć zachwytu na widok tego, co ich otaczało. Nigdy w życiu nie widziała takich drzew. Niektóre z nich były chyba wyższe niż piętnastopiętrowe miejskie wieżowce, rozłożyste gałęzie tak potężne, że strzeliste pnie wydawały się giąć i niemal pękać pod gigantycznym ciężarem. Wokół olbrzymich kolumn największych drzew wyrastały grupki wyższych i niższych palm

o soczyście zielonych koronach, obok nich drobniejsze drzewa i krzewy, wszystko razem najczęściej jeszcze oplecione lianami i powojami. Na pniach i gałęziach rozkwitały liczne kwiaty różnych roślin pasożytujących i żyjących w symbiozie z innymi. Ich liście o najdziwniejszych kształtach chciwie wchłaniały wilgoć z przesyconego parą wodną powietrza. Niezliczone pajęczyny, niejednokrotnie okrywające niemal całe drzewa, lśniły w promieniach słońca, odbijającego się w uwieczonych w ich misternej konstrukcji drobnutkich kropelkach rosy. Po pajęczynach biegały tam i z powrotem ogromne włochate pająki, splatające jedwabiste sieci, w których znajdowały śmierć różne owady trafiające do owych przepięknych pułapek.

Corey wzdrygnęła się, szczęśliwa, że jest od nich wystarczająco daleko. Pająki były tymi z boskich stworzeń, które kochała najmniej. Nawet zupełnie nieszkodliwe domowe pajęczki na długich odnóżach też budziły w niej lęk.

Mimo że temperatura zapewne chwilowo nie przekraczała dwudziestu pięciu stopni, bardzo wilgotne i ciężkie powietrze sprawiało, że miało się wrażenie, iż upał jest już dużo większy. Para wodna skraplała się na spodzie ogromnych liści i skapywała na ich głowy i ubranie. Corey czuła, jak wilgotne dzinsy zaczynają ocierać jej skórę, a kark i ramiona bardzo szybko pokrywają się czymś, co przypominało jakiś ziarnisty biały proszek. Corey, w przekonaniu, że to spadający z drzew pyłek kwiatowy, parokrotnie próbowała go strzepnąć, co miało tylko taki skutek, że mazisty proszek tym mocniej wbijał się w skórę, wywołując okropne swędzenie. Nie mogła zapytać Asha o radę, ponieważ postanowiła, że z nim nie rozmawia.

Na domiar złego jakiś czarny latający owad, właściwie trochę podobny do muchy domowej, w pewnej chwili wylądował akurat na niej i uciał ją jadownicie i boleśnie, pozostawiając spory bąbel.

Maszerowali tak przez dwie godziny, aż wreszcie Corey zdała sobie sprawę, że musi zwolnić, w przeciwnym razie może w ogóle nie być w stanie iść dalej. Przy dotychczasowym tempie z całą pewnością padnie, nim miną dalsze dwie godziny. Może w normalnych warunkach byłaby w stanie wytrzymać narzucone tempo, ale ten wciąż utrzymujący się silny ból głowy - nie ważne, czy wskutek kaca, czy jakiejś choroby - musiał się odbić na jej fizycznych możliwościach.

Od gorąca dostawała zawrotów głowy, a w dodatku znów pojawiły się męczące i odbierające siły sensacje żołądkowe. Na dobrą sprawę już teraz

potrzebowała porządnej dawki czystego tlenu. Wytrwała jeszcze trochę i w końcu stanęła na dobre. Musiała odpocząć. Kula u nogi, tak właśnie się o niej wyraził. I miał rację.

Patrzyła na znikającego w oddaleniu Asha. Jeszcze przez chwilę była w stanie rozróżnić zieleń jego podkoszulka na tle zieleni zarośli. Po chwili już go nie było. Widziała wokół siebie tylko dżunglę. Ash dbał o nią akurat tyle, ile pierwszy lepszy wąż dba o zrzuconą starą skórę.

Chyba więc nie za bardzo można było nazywać ją kulą u nogi, bo nie spowodowała nawet najmniejszego spowolnienia jego marszu. Ani się obejrzał. Nie mogła nawet krzyknąć za nim, bo czuła się zbyt słaba i bała się, że za chwilę zwymiotuje. Tak więc stała tylko i patrzyła w stronę, w którą poszedł. Po jej twarzy spływały krople wody i potu, a zlepione włosy kleiły się do policzków niczym morskie wodorosty.

Przez ostatnie minuty czuła coraz silniejszą gorycz w ustach. Potem zaczęło ją mdlić.

Zgięta w pół, oparła dłonie na kolanach i tak trwała, dopóki jej żołądek nie wyrzucił z siebie wszystkiego. Łzy napłynęły jej do oczu, miała wrażenie, że głowa za chwilę rozpadnie się od rozsadzającego ją bólu. Chwiejnym krokiem podeszła do sporego pnia drzewa, który dojrzała w pobliżu i kompletnie wyczerpana padła nań, niemal złożona we dwoje, zgiętym przedramieniem podpierając wilgotne i lepkie od potu czoło.

Usłyszała zbliżający się szelest. Zbyt słaba i zbyt zrezygnowana, by podnieść głowę, zmusiła się tylko do otwarcia powiek i spojrzenia w dół, poniżej zgiętego ramienia.

Były tam. Te słynne, wyszargane, niegdyś zapewne granatowe tenisówki. Zdołała jeszcze podnieść wzrok trochę wyżej, wzdłuż nogawki džinsów, aż do poziomego pęknięcia wytartej tkaniny powyżej kolana, w którym to miejscu właściciel spodni próbował je cerować, ale najwyraźniej bez rezultatu.

Kiedy odezwała się do niego, jej głos brzmiał trochę jak głos kapryszącego dziecka. Nie mogła nic na to poradzić. Ale w końcu miała prawo czuć się obrażona. - Niech pan sobie idzie.

- Powinna była pani powiedzieć, że źle się czuje.

- Niby po co? Żeby pan wezwał taksówkę, która odwiezie mnie do domu?

Podniosła się z pnia, na którym przez chwilę znalazła oparcie i z ulgą stwierdziła, że po zwymiotowaniu czuje się już lepiej. Machinalnie zaczęła



drapać swędzące ramię, ale natychmiast przestała, przypominając sobie, że drapanie tylko pogarsza sprawę.

Ash szybko wyciągnął rękę, jakby chciał ją chwycić za ramię. Zdążyła się usunąć i palce tylko musnęły jej skórę.

- To białe świństwo nazywa się *isango* - powiedział. Zdjął swój plecak, postawił go na ziemi i po rozpięciu zamka błyskawicznego wyciągnął niewielką tubkę. - Proszę wyciągnąć rękę.

- Niech pan idzie do diabła!

Nienawidziła go. Nienawidziła za jego przystojną twarz. I za te podarte jak u małego chłopca dżinsy. I za kłamstwo, jeżeli to, co powiedział, było kłamstwem. Lub za prawdę, jeżeli to była prawda.

- Niech pan idzie do diabła - powtórzyła. Podobało się jej brzmienie tych słów. A zwłaszcza to, że kierowała je do niego.

- Usłyszałem już za pierwszym razem. Ale może zainteresuje panią informacja, że *insango* to małe owady. Wysysają krew.

Corey spojrzała na niego, a potem przeniosła wzrok na ramiona, które wciąż wyglądały, jakby je ktoś posypał białym proszkiem. Owady, które wysysają krew?

Zniecierpliwiony Ash mruknął coś pod nosem, chwycił ją za ramię i bez ceremonii zaczął wcierać w skórę jakąś białawą pastę wyciśniętą z tubki. Skończył i sięgnął po drugie ramię.

Potem starannie zamknął tubkę. - To powinno je zlikwidować.

Corey nie miała trudności z odczytaniem tego, co malowało się na jego twarzy. Było w tym i poirytowanie, i znudzenie jednocześnie. A przy okazji nie mogła nie zauważyć, że na nim nie było nawet śladu białego proszku. Widocznie te krwiożercze insekty nie lubią osobników o zbyt grubej skórze. Nie tylko one zresztą.

Tymczasem Ash wydobył z plecaka niebieski termos, którego wcześniej nie mogła odnaleźć. Napili się oboje i znów ruszyli w drogę. Corey początkowo chciała zapytać, czy nie mogliby odpocząć trochę dłużej, postanowiła jednak się nie odzywać. Nie będzie z nim w ogóle rozmawiać. Niezależnie od tego, co stało się w nocy, niezależnie od tego, czy ją wtedy zgwałcił czy tylko chciał jej dopiec, i tak była to marna kreatura, zwyczajna szumowina. Cokolwiek zrobił, nie mogło to być nic dobrego. A im szybciej będą teraz szli, tym szybciej uwolni się od tego, pożał się Boże, towarzystwa.

Tak więc szła za nim starając się w ogóle nie myśleć i popadając w narastające z każdą chwilą otępienie. Na szczęście Ash z jakiegoś powodu zwolnił tempo marszu, ale i tak musiała walczyć z krańcowym wyczerpaniem. Jak to zwykła mawiać jej babcia: kiedy w baku nie masz benzyny, to nie masz i już.

I właśnie wtedy, gdy Corey była przekonana, że już nie może być gorzej, że nie może być bardziej zmaltretowana i nieszczęśliwa, zaczął padać deszcz. Najpierw było to tylko kilka rozproszonych kropli, rozpryskujących się na liściach, a potem na ich skórze. Tych kropeł zaczęło być coraz więcej i więcej, aż wreszcie zrobiła się z tego prawdziwa tropikalna ulewa.

Corey mimo woli garbiła się coraz bardziej, mrużyła oczy, żeby w ogóle coś widzieć przez ścianę deszczu. Ash szedł przed siebie jak gdyby nigdy nic. Oczywiście.

Maszerowała za nim z najwyższym trudem, grunt pod nogami stawał się coraz bardziej gąbczasty, stopy w cienkich sportowych pantoflach zaczynały się w nim zapadać. Wyrwała je z błota z coraz głośniejszym kłębieniem.

Czy kiedykolwiek w życiu przeżyła coś gorszego? Kiedyś na farmie, podczas bardzo gorącego lata, kazano jej obrywać kitki z kukurydzy i w rezultacie miała całą twarz i ramiona pocięte ostrymi jak brzytwa krawędziami liści, zniszczyła też niemal doszczętnie całe ubranie. Ale i tak było to niczym miły niedzielny spacer w porównaniu z tym, co działo się teraz.

Coś uderzyło ją w ramię. Coś większego i cięższego niż zwykła kropla. Potem coś podobnego stuknęło ją w głowę. Corey zamarła.

Jak deszcz sypały się na nią wielkie, pękate i włochate pająki, stręcane z liści przez uderzające w nie ciężkie krople. Czuła jak te okropne stworzenia zaczynają się ruszać na jej skórze. Jeden z nich wplątał się we włosy, drugi szedł po ramieniu w stronę pleców.

Zaczęła pisać i wrzeszczeć. Coraz głośniej. Rozpaczliwie.

- Corey - usłyszała głos Asha. - Nie bój się. One są nieszkodliwe!

Krzyczał do niej z daleka, poprzez ścianę ulewy. Po chwili był już przy niej. Zdjął czapkę i zaczął nią strącać pająki z jej pleców i ramion.

- Tt... to co, że są nie...szkodliwe - mówiła szlochając. - Ja nie znoszę pajaków. Nigdy ich nie lubiłam!

Stręcane na ziemię włochate potworki gramoliły się pod ich stopami i szybko znikały wśród traw i liści.

A Corey wciąż stała, przygarbiona, z łokciami nadal kurczowo przyciśniętymi do ciała, z twarzą ukrytą w dłoniach, które miały ją chronić. Jakie to w końcu ma znaczenie, co on tam sobie pomyślał! Po prostu już jej to nie obchodziło. Może sobie uważać ją za tchórze czy bekse. Nie dbała o to, co kiedyś tak arogancko powiedział - że to nie jest miejsce dla niej. Rzeczywiście okazała się tchórzem. I najwyraźniej nie było to miejsce dla niej.

- Cz...czy już ich na mnie n...nie ma? - wyjąkała, gdy Ash przestał ją otrząpywać.

- Tak. Chodźmy. - Wyciągnął rękę i przyciągnął ją do siebie. - Musimy iść, bo inaczej nie dojdziemy do San Reys przed zapadnięciem ciemności.

Tak więc szli dalej, ale teraz Corey była bezpiecznie schowana pod osłaniającym ją ramieniem. Z twarzą przechyloną ku jego piersiom pozostawała tak aż do chwili, gdy deszcz przestał padać i znikło wszelkie niebezpieczeństwo trafienia ponownie pod jakieś spadające pająki.

## *Rozdział dwunasty*

Deszcz przestał padać równie niespodziewanie, jak przedtem zaczął. Ptaki znów zaczęły śpiewać. Poprzez rozpościerający się nad nimi baldachim zieleni można było dostrzec kawałki błękitnego nieba i szybko przemieszczające się po nim chmury. Dżungla wyglądała teraz jak ogromny kwietny ogród po letniej burzy. Powietrze napełniał słodki zapach kwiatów, postrąconych płatków i liści.

Od momentu incydentu z pajakami, kiedy Ash osłonił ją ramieniem i w ten sposób przyciągnął do siebie, zapadło między nimi coś w rodzaju nie wyrażonego w słowach zawieszenia broni. Można to było częściowo przypisać także i temu, że oboje byli bardzo wyczerpani. W ciągu ostatniej godziny Ash sprawiał wrażenie coraz bardziej zmęczonego. Wyczuwała to choćby w tym, jak stawiał kroki, coraz cięższe, i w tym, jak oddychał. Współczuła mu wtedy, a poza tym trudno być wściekłym na człowieka, do którego jest się niemal przyklejonym. Z racji odnalezionego poczucia bezpieczeństwa i z wdzięczności za to, że jest obok, że można się na nim oprzeć, nie powinna się już wściekać.

A może teraz przyszedł właściwy moment, żeby go zaatakować, żeby wreszcie poznać prawdę?

Patrzyła na niego, jak odkopuje nogą opadłe liście i podnosi strącone przez ulewę owoce, używając czapki jako koszyka. Znów zobaczyła w nim wiecznego chłopca, wciąż tego samego Piotrusia Pana. Dżungla była z pewnością jego krainą Nigdy-Nigdy.

Ash wyciągnął do niej napełnioną owocami czapkę. - Mały obiadek? - zapytał. Przemoczone kosmyki włosów przylgnęły mu do czoła i oblepiały kark, sięgając niemal wyszarganego podkoszulka.

Corey spozrzała na owoce z pewnym wahaniem. Rozpoznała wśród nich tylko avocado.

- To jest mango. A to - wskazał na duży jaskrawoczerwony owoc - nazywa się *maraja*. Nie wiem, jak się to nazywa po angielsku, jeżeli w ogóle się nazywa. Skórka jest gorzka, ale miąższ wcale dobry.

Corey zdecydowała się na ten właśnie kolorowy owoc i z przyjemnością stwierdziła, że ma smak i konsystencję dojrzałej śliwki, ale jest słodszy i bardziej galaretowaty. I nieporównanie smaczniejszy od wszystkiego, co jadła w ciągu ostatniej doby.

Ash również skończył jeść i rozejrzał się za miejscem na chwilę odpoczynku. Wybrał duże drzewo o gładkiej korze, oparł się o nie i zjechał plecami po pniu, kończąc w pozycji w kucki. Otworzył plecak, wyciągnął z niego butelkę ohydnej whisky i zdjął nakrętkę. Odchylił głowę do tyłu, wypił spory łyk, po czym wyciągnął dłoń z butelką w stronę Corey. - Odrobinę?

Corey przeczuwała, że zawieszenie broni zaraz się skończy. Potrzęsnęła głową. Nie zamierzała dać się skusić taką przynętą.

Ash spojrział na nią i wrzucił ramionami. Pociągnął znowu, tym razem dłużej, a potem wziął szyjkę butelki w dwa palce i zaczął nią kołysać tuż nad zgiętym kolanem. - Wygląda pani jak podtopiony szczur - powiedział w końcu.

A zatem znów rozchodzili się do przeciwległych rogów ringu, szykując się do starcia. - Pan też nie wygląda dużo lepiej.

To pewnie było kłamstwo. Ale kłamstwo przeciw kłamstwu, nie ona ustalała reguły gry. Rusz na niego, teraz, zdawał się podpowiadać gdzieś z rogu ringu jej wewnętrzny głos.

- Chcę znać prawdę - powiedziała z dużą pewnością siebie. Choć właściwie takiej pewności w sobie nie czuła.

- Prawdę o czym?

- Dobrze pan wie, o czym. - Skrzyżowała ręce na piersiach. - O tym, co się stało ostatniej nocy.

- Chce pani wiedzieć, czy zrobiliśmy numerek?

Corey aż się skurczyła wewnętrznie, słysząc to określenie, które z pewnością wybrał świadomie. - Tak.

- Niech pani pomyśli i sama dojdzie do prawdy. - Przeciągnął dłonią po czole, jakby bolała go głowa i był ogromnie zmęczony. Ale Corey już

postanowiła, że nie pozwoli sobie na żadne przejawy współczucia. Nie po tym, jak się w stosunku do niej zachował.

- Już to sobie przemyślałam i wszystko wiem - powiedziała, blefując jak przy kartach.

- Taak? - spytał przeciągle. - To po diabła wierci mi pani dziurę w brzuchu? - Przymknął oczy i oparł głowę o pień drzewa.

To było gorsze niż wyrywanie zęba. - Ja... ja po prostu chcę, żeby pan przyznał, że nie... że my nigdy...

Znów pomyślała o jego bliźnie. Jak to możliwe, że pamiętała, jak jej palce wędrowały wzdłuż niej, przez pierś aż do pasa i niżej, znacznie niżej. Jej umysł, świadomość mogła nie przypominać sobie niektórych fragmentów, ale palce zawsze już będą pamiętały wyprawę od okolic jego serca w dół... Tę bliźnę znała już na pamięć. Szeroka blisko na centymetr, zbiegała niczym strumień między wzniesieniami mięśni pod sprężystą skórą. Jak można wytłumaczyć, że tyle o nim wiedziała, jeżeli nie... jeżeli to się nie stało?

- Coś ci powiem. - Ash patrzył na nią od dołu, a to, co dostrzegła teraz w jego oczach, zupełnie jej się nie podobało. Nie wiadomo dlaczego przywodziło na myśl błysk światła odbitego w metalu lufy rewolwerowej.

- To bardzo proste, Lilijko. Jeżeli bym... - Zamilkł na chwilę, jakby rozważając, jakiego słowa ma użyć. - Jeżeli bym naprawdę kochał się z tobą to ty byś to zapamiętała. Mogę ci dać na to słowo honoru. Zapamiętała byś, nawet gdybyś była nieprzytomna i potrzebowała reanimacji.

Powiedział to z uśmiechem, który chyba okazał się ową przysłowiową kroplą, przepełniającą czarę. Corey nagle poczuła, jak rośnie w niej niepohamowana wściekłość. A cóż za pyszałkowata kreatura! Wstrętny typ! Nigdy w życiu nie czuła się tak wściekła i tak znieważona.

A on znowu odchylił głowę do tyłu, żeby łyknąć sobie jeszcze trochę. Rzuciła się na niego, przewracając przy okazji plecak i wytrącając z ręki nie zakręconą jeszcze butelkę. Rozpryskana whisky ochlapała ich oboje. Upadł na bok, Corey przygniotła mu biodro kolanami i zaczęła walić w jego twarde jak skała mięśnie swymi drobnymi pięściami. - Ty łotrze! Ty okrutny, sadystyczny łotrze!

Ash szybko odwrócił się na plecy, chwycił ją za dłonie i bez trudu powstrzymał ten żaloszny i śmieszny atak. - Może sobie coś wyjaśnimy. Pani napadła na mnie dlatego, że nic nie zrobiliśmy?

- Dlatego, że pan kłamał. Tylko po to, żeby mi dopiec. Tylko po to, żeby mnie sadystycznie dręczyć! - Wciąż próbowała wyrwać dłonie, ale jego palce były zbyt silne.

- Nigdy pani nie kłamałem. To tylko pani chciała myśleć o mnie jak najgorzej i to wszystko. Ja po prostu tylko nie przeczyłem. I jeżeli ktoś ma tu prawo być wkurzonym, to ja, a nie pani. Nie mówiąc już o tym, że nie potrzebuję afrodyzjaków, żeby panią podniecić, jeżeli zechcę. I mogę to udowodnić.

Chwycił obie jej drobne pięści w swe wielkie dłonie i niespodziewanie rozłożył ręce na bok w ten sposób, że oboje, jak gdyby rozkrzyżowani, znaleźli się tuż przy sobie.

Serce Corey waliło tak, jakby chciało wyskoczyć z piersi. Była teraz tak blisko niego, że mogła w skórze jego doskonale kształtnej twarzy dostrzec każdy jego doskonale kształtny por. I policzyć każdy włoszek dwudniowego czarnogranatowego zarostu. Mogłaby dotknąć policzkiem jego długich, wilgotnych rzęs i dokładnie obejrzyć te wszystkie układające się we wzór gwiazdy linie w tęczęwkach szarych oczu, które teraz wpatrywały się w nią tak drwiąco i prowokująco. Ash najwyraźniej czekał na jej reakcję. A ona obawiała się coraz bardziej, że jej reakcja wcale go nie rozczaruje.

- Nienawidzę cię! Nienawidzę pana! - wykrzykiwała rozpaczliwie. Chciała, żeby to była prawda, ale wiedziała, że to kłamstwo!

Z niesłychaną wyrazistością odczuwała skórą każdy centymetr ich stykających się ze sobą ciał, już nawet nie okrytych, ale wręcz oblepionych parującymi ubraniami, które nie kryły, lecz wręcz uwydatniały ich kształty. Co to zresztą mogło mieć za znaczenie, skoro po chwili znalazła się w takiej pozycji, że bardziej leżała niż siedziała na nim, a jej uwrażliwione łono wyraźnie stykało się z czymś twardym i gorącym. Jej piersi wręcz wgniatały się w jego piersi, tak że prawie mogła usłyszeć bicie jego serca odpowiadające rytmowi, które czuła we własnej piersi.

- Kocham sposób, w jaki mnie nienawidzisz - szepnął Ash, a Corey nagle skonstatowała, że ten głos ją podnieca. Tymczasem Ash, wciąż mocno trzymając jej dłonie, wyciągnął teraz obie ręce aż za plecy nad głowę, a potem chwycił jej oba nadgarstki jedną ręką, podczas gdy jego druga ręka była już wolna i mogła teraz swobodnie wędrować wzdłuż jej osłabionego nagle ciała. I wędrowała, aby wreszcie chwycić ją za jędrny pośladek

i przysunąć ją całą do siebie tak, że teraz już niedwuznacznie dotykała swym łonem tej sztywnej twardości, którą pieściła dłonią minionej nocy.

Nagłe zetknięcie z ciepłem jego ciała, które jeszcze przed chwilą wydawało się jej wrogie, pozbawiło ją resztek sił i woli. Jak przez mgłę docierało do niej, że przecież to było właśnie to, czym się przechwalał i co ją tak rozgniewało. A to była prawda! Jeżeli teraz będą się kochali, to z pewnością zapamięta to na całe życie.

- No chodź, Lilijko - powiedział Ash. Bez trudu ułożył ją tak, jak chciał, a pod tył głowy podłożył jej własną dłoń niczym poduszczykę. - Spróbuj może jeszcze trochę nienawidzić mnie w ten sam sposób.

W jej zamglonych pożądaniem oczach można już było wyczytać wszystko. W kącikach jego ust pojawił się uśmiech, świadczący, że dobrze o tym wie. Wolno zbliżył twarz do jej twarzy, ich wargi zetknęły się, a poprzez warstwy wilgotnej tkaniny poczuła spazm napięcia jego członka i w odpowiedzi natychmiastową falę skurczów wewnątrz niej samej. I zaraz po tym w jej usta zagłębił się jego język, poszukujący i jednocześnie prowokujący. Czuła lekki posmak whisky i owoców, które przed chwilą jedli. Niemal jak Adam i Ewa. Tylko że to Ash występował tu w roli kusiciela.

- Rany boskie, jak ja ciebie pragnę! - powiedział półgłosem. Patrzył na nią i można było w tym spojrzeniu dostrzec już nie tylko zadziwienie, ale może nawet coś w rodzaju uznania. Puścił jej dłonie i objął ją mocno. - To niewiarygodne, jak cholernie cię pragnę.

Corey miała wrażenie, że w jej głowie huczy ocean, nie na tyle jednak głośno, by nie mogła słyszeć podpowiedzi złego ducha, który szeptał jej wprost do ucha, żeby się poddać. Siedział chyba na jej ramieniu i wmawiał, że ona przecież też tego pragnie, może nawet bardziej od niego. I nagle wszystko się skończyło, jak nożem uciął. Coś się musiało stać. Corey zdała sobie sprawę, że już nie jest przy Ashu, że została przez niego odepchnięta.

W pierwszej chwili usiadła bezwolnie, niczego nie rozumiejąc. Policzki miała rozpalone. Jej ciało nadal nie było w stanie pojąć, co się stało. Aż wreszcie to do niej dotarło. Postąpił z nią obrzydliwie i to nie pierwszy raz. Zapowiadał, że potrafi ją rozpalic bez korzystania z afrodyzjaków i dowiódł, że rzeczywiście potrafi. A kiedy już to sprawił, po prostują odepchnął. A ona znów zrobiła z siebie idiotkę. Czy kiedykolwiek nauczy się, jak powinna postępować?



Spojrzała w jego stronę. Leżał na plecach. Jedną ręką jakoś dziwnie bezwładnie opadła mu na nie ogolony podbródek i szyję. I miał taki dziwny oddech - bardzo płytki i szybki.

Malaria.

Gdyby nie była tak oteębiała, spostrzegłaby to natychmiast. Wszystkie symptomy się zgadzały. To gwałtownie narastające zmęczenie. Całkowicie niespodziewane, jeśli wziąć pod uwagę, ile energii miał w sobie jeszcze rano. I to, jak kilka razy ręką dotykał głowy. Musiała go boleć. I jeszcze to, że raz po raz sięgał po whisky.

Whisky!

Spojrzała tam, gdzie pod pniem drzewa leżała butelka. Obok szybki pozostała jeszcze ciemna, wilgotna plama, ale zawartość była już bezpowrotnie stracona. Corey poczuła się winna i była wściekła na siebie za to, że pozwoliła, by kierował nią gniew, a nie rozsądek.

Ash ruszył ręką, otworzył oczy i spojrzał na nią. Teraz wyraźnie dostrzegła ciemne plamy pod jego wspaniałymi oczami. Kropelki potu na czole i nawet na górnej wardze. - Przepraszam - powiedział cokolwiek niewyraźnie. Jego powieki mocno mu ciążyły, głowa znów opadła na ziemię. - Naprawdę nie zrobiłem tego po to, żeby pokazać, jakim mogę być sukinsynem i idiotą.

Nie musiał już jej tego mówić, ona teraz też to już wiedziała. Zapytała go o chininę.

Potrząsnął głową, powieki miał nadal zamknięte. - Nie ma chininy. Została w domu, w rezerwacie.

I nie było nawet whisky, która mogłaby choć trochę złagodzić atak.

Ash podniósł się do pozycji siedzącej i usiłował wstać.

- Lepiej może nie wstawaj. Odpocznij - powiedziała i delikatnie próbowała popchnąć go z powrotem na ziemię.

- Nie można.

Odsunął jej rękę i z trudem zaczął się podnosić. - Musimy zaraz iść, póki jeszcze w ogóle mogę powłóczyć nogami. Może ci się wydawać, że teraz jest źle, ale zostać na noc w dżungli bez żadnej ochrony to prawdziwe piekło.

- Zachwiał się, lecz już po chwili odzyskał równowagę. - W nocy jest i strasznie, i naprawdę niebezpiecznie. Dżungla nigdy nie zasypia i zawsze cię zniszczy, jeśli tylko może. A może - na tysiące sposobów.

Corey nagle poczuła, że znowu narasta w niej lęk. Przypomniała sobie

wszystkie czarne przepowiednie Mike'a Jonesa „Tylko poczekaj, jak go chwyci malaria, a zobaczysz, jaki jest szajbnięty”.

A to, co mówił teraz Ash, też nie dodawało ducha. - Jeżeli nie łowcy głów z plemienia Jivaras, to po zmroku już na pewno załatwią nas nietoperze.

Musiał zauważyć jej rozszerzone z lęku oczy i dodał: - Jivaras są chyba ostatnim z plemion nad Amazonką, które wciąż zabija ludzi. Stale jeszcze niesłychaną przyjemność sprawia im każda ucięta głowa, którą przez odpowiednie zabiegi potrafią spreparować i skurczyć do wielkości pięści.

Corey wzdygnęła się. - A nietoperze?

- Południowoamerykański nietoperz potrafi wyssać nawet litr krwi za jednym razem. W dodatku w ich ślinie jest jakiś znieczulający czynnik, który sprawia, iż człowiek nawet nie wie, że stał się dla nietoperza honorowym dawcą. Zazwyczaj orientuje się dopiero rano, kiedy budzi się we własnej krwi. Oczywiście jeżeli w ogóle się jeszcze obudzi.

## *Rozdział trzynasty*

Tylko po jednym kroku. Nic więcej. Ash z doświadczenia wiedział, że jedyna droga, żeby posuwać się naprzód, to iść krok za krokiem. Wolno. Bo jak się ma kilkudziesięciokilogramowe ciężary przywiązane do rąk i nóg, a do tego te ręce i nogi są jak galareta, to chodzenie jest piekłem. Prawdziwym piekłem.

Cała skóra paliła go żywym ogniem. Sięgnął za kark do przepeconego podkoszulka i ściągnął go przez głowę. Przez chwilę jeszcze trzymał go w palcach, a potem upuścił na ziemię. Kiedyś miał jeszcze plecak, ale teraz ktoś mu go chyba zabrał, podobnie jak rewolwer.

W głowie nieustannie huczała olbrzymi rój pszczoł. Ash lubił pszczoły. W ogóle lubił wszystko, co potrafiło latać wbrew prawom aerodynamiki. Czasami zdarzało mu się usiąść tylko po to, by przyglądać się, jak latają. Jak potrafią trwać nieruchomo w powietrzu, przechylać się jak helikopter, startować i lądować. Ten fruujący drobiazg bez trudu wykonywał wzorowe trójpunktowe lądowanie. Choć zapewne było to lądowanie sześcioma punktami naraz, w końcu pszczoła ma sześć łapek. Tak czy inaczej mógł jej pozazdrościć niejeden pilot śmigłowca.

Czuł walenie młotem w środku czaszki. Znów chwyciły go dreszcze, nad którymi nie mógł zapanować. Zacisnął szczęki najmocniej, jak potrafił, żeby zęby nie dzwoniły o zęby, niczym kastaniety ze słoniowej kości. I znowu było mu potwornie zimno. Tak czy siak - niusi przegrać.

Nogi ugięły się pod nim, upadł najpierw na kolana, a potem pozwolił ciału osunąć się bezwładnie na ziemię. Po chwili leżał już płasko na brzuchu. Nie

ma to, jak zwalić się na jakiegokolwiek posłanie, kiedy już jesteś prawie martwy. Zwalić się i leżeć. Jęknął i rył paznokciami w ziemię.

- Ash... - usłyszał czyjś głos.
- Zostaw mnie, do diabła.
- Musisz wstać. Musisz się podnieść.

To był ten sam głos, który go wciąż popędzał i ponaglał przez ostatnie tysiąc kilometrów. A może przez ostatnie trzy tysiące?

Przestało nim trząść. Otworzył oczy i zobaczył przed sobą parę ubłoconych sportowych pantofli firmy Nike. W tych pantoflach były stopy, nad nimi łydki i kolana i tak dalej, a na samej górze znajoma twarz. - Świetne obuwie, Lily - powiedział, starając się żartować. - Całe szczęście, że zostawiłaś w domu ciężkie buty farmerskie. Mogę się założyć, że zakładałaś je, kiedy tam u siebie szłaś plewić kuuu...kurydzą.

Zdawał sobie sprawę, że jego głos trochę się kołysze i nie wyraża myśli prosto i jasno, jak trzeba. Jakich myśli? Niech mu łeb utną, jeżeli wie, jakich. Jakichś tam, najpewniej głupich. Jeszcze przez chwilę próbował nakazywać nieposłusznemu umysłowi koncentrację, ale w końcu po prostu się poddał.

Po chwili odwrócił się na plecy i ponownie otworzył oczy. W polu widzenia miał teraz niebo, zachwycająco niebieskie, prawie szafirowe. I korony drzew w różnych odcieniach zieleni - od szczypiorku aż po kolor likieru chartreuse. A trochę bliżej czyjeś brązowe oczy o spojrzeniu łani. To muszą być jej oczy. Jej, Lily. Chyba zmartwione, bo tuż nad nimi dostrzegał dwie pionowe zmarszczki na jej czole. Natomiast twarz, dość blada zazwyczaj, była mocno rozgrzana od nadmiernego wysiłku.

Biedna Lilijka. Powinien się nią stale opiekować. Dzielna mała prawiczka. Nie powinna była tu przyjeżdżać. Co ona tu robi, w tym strasznym lesie, gdzie z pewnością mieszka wielki zły wilk. Zły wilk może cię zjeść, dziewczynko. Zły wilk bardzo lubi zjadać grzeczne dziewczynki.

Roześmiał się nagle, co zdziwiło nawet jego samego. No więc proszę bardzo, byli tu we dwoje, on chory i prawie szalony, ona śmiertelnie przerażona. Trudno mieć jej to za złe. Nawet wtedy, gdy był w formie, niekoniecznie musiał wzbudzać zaufanie. - Cholernie fajna z nas para, no nie? Nie uważasz, Lilijko? - Znów się roześmiał, zastanawiając się, czy jego śmiech zawsze brzmiał tak dziwnie.

Ale po chwili myślał już o czym innym. Znow przyglądał się jej pantoflom. Ktoś mógłby sądzić, że to, co kto ma na nogach, to sprawa drobna i mało istotna, ale dla niego pierwszorzędnej wagi. Należało się skupić na najdrobniejszych nawet szczegółach, bo mogą one być równie ważne jak głód na świecie i zagrożenie nuklearne. Te cholerne, zabłocone pantofle Nike.

Myślał bardzo chaotycznie. - A wiesz, co jest jeszcze gorsze niż te sakramenckie farmerskie kamasze? Więc ci powiem. Takie koszmarnie niezgrabne, czarne damskie buty, które noszą starsze panie.

Zaplótł palce obu dłoni i przycisnął je do brzucha. Czuł, jak coraz dotkliwiej piecze go rozpalona, nie osłonięta skóra pleców. Niejasno przypominał sobie, że kiedyś ściągał z siebie podkoszulek, ale kiedy to było? Chyba wieki temu...

Przymknął piekące powieki. Nadal jednak oczyma duszy widział te cholerne, czarne buty. Znow zaczął gadać jak nakręcony, jak ktoś, komu wstrzyknięto „serum prawdy” i kto już po prostu nie może przestać mówić.

- Te cholerne czarne buty dla starszych pań powinny być sprzedawane z ostrzeżeniem. „Nie noś takiego obuwia, a znacznie zmniejszysz szanse wylądowania w szpitalu ze złamanym biodrem”.

Niby miał świadomość, że on sam mówi te słowa, ale wydawało mu się, jak gdyby wypowiadał je ktoś inny. Tak, jakby jego głos oddzielił się od niego samego i istniał już zupełnie samodzielnie. - Jak myślisz, gdzie można kupić takie okropieństwa? Może wiesz, kto sprzedaje takie buty? A przede wszystkim jaki bandyta to produkuje?

- Ash, daj spokój... - powiedziała rozbawiona Corey. Czyżby śmiała się z tego, co on mówi? W jego mózgu zaległo się nagle straszne podejrzenie. Otworzył oczy i popatrzył na nią jak nauczyciel, przepytujący ucznia. - Ty chyba nie nosisz takich czarnych kamaszy? Co?

- Nie - zapewniła go, śmiejąc się.

- No! - westchnął z ulgą. Głowa znow mu opadła, powieki się zamknęły.  
- Co za ulga!

Jego ciałem znow wstrząsał dreszcz. Ash nie walczył z tym, zamierzał poczekać, aż atak minie.

- Ash, musisz się podnieść.

Znow się zaczynało. Znow go ponaglała i popychała. - Założę się, że podczas szkolnych rozgrywek to ty organizowałeś klakę. Te wrzeszczące i fikające nogami dziewczyny. Ra, ra, ra! Ra, ra, ra! Koosz! Brawooo!!!

- Ash, musimy iść.  
- Miałyście na sobie tylko takie pompony do potrząsania, co?  
- Musimy dojść do rezerwatu przed zmrokiem, pamiętasz? - W jej głosie już nie było rozbawienia. - Czy wiesz na pewno, że idziemy w dobrym kierunku? Że nie zgubiliśmy się?

- Zgubili, my? Ja mógłbym tu trafić do domu nawet z zawiązanymi oczami. Nie, nie zgubili się w dżungli. To tylko Lukę się w niej zgubił.

Ash starał się uporządkować myśli, ale wszystko wokół wydawało się nieostre i jakby rozmazane. Bolała go głowa.

Bolały wszystkie mięśnie, a zwłaszcza plecy. Był tak cholernie zmęczony i było mu tak potwornie gorąco i zimno równocześnie. I jeszcze usilnie próbował sobie przypomnieć coś bardzo ważnego.

Koniecznien musi to sobie przypomnieć. Musi uparcie myśleć tylko o tym... aż w końcu sobie przypomni...

O Jezu Chryste, jak to boli! I tyle krwi wszędzie. A on nawet nie może nic nikomu powiedzieć. W ogóle nie może dopuścić, żeby ktoś się dowiedział. Bo przecież lady Fielding nie znosi go jak zarazy i tylko czeka, żeby go na czymś przyłapać.

Nie mógł pozwolić, żeby go wywalili ze szkoły. Pani Fielding zapowiedziała mu, że jeżeli znów będą z nim jakieś kłopoty, rozdzieli go z bratem i wyśle do innego zakładu. Ash wiedział, że nie wolno do tego dopuścić. Lukę sam nie dałby sobie rady z chłopakami. Ktoś musiał nad nim czuwać.

Gdyby wtedy nie zwędził tego roweru Sweeneya... Prawdę mówiąc, nawet go nie zwędził, tylko pożyczył. Zamierzał go przecież odstawić z powrotem, jak tylko sprzeda puste butelki po lemoniadzie w sklepie na rogu. Kto mógł przypuścić, że ten głupi pies, wielki jak ciele, wyskoczy mu zniemacka wprost pod koła? Na sam środek ulicy! Co to za właściciel, który pozwala swemu psu włóczyć się po jezdni?!

Zdażył dostrzec rozpędzonego psa, próbował zahamować, ale wszystko wydarzyło się zbyt szybko. Najpierw przednie koło uderzyło w psa, a potem Ash przeleciał łukiem przez kierownicę, mając wrażenie, że leci bardzo długo, jak na zwolnionych zdjęciach w kinie. Potem jeszcze sunął po tym rozgrzanym cemencie jezdni, też nieskończenie długo. A wokół niego gęstym deszczem sypały się odłamki szkła z butelek, podczas gdy pies dawno już zwiął w najbliższą przecznicę.

I gdy wreszcie skończył się ten zwolniony film, Ash popatrzył na swe zakrwawione ręce. Potem na nogi. Potem jeszcze na resztę.

O Boże! Wyglądało tak, jakby sam Zorro rozpłatał go jednym równym cięciem od góry do dołu.

Początkowo nawet nie czuł bólu. To było trochę tak, jak gdyby on sam właściwie stał z boku i tylko przyglądał się całemu zdarzeniu. A potem pojawił się ból, taki rozpalony do białości i ostry jak skorupy potłuczonego szkła. Pulsujący ból, fala za falą. To z powodu tego bólu czuł się oszołomiony i trochę nieprzytomny. Od tego bólu kręciło mu się w głowie.

Nie pamiętał, żeby wsiadał z powrotem na rower, ale musiał to przecież jakoś zrobić, bo oto już po chwili znów pedałowiał, ile sił. Jechał z powrotem do domu Sweeneyów, a rower chybotał się pod nim jak oszalały.

Bał się. Potwornie się bał. Tego, że go złapią, że wszystko się wyda. I jeszcze bał się, że wykrwawi się na śmierć, rozpruty od góry do dołu jak rybi brzuch. I to czym? Kawalkiem butelki po lemoniadzie. Nie mógł nic nikomu powiedzieć. W żadnym wypadku. Gdyby lady Fielding się dowiedziała, rozprawiłaby się z nim ostatecznie. Wysłałaby go do innego zakładu i już nigdy nie zobaczyłby Luke'a. Ale on za nic do tego nie dopuści. Nigdy.

Prawie udało mu się wrócić do sierocińca. Jednak tuż przed bramą znów zrobiło mu się czarno przed oczami. Znów upadł na jezdnię.

A teraz siedział nieruchomo i patrzył w dżunglę. Pot łał się z niego, a całe ciało dygotało. Corey najbardziej przerażona była jego nieprzytomnymi oczami. Sprawiał wrażenie człowieka w silnej gorączce.

Szli tak już w sumie pięć godzin. Ale czy szli we właściwym kierunku? Parokrotnie zdarzało się, że ledwie widoczna ścieżka zdawała się rozgałęziać. Ash wtedy unosił palec i po chwili wskazywał kierunek, twierdząc z wielką pewnością, że zna drogę.

Ale bywały też i takie chwile jak teraz, kiedy czuł się bardzo źle i sprawiał wrażenie nieprzytomnego. Potem jakoś się z tego wydobywał i znowu wtedy szli dalej. Jeszcze nigdy nie było z nim aż tak źle. Dotychczas mimo wszystko nie widać było po nim takiego zwątpienia i rezygnacji.

Corey wiedziała, że malaria może być powodem gwałtownych depresji,

które czasami trwają bardzo długo, nawet po fizycznym wyleczeniu chorego. Z przerażeniem pomyślała, że i Asha może to czekać.

- Nie! - krzyknął Ash. Krzyknął bardzo głośno, choć od dobrych paru godzin odzywał się raczej cicho. Teraz jednak wydawał się czymś poruszony, a wpatrujące się w nią oczy błyszczały gorączkowo. Zaczął mówić, choć głos mu się łamał i drżał. - Oni... tam w Nowym Jorku... zamówili mszę za Luke'a. Jak za zmarłego, za jego duszę. Ja najpierw w ogóle nie chciałem tam jechać. Bo... ja wiedziałem, że Lukę nie umarł. Wiedziałem na pewno, że wciąż żyje. Ale potem... pomyślałem sobie, że to nie byłoby dobrze. Pomyślałem, że jednak nie mogę na tę mszę nie pojechać... Żeby Lukę sobie nie pomyślał, że o nim zapomniałem... to znaczy, gdyby miało się okazać...

- Ash zamilkł na chwilę.

- Oczywiście wszyscy ci jego koledzy i koleżanki z Korpusu Pokoju też tam byli. I wszyscy mówili tylko, jakim to cholernym świętym był mój brat... - Głos Asha nagle się załamał. Nie widzącymi oczyma wpatrywał się w ziemię pod stopami. Jego długie opalone palce machinalnie zwijały i rozwijały końce białych nitki z wystrzępionych džinsów. I znów, i jeszcze raz.

Ash po chwili znów zaczął mówić, równie nagle, jak przedtem przestał.

- I nie wiem, co mi się stało, ale w połowie mszy nie wytrzymałem. Wyrwałem facetowi tekst jego przemówienia i podarłem na kawałki. - Ash zwinął dłoń w pięść i gniewnie uderzył nią we własne kolano. - I do tego jeszcze przewróciłem stojak z kwiatami, już niechcący. Choć te kwiaty też mi się wydawały niedoraeczne. No, krótko mówiąc, zanim sobie poszedłem, zakłóciłem przebieg uroczystości. - Ash machinalnie przeczesał palcami włosy, oddychał szybko i urywanie.

- I oczywiście była tam i lady Fielding. Wreszcie miała to, o co jej chodziło. Byliśmy z Luke'em rozdzieleni, raz na zawsze- Odchylił głowę do tyłu i patrzył na niebo i wysokie korony drzew. Corey spostrzegła, że częściej, niż trzeba, mrugał teraz powiekami.

Chciała podejść do niego i jakoś go pocieszyć. A przynajmniej otrzeć pot z twarzy i piersi, które unosiły się i opadały w nieregularnym rytmie przyspieszonego oddechu. Nie potrafiła się jednak zdecydować, pozostała nieruchoma i tylko przyglądała mu się bezradnie i ze współczuciem, niewiele zresztą znaczącym.



- Wciąż mam w pamięci wyraz twarzy lady Fielding, gdy tak na mnie patrzyła. Z nie ukrywaniem niesmakiem. I z samozadowoleniem. Wiedziałem, co sobie wtedy myślała. Że w końcu sam do tego doprowadziłem. I że to ja zawsze byłem tym złym bratem, tym zepsutym. Prawdziwe diabelskie nasienie! - Ash westchnął z bólem. - A najgorsze w tym wszystkim, że to prawda. Gdyby w życiu istniała jakaś sprawiedliwość, to ja powinienem zginąć, a nie Luke. Nie on. Taki dobry, taki święty, że mógłby suchą stopą stąpać po falach jeziora.

Ash zamilkł i znieruchomiał. Przez chwilę można było niemal sądzić, że nie żyje. Potem podniósł ręce i ukrył twarz w dłoniach.

Corey patrzyła na jego pochyloną głowę i plecy, na mocne ramiona, które znów zaczęły dygotać, ale tym razem nie z gorączki. Usłyszała dziwny, urywany szloch, niemal natychmiast stłumiony.

Corey sama miała załzawione oczy. Podeszła, uklękła przy nim na ziemi i przyciągnęła go do siebie. A on niespodziewanie wtulił w nią twarz i cały przylgnął do niej jak skrzywdzone, osierocone dziecko.

Ash. Właśnie on! Ten wielki, ten silny, ten niezwykle twardy facet! Teraz już mogła się przyznać: tak chciała być z nim. Po cichu umierała z tęsknoty za nim. Przypomniała sobie, jak dopiero co tak komicznie rozprawiał o bandytach produkujących czarne kamasze i jak ją to rozśmieszyło. A teraz dla odmiany rozdzierał jej serce. Na przestrzeni pięciu minut sprawił, że przeżyła jedno i drugie. Oto cały Asher Adams. Najwyraźniej nie było dla niego stanów pośrednich. Tylko wszystko albo nic.

Czuła teraz, że jego ciało drży wstrząsane gorączką. Delikatnie pogłaskała go po włosach, otarła pot na skroniach.

Nagle jak w świetle błyskawicy zobaczyła go naprawdę. I nawet go rozumiała, wiedząc, że nikt nigdy nie będzie mógł go zrozumieć całkowicie i do końca. Tak, to prawda, że potrafił nieraz być i sarkastyczny, i okrutny, i przemądrzały. Ale to wszystko było tylko ochronną skorupą, zewnętrznym pancerzem, który miał chronić to, co było w środku i co tak łatwo można było zranić.

Z zadziwiającą przenikliwością, której u siebie nawet nie podejrzewała, zdała sobie sprawę, że pod wieloma względami jest silniejsza od niego. To prawda, że Ash wyciągnął ją z pułapki, uratował przed Takarim i przed włochatymi pajakami. A jednak czuła, że to właśnie ten twardy i męski facet jest tym, który potrzebuje opieki i ochrony.

Gdyby jego brat, Lukę, był tutaj, też pewnie zgodziłby się z tym i stwierdził, że i on opiekował się Ashem i pilnował, żeby za często nie wpadał w kłopoty. Tak jak Ash z kolei opiekował się nim. W jakiś sposób wzajemnie się uzupełniali. A teraz, kiedy Luke'a już przy nim nie było, nie było też przeciwwagi, chroniącej go przed wpadnięciem w przepaść. Uchronić go przede wszystkim przed nim samym.

Corey przez dłuższą chwilę pozostała nieruchomo, z policzkiem przytulonym do głowy Asha. Trzymała go w ramionach, aż wreszcie dygotanie ustąpiło. Kolejny atak zaczynał mijać.

Ash wciągnął głęboko powietrze. Oczy miał szklane, jakby wciąż zapatrzone w przywołane gorączką bolesne wspomnienie, w obrazy z przeszłości. Corey miała ochotę scałować łyzy z jego twarzy, przepędzić tym wszystkie jego smutki.

- Nie powinnaś była tu przyjeżdżać - powiedział ochryłym głosem Ash. Jego oczy na szczęście nie były już tak niepokojąco szkliste. - Tu dla ciebie jest zbyt niebezpiecznie.

- Wiem.

Pewnie, że zbyt niebezpiecznie. I to nie tylko w tym sensie, o którym on myśli.

- Ach, Lily, Lily... - westchnął.

W tym ledwie słyszalnym westchnieniu brzmiał dojmujący smutek. Może też żal. Ash uniósł rękę i dotknął jej twarzy. Delikatne, choć pokancerowane palce przesunęły się po policzku, a Corey dopiero w tym momencie zdała sobie sprawę, że jej twarz też jest wilgotna od łez.

- Dlaczego z człowieka wyrasta taki skończony głupek? Jak ja, na przykład? - powiedział to na w pół do siebie, bardzo cicho i ochryple.

- Podejrzewam, że to sprawa genów czy tam chromosomów. Jak ktoś już ma chromosom głupka, to amen - westchnął jeszcze raz i zaczął się podnosić.

- Czas się zbierać.

Wystraszona Corey próbowała go powstrzymać. - Nie możemy iść tak zaraz! - Nie bez racji można się było obawiać, że jeśli będzie szedł, na w pół tylko przytomny, to w końcu zgubią się w lesie oboje. - Powinieneś poczekać, aż poczujesz się lepiej.

- Bądź spokojna. Nie pozwolę, żeby ci się stało coś złego. Mam obowiązek opiekować się Lilijkami. - Już był na nogach i pociągnął Corey za sobą. - Nic

się nie martw, my się świetnie znamy z dżunglą. Ja z nią jestem tak!  
- pokazał gestem.

A potem zaczaj iść. Kiedy się okazało, że Corey wciąż nie rusza się z miejsca, odwrócił się do niej i kiwnął zachęcająco ręką. - No chodź! Jeszcze godzinka i będziemy w domu.

Ash ponownie leżał na ziemi. Corey uklękła obok niego, a właściwie padła na kolana. Potwornie bolały ją plecy i ramiona, zwłaszcza tam, gdzie rzemienie plecaka wrzynały się w ciało. Znowu czuła w sobie narastającą panikę, choć starała się z nią walczyć. Wiedziała jednak, że najpóźniej za godzinę będzie ciemno, a nic nie wskazywało na to, że uda im się dojść do rezerwatu przed nocą.

Ash zaczął machinalnie przeszukiwać kieszenie koszuli. Corey udało się go przedtem namówić, by ją jednak włożył. Kolejny raz z irytacją klepał się po dżinsach.

- Kurcze, muszę zapalić - powiedział po chwili i znowu powtórzył daremny gest szukania.

- Nie masz już papierosów, zapomniałeś?

- A niech to szlag! Racja, nie mam.

Ostatnia paczka, którą miał, rozmokła tak kompletnie, że ani jeden papieros nie nadawał się do uratowania.

Znowu próbował stanąć na równe nogi. Corey kolejny raz była świadkiem, jak zмага się sam ze sobą, i nie chciała już nawet na to patrzeć. Zdawała sobie sprawę, że nie wolno mu podejmować takich wysiłków. To najgorsza rzecz, jaką może zrobić człowiek chory na malarię - forsować się, gdy następuje kolejny atak. W tym stanie jest to wręcz zabójcze dla serca i nerek. I może się skończyć gorzej niż źle.

Ale z drugiej strony nie do pomyślenia było, żeby zostać na noc w dżungli. Jeśli to, co Ash powiedział, było prawdą, to pozostanie w dżungli po zmroku oznaczało pewną śmierć.

A co, jeżeli oni w ogóle chodzą w kółko? Jeśli cały ten straszliwy marsz nigdzie ich nie doprowadzi? Były przecież i takie chwile, kiedy Ash wyglądał na kompletnie nieprzytomnego, a mimo to nadal szedł, choć nie sprawiał wrażenia, że wie, w jakim kierunku idzie i gdzie się znajduje. Zdrowi

i w pełni przytomni ludzie gubili się w dżungli. Więc w jaki sposób on mógł odnajdywać właściwą drogę?

Ash tymczasem już znowu stał na nogach i znowu szedł przed siebie, nie oglądając się na nią. Corey jęknęła pod ciężarem plecaka, z trudem wstała i poszła w ślad za nim.

Ale nie zdołali przejść więcej niż kilkaset metrów, gdy usłyszała dobiegający gdzieś z lewej strony niezwykle dźwięk. Wyraźny odgłos dzwonka. Dźwięk był stłumiony, jak gdyby niósł się z daleka poprzez gąszcz dżungli.

Ten dźwięk mógł oznaczać tylko jedno - ludzie! A więc musieli być już gdzieś w pobliżu rezerwatu. George Dupree zapewne wrócił, zorientował się, że ich nie ma i teraz dzwonił, żeby wskazać im kierunek.

- Ash, słuchaj! To chyba dzwonek! A my idziemy w złym kierunku.

Ash zatrzymał się nagle i Corey omal nie wpadła na niego. A ten dźwięk dobiegł ich znów, wyraźny, zachęcający i uporczywy.

- To musi być z tej strony - powiedziała Corey i zrobiła krok we wskazanym kierunku. Ale Ash chwycił ją za rękę i zatrzymał, przyciągając do siebie z zaskakującą siłą.

- Nie słuchaj tego - powiedział cicho. Spojrzał w stronę dżungli, a potem znów odwrócił się do niej. Pod oczami miał czarne plamy, świadczące o krańcowym wyczerpaniu.

- Ash, ale przecież...

- Po prostu nie słuchaj tego - powtórzył dojmującym szeptem. - Nie słuchaj, rozumiesz?!

A przecież w ciągu ostatniej godziny wydawało się jej, że Ash czuje się jakby lepiej. Fizycznie był wprawdzie wciąż rozpaczliwie zmęczony. Jednak odnosiła wrażenie, że jego wzrok był przytomniejszy, a myślenie bardziej zborne. Miała nawet nadzieję, że najgorsze już minęło. Ale teraz obawa, że on chyba nie rozumie, wróciła.

Ash jednak wiedział, co mówi. - Słyszysz dzwonek, ale to nie ludzie dzwonią. To taki ptak, nazywają go tu dzwonnikiem. Ten dźwięk to tylko głos ptaka. Gdybyś poszła za nim, przepadłabyś natychmiast. - Ash zachwiał się na moment, ale znów się wyprostował. - Dzwonnik jest bardziej niebezpieczny niż jadowity wąż tropikalny. Bo wąż w końcu jest rzeczywisty, można go zabić. A dźwięk tego dzwonka... jak zabić dźwięk?...

Czy tak było rzeczywiście, czy też znów majaczył? Może to kolejny atak

maligny, gorszy od wszystkich dotychczasowych? Corey znów zaczynała się bać, znów przypominała sobie słowa Mike'a Jonesa. Daremnie starała się przez parę dni wyrzucić je z pamięci.

Nagle dźwięk dzwonka zamilkł, a po chwili dał się słyszeć znowu, ale tym razem z tyłu. Corey wzdrygnęła się i miała nieodparte wrażenie, że włosy na głowie zaczynają się jeżyć.

Ash wciąż trzymał ją za rękę. Odwrócił się i popatrzył na nią, już jakby przytomniej. - Ja nie jestem aż tak bezrozumny, jak sądzisz.

Oczy miał zaczerwienione, a powieki niemal czarne, ale teraz Corey znów mogła dostrzec w spojrzeniu trzeźwą i jasną świadomość. Tak, był przytomny, choć rozpaczliwie słaby. Czowała, jak wstrząsa nim dreszcz. Własnym ciałem czuła jego słabość i zmęczenie, równe jej zmęczeniu, a może i znacznie większe.

Za to z pewnością oboje byli jednakowo brudni i spoceni. Mogliby spokojnie wystąpić w filmie jako para zapaśników walczących w błocie, których po zaciętym pojedynku co prawda opłukano wodą z gumowego węża, ale opłukano na chybcika i byle jak.

Patrzyli więc tak na siebie wzajemnie, aż w końcu na twarzy Asha pojawił się zmęczony uśmiech. Było w nim rozbawienie, a może nawet pełne wisielczego humoru rozmarzenie. - Naprawdę świetna z nas para. Tak wspaniale wyglądamy. I tak pięknie jesteśmy wystrojeni, a tu nie ma dokąd pójść.

Corey odetchnęła z ulgą. Oczywiście, wciąż musiał być bardzo słaby i wyczerpany chorobą, i mogło to jeszcze potrwać parę dni, ale przynajmniej powrócił mu dobry humor. Wyszedł z dołka i to było najważniejsze. Wołała już te wszystkie żarty i drwiny, nie mówiąc o niewyszukanym słownictwie, niż jego smutek, którego po prostu nie potrafiła wytrzymać.

- Daj mi plecak - powiedział Ash. Zauważył moment jej wahania.  
- Dobra, daj mi go. Niosłaś go przez kilka godzin. Teraz moja kolej.

- Ja tam włożyłam jeszcze moją torebkę i aparat fotograficzny.  
- I bardzo dobrze. No już, daj. - Zdjął z niej plecak i zarzucił na siebie. Jego ruchy były wolniejsze, widoczne było zmęczenie, ale znów szedł w tym samym kierunku, w którym zmierzali, póki Corey nie usłyszała głosu ptaka-dzwonnika.

- Jeszcze piętnaście minut i będziemy na miejscu - powiedział Ash.

A ja już w to wierzę, pomyślała cierpko Corey. Tak jak w świętego Mikołaja. I w to, że bociany przynoszą dzieci.

Ale po dwudziestu pięciu minutach rzeczywiście wyszli na skraj oczyszczonego z lasu terenu wokół domu w rezerwacie.

- Nie mam pojęcia, jak ci się udało trafić - odetchnęła z ulgą.

- Tajemnica zawodowa. Tylko członkowie Towarzystwa Miłośników Ziemi Płaskiej mogą ją poznać.

- No tak, jasne.

- A oto i nasza rezydencja - wskazał ręką. - Kurczę blade, czyż nie jest wspaniała? Jak Biały Dom i pałac Buckingham razem wzięte, co nie?

Corey zgadzała się z nim bez reszty. Miała nawet ochotę paść na kolana i ucałować wyschniętą glinę podwórka.

I tak szli w stronę domu, jak para dopiero co ożywionych trupów, zwanych w amerykańskich filmach *zombies*. A tam już czekał komitet powitalny, składający się ze stadka kur, które z głodu dziobały ich po stopach, i z jednej pobekującej kozy, z której nabrzmiatego wymienia kropelkami skapywało mleko.

## *Rozdział czternasty*

Nnagle poczuł, że coś wilgotnego dotyka jego dłoni. Obudził się i zdał sobie sprawę, że śpi na podwieszanej ławce, coś w rodzaju hamaka u wejścia werandy, a pies liże go w zwisającą z posłania rękę.

- Cześć Bobbie - rzekł pogodnie i zdziwił się, że jego głos aż tak przypomina odezwanie się schrypłego gawrona. - No jak tam? Dzielnie pilnowałeś tu wszystkiego, prawda? To teraz w nagrodę coś ci zdradzę jak mężczyzna mężczyźnie. - Pochylił się i położył palec na ustach. - Nie pozwól Lilijce, żeby tobie też zalazła za skórę. W żadnym wypadku! - Znów pochylił się i pogłaskał psa po głowie.

Jedzenie. Czuł zapach jedzenia - i to w dodatku najwyraźniej czegoś robionego na gorąco. A więc pewnie Corey próbuje swe umiejętności w kuchni. Chyba że to George wrócił. Ale George nie miał pojęcia o kucharzeniu, a ten zapach zapowiadał jednak coś jadalnego.

Ash czuł się sakramencko głodny. Najbardziej jednak marzył o kąpieli. Metalowa konstrukcja podwieszanego hamaku kołysała się i skrzypiała pod nim, kiedy opuszczał bose stopy na podłogę i usiadł na krawędzi, a całe ciało nieomal zawyło z bólu. Siedział więc nieruchomo i czekał, aż ból trochę przejdzie, w głowie mu się przejaśni na tyle, że będzie zdolny do jakiegoś myślenia. Na razie docierała do niego przede wszystkim świadomość fizycznego zmęczenia, ale i jeszcze coś. Coś nieokreślonego i przykrego, jak ćmiący ból zęba. Tylko że nie było to nic fizycznego. Nie potrafił w ogóle zrozumieć przyczyny tego stanu. Usiłował sobie po kolei przypomnieć wczorajszy wieczór. Pamiętał, że wchodził chwiejnym krokiem po schodach

werandy. I że potem zwałił się na tę podwieszoną jak huśtawka ławę. Właściwie tylko tyle był w stanie sobie przypomnieć. Gdyby sądzić z kąta padania czerwonopomarańczowych promieni słonecznych, które przebijały się przez wielkie okna werandy, musiał spać na okrągło najmniej dwadzieścia cztery godziny.

Malaria jakoś tam się w nim chyba wypaliła, w każdym razie Ash był wdzięczny losowi, że pierwszy okres najcięższych ataków ma już za sobą, ten straszny czas, gdy wydawało mu się nieraz, że i choroba nie ma już ani początku, ani końca i gdy bywał zbyt słaby, by moc próbować choćby pełzać. Teraz przebiegało to trochę lżej, choć nadal po każdym ataku czuł się okropnie.

Zmusił się, żeby się podnieść i stanąć.

I dopiero kiedy już był w rzece, kiedy kolejny raz obmywał plecy, ramiona, całe ciało, uświadomił sobie, co go tak dręczyło. Tak, to było to. Wczoraj pozwolił sobie na płacz, i to na oczach Corey. Mało tego, pozwolił, żeby ona go pocieszała, jak małe, rozpaczające dziecko. Kurczę blade! A w dodatku nawet mu się to podobało. Na samą myśl o tym skręcał się teraz ze wstydu.

Skończył mycie, parę razy opłukał się dokładnie i wyszedł z wody na brzeg. Drobne strumyczki spływały z włosów po skórze odświeżonego, nagiego ciała. Ash sięgnął po żałośnie nie doprany ręcznik, który wcześniej zawiesił na wystającym korzeniu, i zaczął się wycierać.

No tak. Płakał przed nią niczym małe dziecko. A teraz będzie musiał spojrzeć jej w oczy.

Ale dlaczego właściwie miałyby się tak przejmować tym, co ona sobie pomyśli? W końcu nawet jako wyniosła i przestrzegająca form małomiasteczkowa pannica z całą pewnością miała już okazję oglądać facetów, płaczących w jej obecności. Nawet ten jej cholerny Dudley też mógł się przed nią rozkleić, na przykład kiedy razem oglądali jakiś wzruszający film Disneya. Tylko dlaczego na samą myśl o tym Dudleyu zaczynały go boleć szczęki?

Zupełnie niespodziewanie przypomniał sobie coś, co jeszcze dodatkowo go rozstroiło. Przez tyle lat nie pamiętał o tym i właśnie teraz musiał sobie przypomnieć. Otóż i jemu zdarzyło się płakać w kinie, kiedy oglądał film „Lassie, wróć!” No, ale tego nikt po ciemku nie dostrzegł. Ash nawet chlubił się tym, że jako jedyny z chłopaków wyszedł z kina z suchymi oczami. Udało mu się wtedy rzucić parę sarkastycznych uwag na temat sentymentalnej fabuły. A żyły były później, kiedy już był sam w łóżku i nikt nie mógł tego widzieć.



Odwiesił ręcznik, włożył dzinsy i podkoszulek. Będzie szczęśliwy, jak ona sobie stąd pojedzie, zaraz jak tylko George wróci. Naprawdę. A George wróci lada chwila. Najlepiej by było, żeby sobie pojechała natychmiast. Po uszy miał tego wszystkiego, a zwłaszcza tego poczucia odpowiedzialności za nią. Już nie mówiąc o tym, że jeszcze bardziej denerwowała go nieustanna i bezsensowna walka z najbardziej pierwotnymi żądzami, jakie nie wiadomo dlaczego rozpałały się w nich obojgu w najmniej odpowiednich momentach.

Właściwie dzisiejsza noc winna była stać się ich cielesną ucztą, powiedział sobie nie bez odrobiny sarkazmu. W końcu byli sami, tylko we dwoje. A on zazwyczaj nie wykazywał się, łagodnie mówiąc, szczególnym panowaniem nad sobą. Panowanie nad sobą to coś bardzo chwalebne, owszem - ale tylko dopóki idzie o kogoś innego.

A co do Lilijki, już ją przejrzał. Na wylot. Na pewno nie była to osoba, która pozwoliłaby sobie na pójście z kimś do łóżka bez jakiegoś wzajemnego zaangażowania. A tymczasem, jeżeli chodziło o niego, słowo „zaangażowanie” nie wchodziło w rachubę. W ogóle nie znał takiego słowa.

Dotarł do domu i zastał Corey w kuchni. Właśnie stała pochylona nad kuchenką gazową i wyglądała bardzo po domowemu. Nie usłyszała, jak wchodził. Ash zatrzymał się na progu, mimo woli czerwieniąc się na myśl o tym, że ma spojrzeć jej w oczy po tym wszystkim. Widziała go płaczącego i szukającego schronienia w jej ramionach. Trudno. To już minęło, a on nigdy nie był kimś, kto łatwo daje się zawstydzić. Należy po prostu przestać o tym myśleć.

Wciąż stał nieruchomo i przyglądał się jej bez słowa. Spostrzegł, że i ona zdążyła już wykapać się w rzece. Poczul nagłą irytację, nie wiedząc dokładnie, czy jest zły na nią, czy może na siebie samego. Nie powinna była iść sama. To było zbyt niebezpieczne.

Musiała wyczuć jego obecność i odwróciła się. - Ash! - Spojrzała na niego, zauważając od razu, że też zdążył się wykapać. Jej brązowe oczy nie były już zmęczone, lekko zadarty nos trochę się opalił, przez co piegi stały się bardziej widoczne. Ale w ogóle wyglądała na... na nie tkniętą! Tak, to słowo samo przyszło mu do głowy.

Nie tak dawno temu nawet droczył się z nią, sugerując, że jest dziewczicą, choć prawdę mówiąc sam nie za bardzo w to wierzył. No chyba że ten jej Dudley to po prostu wałach. Ale ona ma w sobie coś takiego, co kojarzy się z niewinnością, dlatego też budzi w nim instynkty opiekuńcze.

- Nie powinienś był wstawać. Właśnie zamierzałam ci przynieść coś do jedzenia. - Uśmiechnęła się miło i przyjaźnie. Zaskoczyło go to tak, że nawet przez chwilę pomyślał o czymś, na co nie miał najmniejszej szansy, że może potrafiłaby go polubić.

Na jej widok zabiło mu serce, a w łędźwiach poczuł nagłe pożądanie. Dlaczego ona na niego tak działała? Owszem, była sexy, nie można powiedzieć, ale na pewno nie z tych, które widnieją na rozkładówce „Playboya”. Miała małe piersi, a jej figura była szczupła, prawie chłopięca. Mimo to okazywała się niezwykle pociągająca. Nawet ubrana tak jak teraz, w starych džinsach i za dużym podkoszulku. Nawet z tymi poparzeniami od słońca i podrapaną skórą na ramionach i dłoniach.

Corey przyglądała mu się z niepokojem. - Ash?...

Zdawał sobie sprawę, że musi wyglądać okropnie. Nie zdążył się jeszcze ogolić. Wiedział, że malaria zawsze zostawia ciemne plamy pod oczami. - Nie patrz na mnie takim wzrokiem siostry miłosierdzia. Już nie jestem chory. Tylko trochę osłabiony.

- Nie jestem taka pewna - powiedziała kręcąc głową. - Ale przynajmniej usiądź przy stole, żebyś się nagle nie przewrócił. Mam nadzieję, że lubisz potrawkę z tuńczyka z warzywami? Prawdę mówiąc, niczego innego nie znalazłam.

- I tak na pewno będzie to dużo lepsze, niż wszystko, co my tu przyrządzamy. To znaczy, George i ja. Żeby nie skłamać, jadaliśmy tu i takie rzeczy, których Bobbie nie chciał nawet powąchać.

Nim skończyli jeść, słońce już ostatecznie zaszło. Ash zapalił gazową lampę nakręconą na przenośną butlę. - Grasz w pokera? - zapytał i natychmiast uświadomił sobie, że palnął głupstwo. Niepewnie spojrzął na nią. No oczywiście. Miała taki wyraz twarzy, jakby zaproponował jej taniec topless na restauracyjnym stole. - Nie, nie, rozumiem, odwołuję propozycję. Po prostu na chwilę zapomniałem, że wywodzisz się ze środowiska, gdzie raczej czyta się Biblię. Może więc coś zupełnie niehazardowego... Umiesz grać w oczko?

Potrząsnęła głową przecząco.

- No to w remika. W remika każdy potrafi.

- W remika grywałam. Z babcią, kiedy byłam mała.

Kiedy on był mały, też grywał, tyle że nie z babcią, tylko na pieniądze.

Dolara za grę. Ona nawet nie potrafiłaby sobie tego wyobrazić. I wtedy, i teraz byli zupełnie odmienni.

- To co, zagramy partyjkę?

Corey wydawała się przyjemnie zaskoczona. - Bardzo chętnie. - Znów uśmiechnęła się do niego. Właściwie nigdy dotychczas nie widział, żeby się uśmiechała. W każdym razie nie tak jak teraz.

Przypomniało mu się, jak leciał kiedyś z Santarem, wracając po dostarczeniu tam ładunku. Trafił w sam środek jakiejś potwornej burzy. Wyładowania ze wszystkich stron sprawiały, że instrumenty pokładowe kompletnie oszalały. W pewnym momencie nie tylko nie wiedział, gdzie jest północ, a gdzie południe, ale nawet nie umiał zgadnąć, gdzie jest góra, a gdzie dół. Rozpaczliwie starał się ratować i skierował samolot na wycucie, modląc się tylko, żeby to było we właściwym kierunku. I właśnie wtedy, gdy już był pewny, że za chwilę musi roztrzaskać się o ziemię, samolot przebił się przez warstwę burzowych chmur i znalazł się ponad nimi, w pełnym słońcu pod błękitną kopułą nieba. To, co wtedy poczuł, bardzo niepokojąco przypominało mu jego obecne odczucia.

Zatem powinno to być dla niego sygnałem alarmowym. Nie było wątpliwości, że najlepszym rozwiązaniem dla nich obojga byłby jej wyjazd stąd - i to jak najszybszy. Ash miał nadzieję, że Mikę Jones jutro rano przywiezie George'a, a potem on sam i Mikę natychmiast polecą do wymagającego naprawy samolotu. Wtedy wszystko będzie już proste. Postanowił też, że gdyby Jones jutro się nie pokazał, to on sam weźmie nową pompę paliwową i pójdzie tam na piechotę. A po uruchomieniu samolotu po prostu odwiezie Corey do Santarem, czy to się jej będzie podobało, czy nie.

Podszedł do biurka i wyciągnął z szuflady mocno już podniszczoną talię kart. Dawno temu, kiedy był jeszcze małym chłopcem, chętnie włączającym się po podejrzanym dzielnicach, bardzo wiele czasu spędzał na grze w karty. Inni chłopcy roznosili gazety, pomagali przy rozładowywaniu towaru do okolicznych sklepików albo polowali na starsze panie, które mogły dać parę centów za pomoc przy przechodzeniu przez skrzyżowanie. Tymczasem on tak spędzał całe godziny gdzieś na rogu ulicy, zarabiając piemądze pokazywaniem sztuczek karcianych i nabieraniem co naiwniejszych przechodniów.

Teraz też wziął talię do ręki i znów - jak kiedyś - poczuł, że karty mu „leżą”. Karty to prawdziwie wierni przyjaciele, z nimi miało się spokój

i pewność. I w ogóle do niego naprawdę pasowały, lubił ten przeciągły szum szybkiego tasowania i te kłaśnięcia karty o kartę przy przekładaniu. A zwłaszcza lubił moment, w którym czuł, że karty w jego rękach rozgrzewają się i nabierają własnego życia, tak jakby i w nich zaczynała pulsować jego własna krew.

Kątem oka spozrzał na Corey, siedzącą przy stole i rozszerzonymi z podziwu brązowymi oczami patrzącą na jego palce. - Kiedyś zabawiałem się robieniem sztuczek z kartami - wyjaśnił na wpułt przepaszając.

- Moja babcia chyba nigdy tak nie tasowała.

Ash roześmiał się. Ta dziewczyna miała poczucie humoru. Zupełnie innego rodzaju niż on, ale jednak miała. - Kiedy miałem czternaście lat, poznałem chłopaka, na którego wołali Hogie. Nazwiska to nawet chyba on sam nie znał, zawsze był tylko Hogie. Taki mały ulicznik i naciągacz, najczęściej zarabiał na życie oszukańczą grą w trzy karty. Mnie też tego nauczył i nawet przez jakiś czas sam się tym zajmowałem. Lukę był wtedy na mnie wściekły, ale nie wiedział, że przecież ogrywałem tam głównie ulicznych handlarzy narkotyków i członków miejscowych gangów. Mieli się za strasznych cwaniaków, więc przechytrzenie ich to była wielka satysfakcja. - Znów spozrzał na nią sponad kart, obawiając się, czy po raz kolejny nie dostrzeże w jej oczach snobistycznej dezaprobaty. Ale w jej spojrzeniu było raczej zaciekawienie. Patrzyła na niego tak, jakby chciała go przeniknąć, zajrzeć do środka. Nie po raz pierwszy zresztą tak na niego patrzyła.

Ash jeszcze raz szybko przetasował karty, rozłożył je na dwie małe kupki. - Rozdamy po siedem kart, prawda? - Resztę talii położył z głośnym trzaskiem na środku okrągłego drewnianego stołu i odsłonił kartę leżącą na wierzchu. - Dwójki i walety robią za dzokery.

Błyskawicznie uporządkował własne karty i z życzliwym rozbawieniem przyglądał się poczynaniom Corey, która najpierw bardzo uważnie i z namysłem przekładała każdą kartę, układając je w odpowiedniej kolejności, potem coś dobrała, bardzo długo zastanawiała się, jak ma grać, wreszcie coś położyła.

Najwyraźniej traktowała to bardzo poważnie. Może powinien dać jej wygrać? Przecież zaproponował tę grę tylko dlatego, że nie bardzo widział, jak inaczej mogliby spędzić ten wieczór. No chyba że...

- Teraz twoja kolej - powiedziała Corey.

Ash dobrał siódmkę trefl. To pozwoliło mu wyłożyć trzy karty na stół i odrzucić resztę.

Z dała przez cały czas dobiegały odgłosy dżungli, niczym przyptywy i odpływy narastające i zanikające, czasami aż do kompletnej ciszy. Potem nagle dawał się słyszeć ptasi krzyk czy wrzask jakiegoś zwierzęcia i hałasy znów zaczynały narastać, aż do czegoś w rodzaju przeciągłej nieartykułowanej wrzawy. A potem znów wszystko cichło. Przez cały czas setki i tysiące owadów uderzały o siatki na oknach - przyciągało je światło zapalanej lampy.

Nagle w oddali rozległ się jakiś niesamowity i wręcz upiorny, przeciągły krzyk. Corey, która właśnie zamierzała dobrać kartę, zamarła. - Co to było?

- Wyjec. Taka małpa.

Corey sięgnęła po kartę. - Głos ma chyba donośniejszy niż niejedna syrena. To trochę tak, jakby tam gdzieś daleko jechał pociąg.

Ash spojrział na nią ponad stołem, zaskoczony tym, że pomyślała dokładnie to samo, co on. - Rzeczywiście bardzo podobne, prawda? W ogóle nie ma to jak nocne odgłosy dżungli. To potrafi zaleźć człowiekowi za skórę. Prosta drogą wnika aż do kręgosłupa.

Corey siedziała wyprostowana, z łokciami opartymi o stół, i przepatrywała trzymane w rękach karty. Ash siedział wystarczająco blisko, żeby spostrzec, że niektóre z zadrapań na jej ramionach były bardzo głębokie. - Posmarowałaś to czymś? - zapytał.

Bez zastanowienia wyciągnął rękę i dotknął jej skóry, kolejny raz zadziwiony jej delikatnością i miękkością. - W tym klimacie bardzo łatwo o zakażenie - wyjaśnił. Skóra Corey przypominała mu w dotyku aksamit albo płatki róży. Nagle zdał sobie sprawę z tego, co robi, i pospiesznie cofnął rękę, ale w jej oczach i tak już zdążył wyczytać odpowiedź.

Mógł ją mieć. Wiedział to na pewno. Wystarczyło trochę przycisnąć, żeby ją mieć.

Ale, oczywiście, zaraz wtrąciło się to jego cholerne sumienie. Przez całe życie stawał w obronie słabszych. I niezliczoną ilość razy miewał pięści poobijane do krwi, zawsze w walce przeciw silniejszym, wykorzystującym swoją przewagę. Wykorzystującym łatwe okazje.

I z całą pewnością lepiej niż ktokolwiek inny zdawał sobie sprawę, jak łatwo jest zatracić perspektywę, kiedy się jest w dżungli. Jak łatwo ta zatracić wszelkie poczucie rzeczywistości.

- Posmarowałam te skaleczenia specjalną maścią dzisiaj rano - powiedziała Corey. Jej głos wydawał się nieco ochrypły. - Twoja kolej.

Ash sięgnął po kartę. Pomysł z graniem w remika nie okazał się najmądrzejszy. Prawdę mówiąc, był to głupi pomysł, ponieważ na dobrą sprawę było mu teraz jeszcze trudniej.

Postanowił więc, że bez względu na wszystko jutro musi ją stąd wyprawić. Niezależnie od tego, czy George wróci, czy nie, będzie musiała wyjechać, choćby miał użyć siły.

Okazało się, że dobrał waleta, i miał teraz dobre kiery. Zrezygnował z pomysłu, żeby dać jej wygrać. I tak ta gra ciągnęła się już za długo.

- Wszystko dla mnie - powiedział i wyłożył karty na stół.

- O psiałość! A mnie brakowało tylko jednej! - zawołała Corey i pokazała mu swoje karty.

- Dlaczego nie zagrałaś królami? Przecież mogłaś! - Palcem pokazał jej nie wykorzystane karty.

- Bo ja wolę trzymać karty w ręku i potem wyłożyć je wszystkie na raz.

- Ale zobacz... - Ash pokazał jej, jak mogła zagrać treflami, żeby przebić jego karty. - Gdybyś wyłożyła to wcześniej, mogłaś wygrać.

Corey popatrzyła na niego i powtórzyła z uporem. - A ja wolę trzymać karty w ręku, dopóki nie będę mogła wyłożyć wszystkich. Tak zawsze grałyśmy z babcią. I zawsze uważałam, że jest w tym jakieś oszustwo, jeśli się karty wykłada tylko po trochu. Wtedy znika całe napięcie i w ogóle to już nie jest ciekawe.

- Dobrze, jak chcesz - powiedział Ash. Sięgnął po papierosa, i jak zawsze zgasił zapałkę, potrząsając nią w powietrzu przed wrzuceniem do popielniczki z puszki po tuńczyku. - Nie zależy mi, to w końcu tylko gra. Chciałem ci tylko pokazać, w jaki sposób mogłaś wygrać.

Jakiś wielki chrząszcz uderzył w siatkę. Ash skorzystał z okazji i podniósł się, żeby go obejrzeć. Dzięki temu mógł przez chwilę być w bezpieczniejszej od niej odległości. - Ten żuczek ma chyba z dziesięć centymetrów

- powiedział, wskazując na metalicznie połyskującego zielonego chrząszcza. Na siatce było mnóstwo dużych i małych owadów, w niektórych miejscach siatka była całkowicie nimi zatkana. - To dlatego, że jest pełnia. Podczas pełni zawsze jest ich zatrzęsienie. Ma się wrażenie, że cała dżungla się rusza.

Corey wstała od stołu. Podeszła do niego na tyle blisko, że wyczuł ciepło jej ciała i zapach skóry. Ale nie odwrócił się do niej, nadal stał nieruchomo i poprzez otwory w siatce wpatrywał się w ciemny masyw zarośli na granicy

wykarczowanego terenu. Wciąż milczał i nie odwracał się, i tylko z prawie niezauważalnego usztywnienia pleców i karku widać było, że jest spięty, że każdy jego mięsień jest niczym ściśnięta sprężyna.

- Czy myślisz, że kiedyś wrócisz do Stanów? - zapytała Corey.

Ash nie odpowiedział od razu. Zastanawiał się, jaki właściwie był, zanim tu przyjechał. Bo pobyt tutaj na pewno go zmienił, podobnie jak zmienili go sami Indianie. To miejsce go wciągnęło. Zaczął się przejmować różnymi problemami, o których wcześniej nie miał ochoty nawet myśleć. Ale teraz, gdyby stąd wyjechał... okazałoby się na przykład, że nie ma nikogo, kto mógłby tu być tłumaczem. George nigdy nie nauczył się tutejszego języka. Zresztą Ash w ogóle podejrzewał, że najpóźniej za parę lat George zechce wrócić do Stanów. Był coraz starszy, a tryb życia tutaj z pewnością nie był dla niego łatwy.

Co innego on. Nie, on na pewno nigdy nie wróci. Tu był jego dom. Indianie go potrzebowali. A on potrzebował Indian.

Zaciągnął się papierosem, a potem powoli wydmuchiwał dym przez siatkę, przyglądając się, jak szaroniebieski obłoczek odpędza na chwilę owady. Odwrócił się i odpowiedział na pytanie Corey.

- Nie zostawiłem w Stanach niczego, za czym warto byłoby tęsknić. A poza tym niewykluczone, że stałem się już uzależniony od tego tu wszystkiego. - Roześmiał się kpiąco. - Początkowo miotałem się jak głupi, bo wciąż mi się zdawało, że powinienem uciekać od owadów, gorąca i wilgoci. Ale zawsze kończyło się tak samo. Zaczynało mi brakować tego, z czym przedtem nie mogłem wytrzymać. Okazywało się, że jak wokół mnie było za spokojnie, to w ogóle nie mogłem zasnąć.

Corey patrzyła na niego w milczeniu. - Chcesz jeszcze grać w karty? - zapytała.

- Nie - powiedział Ash i podszedł do stołu, by zgasić w popielniczce niedopałek papierosa. - Chyba się położę i spróbuję pospać. Nie zapomnij zgasić światła, jak pójdziesz spać.

Zostawił ją tam, gdzie stała, choć pożądanie rosło w nim niczym tropikalna burza. Mógł ją mieć. Przecież widział w jej oczach jawne przyzwolenie... Więc po jaką cholereę tak się zadreślał? Przecież nigdy nie był jakimś tam romantycznym bohaterem. Ani cholernie przyzwoitym mieszczańskim Dudleyem.

No więc weź ją, mówił sam do siebie. Kochaj się z nią. Zaraz, teraz!

No a jeżeli już to zrobi, to co? Czy to mu wystarczy? Czy zadowoli go ten jeden raz, czy może właśnie dopiero wtedy to się w nim naprawdę rozpali? I wtedy będzie za nią tęsknił jeszcze bardziej.

Jedno wiedział na pewno: że nie chce jej skrzywdzić. Ona gdzieś tam ma własne miejsce, do którego wróci, jak tylko stąd wyjedzie. Ma tam swój świat, w którym życie jest czyste i proste. Nie chciał, żeby wracała z wielką czarną plamą na sumieniu.

Wiedział już, co zrobi. Po prostu się upije. Jeśli się uda, to w trupa.



## *Rozdział piętnasty*

Mniej więcej w godzinę później Ash stwierdził, że chciałby posłuchać muzyki. Z przesadną ostrożnością postawił butelkę z reszką whisky na podłodze obok wiszącego hamaka, a potem równie ostrożnie podniósł się z posłania. Podeszedł do adaptera, podniósł pokrywę i dopiero wtedy przypomniał sobie, że to urządzenie potrzebuje przecież zasilania.

Księżyc świecił jasno przez osłaniające werandę siatki, toteż Ash bez trudu dostrzegł przenośny generator, który ktoś zostawił niemal na samym środku. Wystarczyło go wynieść na zewnątrz i uruchomić. Pierwsze dwa pociągnięcia za linkę rozrusznika nie dały nic poza paroma żałosnymi kichnięciami, ale trzecie okazało się skuteczne. Zardzewiała maszyna ruszyła. Ash sięgnął po końcówkę nawiniętego na szpulę przewodu, pociągnął ją aż na werandę i podłączył adapter. Stary sprzęt wciąż chyba jeszcze działał.

Usłyszał za sobą skrzypnięcie deski w podłodze. To Bobbie pojawił się na progu i wpatrywał się w niego, marszcząc siwe brwi tak, jak gdyby usilnie chciał zrozumieć, co się dzieje i dlaczego go budzą.

- Nic się nie dzieje, chcę tylko posłuchać parę starych płyt - powiedział Ash. Przerzucał płyty w wyblakłych, pachnących stęchlizną okładkach.  
- Masz może jakieś szczególne życzenia? Zobaczmy, co my tu mamy... Grand Funk, Led Zeppelin. O, pamiętam że zawsze byłeś fanem Led Zeppelin, prawda? Tu znowu klasyka... Erie Burdon i Animalsi. Ale właściwie to jestem w nastroju do bluesa. Co byś powiedział na Claptona?

Bobbie przez uprzejmość kiwnął reszką tego, co mu pozostało po ogniu. Ash wyjął płytę z okładki, położył ją na staroświeckim talerzu adaptera,

włączył i ustawił igłę na początek płyty, dłonią równie pewną jak dłoń strzelca wyborowego.

Do stłumionego warczenia stojącego na zewnątrz agregatu dołączyły teraz rytmiczne zgrzytnięcia igły na podrapanej i wypaczonej od słońca płycie. Szafirowa igła sunęła po rowku jak zawodnik na wrotkach.

Ash umościł się na podłodze, plecami do metalowego wspornika wiszącej ławy. Długie nogi wyciągnął przed siebie i skrzyżował boscie stopy. Sięgnął po butelkę i pociągnął kolejny łyk whisky. Bobbie ułożył się obok i westchnął tak, jak wzdycha bardzo zmęczony pies. Ash wyciągnął rękę i podrapał go tuż za naderwanym uchem, co Bobbie lubił najbardziej.

L/orey przez dłuższy czas nie mogła zasnąć. Leżała na boku z głową ułożoną na łokciu i wpatrywała się w srebrną prostokątną plamę, jaką na drewnianej podłodze tworzyło wpadające przez okno światło księżyca. Ze wszystkich stron napływały zapachy gorącej nocy - pachniała wilgotna ziemia i gnijące liście, pachniały rośliny, których kwiaty otwierały się dopiero o zmierzchu. Wszystko razem łączyło się w jedną ciężką jak zapach kadzidła woń.

Monotonne brzęczenie owadów i przytłumione odgłosy dżungli w końcu jednak ją uspiły... Uświadomiła sobie, że musiała zasnąć dopiero wtedy, kiedy na wpół przytomna ponownie otworzyła oczy, ponieważ przez sen zaczęła słyszeć muzykę. Obróciła się na bok i zaczęła wsłuchiwać się w dźwięki dobiegające od strony werandy. Tak, to śpiewał Erie Clapton. Tyle że jego głos brzmiał tak, jakby nagranie dobiegało z blaszanej puszki.

Odrzuciła na bok prześcieradło, którym dotąd była przykryta, i podniosła się z łóżka. Wciągnęła dzinsy pozostawiając nocną bawełnianą koszulę jako bluzkę. Czuła się trochę tak jak dziewczęca bohaterka telewizyjnego serialu. Wyśliznęła się przez drzwi i przez zalaną światłem księżyca kuchnię poszła w stronę podłużnej werandy.

Ash, wsparty na łokciu, siedział - a może raczej leżał - wprost na podłodze. Nie miał na sobie koszuli, wilgotna od potu skóra klatki piersiowej połyskiwała w świetle księżyca. Metalowy guzik dzinsów był rozpięty, jedna noga wyciągnięta daleko przed siebie, druga zgięta w kolanie. Obok Bobbie, który położył głowę na nodze swego pana. W powietrzu czuło się napływający od generatora zapach benzyny.

Corey oderwała wzrok od leniwie rozciągniętego mężczyzny i spojrzała na urządzenie, odpowiedzialne za wydawanie tych zniekształconych dźwięków. Tak, to był taki sam przenośny adapter, jakiego kiedyś używała pani Streeber, która w piątej klasie prowadziła u nich lekcje tańca nowoczesnego.

- Entrez! - powiedział Ash i wolną ręką wykonał gest wytwornie zapraszający. - Mamy tu wspaniałe efekty stereo!

Był pijany. Może nie urżnięty w trupa, ale na pewno pijany.

- Nie powinieneś pić. Zwłaszcza po dopiero co przeżytym ataku malarii - powiedziała Corey.

Dlaczego on tak postępuje i sam sobie szkodzi? Jak gdyby w ogóle nie wiedział, co to jest zdrowy rozsądek. Po chorobie przede wszystkim trzeba wypocząć.

Ash założył rękę za kark, odsłaniając owłosioną pachę, a Corey z pewnym przerażeniem uświadomiła sobie, że ten widok ją również podnieca. Dobry Boże! Jak może kogoś podniecać owłosiona męska pacha? Ale w przypadku Asha jednak tak było. Pomyślała sobie, że gdyby to on pracował jako żywy model podczas zajęć na jej kursie pielęgniarstwa, to chyba opanowałaby wszystkie nazwy mięśni w jeden dzień.

- Piję whisky właśnie jako lekarstwo. Wyłącznie jako lekarstwo. - Ash przechylił głowę na bok i przyglądał się jej uważnie. Ciemne plamy pod oczami w świetle księżyca wydawały się wręcz czarne.

- Wiesz, co ci powiem? Chętnie zobaczyłbym, jak i ty się upijasz. Ale tak porządnie... tak naprawdę.

- No to nie zobaczysz. Upiłam się tylko raz w życiu i to było okropne. Chyba nigdy nie było mi aż tak niedobrze.

- No tak, waga musza. - Ash podciągnął się do pozycji siedzącej, opierając się plecami o krawędź ławy. Zepchnięty z wygodnego miejsca Bobbie zakreślił się w miejscu i ułożył się ponownie z głową na kolanie swego pana.

- Może usiądziesz? - zapytał Ash i bosą stopą popchnął w jej stronę krzesło wyplatane trzcina. - Wiesz, o czym niedawno myślałem? Myślałem, jakby to było, gdybym kiedyś też musiał tak żyć, jak żyje się w przyzwoitych amerykańskich miastach. Wyobrażasz sobie mnie, jadącego należytym samochodem na cotygodniowe spotkania w zarządzie miejskim albo towarzystwie łowieckim? Uuuu-u! - zatrząbił przez zwiniętą dłoń. - Uuuuu-u!

Co go nagle ugryzło? - zastanowiła się Corey.

- Wtedy by mnie dopiero skuli. Miałbym kajdany na rękach i nogach, już na zawsze. Zrobiliby ze mnie, co tylko by chcieli. O, ja ich znam! Nadali by mi godności, honorowe tytuły Zasłużonego Bałwana, Króla Polowań i cholera wie, jakie jeszcze. Na uroczystych miejskich paradach jechałbym na ozdobnej platformie, w kostiumie myśliwego albo w specjalnej czapeczce z eleganckimi kutasikami...

- Czy ty zawsze musisz się wyśmiewać ze wszystkiego i ze wszystkich?

- Och, najmocniej przepraszam. Przypuszczam, że ten twój Dudley też należy do Towarzystwa Łowieckiego.

• Corey podeszła do adaptera i zaczęła przeglądać płyty. Wszystkie pochodziły sprzed piętnastu albo dwudziestu lat, a ich okładki pachniały stęchlizną.

- Chyba powinieneś wyłączyć ten agregat. Spaliny lecą do środka.

- W tej chwili to absolutnie wykluczone. „Layla” to jedna z moich ulubionych piosenek. Erie nagrał ją bardzo dawno temu, wtedy jeszcze był z nim Derek i The Dominos. I to jest ta dłuższa wersja, wiesz o tym? Nic się nie może równać z dłuższą wersją „Layli”. To jedyna rzecz ze Stanów, której mi tu brakuje. Dobrej muzyki. - Wyciągnął rękę i podrapał Bobbie'ego za uchem. - Tam można słuchać dobrej muzyki. Chodziłem do takiego klubu, gdzie grali tylko bluesa. I był tam facet, któremu saksofon płakał żywymi łzami.

- Nie masz żadnych współczesnych nagrań? - zapytała rozbawiona i rozczulona jednocześnie. To było ładne, to miało swój wdzięk. Ta jego kolekcja starych, zatęchłych płyt.

- Współczesne nagrania? Odpada. Przestałem kupować płyty, kiedy zaczęła się moda disco.

- Moda disco już dawno minęła.

Ash wyciągnął rękę i delikatnie ujął ją za kostkę u nogi. I tego wystarczyło, by każdy nerw Corey natychmiast naładował się elektrycznością.

A Ash dalej mówił, jakby nie zdając sobie sprawy, że jej dotyka. Jakby nie wiedział, co robi.

- Pamiętasz taki zespół „Hellraisers”? Kiedyś byłem na ich występie w Madison Square Garden...

Ash mówił do niej, a jednocześnie jego wskazujący palec pieszczotliwie

przesuwał się po jej skórze, robiąc małe kółeczka wokół jej drobnych kostek. A na nią każde dotknięcie tych pokancerowanych palców działało jak przyłożenie naładowanych elektrod wprost do ciała. A przecież on tylko dotykał jej stopy. Nie miała odwagi pomyśleć, co mogłoby się stać, gdyby zechciał dotykać i innych miejsc. Najpewniej doprowadziłoby ją to do zawału serca. Na wszelki wypadek cofnęła stopę.

- Wiesz, że wciąż jeszcze pamiętam ten dzień, kiedy ogłoszono, że „Hellraisers” się rozpadają. Ja miałem wtedy takiego Harleya... Wyjechałem akurat, żeby go sprawdzić po regulacji. A co ty robiłaś, kiedy ta wiadomość do ciebie dotarła?

Z wyrazu twarzy Corey widać było, że go nie rozumie. - O czym ty mówisz?

- Nigdy nie słyszałaś o zespole „Hellraisers”?

Corey potrząsnęła przecząco głową.

- No tak, ty i „Hellraisers”, co za pomysł! Najpewniej słuchałaś Mozarta albo jakiegoś jego współczesnego kolegi.

- Ale słucham i muzyki pop.

- Chwileczkę, zastanówmy się. Oni zaczęli w połowie lat sześćdziesiątych i dotrwali do końca dekady... - Zmarszczył czoło, jak gdyby w pamięci przeliczał lata. - No tak, ty wówczas musiałaś być dzieckiem, pewnie przedszkolakiem! - Popatrzył na nią i zaczął się śmiać.

- Nie jesteś znów tak dużo starszy ode mnie - zaprotestowała Corey.

- Lilijko droga, ja mam co najmniej sto lat. Tu sto lat i tu sto lat - wskazał kolejno na serce i głowę. - Kiedy ty z mamą szłaś do eleganckiego sklepu, żeby szukać pantofelek z lakierowanej skóry, pasujących do sukieneczki z różowej organdy na twoje pierwsze dziecięce przyjęcie, to ja już dawno żyłem życiem dorosłego ulicznika i kradłem dekle z kół zaparkowanych samochodów.

Corey zastanawiała się, czy kiedykolwiek w jego życiu były momenty, kiedy nie popisywał się cynizmem i nie wyszydzał wszystkiego i wszystkich wokół. Czy w ogóle miał takie chwile, kiedy był szczęśliwy...

Przysiadła na krawędzi wiszącej ławy. - Dlaczego zawsze tak starasz się podkreślać, że jesteśmy jakby z dwóch światów?

Ash opuścił rękę i oparł ją na zgiętym kolanie. Podniósł głowę i patrzył na nią, a jego oczy wydawały się teraz trzeźwe i jasne. Wcale nie wyglądał na pijanego. A może w ogóle nie pił?

- Chcę po prostu, żebyś o tym pamiętała - powiedział. - Kiedy się jest w dżungli, wszelkie różnice łatwo się zacierają. Dlatego nie chciałbym, żebyś kiedyś zapomniała, kim jesteś. I kim jestem ja.

- Uważasz, że mógłbyś mnie zdeprawować?

Wargi Asha wykrzywiły się w leniwym, uwodzicielskim uśmiechu. - I właśnie to tak piekielnie mnie denerwuje, prawdę mówiąc. Deprawowałbym cię naprawdę z wielką przyjemnością.

W jego szarych, przydymionych oczach tliło się tak jawne pożądanie, że zapierało jej dech w piersiach. Znowu poczuła nagły skurcz w żołądku.

- Ale trzeba pamiętać, co będzie dalej. Ty wrócisz do Stanów i zapomnisz, że w ogóle kiedykolwiek istniałem. Może użyjesz parę miligramów atramentu na zapisanie w swym sprawozdaniu, że był tu taki pilot, który zawiózł cię nad Amazonkę. I tyle. - Ash spojrzał na psa i pogłaskał go po głowie. - A jak już dojdzie do klubowych odczytów z prezentowaniem przezroczy, to nawet o mnie nie wspomnisz.

Pochylił się i delikatnie zdjął łeb psa ze swego kolana. - Chodź, Bobbie, możemy sobie stąd iść.

Bobbie podniósł głowę dość niechętnie, spojrzał na pana i znowu ułożył się do drzemki. Ash podszedł do adaptera, żeby go wyłączyć. Od tego momentu na werandzie można było słyszeć już tylko miarowe pykanie stojącego obok schodów agregatu. I jeszcze może niespokojne bicie serca Corey.

- Idź spać, Lily - powiedział cicho Ash. Wciąż był odwrócony do niej tyłem i przesadnie długo zdejmował płytę, i chował ją do koperty.

Corey podniosła się i ruszyła w stronę drzwi, ale na progu zatrzymała się i odwróciła w jego stronę. Patrzyła na niego, na jego szerokie, opalone brązowo ramiona.

Wiedziała już, ile jest w nim skrywanego bólu i całym sercem chciała być tuż obok niego i razem z nim. Marzyła o tym, żeby objąć ramionami ukrytego w nim chłopca, pomóc mu, ukoić i uspokoić. Ale jeszcze bardziej pragnęła objąć ramionami mężczyznę, który był w tym chłopcu. Temu mężczyźnie chciała dać poczucie bezpieczeństwa. Z tym mężczyzną chciała się kochać.

Bo jakoś tak się stało, że cały ten bezpieczny i cokolwiek nudny świat jej dotychczasowego życia zniemacka zaczął się rozpadać za przyczyną tego gburowatego pilota do wynajęcia o nazwisku Asher Adams. Od pierwszej chwili coś ją do niego ciągnęło. Kiedy po raz pierwszy zobaczyła go

w poczekalni na lotnisku w Santarem, starała się jeszcze z tym walczyć. Tłumaczyła sobie, że jest to pociąg wyłącznie fizyczny, mimo iż w jej przypadku wydawało się to zupełnie wykluczone. A potem, w miarę upływu czasu, to także zaczęło się zmieniać.

Były momenty, kiedy udawało się jej - na chwilę - zajrzeć w głąb jego duszy. Potrafiła wtedy dostrzec ból i smutek, ukryty na dnie pięknych szarych oczu. I czasami, przez krótką chwilę, miała ulotne poczucie współodczuwania i niemal pełnego zjednoczenia. To poczucie nagłej jedności było wtedy niemal dotykalne, ale nie dawało się pochwycić ani zatrzymać, podobnie jak to bywa z niektórymi snami, jakie pamięta się jeszcze długo po przebudzeniu.

Corey wyprostowała się i popatrzyła na odwróconego od niej Asha. - Wiesz, kiedy byłam jeszcze mała - powiedziała cicho - próbowałam przeczołgać się pod drutami elektrycznego ogrodzenia pastwiska i w pewnym momencie głową dotknęłam przewodu pod napięciem. Może nie byłoby to takie groźne, ale przedtem padał deszcz i byłam cała przemoczona.

Ash odwrócił się powoli i spojrzał na nią, a Corey opowiadała dalej. - Od wstrząsu straciłam przytomność i przestałam oddychać. Pamiętam, że kiedy w końcu otworzyłam oczy, straszliwie huczało mi w głowie i wciąż miałam trudności z oddychaniem. A w oczach takie jasne plamy, świecące jak słońce.

Ash wciąż patrzył na nią swymi szarymi, uważnymi oczyma.

Corey spróbowała wziąć głęboki oddech. No właśnie. Znow miała trudności z oddychaniem. - Chodzi o to, że kiedy ty mnie dotykasz, to... czuję zupełnie to samo... co wtedy. - Uśmiechnęła się jakby przepraszająco. - Tak więc sam widzisz, że raczej nie ma jnożliwości, żebym o tobie zapomniała.

Powiedziała to i czekała na jego reakcję. Nigdy nie przychodziło jej to łatwo. Czy dojdzie do tego, że będzie musiała jawnie prosić go, żeby ją objął... żeby ją pocałował?

Z twarzy Asha można było wyczytać wszystkie targające nim sprzeczne uczucia. Przez chwilę nie było wiadomo, jak zakończy się ta bezgłośna wewnętrzna walka.

A potem podszedł do niej i wziął ją w ramiona.

## *Rozdział szesnasty*

Przyciągnął ją do siebie i przechylił tak, że przegięta do tyłu leżała w obejmujących ją ramionach niczym w kołysce. Światło księżyca odbijało się w jego oczach i kiedy patrzył na nią, jego szare zazwyczaj źrenice wyglądały jak odlane z płynnego srebra. Delikatnie pogłaskał ją po policzku, a potem zanurzył palce w jej włosy tuż nad skronią i przeciągnął dłoń w dół, aż po ich złotopłowe koniuszki. - Włosy jak przędza z promieni księżyca... - powiedział cicho. - Jak w tej indiańskiej legendzie.

W ochrypłym głosie była niesłychana czułość. Czułość, o którą nigdy nie posądziłaby właśnie Ashera Adamsa i może właśnie dlatego słuchała go z tak ściśniętym gardłem. A on wciąż głaskał jej włosy, a potem otwartą dłoń ujął jej głowę od tyłu i wolno przyciągał do siebie.

Znów huczało jej w głowie. Ash pochylał się nad nią ostrożnie i delikatnie, a ona znów nie mogła złapać tchu. Każdy nerw jej ciała wydawał się być zakończony tańczącym płomykiem. Każdy centymetr jej ciała spalał się w tym pożądaniu bliskości, każda komórka marzyła tylko o tym, żeby jej dotknął. O Boże, ja oszalałam. O Boże, niech to trwa... Niech to się nigdy nie kończy!...

Teraz jego twarz była już bardzo blisko. Niewielka odległość dzieląca zbliżające się do siebie usta zrobiła się jeszcze mniejsza. Na szyi i policzku czuła jego oddech, a wargi rozchyliły się w oczekiwaniu. Ich usta zetknęły się i Corey poczuła nagle, jak fala gorącej krwi napływa do jej budzących się piersi i łona. Ash podtrzymał ją już tylko jedną ręką, ale przyciągał ją do siebie tym mocniej, a ona wtulała się w jego ramiona i twarde jak skała



muskuły. Drugą rękę powoli przesuwał wzdłuż jej kręgosłupa w dół, coraz niżej. Poczwała, jak przyciska ją do siebie całą, jak jego umięśnione ciało styka się z jej miękkimi krągłościami. Od połączonych w pocałunku ust i w dół aż po kolana byli ze sobą spleceni, zjednoczeni.

- Chcę się z tobą kochać - szepnął Ash i pocałował ją w ucho.

Corey przez chwilę miała wrażenie, że zaraz zapali się otwartym płomieniem. Tak go pragnęła. Ona, która zawsze obawiała się, że może jest z natury zimna, teraz pożałowała Ashera Adamsa. Pragnęła go, chciała z nim być tak blisko, jak to tylko możliwe między kobietą i mężczyzną. Chciała poznać jego delikatność i wrażliwość, którą w sobie tak pilnie skrywał. Chciała być wewnątrz tych wszystkich burzliwych uczuć, które się w nim rodziły i które w nim trwały. I chciała wiedzieć, jak to jest, kiedy się już postanowi, żeby kochać się z tym mężczyzną. Stać się częściąjedności, w której będzie teraz i on, i ona.

A jednocześnie potwornie się bała.

Ash położył rękę na jej pośladku i przyciągnął ją do siebie tak, że niemal całą powierzchnią bioder odczuła jego twarde i napięte uda. To było prawie jak tortura, słodka i zniewalająca tortura. A jeszcze większą i jeszcze słodsza, wyszukana torturą było to, co robił z jej ustami. Najpierw wilgotnym językiem wolno przejechał po jej gorących wargach, a potem jeszcze wolniej wsunął język głęboko w jej usta. Corey westchnęła cicho, przez jej ciało przebiegł nagły dreszcz. Ash odchylił głowę, znów pocałował ją w usta, a potem wtulił twarz w jej włosy między uchem i szyją.

- Nie masz pojęcia, jak bardzo cię pragnę.

Jego głos był ochrypły bardziej niż zwykle i Corey zdawała sobie sprawę, z jakim trudem stara się nad sobą panować. A myśl o tym, że to ona mogła go do tego doprowadzić, podniecała ją, ale i przerażała jednocześnie.

- Chcę cię dotykać. Wszędzie. Po najdrobniejszą odrobinę ciebie.

Lęk jednak okazał się silniejszy od pożądania i Corey mimo woli się usztywniała.

Ash natychmiast to poczuł. - Lilijko! Nie bój się mnie.

Łatwo powiedzieć - nie bój się! Górował nad nią jak wieża, nie ogolony, z nagim torsem, wyglądał jak skrzyżowanie pirata i herszta współczesnej bandy motocyklowej. I on jej mówił, że ma się go nie bać?

Nagle z dojmującą pewnością poczuła, że może go jedynie rozczarować.

Byli przecież tak od siebie różni. Cóż ona mogła wiedzieć o jego namiętnościach?

- Jestem chuda - palnęła, zanim zdążyła pomyśleć, co mówi. Poczuła się nagle niezdarą, podenerwowaną i przerażoną tym, co mogło się stać. On był taki... biologiczny, potrafił być tak strasznie wybuchowy.

A tymczasem w kącikach jego zmysłowych ust pojawił się uśmiech. - Nie jesteś chuda. Jesteś niezwykle sexy. Kusząca jak wszyscy diabli.

- I mam piegi w wielu miejscach.

- Chciałbym móc odszukać i wyciąć każdy po kolei.

Na samą myśl o tym, że jego wargi miałyby wędrować przez wszystkie tajemne miejsca jej ciała, zabrakło jej tchu. Czuła, że kolana nagle pod nią się uginają. - Czasami myślałam o sobie, że... Że ja...

Przerwała, zbyt skrępowana, żeby mówić dalej.

- Powiedz mi - przynaglił ją delikatnie Ash.

- Często się bałam, że może jestem... - Opuściła wzrok, żeby nie patrzeć mu w oczy. - Że może jestem oziębła. Frygida.

- No, to możemy zaraz sprawdzić - powiedział Ash i uśmiechnął się szeroko.

Leciutko przeciągnął końcem palca po rysującym się pod tkaniną koszuli czubku jej piersi. Dotknięcie miękkiej sutki poprzez cienką tkaninę podziałało jak afrodyzjak. Ogarnęła ją nagła fala gorąca, kolejny raz zabrakło jej tchu, a kiedy próbowała podnieść na niego wzrok, powieki okazywały się za ciężkie.

- Nie stwierdzamy oziębłości - oświadczył Ash tonem lekarza specjalisty.  
- A nawet wprost przeciwnie.

Opuścił obie ręce i objął ją w talii. Zbieranie myśli przychodziło jej z niezwykłym trudem, mimo to próbowała kontynuować wyliczanie swych słabych stron. - Nie jestem osobą bardzo... światową.

- I całe szczęście. Kobiety światowe to nic dobrego. Możesz mi wierzyć.

Okazywał się tak delikatny, tak cierpliwy i wyrozumiały. Lęk Corey powoli ustępował.

- Poczekaj chwilkę - powiedział i odszedł od niej. Corey nagle poczuła, że bez tych opiekuńczych, obejmujących ją ramion czuje się zagubiona i bezradna. Ze zdumieniem patrzyła, jak podchodzi do adaptera i kładzie na nim kolejną płytę.

Powrócił do niej i znów ją objął. - Gotów jestem się założyć, że jeszcze nigdy nie tańczyłaś w takiej scenerii. W samym środku buszu.

- Nie - przyznała Corey. - Nie tańczyłam. Ale teraz myślałam, że my...

- Że my co? Myślałaś, że co?

Na jego wargach znów pojawił się uśmiech. A jego palce wędrowały gdzieś po jej plecach. - Myślałaś, że teraz będziemy się kochać?

Przełknęła ślinę i kiwnęła potakująco głową. Do diabła z fałszywą dumą.

Ash przyciągnął ją do siebie i mocno pocałował w rozchyłone usta.

- Myślę, że będziemy, panno Corey McKinney. - Jego głos znów był twardy, ale też i namiętny. - Myślę, że będziemy.

Corey spojrzała na niego i głęboko wciągnęła powietrze.

Z włączonego adaptera dobiegała muzyka. I tym razem Corey nie dbała już o to, że płyta była stara i podrapana, a głośnik brzęczał jak blaszana puszka.

Miękka i tęskna melodia, którą Corey dość niejasno sobie przypominała, zdawała się w jakiś dziwny sposób łączyć z dobiegającymi zewsząd oszałamiającymi zapachami, sycącymi gorące i parne powietrze. Wszystko nagle złączyło się w jedno.

Rozpoznawała płaczącą skargę ustnej harmonijki, której odpowiadały przejmująco słodkie tony skrzypiec. To była muzyka istniejąca poza czasem i pasująca do tego miejsca. Miejsca, które chyba również było poza czasem. Bez trudu potrafiła sobie wyobrazić, że nie istnieje tu ani przeszłość, ani przyszłość. Tylko mężczyzna, kobieta i dżungla.

A tymczasem uśmiechnięty Ash prowadził ją w tańcu po wąskiej werandzie, w rytmie tego powolnego, przesadnie akcentowanego walca. Ash, który dotąd tak rzadko się uśmiechał. Mężczyzna i dziecko jednocześnie. Teraz nie było w nim goryczy, dręczące go upiory najwyraźniej odstąpiły.

*Jak woda, która sprawia,  
Ze nagle pęka skala,  
Złamałaś twarde serce  
I z sobą pół zabrałaś.  
Miłości, gdzież dziś jesteś  
Powtarzam wciąż na nowo,  
Nie da się żyć bez ciebie  
Z serca połową...*

Setki mil od cywilizacji, w samym środku dżungli, tańczyli w rytm przejmującej, jednocześnie sennej i natrętnej muzyki, która wydawała się częścią tej parnej i gorącej nocy, równie nieodłączną jak wilgotne i gęste od zapachów powietrze.

Oboje byli w dżinsach, Ash z nagim torsem, Corey od góry okryta bawełnianą nocną koszulą, która za każdym obrotem owijała się wokół jej kolan. I byli boso, i tak właśnie tańczyli. Drobna dłoń Corey niemal ginęła w jego wielkiej dłoni, drugą dłonią Ash mocno i pewnie podtrzymywał jej plecy. Od czasu do czasu czuła, jak jej piersi poprzez cienką tkaninę dotykają go czubkami sutek i jak za każdym razem przepływa wtedy przez nią magnetyczny prąd.

Ash puścił jej palce i objął obiema rękami. Przyciągnął ją do siebie mocniej, bardzo blisko, a dobiegająca z głośnika piosenka z każdym obrotem owijała się wokół nich niczym przejrzysta tkanina nieprawdopodobnie lekkiego i nieprawdopodobnie kolorowego prześcieradła, po które sięga się w środku gorącej nocy.

Kiedy piosenka się skończyła, Ash wybiegł na moment, żeby wyłączyć generator. Wrócił niemal natychmiast i ponownie wziął ją w ramiona. Teraz jedyną muzyką był dobiegający z oddali monotonny pogłos dżungli i nakładające się nań bicie ich serc i głośne, przyspieszone oddechy.

- Powiniennem być się ogolić - powiedział Ash. Jego głos był głęboki, nieco ochrypły. - Masz tak delikatną skórę, że nie chciałbym jej podrapać.

Corey przeciągnęła dłonią po jego podbródku. Pomyślała sobie, że może i rzeczywiście przypomina to w dotknięciu papier ścierny - ale jej to się właśnie podobało i wręcz ją podniecało. Nieomal czuła, jak krew się w niej rozgrzewa i zaczyna pulsować. - Nie martw się. Mnie się to podoba. - W tej samej chwili przytuloną do jego twarzy dłonią wyczuła, że Ash się uśmiecha i że w policzkach znów robią mu się dołeczki.

Teraz to ona zuchwale wspięła się na palce i przejechała wilgotnym językiem po jego wargach. Koniuszkami palców natychmiast wyczuła dreszcz, który nim wstrząsnął tak mocno, że aż była tym trochę wystraszona, choć jednocześnie i zachwycona.

Ash mruknął coś niezrozumiale i przyciągnął ją za pośladki z taką siłą, że czuła się wręcz wciśnięta w jego uda i tors i niemal pozbawiona możliwości oddychania. Głodnymi wargami rozgniatał jej wargi.

Przez dżinsy czuła naprężający się członek, uciskający jej pragnące łono. Ash chwycił obiema rękami rąbek nocnej koszuli i podniósł do góry, odsłaniając nagie piersi. Różowe koreczki sutek zdawały się kurczyć pod wpływem chłodniejszego, wilgotnego powiewu. Ale usta Asha natychmiast były już przy nich. Całował je, pieścił i ogrzewał. Czubkiem języka robił małe kółka wokół różowych pączków. Pieścił najpierw jedną, a potem drugą, aż pod wpływem tych dotknięć obie stwardniały i zaróżowiły się jeszcze bardziej.

Wtedy przestał ją całować, ale tylko na chwilę potrzebną, żeby zdjąć z niej koszulę. Teraz od pasa w górę była naga. Ash znów przyciągnął ją do siebie, a jej ciało mogło tulić się już bez przeszkód do jego nagiej, gładkiej skóry.

Spojrzała w dół. Piersi wyglądały teraz jak dwa bladoróżowe kopczyki przyciśnięte do opalonego na ciemny brąz torsu. Trudno było o większy kontrast.

Nagle gwałtownie wciągnęła powietrze i wstrzymała oddech. To dłoń Asha przesunęła się wzdłuż dżinsów i zatrzymała u nasady ud. A on... Corey miała poczucie, że za chwilę upadnie, że ten nagły przypływ, który teraz czuła w sobie, zmiecie ją całą. Todd nigdy jej w ten sposób nie dotykał.

Ash nie przestawał jej pieścić przez warstewkę tkaniny i patrzył na nią tak, jakby był trochę zdziwiony jej reakcją. Corey przymknęła powieki i obiema rękami uchwyciła się jego ramienia.

- Nikt cię dotychczas w ten sposób nie dotykał, prawda? - zapytał cicho i czule. Głos mu drżał lekko.

- Nie - westchnęła Corey. - Ale jeżeli będziesz to nadal robił, tajemnica człowiecza samospalania się może zostać wyjaśniona.

Ash roześmiał się, a Corey pomyślała, że przyjemnie jest słyszeć jego śmiech, który wydobywa się z głębi piersi. Potem znów zaczął ją całować, jednocześnie odpinając guzik jej dżinsów. Poczwała, jak zaczep zamka błyskawicznego zjeżdża na sam dół. Poczwała jego dłoń, najpierw na skórze napiętego z przejścia brzucha, a potem jeszcze niżej. Jego palce wśliznęły się pod elastyczną tkaninę majteczek i dotknęły kępki jedwabistych kręconych włosów. Corey jęknęła, nie przestając go całować. Znów miała wrażenie, że nogi zaczynają się pod nią uginać.

Palce Asha przesunęły się jeszcze niżej.

Corey poczuła ogarniającą ją falę rozkoszy. Gdyby Ash jej nie pod-

trzymywał, teraz już z całą pewnością osunęłyby się na ziemię. Długie, delikatne palce Asha pieściły ją teraz wokół i wewnątrz, dotykały jej drobnego, niesłychanie czułego pączka, a ona nie mogła wprost uwierzyć, że dotykane jej w tym miejscu może dawać tyle cudownych wrażeń, tak ją rozpalać i równocześnie czynić jeszcze bardziej głodną pieśzczot. Świat wirował jak karuzela, a jej zdyszane westchnienia czasami zamieniały się w jęk.

Potem wszystko powoli jakby stanęło w bezruchu i Corey niezbyt jasno zaczęła zdawać sobie sprawę, że Ash znów obiema rękami obejmuje ją w talii. Spojrzała na niego wciąż zamglonymi, nie widzącymi oczami.

- Corey - powiedział cicho Ash i delikatnie odsunął ją do tyłu. W jego oczach można było wyczytać niezmierną czułość, ale też i niepewność, a może zaskoczenie. - Corey, posłuchaj...

Corey próbowała zmusić swe wciąż zamglone oczy do uważniejszego spojrzenia. - Mmmmm?...

- Wiem, że niedawno droczyłem się z tobą, mówiąc, że pewnie jesteś dziewczyną. Może nia jesteś naprawdę?

Oczy Corey stały się odrobinę przytomniejsze. - Nie. Nie jestem dziewczyną.

Wydawało się jej przez chwilę, że coś przemknęło w jego spojrzeniu, zmieniło się w wyrazie twarzy. Ale to coś przemknęło i znikło tak szybko, że nie wiedziała, co to było. Rozczarowanie? Akceptacja? A może jedno i drugie? Nie potrafiła sobie na to odpowiedzieć.

- Ale wobec tego.... - Ash wciąż sprawiał wrażenie nieco zaskoczonego. - Wobec tego, jak to się stało, że nikt dotąd nie dotykał cię w ten sposób, w jaki ja cię przed chwilą dotykałem?

- My po prostu nigdy... To znaczy, ja nie wiedziałam, że... My... - O święci niebiescy, ratujcie mnie, pomyślała Corey. Czuła, że jej policzki pokrywają się krwistym rumieńcem.

Ash roześmiał się i przytulił ją mocniej do siebie. - Już w porządku, malutka. Już się mniej więcej orientuję. Po prostu chciałem się upewnić, że nie będzie cię bolało.

- Bo to zawsze troszkę boli, prawda? - zapytała odważnie i umie.

- Ach, Lily, Lily! - westchnął Ash. A potem wziął jej półnagie ciało na ręce i zaczął nieść.

- Dokąd mnie niesiesz?

- Do mojego pokoju. Tam zamierzam cię nauczyć różnych rzeczy. A przede wszystkim tego, że kochanie się ze sobą to jednak coś więcej niż fizyczne umieszczenie trzpienia A w otworze B.

Corey objęła go obiema rękami za szyję. Czuła się lekka i tylko troszeczkę oszołomiona. - Muszę panu powiedzieć, że podbił mnie pan całkowicie. Mało kto wyraża się prozą tak piękną i jednocześnie tak namiętą jak pańska! - zażartowała.

I znów jej usta stały się wilgotne od jego pocałunków, a oczy zamglily się od rozkoszy. Ash patrzył na nią i uśmiechał się. A był to uśmiech jasny i czysty, jak uśmiech chłopca, jak uśmiech dziecka, które w nim przetrwało.

Wiedział, że to nie powinno mieć znaczenia, ale mimo wszystko był zadowolony, że Corey była tak mało zaznajomiona z seksem. Jest przekonana, że to zawsze musi boleć! Kurczę blade! Ten jej Dudley to naprawdę jakiś niezwykły Romeo.

Delikatnie zaniósł ją do łóżka i ułożył na pościeli. Kiedy patrzył na nią, na jej oświetlone promieniami księżycy nagie piersi i różowe koreczki sutek na ich szczytach, miał wrażenie, że za chwile oszaleje z zachwytu. Powietrze wokół nich wydawało się naładowane elektrycznością, miał wrażenie, że i jego skóra też jest nią naładowana.

Usiadł obok niej. Znowu zaczynała się trochę bać, widać to było po szeroko otwartych oczach, po niepokoju czającym się w kąciach ust. Ash wyciągnął rękę i leciutko dotknął różowej sutki, patrząc jednocześnie badawczo w twarz Corey, która znów głęboko wciągnęła powietrze. Ash wolno pieścił czubek piersi, który rósł i nabrzmiwał gorącą krwią. Ciało Corey zaczęło się jakby odprężać, powieki lekko trzepotać, a potem już pozostały wółprzymknięte.

To, co zdążył zobaczyć w jej zamglonych oczach, rozpałiło na nowo i jego. Przyglądał się tej półnagiej i bezbronnej osóbcie i poczuł, że teraz i jemu na chwilę zabrakło tchu. Była tak cholernie śliczna, zachwycająca, pożądana. Rozchylone usta zdawały się błagać o pocałunki, oczy były bardzo ciemne, zamglone i nic nie widzące. Oziębła? Na pewno nie! Ale była w niej pewna kruchość, czystość. Teraz już wiedział, że łatwo ją zranić. Dlatego jej widok poruszał mu serce.

- Nigdy nie mógłbym ci sprawić bólu. - Jego ochryply głos lekko drżał.
- Wiem.

Znów pochylił się nad nią i zaczął całować, a słodka chciwość jej ust sprawiała, że serce zaczęło mu bić jak oszalałe. Kiedy wreszcie oderwał się od jej ust, zakwiliła w głośnym proteście i złapała go za ręce.

Ash uniósł się i zaczął ściągać dzinsy z jej długich i nieprawdopodobnie pięknych nóg. I znów w lędźwiach poczuł nagły dreszcz pożądania.

- Ash, ty drzysz - szepnęła Corey. Patrzyła na niego z lękiem.
- To twoja piękność doprowadza mnie prawie do szaleństwa.

Patrzył na nią i czuł w niej tę samą nagromadzoną i gotową do wybuchu namiętność, jaką czuł w sobie. Poczul to już pierwszego dnia, kiedy jej dotknął. A teraz dziwił się właśnie, że tak się to wszystko rozwinęło.

Rzucił w kąć dzinsy Corey, a potem sam się podniósł i pospiesznie ściągnął swoje, rzucając je w ślad za tamtymi. Corey cały czas wodziła za nim oczami, jej wzrok wędrował w dół po jego ciele i ponownie w górę, i próbowała coś wyczytać z jego twarzy. W niej samej można było wyczuć jednocześnie i pożądanie, i narastającą niepewność.

Tymczasem Ash już był przy niej, jego dłoń już wędrowała po jej smukłej łydce w górę do lekko zgiętego kolana i potem dalej wzdłuż uda. Nogi tancerki, tak równocześnie mocne i kształtne! I jej nieprawdopodobnie aksamitna skóra.

Chryste, jakaż ona jest piękna! To wszystko chyba mu się śniło.

- Czy ty naprawdę istniejesz? - spytał cicho i jego dłoń powędrowała jeszcze wyżej, po wewnętrznej stronie, po skórze delikatniejszej niż płatki kwiatów.
- Czy ty jesteś tu naprawdę, czy ja po prostu za długo byłem sam w dżungli?

Jej drobne dłonie objęły go za szyję i przyciągnęły do siebie, tak że czuł teraz łagodną kragłość piersi, tulących się do niego. - Jeżeli to sen, to obojgu nam śni się to samo - powiedziała. Jej głos był o ton niższy, nabrzmiała namiętnością bliską wybuchu.

Oparł się teraz na łokciach, tak by nie przygniatać jej swoim ciężarem, a potem z wolna pochylił ku niej twarz. Dotknął ustami rozchylnych warg i zaraz potem wcisnął język głęboko w jej usta, czując nagły dreszcz, kiedy napotkał tam jej język, równie chętny i równie aktywny.

Potem wszystko wokół wydało się spowite pulsującą, różową mgłą. Zdawał sobie sprawę, że wciąż żyje, że nie przeniósł się żywcem w niebiosa, ponieważ czuł, jak serce tłucze się o żebra klatki piersiowej. Napięty



w erekcji członek, gotowy do spełnienia, groził rozdarciem tkaniny kąpielówek. Zdecydował jednak, że będą się kochać wolno, smakując wszelkie dostępne im rozkosze.

Przesunął się nieco na bok, tak by uwolnić jedną rękę. Ponownie poczuł słodki i kuszący zapach jej gorącej, wilgotnej skóry, który budził takie pożądanie, że doprowadzało go to niemal do szaleństwa. A on chciał przecież nad tym panować. Gdyby tego nie zrobił, to po prostu zdarłby z niej i z siebie ubranie, i wbił się w nią jak kafar.

Dotknął znowu jej piersi, starając się powściągać drżącą z niecierpliwości rękę. Delikatnie naciskał i pieścił uginającą się i coraz twardszą sutkę. Zachwycało go, że Corey przeży się pod nim, że cicho jęczy, a równocześnie całym ciałem tuli się do niego coraz mocniej.

- Ash... - Teraz słyszał już jej żądającą niecierpliwość, pragnienie, które domagało się, aby je zaspokoić teraz, natychmiast...

- Nie musimy się śpieszyć - powiedział miękko. Chciał, żeby i ona rozsmakowała się w tej powolności. Znow pochylił się nad nią i wziął do ust czubek jej piersi. Zaczął na zmianę ssać go i pieścić językiem, wodząc nim wokół sutki niczym cyrkiem. Jej piersi były tak cudownie słodkie.

Poczuł, że Corey wpija mu palce we włosy i przeży się pod nim, wygięta niczym łuk. Oboje zdawali się już rozpaleni do granic wytrzymałości.

Odsunął się od niej na tyle, żeby móc zdjąć z niej majteczki. Corey lekko uniosła biodra, a Ash ściągnął z niej tę ostatnią część jej ubrania, całując przy tym każdy skrawek przebytej przez nie drogi wzdłuż strzelistych nóg. Potem położył się obok niej na boku i przechylił ją do siebie. Wsunął kolano między jej nogi i rozchylił je, potem wyciągnął rękę i poczynając od jej kolana zaczął przesuwając dłoń po wewnętrznej stronie aksamitnego uda aż do miejsca, w którym dotknął miękkiej kępki włosów. Przez chwile pieścił je delikatnie, a potem sięgnął głębiej, aż poczuł pod palcami delikatne fałdy wilgotnej i gorącej skóry.

Pragnął całować ją tam, czuć jej najbardziej intymny smak, ale wiedział, że wtedy nie potrafi już nad sobą zapanować.

Rozchylił gorące, miękkie fałdy i zaczął je pieścić, najpierw lekko i ostrożnie, a potem coraz mocniej i głębiej.

Corey jęknęła cicho, westchnęła i obróciła się lekko, nie odsuwając się od pieszczącej dłoni. Jego palce już były w niej w środku, w najczulszym,

najbardziej delikatnym i słodkim miejscu. I to była ona, Corey. W życiu by nie przypuścił, że będzie mógł tak z nią być, tak jej dotykać.

Teraz odszukał palcami delikatny pączek, ukryty w aksamitnych fałdach tego miejsca i zaczął go pieścić, celowo zataczając czubkiem palca coraz węższe, koncentryczne kręgi. Corey wiała się pod tą pieszczotą. Przekonał ją, że wiedział, jak żar namiętności przekształcić w buchający płomień.

- Ash! - szepnęła Corey. Jej głos był zdyszany, a palce wpijały się głęboko w jego plecy. - Zrób coś ze mną. Przecież mnie torturujesz...

- Ale jakże słodka to tortura. - Szybko podniósł się i ściągnął z siebie spodenki kąpielowe i natychmiast wrócił do niej. Teraz już i on drżał z emocji.

- Jestem cała mokra od potu - poskarżyła się Corey.

- Wyobraź sobie, że ja też - szepnęła Ash.

Wydała z siebie dźwięk, podobny do śmiechu, choć było w nim nie tylko rozbawienie. Przesunęła zakończone ostrymi paznokciami dłoń w dół, po jego żebrach i pośladkach, chwyciła go za lędźwie, wpijając mu palce głęboko w ciało i gwałtownie usiłowała przyciągnąć bliżej.

Ash znieruchomiał przez chwilę, potem podciągnął ją jeszcze trochę do góry, czując, jak jej gorąca i wilgotna skóra lgnie do niego i jak znów, raz za razem, przeszywa go dreszcz rozkoszy.

Jeszcze raz przesunął dłonią wzdłuż jej ud, dotknął kępki włosów i zagłębił w niej palce, najpierw jeden, a potem dwa, by się upewnić, że jest już gotowa do przyjęcia go w siebie.

Podniecenie rośnie w nim niczym w gotującym się do wybuchu wulkanie. Szumiało mu w głowie. Spokojnie, powiedział sobie. Spokojnie. Przecież to ona. Lily. Cudowna, słodka Lilijka...

Drżącą z emocji ręką odchylił jasne włosy z wilgotnych od potu skroni i pocałował w czoło. - Gdyby cię zabolalo, powiedz. Bo kochanie się nigdy nie powinno boleć. Powinno być tylko... - Zamilkł na chwilę, by wziąć oddech. - Powinno być tylko dobre... - Przesunął się nad nią nieco wyżej i znów oparł się na łokciu, żeby nie przygniatać jej swoim ciężarem.

- Tylko dobre... - powtórzyła niewyraźnie Corey.

- Przepraszam, nie umiem wyrazić tego bardziej poetycko - powiedział Ash. Jemu też kręciło się już w głowie od nadmiaru rozkoszy.

Drobne dłonie Corey chwyciły go za pośladki i ściągnęły w dół. To pełne jawnego pożądania dotknięcie rozpałiło go jeszcze bardziej. Nie pamiętał,

żeby kiedykolwiek pragnął kogoś tak mocno, żeby był podniecony aż do tego stopnia.

Jej jedwabiste uda otwierały się dla niego, ona sama zaś pociągała go w siebie coraz bardziej niecierpliwymi rękami. - Nie obawiaj się, nie zgnieciesz mnie - szepnęła ledwie dosłyszalnie.

Ash rozchylił palcami miękkie i wilgotne fałdy wewnątrz kępki delikatnie zmierzwionych włosów i wszedł w nią powoli i ostrożnie. To było tak, jak gdyby zanurzał się w płynny, gorący aksamit. Wolno, bardzo wolno. I w dół, coraz głębiej i głębiej... aż do zatonięcia.

Wszystko w nim domagało się, żeby robić to szybciej. Szybciej i mocniej. Ale nie pozwolił sobie na to. Musiał być delikatny, nakazał to sobie. Na chwilę zatrzymał się tam, gdzie był - głęboko w niej. Najgłębiej.

- Corey... - zaczął coś mówić, ale niemal w tej samej chwili zamilkł. Miał wrażenie, że wszystko wokół kołysze się i wiruje. Nie pamiętał już, co chciał jej powiedzieć.

A z jej strony usłyszał tylko głębokie „Aach....” i jej smukłe i wspaniałe nogi zaplotły się wokół jego nagich bioder. Boże, gdyby można było tak pozostać i umrzeć!...

- Corey...?

Oddychał szybko i nierówno. I pomyśleć, że sam kiedyś twierdził, iż nie za bardzo potrafi nad sobą panować! Chryste Panie! A teraz mu się to udało. Choć wszystko w nim domagało się, by wbijać się w nią tak mocno i tak szybko, jak to tylko możliwe.

- Wszystko w porządku? Nie sprawiłem ci bólu? - zapytał nieco ochryple.

- Nie... Nie.

Teraz z kolei jej głos wydawał się jakiś odległy i zamglony. Tak, jakby ktoś ją niespodziewanie przywołał gdzieś z bardzo daleka.

- Rany boskie, jakie to cudowne być tak z tobą. Tak czuć cię całą, czuć, że...

- Że coś tam A pasuje do czegoś tam B, tak? - Głos Corey był lżejszy od unoszonego wiatrem ptasiego piórka.

- Tak.

Corey lekko przesunęła się pod nim. Ash czuł, jak jej wilgotna od potu skóra prześlizguje się po jego skórcie. - To jest cudowne - powiedziała, jakby wciąż nie mogąc złapać tchu. - I to, jak cię czuję, jest cudowne. - Ash prawie nie poznawał jej głosu, który chwilami brzmiał tak, jakby Corey była w narkotycznym śnie.

- Czy to już? - zapytała i popatrzyła na niego.

Ash roześmiał się, rozbawiony, ale i wzruszony. - Skarbie, to dopiero połowa drogi.

- Bardzo się cieszę - odpowiedziała.

Zaczął poruszać się w niej, w górę i w dół, początkowo bardzo ostrożnie. Czuł, że jej łono ciasno opina jego członek. I dlatego właśnie była cudowna, nieludzko miękka i gładka wewnątrz, niczym aksamit. I całą sobą wręcz zapraszała, by zanurzyć się w to słodkie ciepło. Ash uniósł się wysoko, niemal wyszedł z niej. A kiedy zaczął powoli zagłębiać się w niej ponownie, Corey nagle wygięła się w łuk, uniosła biodra i wcisnęła się w niego z taką siłą, że na chwilę odebrało mu to dech. Ash znów się na chwilę uniósł i znów się opuścił, tym razem mocniej. I znów Corey uniosła biodra na jego spotkanie i szerzej rozchyliła uda, by przyjąć go w siebie jak najgłębiej.

Wtedy coś w nim pękło, po prostu nie mógł już dłużej powstrzymać narastającej żądy. Zaczął wbijać się w nią raz za razem, coraz szybciej, mocniej i gwałtowniej, czując, jak pokryte delikatnym śluzem naskórki ich obojga ślizgają się po sobie już bez jakiegokolwiek oporu. Jak ich ciała splatają się i rozplatają w erotycznym zapamiętaniu.

Słyszał, jak Corey pojękuje cicho z rozkoszy, a jej westchnienia podniecały go do szaleństwa. Każde zakończenie nerwu rozpalało się w nim do białości. Czuł, jak jej drobne ciało napina się coraz bardziej w jego dłoniach, jak cała rozpaczliwie wtula się w niego, jak wstrząsają nią nagłe, dojmujące dreszcze.

Widział ją już jak przez mgłę. Jeszcze raz zanurzył się w niej, tak głęboko, jak to w ogóle było możliwe. A potem już tylko wydało mu się, że cały świat nagle stał się jednym wielkim wybuchem światła. Fala ciepła napłynęła i zatopiła ich oboje. Nigdy dotąd nie zdarzyło mu się nic podobnego. A potem poczuł się nieprawdopodobnie słaby, niemal bezbronny. Objął Corey i przyciągnął do siebie. Chciał znów czuć jej cudowne ciało przy sobie i pod sobą. I nigdy nie pozwolić jej odejść.

Corey czuła, że leci gdzieś wysoko, w przestrzeń pełną światła i kolorów. To było tak, jak gdyby wzniosła się do słońca, świecącego ponad chmurami. A teraz powoli, bardzo powoli, wracała na ziemię.

Z wolna uświadomiła sobie, że jest z Ashem, że jego wilgotne ciało nadal

przygniata ją do pościeli, a opalone ramiona obejmują ją czule i mocno. Ich piersi stykały się z sobą i Corey bezpośrednio przez skórę czuła uderzenia jego serca, walącego o żebra w przypieszonym rytmie. Słyszała jego urywany i nierówny oddech, jego wargi niemal dotykały jej ucha, a klatka piersiowa unosiła się i opadała, wgniatając ją w posłanie. Corey nie próbowała się jednak wydostawać spod tego ciężaru, wysunęła tylko biodra i szerzej rozwarła uda. Chciała, żeby w niej został, żeby to trwało wiecznie.

A kiedy wreszcie znów była w stanie mówić, zdołała tylko szepnąć: - Co to było?

- Co? - spytał Ash. Też był bez tchu.

- To. To, co się teraz zdarzyło, co czułam, kiedy się kochaliśmy. To było tak, jakbym nagle znalazła się na latającym dywanie, który unosił mnie...

Ash przez chwilę nie odpowiadał. - Myślę, że to chyba był orgazm - powiedział rzeczowo. W jego lekko zdyszonym głosie można było wyczuć delikatne rozbawienie.

- Ach tak? - powiedziała Corey tonem pilnej studentki. - No cóż, sam termin chyba nie za bardzo mi się podoba. To nie oddaje w pełni tego, co czułam. Powiedziałabym, że to był raczej... To było coś takiego jak lot w gwiazdy. Jakaś podróż astralna. Tak. Tak to właśnie było - powiedziała tak cicho, że ledwie ją usłyszał.

Ale usłyszał - bo skóra szyi, w którą była wtulona jego twarz, znów poczuła, że się uśmiecha. Jego włosy delikatnie łaskotały ją w policzek. Podobał jej się ich zapach, przypominający zieloną dżunglę.

Dopiero teraz uświadomiła sobie, jak bardzo jest senna. Zupełnie jak po zażyciu tabletki.

Natychmiast jednak zaprotestowała, gdy Ash odsunął się i ostrożnie podniósł z posłania, a całe łóżko zaskrzypiało gwałtownie.

- Ash?

- Za chwilę wrócę.

Zanim wrócił, powieki Corey opadły ostatecznie. Nie była w stanie z nimi walczyć.

- Byłem cały mokry od potu - powiedział.

Po chwili miękka tkanina ręcznika frotte ocierała jej szyję, potem piersi i brzuch. - Oo, jak dobrze - powiedziała sennie i z uśmiechem. Każdy skraweczek jej ciała odczuwał tę odświeżającą, chłodną wilgotność, a potem

rozkoszną ociążałość. W normalnych warunkach miałyby pewnie świadomość tego, że leży naga i że ktoś ją tak wyciera. Ale teraz było tak sennie, tak leniwie, tak dobrze... - Byłam równie mokra jak ty. - Jej głos zabrzmiał cicho i niewyraźnie. Oczy nadal miała zamknięte.

- Lily, wszystko w porządku?

- Jestem śpiąca. Strasznie śpiąca. Przepraszam.

Usłyszała jeszcze, jak łóżko ponownie skrzypnęło, i poczuła, że Ash znów kładzie się obok niej. Poczuła też, że jego dłoń pieszczotliwie odsuwa pasma włosów, które opadły jej na czoło i oczy. Po czym Ash umościł się wygodnie na posłaniu tuż obok, przyciągnął ją do siebie i zaczął całować jej brwi i rzęsy. - Jesteś tak słodka, tak cudownie słodka. - Te słowa zabrzmiały w jej uszach jak muzyka. - Moje чудо, moja najśodsza czekoladka. - Jego ramiona objęły ją jeszcze mocniej.

Przez siatkę w otwartym oknie wpadł wilgotny powiew. Corey poczuła to częścią ciała, której nie osłaniały ramiona Asha. Senna, na wpół śpiąca, usłyszała jeszcze melodię dzwoneczków, zawieszonych u wejścia. Ich dźwięk był cichy i delikatny, jak melodia ze snu. Nawet Stradivarius nie mógłby zabrzmieć bardziej przejmująco.

- Dzwoneczki... - szepnęła, nie podnosząc głowy, którą wtuliła między jego ramię i szyję. Potrzebowała całej siły woli, żeby nie usnąć natychmiast i żeby w miarę sensownie powiedzieć o tym, co usłyszała. - To te dzwoneczki... z kółek zębatych i różnych metalowych kawałków... Kto je zrobił?

Ash przez chwilę nie odpowiadał. Tak, jakby nie chciał odpowiedzieć, jakby go to z jakiegoś powodu krępowało.

- Ja - powiedział w końcu.

Corey uśmiechnęła się, przeciągnęła wargami po słonawej skórze jego ramienia i -już prawie zasypiając - pocałowała go w szyję za uchem. - Tak właśnie myślałam... - zdążyła jeszcze powiedzieć. Potem usnęła na dobre.

## *Rozdział siedemnasty*

Budziła się bardzo powoli. Najpierw poczuła, że na brzuchu leży jakiś ciężar. Potem usłyszała czyjś głęboki i równy oddech tuż przy prawym uchu. A potem zdała sobie sprawę, że jej nagie ciało styka się z jakimś innym nagim ciałem. Mocniej opalonym.

O Boże!

Leżała w łóżku Asha i była naga. Jeżeli nie liczyć białego bawełnianego prześcieradła, narzuconego niedbale na ich nogi i nieco wyżej, oboje byli nadzy. A nadszedł już poranek. Więc ciemność nie mogła skryć ich nagości.

Corey zawstydziała się raptownie. Ostrożnie obróciła głowę i spojrzała na leżącego obok Asha. Wstrząsnęło to nią, ale nie z powodu wyrzutów sumienia czy żalu, że tak było.

Leżał na brzuchu, z twarzą zwróconą ku niej, i spał. Włosy miał zmierzwione jak uliczny łobuziak, jego broda i policzki wydawały się jeszcze ciemniejsze niż wczoraj. Był bardzo męski i sexy, bardzo sexy. Tak, Asher Adams był chodzącym żywym afrodyzjakiem.

Tylko co ona robiła w jego łóżku? I zwłaszcza - na co jeszcze trudniej odpowiedzieć - co właściwie miała zrobić teraz? Była przecież nowicjuską, jeżeli chodzi o sytuacje, w których kobieta budzi się rano obok nagiego mężczyzny.

A jednak nie poczuwała się do żadnej winy. Czuła się głupio, owszem, i niepewnie. Jednak niewinna. Ona, Corey McKinney, której poglądy na seks zawsze wydawały się dosyć konwencjonalne i w staroświecki sposób zasadnicze - teraz obudziła się w łóżku Ashera Adamsa i nie miała żadnych

wyrzutów sumienia. Myślała jedynie o tym, co czuła, kiedy jego dłonie dotykały jej ciała, jaki smak miała jego skóra, jaki był czuły i delikatny i jak doprowadził do tego, że stało się... to, co się stało.

Teraz powinna się stąd wymknąć, zanim się obudzi. Tak byłoby najlepiej. Zaczęła więc powoli przesuwać się w stronę krawędzi łóżka. Ale obejmujące ją męskie ramię ani drgnęło. Corey spojrzała na nie i stwierdziła, że jej skóra w porównaniu z mocną opalenizną Asha była blada i delikatna.

„Urodzony do rozrabiania”... i urodzony do przysparzania kłopotów. Tak, z pewnością w tym był najlepszy. Niebieski tatuaż na skórze był tylko jeszcze jednym przypomnieniem, że to obudzenie się w cudzym łóżku było czymś nowym może dla niej, ale z całą pewnością nie dla niego.

Należało zaraz wstać i przede wszystkim się ubrać. Przede wszystkim znaleźć ubranie.

Gorączkowo rozglądała się po zagraconym i od dawna nie sprzątanym pokoju. Wtem przypomniała sobie, że Ash zdjął z niej koszulę jeszcze na werandzie, a ona nawet nie pisnęła słówkiem, w ogóle nie zaprotestowała. Więc jeżeli nawet jakoś tam ją deprawował, to przecież ona na to wszystko pozwoliła... a właściwie niemal błagała, żeby ją zechciał deprawować.

Muszę stąd wyjść, zanim się obudzi, powiedziała sobie jeszcze raz. Czuła, że zaczyna w niej narastać panika. Ostrożnie położyła palce na jego przedramieniu, które było tak mocne i szerokie, że nie byłaby w stanie objąć go jedną dłonią. Próbowała podnieść tę obejmującą ją rękę, zamierzając wysliznąć się po cichu i ubrać, by przynajmniej jako tako przyzwoicie wyglądać, zanim mu spojrzy w oczy.

Równy oddech Asha nagle się zmienił. - Chcesz gdzieś iść? - zapytał sennie, a jego głos wydał się bardziej ochrypły niż zwykle. Ale kiedy otworzył oczy i spojrział na nią, jego spojrzenie było jasne i bystre.

Corey szybko odwróciła wzrok i przeniosła spojrzenie na wiszącą u sufitu zakopconą lampę. Czuła, jak jej twarz pokrywają kropelki potu. - Tak, chciałabym. Ale twoje ramię... musiałbyś mnie puścić...

Ani myślał jej puścić. A Corey najchętniej zapadłaby się teraz pod ziemię, przede wszystkim po to, by zniknąć z jego pola widzenia. Nie jestem do tego przyzwyczajona, powtarzała sobie w duchu. Nie nadaję się do czegoś takiego.

Ash zdjął rękę z jej brzucha i obrócił się na bok, żeby lepiej widzieć, jak będzie wstawała. Ba, jeszcze dla wygody podparł się na łokciu. Corey



pospiesznie sięgnęła w dół, usiłując na oslep ściągnąć prześcieradło, które - owinięte głównie wokół Asha - ledwie częściowo zakrywało jej talię. Pociągnęła za bawełnianą tkaninę, ale daremnie. Ash był zbyt ciężki, a w ogóle najwyraźniej nie zamierzał jej niczego ułatwiać. Uśmiechał się i ani myślał się ruszyć. Corey pospiesznie podniosła dłoń, żeby przynajmniej zakryć piersi, ale i tu się zawahała. Nie powinna się tak kulic pod jego spojrzeniem. Na pewno będzie się śmiał i szydził z tej spóźnionej skromności.

On sam, oczywiście, w najmniejszym nawet stopniu nie był zakłopotany. Zachowywał się tak, jak gdyby budzenie się rano w jednym łóżku było dla niego czymś zwykłym i normalnym. Najpewniej zresztą bywał często w tego rodzaju sytuacji z wieloma kobietami i miał wystarczającą praktykę, by traktować to nonszalancko i obojętnie.

Ta myśl sprawiła, że poczuła się jeszcze gorzej. Musiała sobie jasno uświadomić, że to, co stało się między nimi, było czymś chwilowym, co wkrótce musiało minąć. Nie miała do niego żadnych praw, tak zresztą jak i on nie miał żadnych praw do niej.

- Chciałabym wziąć moje ubranie. - Te słowa skierowała w stronę wiszącej pod sufitem lampy, starając się głównie o to, żeby przynajmniej głos brzmiał w miarę normalnie i nie był za bardzo rozdygotany.

- No to idź i weź je sobie. Nikt ci przecież nie broni.

Ale to znaczyło, że musiałyby wstać z łóżka kompletnie naga, przedfilować przez pokój i podnieść rzucone w kącie majteczki i dzinsy. A on oczywiście będzie sobie leżał i jej się przyglądał.

Wtem zamarła. Poczowała dotknięcie ręki, sunącej po jej ramieniu od baiku w stronę łokcia.

Corey wiedziała już, że każdej akcji odpowiada równa - lub nawet większa - reakcja. Teraz ta jej bardzo osobista interpretacja praw fizycznych nabrała jeszcze innego znaczenia. I pomyśleć, że w szkole zawsze uważała fizykę za coś niezmiernie nudnego.

Tymczasem Ash koniuszkiem palca dotknął jej piersi. Przesuwał swe palce powoli w górę i w dół, jakby sprawdzając ich stromość i wypukłość, a w niej natychmiast pojawiły się te same gorące fale, te same niezwykle dreszcze, które przenikały ją całą, od piersi aż po łono. Przekłęła w duchu i jego, i siebie. I to swoje ciało, z którym - jak się okazywało - Ash potrafił robić, co tylko zechciał.

Teraz pochylił się nad nią i zasłonił sobą tę nieszczęsną lampę, na której starała się dotąd skoncentrować swoje spojrzenie. Objął ją ramieniem i przyciągnął do siebie tak, że jego szorstka, owłosiona pierś otarła się o jej ponownie nabrzmiałe i naprężone sutki. A potem przybliżył twarz do jej twarzy. Wewnętrzna częścią uda mogła wyczuć gwałtownie narastającą erekcję jego członka. Jej serce znów tłukło się w klatce piersiowej jak oszalałe. Tak jak gdyby ktoś nieustannie walił młotem. Co ten Ash z nią zrobił? Przyzwoite dziewczyny nie czynią takich rzeczy. I na pewno nie sprawia im to tak wielkiej przyjemności.

Corey wstrzymała oddech i zastygła w bezruchu. Ale każdy jej nerw, każda cząstka ciała czekała na jego następny ruch. Na to, co zrobi.

Ash uśmiechnął się, oczy mu błyszczały. - W świetle wyglądasz jeszcze ładniej. Wreszcie będę mógł dokładnie obejrzeć wszystkie twoje piegi.

A przez nią płynęła już kolejna fala gorącej krwi. Przestała słyszeć, przestała myśleć. Całkowicie poddała się temu z zadziwiającą łatwością. Znowu oddychała głęboko i miała poczucie, że oto unosi się, płynie, gdzieś odlatuje...

A on już ją całował. Jego wargi były gorące i wilgotne. I władcze.

I to chyba było ostatnie ogniwo w łańcuchu przyczyn i skutków. Rozluźniła się ostatecznie. Objęła go tak jak wczoraj. I tak jak wczoraj jej oddech stał się szybki i spazmatyczny. I tak jak wczoraj starała się przyciągnąć go do siebie jak najbliżej.

Nagle dały się słyszeć głośne uderzenia, dobiegające gdzieś z zewnątrz. Potem rozległo się donośne beczenie. Corey nie zwróciła na to wcale uwagi, ale poczuła natychmiast, że wargi Asha wędrujące po jej ustach zatrzymały się, a dłoń przestała pieścić jej piersi. Beczenie się powtórzyło.

Ash przestał ją całować i jakby w ucieczce przed tym, co słyszał, wtulił twarz w miękkie wgłębienie jej szyi. - Cholera jasna! - mruknął. - To Elwira. Trzeba ją wydoić, zanim ostatecznie rozwali werandę.

Uniósł się na łokciach i ukląkł na łożku, choć w jego szarych oczach wciąż jeszcze paliło się pożądanie. I nagle wyraz jego twarzy zmienił się całkowicie. - Twoja skóra! O Boże, co ja zrobiłem z twoją biedną skórą! - wykrzyknął i bez ostrzeżenia zerwał z niej okrywającą ją prześcieradło.

- Ash! - krzyknęła Corey i próbowała jeszcze chwycić za brzeg prześcieradła, ale już było za późno.

/

Jego ubolewanie wydawało się jednak szczere. - Twoja skóra! Twoja piękna skóra, Corey! Strasznie cię przepraszam.

Corey czuła, jak czerwieni się aż po koniuszki włosów, a on tymczasem nie tylko przyglądał się jej niezwykle uważnie, ale nawet tu i ówdzie dotykał ręką miejsc, w których jej skóra była szczególnie poczerwieniała.

- Dlaczego się nie ogoliłem?! - zarzucał sobie. - Wszędzie jesteś poobcierana. O, tu na szyi. Na piersiach... na brzuchu. - Jego dłoń przesunęła się z jej płaskiego brzucha na łono. Potem na jedno i drugie udo... -1 na nogach też.

- Dobrze już - powiedziała zmieszana Corey i przełknęła ślinę. Nie widziała konieczności aż tak ścisłego katalogowania jej obrażeń. Nigdy dotąd żaden mężczyzna nie oglądał jej całkowicie nagiej. Nigdy. - Ash, proszę cię...

Ash spojrział na nią i chyba po raz pierwszy dotarło do niego, że Corey może się czuć skrępowana. - Przepraszam. Zdawało mi się, że przeszłaś roczny kurs pielęgniarstwa, na którym chcąc nie chcąc musiałas się napatrzeć na nagie ciała. Pielęgniarki zazwyczaj nie czerwienią się z tego powodu.

- Owszem, oglądałam tam wiele nagich ciał. Ale to nie znaczy, że ktoś oglądał moje.

- Posłuchaj, skarbie. Ciało to w końcu przecież tylko ciało. Każdy je ma, takie czy inne. - W jego siwych oczach znów połyskiwała znajoma iskierka.

- Tyle że twoje akurat jakimś dziwnym przypadkiem wydaje się szczególnie śliczne, a na to już nic nie można poradzić, prawda? - Pochylił się nad nią i ucałował ją dokładnie w pępek. Pocałunek i dotknięcie jego włosów, które otarły się o skórę brzucha, znów wywołały w niej znajomy dreszcz.

Miał naprawdę czarodziejskie usta... I czarodziejskie dłonie. Wystarczyło jedno dotknięcie, a jej natychmiast brakowało tchu.

- Masz niesłychanie kuszący pępek. Malutki guziczek, a tak piekielnie sexy. - Pocałował ją jeszcze raz, a potem powoli przesunął swe usta niżej i zatrzymał je tuż nad jedwabistą kępą włosów łonowych. Pochwycił jej białe uda i rozchylił lekko, a kiedy spojrział na jej twarz, w jego oczach pojawiły się niemal diabelskie ogniki.

Najwyraźniej zamierzał ją całować, i to tam właśnie. Corey znów poczuła, jak zalewa ją nagła fala gorąca.

Ash tymczasem przesunął się jeszcze w dół i na razie całował jej lekko ugięte kolana. Najpierw jedno, potem drugie. - Kolana też sexy. Masz piekielnie kuszące kolana.

A potem jego usta zaczęły się przesuwać wyżej wzdłuż ud. Co chwila zresztą zatrzymywały się po drodze. Ash całował wtedy kolejny odkryty przez niego pieg i wypowiadał się na temat jego szczególnej urody.

A kiedy już dojechał dostatecznie wysoko, a potem jeszcze wyżej, chwycił za brzeg prześcieradła i podciągnął je w górę aż do jej podbródka, a sam oparł się na łokciach po obu stronach jej głowy. - Teraz lepiej? - spytał.

I Corey poczuła, że gardło ma ściśnięte i nie jest w stanie wypowiedzieć jednego słowa. Bezradnie mrugała powiekami.

Znów dało się słyszeć beczenie kozy, jeżeli ten dźwięk w ogóle można było nazwać beczaniem. To już był prawie ryk wołu. Kopyta coraz niecierpliwiej uderzały w drzwi werandy.

- Dobrze, dobrze. Już idę! - usłyszała Corey i poczuła, że łóżko ugięło się na chwilę.

Ash wciągnął na siebie spodenki kąpielowe i dżinsy, w ogóle nie myśląc o tym, że robi to na jej oczach. Tak przynajmniej, dosyć kwaśno, pomyślała o nim Corey. Nic go nie obchodzi, że ktoś na niego patrzy. Ash tymczasem wybiegł już przez drzwi, ale niemal natychmiast wrócił.

Pocałował Corey prosto w otwarte ze zdziwienia usta i dopiero potem wybiegł powtórnie.

Corey znalazła się wreszcie w swoim pokoju. Przynajmniej w nim powinna czuć się jako tako bezpieczna i spokojona. Tymczasem wciąż miała dojmującą świadomość swego seksualnie rozbudzonego ciała. Czuła to nawet w chwili ubierania się, poprawiania na sobie wciągniętej przez głowę bluzki. Czuła mrowienie w przeróżnych miejscach, nawet tam, gdzie jeszcze niedawno nie było nawet mowy o jakimkolwiek mrowieniu. A teraz dosłownie wszędzie, niemalże w każdej komórce ciała. Bo jej ciało ożyło, jej zmysły uniosły ją na nowy i wyższy poziom świadomości.

Dotknęła palcami ust, tak dokładnie i metodycznie wycelowanych przez niego. Teraz wydawały się nadwrażliwe i z lekka obrzmiałe. Na całym ciele czuła miejsca, gdzie ostry zarost Asha otarł jej skórę. I znów ogarnęła ją nagła fala gorąca na samą myśl o tym, jak jego wargi przesuwały się po jej najintymniejszych i najczulszych zakątkach. Dlaczego z Toddem nie przychodziło jej do głowy nic podobnego?

Znów odezwał się w niej szyderczy głos wewnętrzny. I tym razem mówił jej rzeczy, jakich nie chciałyby słuchać, nawet jeśli były prawdziwe. A prawda była taka, że ona i Todd zawsze zamierzali być raczej przyjaciółmi, nie kochankami. I pewnie dlatego pocałunki Todda jej nie podniecały, a dotknięcie jego dłoni nigdy nie sprawiało, żeby poczuła nagłe mrowienie skóry, czy żeby po kręgosłupie przebiegały iskierki.

A teraz ten Asher Adams... Co on z nią zrobił?!

Zrobił tylko tyle, że cały jej świat przewrócił się do góry nogami i do tego jeszcze podszewką na zewnątrz. Nic ponadto.

Wiedziała, że nie może cały dzień ukrywać się w swym pokoju. Wreszcie więc odetchnęła głęboko dla dodania sobie odwagi i otworzyła drzwi. Na korytarzu nie było nikogo, w kuchni też. Natomiast przez okno dobiegał ją niski głos Asha, który gdzieś na podwórzu rozmawiał ze zwierzętami. Corey nie była w stanie rozróżnić poszczególnych słów, ale słyszała ich brzmienie, pełne życzliwości i cierpliwości.

Jak mogła kiedykolwiek uważać go za kogoś okrutnego i bez serca. W rzeczywistości było przecież całkiem odwrotnie? Kiedy już troszczył się o coś lub o kogoś, to troszczył się naprawdę, bez reszty. Tak jak teraz. Przez chwilę zastanawiała się, co może czuć ktoś, kim by się opiekował? Ale natychmiast zakazała sobie takiego myślenia. To nie prowadziło do niczego dobrego. Była dla niego z pewnością jedynie chwilą jakiejś miłej odmiany - i niczym więcej. Wiedziała o tym i to ją bolało, choć tłumaczyła sobie kategorycznie, że boleć nie powinno.

Ash wszedł do kuchni, a jej serce natychmiast zaczęło bić szybciej. Coś błysnęło w szarych oczach. Ale co to było? Pożądanie? Pamięć o tym, co działo się tej nocy?

Wyglądał na zdrowego i sprawnego. Po ataku malarii nie pozostało śladu. Zdążył się ogolić i wykapać. Włosy miał jeszcze mokre, krople wody kapały z nich na ręcznik, który zarzucił sobie na ramiona. Tors był nagi, bez podkoszulka, a opięte dżinsy, jak zawsze, podkreślały muskulaturę jego smukłych nóg. Corey poczuła, że znów samo patrzenie powoduje szybsze bicie serca.

Gdyby ledwie tydzień temu ktoś jej powiedział, że ona, Corey McKinney, może odczuwać nieprzeparty pociąg fizyczny w stosunku do mężczyzny takiego jak Ash, nie uwierzyłyby za nic. Jeszcze raz wyliczyła sobie

wszystkie jego wady: był źle wychowany, przemądrzały, palił, pił i przeklinał. I jeszcze w dodatku dał się wytatuować. Dlaczego więc pełny zestaw tych wysoce nagannych cech dawał w rezultacie kogoś tak pociągającego? Jak to się działo, że był tak nieprawdopodobnie sexy?

Czuła wewnątrz niej wciąż płonący ogień. Nie mogła przestać myśleć, jak Ash jej dotykał, jak jego poranione dłonie delikatnie głaskały jej wilgotną od potu skórę. Szybko odwróciła wzrok, by w oczach nie wyczytał, co się z nią dzieje. Powinna zmusić się do myślenia o czymkolwiek - byle nie o nim.

- Jesteś głodna?

Już znów patrzyła na niego. Przyciągał jej spojrzenie jak magnes. Teraz, kiedy się ogolił, jego usta w gładkiej i jaśniejszej twarzy stały się bardziej wyraziste. Z tej odległości doskonale widziała lekkie wgłębienia w jego policzkach, które przekształcały się w dołeczki, kiedy się uśmiechał. Lubiła, kiedy się uśmiechał. I lubiła też, kiedy śmiał się głośno i donośnie, kiedy to z głębi jego piersi dobywało się coś przypominającego głucho dudnienie.

Spróbowała sobie wyobrazić, jak wyglądał jako dziecko. W szkole pewnie występował w roli wesołka i błazna, z pewnością przezywał kolegów i na wszystko miał ciętą odpowiedź. Ale za tym wszystkim krył się jednak bezmiar bólu i krzywdy. Teraz też wszystko ukrywał pod maską twardziela. Ukrywał, że jest czuły i delikatny. Ale ona potrafiła przebłyski tego, jaki był naprawdę, dostrzec niemal od samego początku. Nie raz i nie dwa.

Uświadomiła sobie, że znowu wzbiera w niej fala ciepła. Iskierka tego już od dawna żarzyła się w jej sercu, a teraz rozgorzała w płomień, przenikający całe ciało jak po wypiciu wina.

Ash, coś ty ze mnie zrobił? - powtórzyła w duchu.

- Zerwałem kilka bananów, żeby nam było łatwiej zjeść te rozmiękłe płatki z mlekiem - powiedział Ash. Położył owoce na stole obok dzbanka pełnego mleka.

Corey wodziła za nim wzrokiem, przypatrując się, jak idzie do kredensu i wyjmuje dwa głębokie talerze i karton płatków, podświadomie zachwycając się grą mięśni na jego ramionach i plecach.

- Hamburgery White Castle! - powiedział rozmarzonym głosem Ash, stawiając talerze i płatki na stole. - Wszystko bym dał za dwie duże porcje porządnych hamburgerów. Kiedykolwiek jadę do Stanów, zawsze odwiedzam

te najbardziej tradycyjne garkuchnie. McDonald's, Pizza Hut. Lubisz pizzę z anchois?

- Nie.

- A ja uwielbiam. Pizzę z anchois i piwo. Mnóstwo piwa.

Corey uśmiechnęła się kącikami ust. A więc znów pan Adams zaczyna swą ulubioną grę. Grę w „Udawajmy Że Oboje Nie Pamiętamy Co Się Stało”. No cóż, tym razem nawet chętnie będzie udawać razem z nim. Zyska trochę czasu, żeby ochłonać, pomyśleć, w ogóle zaczerpnąć powietrza.

A na razie jedli płatki z mlekiem i bananami, które okazały się niezwykle słodkie, niemal jak polukrowane. Ale jeszcze bardziej lukrowane było ich zachowanie. Znów zgodne ze scenariuszem, który zaczęli odgrywać dwa dni temu. Tyle że dwa dni temu byli przecież sobie obcy.

Co to właściwie znaczy, że ludzie są dla siebie obcy? Jak to zdefiniować? Czy jeżeli pijesz z kimś wodę z jednego termosu, to już trochę przestajesz być dla niego obcym? - zastanawiała się Corey. Jak to się w ogóle mierzy - czy stopniem twojej wiedzy o drugiej osobie? Czy też stopniem jej wiedzy o tobie?

Ash spał zazwyczaj na brzuchu. To na przykład już wiedziała. Wiedziała też, że chrapie. I że lubi stary rock and roli. Lecz co dawała jej ta wiedza? Czym się dzięki niej stawali? Znajomymi? Przyjaciółmi? Kochankami?

Miała poczucie, że w głowie jej się potężnie mąci. Ona, która zawsze miała tak analityczny umysł i zawsze potrafiła wszystko przemyśleć niezmiernie precyzyjnie, teraz czuła się kompletnie zagubiona.

Kiedyś Ash ostrzegął ją, że dżungla wszystko zniekształca i zmienia. Czyżby to była prawda? Czy to mógł być zasadniczy powód tego, co się z nią działo? Z całą pewnością nie była już tą samą osobą, którą czuła się jeszcze dwa dni temu. Przecież przyjechała tu w konkretnym celu, zapoznać się z sytuacją i napisać sprawozdanie dla rady Kościoła. Teraz zaś bez mrugnienia okiem po prostu wyrzuciła to ze świadomości i pamięci. Czyżby jednocześnie odrzuciła i poczucie rzeczywistości? Zatraciła zdolność widzenia wszystkiego we właściwej perspektywie?

Musiała coś z tego uratować. A przede wszystkim, z lepszym czy gorszym skutkiem, wrócić na drogę obowiązku.

Odkaslnęła więc dla dodania sobie ducha i powróciła do roli funkcjonariuszki Opieki Społecznej, przeprowadzającej wywiad w terenie. - Czego

najbardziej potrzebowałibyście tu w rezerwacie? Czego wam najbardziej brakuje? - spytała. Zdawała sobie sprawę, że w tym momencie te pytania brzmią trochę niedorzecznie. - Muszę to napisać w moim sprawozdaniu.

Ash wyglądał na zaskoczonego nagłym powrotem do roli ankieterki, ale odpowiedział bez wahania: - Potrzebujemy mnóstwa rzeczy. - Przełknął reszkę płatków z bananem. - Bardzo potrzebna jest studnia. I jakieś pomieszczenie, w którym można by ulokować chorych na czas leczenia. Ale najważniejsze są leki. To jest na pierwszym miejscu naszej listy potrzeb.

Odłożył łyżkę i odchylił się wraz z krzesłem do tyłu, na granicy utraty równowagi. - Na przykład jest taki nowy cudowny środek o nazwie „Ivermectin”. Słyszałaś może o tym preparacie?

Potrząsnęła przecząco głową i podparła dłonią podbródek, słuchając uważnie.

- To cholernie drogie lekarstwo, ale wręcz rewelacyjne, zwalczające pewnego rodzaju infekcje, powodujące ślepotę. Ludzie Czikao na razie na nią jeszcze nie chorują, ale większość pozostałych plemion już się z tym zetknęła. Zdarza się, że przychodzą tu Indianki z osłepłymi dziećmi i błagają o pomoc.

Ash potrząsnął głową. Na jego gładko wygolonej twarzy tym wyraźniej uwidocznił się gniew i rozgoryczenie. - Jak my mamy, u diabła, wytłumaczyć tubylcom, co to jest polityka? Tu leczenie też zależy od polityki. Ale jak im powiedzieć, że po to, by ich dzieci mogły znowu widzieć, trzeba dużo pieniędzy, a co za tym idzie, realnego zaangażowania się kogoś, kto ma wpływy u władzy?

- Uważasz, że ten lek naprawdę mógłby tu pomóc?

- Dziewięćdziesiąt pięć procent całkowitych wyleczeń, bez nawrotów i bez skutków ubocznych. - Ash przejechał palcami po zmierzwionych włosach, a potem zaplótł palce obu dłoni z tyłu na karku. - To jest właśnie najbardziej frustrujące. Kiedy się wie, że skuteczne lekarstwo istnieje, a ty go nie masz. A w dodatku stosowanie jest wyjątkowo łatwe. Ten lek podaje się doustnie, tak jak szczepionkę przeciw polio.

A więc niezależnie od tego, co jej przedtem opowiadał, nie tylko nadzieja odszukania zaginionego brata trzymała go w tej dzikiej i niebezpiecznej krainie. On sam już też w jakiś sposób należał i do tego miejsca, i do tych ludzi.

Nagle bardzo wyraźnie zdała sobie sprawę, że Ash porzucił już właściwie



cywilizację, sterowaną przez najróżniejsze zegary, światła na skrzyżowaniach i ograniczenia szybkości. Tak, Ash Adams należał już do świata Amazonki... tak jak ów egzotyczny ptak-dzwonnik albo anakonda.

I właśnie wtedy pojawiła się w niej pewność, że go kocha. Dojmująca pewność, nawet nie wyrażona słowami, ale przenikająca ją tak dogłębnie jak letni deszcz, który potrafi nagle zaskoczyć i przemoczyć do suchej nitki. Kochała Ashera Adamsa. I to była odpowiedź na wszystkie pytania, to była ta brakująca część układanki. To dlatego nie miała najmniejszych wyrzutów sumienia, to dlatego mogła się z nim kochać. Tak, miała do tego prawo. Nagle wszystko się doskonale zgodziło.

I kiedy to sobie uświadomiła, doznała wstrząsu. Poczuła się zagubiona i bezradna. Co miała teraz robić?

Tak, Ash z natury był opiekuńczy, miał duszę filantropa. Chciał chronić słabszych od siebie. Ona też była od niego słabsza, stąd jego stosunek do niej. Ale to oznaczało, że tak samo zachowywałby się w stosunku do kogokolwiek innego.

Przypomniała sobie słowa z jakiejś książki o miłości. „Miłość nie narzuca własnej woli... wszystko słyszy... i wszystko potrafi znieść.” Tak powinno być. A więc Ash nie może nic wiedzieć. Nie może się nawet domyślać.

W myśli zamknęła swą tajemnicę na siedem zamków. Nikt i nigdy nie może się dowiedzieć, że ona, Corey McKinney, kocha Ashera Adamsa.

- Corey, co z tobą?

Głos Asha dobiegał do niej jakby z oddali. Zdała sobie sprawę, że od dłuższej chwili bezmyślnie wpatruje się w czarną szczelinę, rozdzielającą stół na dwie półokrągłe połowy. Zamrugała gwałtownie i podniosła wzrok. Napotkała zatroskane spojrzenie Asha.

Znowu wpadła w panikę. Znowu czuła, że jej czoło pokrywa się kropelkami potu, a serce zaczyna bić jak oszalałe. A jeżeli widać po niej, że go kocha? Jeżeli on to bez trudu wyczytał z jej twarzy?

Natychmiast zaczęła sobie tłumaczyć, że to niemożliwe, że musiała się pomylić. Nikt normalny nie zakochuje się w ciągu trzech dni. Owszem, to się zdarza pretensjonalnym panienkom z nowoczesnego towarzystwa, które mają na sobie kilogramy makijażu i zwariowanej biżuterii. I które zazwyczaj odkochują się równie szybko, jak się zakochały.

Przypomniała sobie to, co Ash mówił o wpływie dżungli: jak potrafi zniekształcać rzeczywistość i widzenie siebie i innych.

- Corey? Dobrze się czujesz?

Chciała krzyknąć, że nie, że nie czuje się dobrze. Że nie może się czuć dobrze, ponieważ właśnie się w nim zakochała.

Ręce jej drżały, kiedy odsuwała krzesło. Jej głos również drżał: - Ja... pomyślałam, że powinnam pójść się wykąpać.

Ash popatrzył na nią z niepokojem. - Pójdę z tobą. Nie chcę, żebyś szła sama.

- Nie!

To ostro wypowiedziane słowo zaskoczyło go. - Czy coś się stało?

- Nie - powtórzyła Corey. Tym razem postarała się, żeby zabrzmiało to spokojnie. Ash nie powinien podejrzewać, że stało się, i to coś szczególnego.

Przez całe życie potrafiła postępować rozsądnie i pragmatycznie. To Corey była osobą, do której inni zwracali się o pomoc, kiedy w ich życiu pojawiały się kłopoty. A ona wtedy im doradzała. Dopiero teraz zaczęła sobie zdawać sprawę, że mogło w tym być także i pewne nie uświadomione poczucie wyższości. Po prostu zawsze czuła się bezpieczna, niczym nie zagrożona, mając stałą świadomość, że na jej własnej drodze życiowej - przynajmniej w dającej się przewidywać perspektywie - nie widać poważniejszych zakrętów czy powikłań. Jej przyszłość była jak autostrada, biegnąca na wprost przez pustynię.

Więc dlaczego teraz zdarzyło jej się coś takiego? I dlaczego z nim? Z Asherem Adamsem - człowiekiem, który był od niej tak odmienny, jak odmienne jest słońce od księżyca.

Nagle nic już nie było proste ani jasne. Powinna teraz być sama i jakoś to wszystko przemyśleć.

Na wpuł przytomnie przeszła do szafy i wyjęła z niej kąpielowy ręcznik i jeszcze wilgotny kawałek żółtego mydła, którego wcześniej używał Ash. Potem odwróciła się i wyszła bez słowa. Drzwi werandy zamknęły się za nią, a Ash siedział nieruchomo i przyglądał się, jak idzie w stronę rzeki.

Ash dobrze wiedział, co powinien zrobić. Natychmiast pójść i uruchomić samolot. Tak, żeby pozbyć się jej stąd jeszcze dzisiaj. To właśnie z całą pewnością powinien zrobić. Ale zamiast tego siedział dłuższy czas przy stole, a potem poszedł w ślad za nią ścieżką w dół do rzeki. Tam zatrzymał się,

żeby być na podorędziu, dostatecznie blisko, żeby usłyszeć wołanie w razie niebezpieczeństwa, a równocześnie dostatecznie daleko, żeby jej nie krępować.

Nigdy nie czuł się za mocny w stawianiu czoła rozemocjonowanym kobietom i, na ile to było możliwe, unikał tego rodzaju sytuacji. W końcu jednak będzie musiał z nią porozmawiać. Ona już była gotowa oskarżać siebie o to, co się stało.

A później przyszła mu do głowy jeszcze inna myśl, która wstrząsnęła nim, niczym wypita szklaneczka tequili. Czy po tym, co się stało tej nocy, ona czegoś od niego oczekiwała?

Od razu przychodziło na myśl słowo, którego nie lubił: zobowiązanie. Ale przecież Corey nie ukrywała, że ma narzeczonego, prawda? Z tego wynikało, że nic mu z tej strony nie grozi. To wydawało się jasne.

Oczywiście - dla niej drogowskazem postępowania w życiu były wzorce z książek Emily Post i z filmów Walta Disneya. Ale chyba podczas tej nocy zdawała sobie sprawę, co robi... A zresztą co się takiego stało? Właściwie nic.

A niech to wszyscy diabli! To przecież nieprawda. Nie może się tak zakłamywać, wmawiając sobie, że nic się nie stało. Stało się. Corey go porwała, wstrząsnęła jego duszą, jeżeli w ogóle ją posiadał. Był zdziwiony i przytłoczony tym, co się z nim nagle zaczęło dziać. Tym, że ta kobieta aż tak bardzo mogła na niego podziałać.

A tego się sakramencko bał.

Zapalił papierosa i zaciągnął się głęboko.

Od początku wydała mu się osobą niesłychanie kruchą i wrażliwą - już wtedy, gdy po raz pierwszy zobaczył ją w tej szopie, służącej za poczekalnię na lotnisku w Santarem. Była niczym jasny promyczek słońca w tej ponurej budzie... albo jak taka właśnie krucha i biała lilijka, która nagle wyrosła w środku bujnej i dzikiej roślinności Amazonii.

Rozwścieczało go, że jakiś nieświadomy niczego dureń pozwolił jej tu przyjechać. Bo on sam, oczywiście, nie miał najmniejszej ochoty na rolę opiekuna dziewic, dbającego o to, by wróciły do domu całe i nie naruszone. Za dobrze znał dżunglę i jej nienasycone okrucieństwo. Dżungla pochłaniała ludzi, których kochał, i nigdy ich nie zwracała.

Usłyszał kroki zbliżającej się Corey. Pstryknięciem palca wyrzucił niedopałek papierosa i wyszedł na ścieżkę na jej spotkanie. Oparłszy się wyciągniętą ręką o drzewo, zagroził jej drogę.

Corey zatrzymała się i spojrzała na niego wyczekująco. Miała mokre włosy, co sprawiło, że nabrały koloru wilgotnych brązowych karmelków, kontrastujących z bladą twarzą i wielkimi orzechowymi oczami. Jej oczami.

Ash patrzył w te oczy i czuł, że ich spojrzenie sprawia mu niemal fizyczny ból. - Powinniśmy porozmawiać - powiedział. - O tym, co było ostatniej nocy.

- Nie ma o czym rozmawiać.

Jej głos był spokojny, był to jednak spokój przed burzą. Corey schyliła się i przeszła pod jego wyciągniętą ręką, kierując się w stronę domu. - Jeżeli myślisz, że jestem na ciebie zła czy rozżalona... to się mylisz - rzuciła do niego przez ramię. - Nie jestem.

Woda spływała z jej wciąż mokrych włosów i kapała na bluzkę, na której rosła wilgotna plama w kształcie wielkiej litery V. Ash przyspieszył kroku i zrównał się z nią. - Jednak uważam, że masz prawo przypisywać mi winę.

- Tylko dlatego, że jesteś silniejszy i masz szersze ramiona? - zapytała spokojnie. Popatrzyła na niego i uśmiechnęła się samymi kącikami ust.

- Niepotrzebnie się męczysz. Wiem, do czego teraz zmierzasz.

Ash zabiegł jej drogę i stanął przed nią twarzą w twarz. - Ja też wiem. Po prostu chciałbym, żebyś po powrocie do Stanów zapomniała o tym epizodzie, który się tu zdarzył. Chciałbym, żebyś wróciła do twojego miasteczka i...

- Nagle coś chwyciło go za gardło, tak że dopiero po chwili mógł mówić dalej: - I wyszła za tego twojego, jak mu tam... I miała piękny dom i ogród, a dookoła płot z białymi sztachetami. I dwoje dzieci uśmiechniętych jak na reklamach. I ogromny rodzinny samochód, i jeszcze większą werandę.

Zatrzymała się. I on się zatrzymał.

- A ława? - spytała Corey i uśmiechnęła się. - Czy będzie na werandzie bujająca się ława?

W jej oczach był smutek, ale także błysnęła jakaś iskra, czego Ash nie umiał sobie wyjaśnić.

- Taak, i ten cholerny bujany sprzęt też. Tak powinno być. Tak powinno wyglądać twoje piękne życie. I dlatego nie chcę, żebyś wyjechała stąd z poczuciem winy na najbliższe pięćdziesiąt lat. Posłuchaj mnie, Corey. To ja wykorzystałem twoją naiwność i brak doświadczenia. To jest prawda. Robiłem różne rzeczy, o których wiedziałem, że muszą cię podniecić. Więc nie była to twoja wina.

Corey nagle ukryła twarz w dłoniach. .

Kurczę blade! Czyżby płakała? Tego jeszcze brakuje! No i co on ma teraz zrobić? Nie umiał pocieszać, w ogóle tego nie potrafił...

Odchylił jej dłoń, żeby zobaczyć twarz. - Co u diabła?

Ona się śmiała. Śmiała się tak serdecznie, aż łzy płynęły jej po policzkach.

- Co u diabła! - powtórzył. Może to histeria? - pomyślał. O postępowaniu z histerycznymi kobietami już w ogóle nie miał pojęcia. A niech to piekło...!

Corey wreszcie przestała się śmiać i z trudem łąpała oddech. - Och, Ash!

- rzekł wreszcie. - Przecież ja wiem, o co ci idzie... i to jest takie wzruszające. Po prostu jesteś cudowny!

Cudowny? On? Różne rzeczy zdarzało mu się słyszeć na swój temat, ale na pewno nie to, że jest cudowny. Nie, no, do cholery...

Corey w końcu spoważniała i oddychała już normalnie. - Chcę, żebyś coś wiedział - oznajmiła bardzo serio. - Nie mam żadnego poczucia winy z powodu tego, co się stało w nocy. I wcale tego nie żałuję. Nie żałuję tego... Ani troszeczkę!

Odepchnęła go lekko i pobiegła do domu. Trzasnęły za nią drzwi werandy. A Ash długo jeszcze stał przed wejściem i zastanawiał się, co się właściwie dzieje? Co się dzieje, do jasnej cholery?

## *Rozdział osiemnasty*

Corey spędziła pracowity dzień na robieniu fotografii - na które zużyła całą rolkę filmu - oraz na pisaniu szczegółowych notatek. Ash natomiast zajmował się budową kurnika, wałąc młotkiem z wielką pasją, kiedy tylko Corey zdarzyło się przechodzić gdzieś w pobliżu.

Podczas kolacji co prawda przerwał swe ponure milczenie, ale tylko po to, żeby ją poinformować, że jutro o świcie wyrusza z nową pompą benzynową do samolotu, a ona powinna być gotowa i spakowana, kiedy po naprawieniu uszkodzenia przyleci z powrotem.

Corey przyjęła to do wiadomości. Gdy zapadła noc, a miała to być jej ostatnia noc w San Reys i ostatnia noc z Ashem, położyła się więc do łóżka i czekała. Czekwała na niego. On przyjdzie, mówiła żarliwie. Musi przyjść. W przeciwnym razie będzie musiała zrezygnować z dumy i pójść do niego.

Ułożyła poduszkę nieco wyżej i oparła się o nią plecami. Potem jeszcze dokładniej okryła się prześcieradłem i wcisnęła brzegi pod siebie tak mocno, że przez płótno rysowały się dwa wzgórki jej piersi. Bo pod tym prześcieradłem Corey była naga. Naga i stęskniona za Ashem.

W ciągu całego dnia parokrotnie była bliska tego, żeby wybuchnąć i powiedzieć mu, co naprawdę do niego czuje. Ale potrafiła się opanować. Ash miał dosyć własnych kłopotów. I wiele spraw, z powodu których czuł się winny. Nie mogła go więc obarczać jeszcze swoją miłością. Lepiej więc, żeby sobie nadal myślał, że to, co się działo między nimi, to wyłącznie kwestia pociągu fizycznego, zwykłego seksu. Zresztą pewnie tak właśnie było... z jego strony.

Pragnęła go coraz bardziej... i oto chyba jej bezgłośna prośba została wysłuchana. Usłyszała szelest bosych stóp po drewnianej podłodze, a zaraz potem ciche skrzypnięcie otwierających się drzwi. Serce Corey zaczęło bić mocniej, oddech gwałtownie się przyspieszył. Ash wszedł do środka, a kiedy znalazł się na chwilę w plamie wpadającego przez okno światła księżyca, jego szare oczy załśniły niczym oczy wilka. Zatrzymał się i skrzyżował ręce, tuż poniżej rysujących się pod opaloną skórą szerokich mięśni klatki piersiowej. Wyglądał groźnie, ale i niesłychanie kusząco, pomyślała. A jednocześnie w jego spojrzeniu przebijało wielkie pragnienie. Tego stanu nigdy dotąd u niego nie zauważyła.

- Nie wytrzymałem - powiedział cicho. - Nie dałem rady pozostać od ciebie z daleka. Tak bardzo chcę ciebie... pragnę cię jak wszyscy diabli.

Mówiąc te słowa czuł, jak serce bije mu mocniej, jak na czole pojawiają się kropelki potu, a przez całe ciało przepływa fala gorąca. W świetle księżyca Corey wyglądała tak nieludzko pięknie. Ogromne oczy, rozchylone usta... wciąż nieco obrzmiałe po ostatniej nocy. Jasna cera nieomal świeciła w ciemności. Ash miał wrażenie, że na wargach wciąż czuje smak jej warg.

Corey jedną ręką przytrzymywała prześcieradło u piersi, zasłaniając się gestem nieco staromodnym, który z jakiegoś powodu wzruszył go szczególnie.

Czyżby czekała na niego?

Jego oddech stawał się coraz szybszy. Pod prześcieradłem dostrzegł zarys jej stromych, naprężonych piersi, które wydały mu się tak słodkie poprzedniej nocy. Jak to jest, że pragnie jej dokładnie tak samo jak wczoraj albo może jeszcze bardziej? A tak właśnie było. Z całą pewnością pożądał jej jeszcze bardziej, ponieważ teraz już znał smak jej ust, aksamitność jej skóry, dotykał już wszystkich tajemnych zakątków młodego, delikatnego i głodnego pieszczoł ciała.

- Ja też cię pragnę - szepnęła Corey. - Nawet nie wiesz, jak bardzo...  
- Jednym ruchem odrzuciła na bok prześcieradło, którym dotąd się zakrywała. Ash poczuł wtedy, że zapiera mu dech w piersiach.

Patrzył na jej białe piersi, zakończone różowymi kuleczkami sutek i doznał niemal fizycznego bólu w łędźwiach. Bólu wywołanego pożądaniem. Nigdy w życiu dotąd tego nie doświadczył. Żadnej kobiety tak nie pożądał. Opuścił ramiona i zbliżył się do niej.

- Corey... - szepnął ochryplym i zduszonym głosem. Wpatrywał się w nią,

jakby celowo przedłużając udękę tęsknoty, narastającego pożądanego. Była tak zachwycająco czysta ze swymi lekko wijącymi się blond włosami i jasną skórą. Z ciemnymi oczyma niczym u łani. Jeżeli ktoś na ziemi przypominał anioła, to właśnie ona. Była tak bardzo od niego różna - pod każdym względem.

Znów przyszło mu do głowy, że może ona naprawdę nie istnieje, że może to tylko jego gorączkowe majaczenie, wywołane malarią. Bo przecież od lat dobre rzeczy już mu się nie przydarzały. I właściwie już się ich nie spodziewał.

- Ash, chodź do mnie. Proszę cię, dotknij mnie...

Corey czuła, jak jej ciało pręży się w oczekiwaniu na to, że podejdzie, że wreszcie ją przytuli i obejmie. Dlaczego się zatrzymał?

Dotknij mnie... Dotknij mnie. Czy nie widzisz, jak bardzo pragnę, żebyś był blisko mnie?

Usłyszała, jak głęboko wciąga powietrze. W jego oczach zapalił się płomień pożądania.

I już był przy niej. Łóżko ugięło się pod nim, kiedy wziął ją w ramiona i przyciągnął do siebie. Oddech miał szybki i unwany, wtulił twarz w zgięcie pomiędzy jej ramieniem i szyją.

Jakże narkotycznie działał na nią męski zapach jego wilgotnej skóry! Przeciagnęła pieszczotliwie palcami po napiętych mięśniach karku i ramion, a potem czule i łagodnie położyła dłonie na szerokiej klatce piersiowej. Pod palcami czuła mocne uderzenia serca. Słyszała, jak szybko oddycha, jak z wysiłkiem stara się nad sobą zapanować.

- Doprowadzasz mnie do szaleństwa! Próbowałem trzymać się od ciebie z daleka, ale nie potrafiłem myśleć o niczym innym, tylko o tobie. O tym, jaka jesteś, kiedy się ciebie dotyka... i kiedy ty mnie dotykasz. I o tym, jak strasznie pragnę znów poczuć na ustach smak twoich ust... smak ciebie całej.

Te słowa wystarczyły, żeby zaczęła drzeć, a potem dygotać pod ciężarem jego potężnego ciała. Obnażone piersi Corey rozgniałał wilgotny, muskularny tors Asha. Próbowała się trochę spod niego wydobyć, ale on nie wypuszczał jej z objęć.

- Chcę cię całować - szeptał. Gorącymi wargami odszukał jej usta i wpił się w nie z nieomal okrutną namiętnością. Ramiona Asha obejmowały ją z taką siłą, że ledwie mogła oddychać. Przypominał wygłodzonego człowieka, który chce się nią natychmiast nasycić.



Poczuła język wciskający się głęboko w usta i napotykaający jej język, który wyszedł mu na spotkanie. Dotykały się i owijały wokół siebie, wyczuwając wzajemną gotowość do erotycznych zmagania.

Nie przestawał jej obejmować i całować, jedną ręką sięgając ku jej piersiom. Szorstką skórą otwartej dłoni przeciągnął po czubku naprężonej sutki. A Corey znów poczuła ogarniające ją szaleństwo. Odruchowo wygięła się w łuk, podając jakby unosząc się pierś w jego otwartą dłoń. Ash powoli i leniwie pieścił nabrzmiewające różowe sutki aż do ich pełnej erekcji. Potem wolno przesunął palce po łagodnych krągłościach w dół, po śladzie ledwie widocznej, drobnutkiej kropelki potu i dalej, wzdłuż istniejącej już tylko w wyobraźni linii.

A Corey topniała z rozkoszy.

Ash sięgnął po wciąż okrywające jej nogi prześcieradło i ściągnął je z niej jednym ruchem. Sam pozostawał jeszcze w dżinsach, Corey czuła ich szorstką tkaninę na swym zgiętym kolanie. Jej druga noga spoczywała teraz na samej krawędzi łóżka.

Znów zaczęła ją całować. Corey przylgnęła do niego i jęknęła cicho i słodko. Potem przesunęła wargi ku jego szyi i niżej, aż do piersi. Na skroni czuła szorstkie dotknięcie zarośniętego już policzka.

Ogarnęły ją płomienie.

Dłoń Asha przesunęła się w dół i zaczęła pieścić pokryty jedwabistą kępką włosów wzgórek łonowy. To sprawiło, że spalający ją płomień rozjarzył się niemal do białości, a pożądanie zdawało się przekraczać wszelkie granice.

- Dotykaj mnie - prosiła zduszonym głosem, a jej paznokcie wpiły się głęboko w mięśnie męskiego ramienia.

- Nie przestaję cię dotykać - odpowiedział z uśmiechem. Corey chciała odpowiedzieć mu też uśmiechem, ale nagle zabrakło jej tchu. Ash znowu dotykał miejsca, gdzie zbiegały się jej uda. Długie palce głaskały delikatnie skupione wokół wzgórka miękkie kędzioły. Mierzwiły je, rozczesywały, rozsuwały, wnikały w głąb - a Corey za każdym kolejnym dotknięciem zapadała wciąż głębiej w otchłań szaleństwa, pragnienia narastającego i nie zaspokojonego.

- Tak jak ostatniej nocy. Pieść mnie tak jak ostatniej nocy... - Głos Corey był niewyraźny, zduszony dławiącym ją pożądaniem.

- Będę cię dotykał... Wszędzie.. - obiecał Ash, którego głos był teraz

bardziej ochryply niż zwykle. Pochylił się nad nią i mocno wpił się w rozchylone usta.

Potem zaczął całować jej brodę i szyję. Zatrzymał się na chwilę, żeby wilgotnym czubkiem języka odszukać bijący szybko puls. A potem usta zaczęły się przesuwac w dół, w ślad za ręką. Poczula pieśczoć jego włosów w miejscu, gdzie serce zdawało się uderzac najmocniej. Ash po kolei brał w usta sutki i całował je... ssał. Corey czula, że jej całe ciało nagle pokrywa się cienką warstwą potu. I czula też, jak gorące i wilgotne robia się nagle wszystkie zakątki jej ciała, dotykane ustami Asha.

Potem cal po calu przesuwal się coraz niżej. Położył dłonie na jej biodra i zaczął całować najpierw jej pępek, a potem płaski, łagodnie zaokrąglony brzusek.

Corey miała wrażenie, że przed oczami zaczynają tańczyć skrzące się ogniki. Pulsujący wewnątrz skurcz był niemal nie do zniesienia. Czula miejsce u szczytu swych ud, czula, że jest gorące i wilgotne od pożądanía. Wreszcie jego palce znalazły się i tam. Dotykały jej najtajniejszych zakamarków, jakby sprawdzając siłę jej pragnienia. Corey jęknęła i niewolniczo poddała się pieśczoć jego ręki. Przymknęła oczy, odchyliła głowę do tyłu, a oddech stał się spazmatyczny, urwany...

- Za szybko - usłyszała jego szept. - Wszystko stanie się za szybko...  
- Wciąż oszołomiona zdała sobie sprawę, że jego dłoń odsunęła się od miejsca, w którym była jeszcze przed chwila.

- Błagam cię, Ash. Proszę cię... - W jej głosie brzmiał wyrzut i rozczarowanie. Oblizała spierzchnięte wargi, na których pozostał jeszcze słony ślad, smak jego skóry. - Chcę ciebie, Ash. Pragnę cię.

- Cii... - szepnął uspokajająco i pogłaskał ją po policzku. Potem ułożył ją na wznak. Corey rozgrzaną skórą nagich pleców poczuła chłodną tkaninę prześcieradła. Jego mocne dłonie ujęły jej biodra, a on sam pochylił się nad ugiętymi w kolanach nogami i zaczął je rozchylać. Była półprzytomna z podniecenia, ale kiedy poczuła gorący oddech między swymi rozwartymi udami, wprost zamarła.

- Ash - wyszeptała. Sama nie rozpoznawała brzmienia własnego, zduszonego głosu. - Co chcesz zrobić?

- Chcę cię dotykać. Muszę cię teraz tam dotknąć... ustami.

- Ale, Ash...

Nie powinien tego robić. Nie, po prostu nie może robić czegoś takiego. Corey spróbowała zewrzeć kolana, ale to spowodowało, że usta Asha znalazły się jeszcze bliżej miejsca, które na próżno usiłowała ochronić.

- Lilijko, nie bój się. Otwórz się. Dla mnie.

Jego urywany oddech zdradzał, jak bardzo jej pożąda. - Jeżeli ci to nie będzie smakować, przestanę. Obiecuję ci.

Corey poczuła lekkie dotknięcie kosmyków rozwichrzonych włosów tuż nad swoim łonem. Ash przesunął dłonie z jej- bioder na uda, głaskał je i pieścił, a potem znów łagodnie spróbował je rozchylić. - Pozwól mi, bardzo cię proszę...

Poczuła pierwsze dotknięcie jego warg i natychmiast tłący się w niej żar buchnął wielkim płomieniem. Nie była już w stanie myśleć, w głowie jej huczało, a pulsująca krew zdawała się zmieniać w płonący alkohol.

Gdzieś z daleka, ponad rozległą przestrzenią jej nagiego ciała, dobiegały do niej jego słowa: - Jesteś wspaniała, cudowna! - mówił urywanym głosem Ash. - Czy chcesz, żebym przestał? Chcesz, żebym teraz przestał?

Długie palce pieściły aksamitną skórę po wewnętrznej stronie ud. A potem przesunęły się w głąb i niżej, by chwycić jej kragłe i sprężyste pośladki. I znów wróciły tam, gdzie były przedtem.

To wszystko doprowadzało ją niemal do szaleństwa. Nie była w stanie myśleć, miała wrażenie, że nie potrafiłaby wypowiedzieć nawet najprostszego zdania. Tylko całą sobą czuła... jak jego palce dotykają wilgotnych fałdów jej ciała w rym najczulszym miejscu i rozchylają je delikatnie, niczym płatki kwiatu.

- Powiedz mi... jeżeli chcesz, żebym przestał...

Jej głos był równie zduszony i urywany. - Nie... Zostań...

Usłyszała ciche, pełne satysfakcji mruknięcie. A potem jego gorące, kochające usta znów przytuliły się do wilgotnego wnętrza i znów zaczęły ją pieścić, powoli i pozornie leniwie. Ash na przemian ssał i całował gorące od przekrwienia fałdy, a Corey jęczała i oddychała głośno, skręcając się pod nim i poruszając głową w prawo i w lewo w nieprzytomnej ekstazie. Ash końcem języka odszukał i pieścił teraz ukryty u samej góry drobny, pulsujący rozkoszą pączek. Każde dotknięcie, każde kółeczko zatoczone tam koniuszkiem języka sprawiało, że przez ciało Corey przebiegał płomień. Między udami czuła kolejne skurcze, napływające jak fale.

Teraz już obie ręce wpiła w jego wilgotne, rozwichrzone włosy, a cała sylwetka przeżyła się pod kolejnymi dotknięciami jego ust i języka. Nie zdawała sobie sprawy, że jej kolana obejmują jego głowę, choć delikatną skórą wewnętrznej strony ud wyczuwała szorstkość nie ogolonych policzków i brody.

Ash wsunął dłonie pod jej pośladki i uniósł je ponad pościelą, tak że Corey znów wygięła się w łuk. Teraz jego gorące usta były dokładnie na wprost tego ukrytego w wilgotnych fałdach rozpalonego ciała najtajniejszego i najczulszego paczuszka. I znów czubek jego języka zaczął go dotykać i drażnić, i była to najsłodsza tortura. Niegodziwa, nieprzyzwoita i najcudowniejsza z możliwych tortura.

Dygotała jak w febrze. Najpierw były to tylko drobne, krótkotrwałe fale dreszczy, ale potem zaczęły olbrzymieć, jak rosnąca w niej i nie dająca się już opanować namiętność. Drżenie za drżeniem przebiegało przez jej drobne ciało. W zamkniętych oczach raz za razem pojawiały się błyskawice.

- Ash... Och, Ash.

Poczuła, jak na chwilę odsuwa się od niej. Kręciło jej się w głowie, z trudem docierało do świadomości to, co działo się wokół niej. Usłyszała zgrzyt rozsuwanego zamka błyskawicznego i szelest pospiesznie ściąganych dzinsów.

- Ash, weź mnie, weź mnie!

Ash już znów był przy niej i obejmował ją ramionami. - Corey, najmiłsza... - szeptał, a ona czuła tuż przy swojej szyi jego gorący oddech. Potem poczuła jeszcze, że odgarnia wilgotne pasemka włosów, które opadły jej na czoło, i całuje jej oczy, rzęsy, brwi.

Przyciągnął ją ku sobie i przytulił całą mocą do muskularnej klatki piersiowej. Ich wilgotne od potu ciała wtuliły się w siebie jeszcze bardziej zmysłowo i erotycznie. Jego naprężony członek wniknął w nią niemal natychmiast. Corey westchnęła słodko, a Ash cornął się jak daleko mógł, żeby potem znowu zanurzyć się w niej, tym razem głębiej. Corey uniosła ręce i objęła Asha, żeby wciągnąć go w siebie mocniej. Za każdym jego ruchem wyginała biodra do góry i podawała mu się cała, wychodząc mu na spotkanie. I znowu, i znowu. Coraz szybciej i głębiej. Nagle przylgnęła do niego tak, jakby próbowała ratować się przed utonięciem, dygocąc i wspinając się po olbrzymiejących falach rozkoszy, żeby dojść do szczytu ekstazy. Jej pulsujące

łono coraz ciasniej obejmowało jego twardą, naprężoną męskość. Pod powiekami zaczęły im błyskać i wirować niezliczone zapalające się i gasnące błyskawice. Wreszcie poddali się temu spalającemu ich żarowi i poczuli, że oto dotarli do spełnienia.

Dużo później Corey leżała z policzkiem opartym o jego szeroką pierś, od czasu do czasu dotykając palcami gładkiej blizny na opalonej skórze, i wsłuchiwała się w bijące niemal wprost pod jej uchem serce. Spokojny, miarowy rytm uspokajał ją cudownie. Nie pamiętała, żeby kiedykolwiek w życiu czuła się tak spokojona i bezpieczna.

Dawna Corey w tym momencie już znów popadłaby w różne rozmyślania i czułaby się co najmniej zawstydzona i zakłopotana. Ale nowa Corey ani myślała tracić na to czas. Zwłaszcza teraz, kiedy tego czasu zostało im już tak niewiele.

Nie była aż tak naiwna, by sądzić, że to, co właśnie im się przydarzyło, jest czymś powszechnym, że to poczucie spełnienia zna większość ludzi. Wiedziała, że tak nie jest. Najbardziej jednak zadziwiła ją jej własna reakcja. Nie podejrzewała, że mogą tkwić w niej takie pokłady namiętności. Nie wiedziała, dopóki nie poznała Asha.

W nim też zaszła pewna zmiana. Choć starał się być równie delikatny, jak za pierwszym razem, Corey wyczuwała w nim pewną desperację, rozpaczliwą próbę uchwycenia i zachowania czegoś... nawet poprzez to fizyczne uprawianie miłości. Zastanawiała się, czy on czuje to samo - że czas im ucieka i że jest go coraz mniej.

Coś uderzyło w siatkę założoną na okno. Owad z gatunku robaczków świętojańskich, ale wielkości chrabąszcza, uczepił się oczek zielonej siatki. Jego świecący odwłok zapalał się i gasł, rzucając dziwaczne cienie.

- Popatrz na tego świecącego owada. Coś niesamowitego - powiedziała zduszonym szeptem. Pełna zadziwienia, niedowierzająco kręciła głową.

Ash pocałował ją w czubek głowy. - Tubylcy noszą je ze sobą w specjalnych klatkach, które wycinają z orzechów palmowych. Kiedy po raz pierwszy zobaczyłem grupkę Indian, idących nocą przez dżunglę i przyświecających sobie takimi robaczkami świętojańskimi, służącymi im za latarnie - pomyślałem, że chyba wkroczyłem w zaczarowaną mysią dziurę i wylądowałem w Krainie Środka Ziemi.

Przez cały czas swą szorstką, ale i delikatną ręką głaskał jej włosy, ramiona i plecy. Corey czuła się ukołyszana, uspokojona i odrobinę senna.

- A powiedzieć ci coś naprawdę niezwykłego? Otóż te latające robaczki świętojańskie można oswoić. Widywałem tubylców, którzy wędrowali sobie przez dżunglę, a owady siedziały im na barkach i na ramionach, jak zwierzęta domowe.

Po raz kolejny Amazonia okazywała się nie tylko krainą niezwykłych niebezpieczeństw, ale i zaczarowaną krainą dziwów. Były w niej same skrajności, bez stanów pośrednich. Podobnie jak u Asha.

- Jak w bajce - szepnęła Corey.

- Tak, czasami bywa tu jak w bajce - zgodził się Ash. W jego głosie było tyle uczucia, że Corey mimo woli zastanowiła się, czy oboje myślą o tym samym.

- Żałuję, że samolot był niesprawny. - Ash przesunął się wyżej i teraz nie ogolonym podbródkiem dotykał czubka jej głowy. - Pokazałbym ci rzeczy naprawdę czarodziejskie. Nie ma nic piękniejszego niż nocny lot nad Amazonką przy pełni księżyca. Wszystkie dopływy świecą niczym nitki płynnego srebra. To wspaniałe... a jednocześnie to uczy nas pokory.

Corey przekreśliła się na brzuch i uniosła głowę, by spojrzeć na Asha. Jej twarz była teraz niżej, tuż obok jego piersi. Po raz pierwszy przyznał, że nad Amazonką są i takie rzeczy, które mu odpowiadają, a nawet zachwycają. Więc nie była to dla niego tylko brudna tropikalna dziura... i okrutna puszcza, która zabrała mu brata. Znajdował tu coś więcej.

- Latasz nocą? A nie jest to zbyt ryzykowne?

- Ale warto tego ryzyka. Kiedy się leci niemal pod samymi gwiazdami, a cały świat jest w dole - uczucie jest z niczym nieporównywalne. A poza tym... zawsze jest jakaś nikła szansa, że nagle się zobaczy, jak nadchodzi *powrócą*.

- *Pororocal*

- To tyle, co ściana wodna, czy trąba wodna. Jest taka legenda wśród ludów Amazonii o niezwykłej, gigantycznej fali. Ta fala ma jakoby czasami nadchodzić wraz z przypływem morza. Opowiadał raz o tym szyper statku „Nina”, jednego z żaglowców Kolumba. Załoga podobno zobaczyła olbrzymią ścianę wody, właśnie w momencie gdy statek przekraczał równik. Podejrzewam, że sakramencko się wtedy wystraszyli. I natychmiast stali się bardzo cnotliwi i religijni.

- A ty sam tego nie widziałeś?

- Nie. Prawdę mówiąc - Ash zniżył głos - nie ma żadnych dowodów, że taki fenomen naprawdę występuje. To może być tylko legenda, podobna do tych, jakie opowiada się o mieście złota, Eldorado. Niemniej, w czasie pełni, kiedy zaczyna się przypływ, czasami wsiałam do samolotu i oglądałam to z góry. Bo to w każdym razie cudowny i niesamowity widok.

Corey wyczuwała nieklamany zachwyt w tym, co mówił. Starła się oddychać równo i spokojnie, żeby nie zauważył jej wzruszenia. A mogłoby się tak stać, gdyby nie opanowała ogarniającej ją już teraz tęsknoty i żalu. Co jeszcze w nim odkryje, by go tym bardziej kochać? A o ilu cudownych rysach charakteru w ogóle się nie dowie?

Ash Adams potrafił lecieć w niebo i ścigać księżyc...

Jej życie nigdy już nie będzie takie jak przedtem. A sprawił to ten właśnie mężczyzna. Trzeba będzie wielu lat, żeby przejść nad rym do porządku dziennego... żeby o nim zapomnieć. Zapewne zajmie jej to całe przyszłe życie. A może całą wieczność.

Wiedziała też, że nigdy już nie zostanie żoną Todda. Będzie kiedyś piekła kruche ciasteczka dla dzieci, ale cudzych dzieci... nie własnych. Sama nie będzie miała dzieci. Nie będzie nikogo, z kim dzieliłaby dom z ogrodem i wielką białą werandą.

Ale przynajmniej będzie miała wspomnienie tej nocy. Najcenniejszą pamiątkę, przechowywaną głęboko w sercu. To wspomnienie też trzeba będzie przesycać lawendą, pieczołowicie złożyć we czworo i wcisnąć między inne pamiątki, w rodzaju tej ozdobnej chusteczki, wyszywanej kiedyś z taką miłością.

Przez wszystkie następne lata, kiedy tylko zaczną się gorące, letnie noce ze śpiewającym od zmroku chórem świerszczy, i świty, kiedy to krople rosy zaczynają się perlić na świeżo skoszonym trawniku - ona będzie tu wracać. W swych myślach będzie tu znowu z nim. Z Ashem.

Z wielką czułością przeciągnęła palcami po bliźnie na jego piersi. Chciała dowiedzieć się o nim jak najwięcej, chciała wiedzieć wszystko. - W jaki sposób się tego dorobiłeś?

Ash uniósł głowę nad poduszką i spojrział na nią. W jego oczach zaślniła znajoma kpiąca iskierka. - A uwierzysz, jeżeli ci powiem, że w pojedynku?

- Daj spokój.

- No a gdyby tak w wypadku rowerowym?

- To już prędej. Ale chyba motocyklowym, nie rowerowym?  
- Właśnie że rowerowym. Rower miał dwa koła, tylko jeden bieg i mamy hamulec w tylnej piaście.  
- Oszukujesz mnie.  
- To szczerą prawdą. Przysięgam.  
- A ja byłam pewna, że zarobiłeś to w jakiejś awanturze w knajpie.  
- W życiu nie uczestniczyłem w żadnej awanturze w knajpie.  
- Kłamca - roześmiała się Corey.  
- W każdym razie żadnej nie pamiętam.  
- No, to już bardziej uczciwie powiedziane - rzekła i nagle przycisnęła wargi do blizny, u samego jej początku, po lewej stronie mostka. Ash wstrzymał oddech, a Corey poczuła, jak mięśnie brzucha napięły się pod jej palcami.

- Co robisz?

- Całuję cię - powiedziała Corey.

Miała najpiękniejszą skórę świata. Mężczyźni nie powinni mieć aż tak gładkiej i aksamitnej skóry, to powinno być zabronione.

- Tylko cię całuję - powtórzyła i pocałowała go teraz niżej. A jego mięśnie naprężyły się jeszcze bardziej. - Czy chcesz, żebym przestała?  
- zapytała, świadoma, że nie tak dawno on ją pytał o to samo. No, niemal o to samo.

- Nie - wyszeptał Ash zduszonym głosem. - Nie, bardzo cię proszę. Całuj mnie dalej.

Później, nawet znacznie później, Ash spojrzał na nią i zapytał: - Powiedz mi... kiedy na przykład rano myjesz zęby, to czy robisz to przed śniadaniem, czy po?

- I przed, i po.

- No tak - mruknął Ash. - Można się było tego spodziewać. Założę się, że dodatkowo używasz jeszcze i zalecanej przez stomatologów nici dentystycznej. A jakim samochodem jeździsz? Poczekaj, mech zgadnę. Volkswagenem?

- Nie, Toyota.

- Niewielka różnica, prawda?



Corey pochyliła twarz tak nisko, że jej długie rzęsy niemal omiatały lśniąca skórę na jego piersiach. Lubiła zapach tej skóry. I lubiła jej dotykać.

- A ja przez dłuższy czas jeździłem Chewoiletem, model pięćdziesiąt siedem - powiedział w zamyśleniu Ash. Jego dłoń przez cały czas delikatnie głaskała jej głowę, szyję i kark. Palec wskazujący zdawał się nieustannie rysować na jej skórze esy floresy i sprawiało jej to niezwykłą przyjemność, choć czuła się przy tym coraz bardziej senna.

- Potężny niebieski wóz, metalik. Dwie rury.wydechowe, turbodoładowanie, bajery. Niesamowity szpan! - westchnął z pewnym żalem. - To był naprawdę kawał samochodu. No i sprzedałem go, żeby wpłacić pierwszą ratę na mały sportowy samolot Cessna. A nie miałem pojęcia o lataniu,

- Kupiłeś samolot, chociaż nie umiałeś latać?

Ash roześmiał się. - Tak. Skasowałem tę Cessnę w niecały rok później. Rozbiłem się na polu fasoli takiego jednego faceta. Żebyś ty widziała jego minę! Był przekonany, że przyleciałem z firmy, w której zamówił opryskiwanie. Zmienił zdanie dopiero wtedy, gdy mu skosiłem pół zagonu i wyorałem drugie tyle rowu... kiedy już walnąłem kadłubem w ziemię. Biedna Cessna.

Opowiadał o tym mniej więcej tak, jak ktoś mówi, że uderzył się w palec u nogi. Wolałaby, żeby nie był aż tak nieostrożny. Bała się takiej lekkomyślności.

Ash milczał przez chwilę, a potem zapytał: - Czy ty...? - Corey poczuła, że jego palce, wciąż głaszcząc jej szyję, nagle się zatrzymały. - Czy ty mieszkasz z tym... jak mu tam?

- Nie. Przez jakiś czas wynajmowałam dla siebie mieszkanie. Ale teraz mieszkam z rodzicami, w tym samym domu, w którym się urodziłam.

Napięte palce rozluźniły się i znów zaczęły ją masować. - Masz braci albo siostry?

- Nie. Jestem jedynaczką.

- Która zawsze musi postawić na swoim?

Corey uśmiechnęła się. - Zawsze.

- Modelowe niezdolne dziecko, co to rzuca się na podłogę i wierzga nogami, jeśli mu się sprzeciwić? Albo celowo wstrzymuje oddech, dopóki zupełnie nie zsinieje?

- Wyjątkowo celny i wierny portret - roześmiała się Corey.

- Taak? No i kto tu kłamie? Przecież ty w życiu nie zrobiłaś żadnej awantury, nawet jako dziecko. Głowę daję.

Zmienił pozycję tak, że Corey znalazła się na plecach, a on nad nią.  
- Sprawdźmy jeszcze parę rzeczy. Założę się, że to ty zawsze dyrygowałaś dziewczynami dopingującymi drużynę podczas meczów koszykówki?

Corey czuła, że pojawia się już znów znajome mrowienie. Nie mogło być inaczej, skoro ponownie stykali się ze sobą od piersi aż po kolana. - A ja założę się, że byłeś w klasie największym rozrabiakią i wesołkiem.

- Zgadłaś. Ty, oczywiście, byłaś królową szkolnych balów?

- Skąd wiesz?

- I przewodniczącą Klubu Francuskiego?

Corey zawahała się, ale w końcu przyznała uczciwie. - Byłam wiceprzewodniczącą Klubu Hiszpańskiego.

- Popatrz, jak dobrze mi idzie. Założę się też, że jako dziecko nosiłaś klamerki na zębach.

- Mmmm - mruknęła Corey i kiwnęła głową.

W oczach Asha zapaliły się kpiące ogniki. - I założę się, że od dziecka byłaś sprytna jak sroka.

Sprytna jak sroka. To porównanie nie całkiem pasowało do jego normalnego języka. O wiele bardziej pasowało do dziadków, którzy kiedyś tak ją właśnie nazywali. To nagłe przypomnienie dziadków wzruszyło ją prawdziwie.

Ash pochylił głowę i pocałował w rozmarzone oczy i usta. Potem znów wsparł się na łokciach i odsunął nieco twarz, by tym lepiej móc się jej przyglądać. Kpiące iskierki w oczach gdzieś znikły. Teraz widziała w nich coś innego, czego do końca nie potrafiła rozszyfrować. Czuła tylko, że w tym właśnie momencie znów może na chwilę zajrzeć w najgłębsze zakamarki jego duszy, dostrzec i przeczuć różne niewesołe myśli. Martwiła się o niego i zastanawiała się, co też mogło spowodować taką nagłą zmianę nastroju.

Przymknęła na chwilę oczy, a kiedy ponownie je otworzyła, Ash już znowu się uśmiechał. Wyraz jego uwodzicielskich oczu wskazywał niedwuznacznie, że chce ją całować i, jak zawsze, zamierza bardzo się do tego przyłożyć. A więc może to, co chwilę wcześniej dostrzegała w jego oczach, było tylko złudzeniem. Może omamiło ją światło księżycy, kładące na tych oczach cienie, których tam nie było.

Ash znów ją całował i tego wystarczyło, by zapomniiała o wszystkim, by myślała już tylko o tym, co czuje. A czuła przede wszystkim jego ciało tuż przy swoim...

Ash leżał wsparty na łokciu, z podbródkiem na odgiętej dłoni i przyglądał się śpiącej Corey. Leżała na brzuchu, z twarzą zwróconą w jego stronę. Jedną jej dłoń uchwyciła się krawędzi poduszki. Jasna skóra wydawała się teraz zaróżowiona, wargi były czerwone i nabrzmięte od pocałunków, a rzęsy jak zawsze rzucały cień aż na policzki. Oddech był tak cichy i spokojny, że niemal niesłyszalny.

Ash ponownie miał w sobie to niejasne poczucie czegoś niedobrego, które od czasu do czasu go nachodziło. Czuł niemal fizyczny ból, jakiś ciężar przygniatający klatkę piersiową i utrudniający oddychanie. Z irracjonalną trwogą uświadomił sobie, jak bardzo ten ból jest podobny do tego, który poczuł, kiedy dowiedział się, że Lukę zaginał w džungli.

Teraz już wiedział, co jest powodem tego stanu - i to wstrząsnęło nim tak, jak fala uderzeniowa wstrząsa samolotem, który próbuje przekroczyć szybkość dźwięku. Niespodziewanie dla siebie zrozumiał - i przeraził się tym - że może się zakochać. Zakochać się w niej na śmierć i życie.

Odwrócił się na plecy i bezmyślnie wpatrywał w zawiły rysunek słoików na deskach sufitu. A więc mógł się zakochać. To odkrycie poruszyło go głęboko. Dlaczego właśnie on, i dlaczego właśnie w niej? Dlaczego w niej?

Nigdy dotąd nie zaangażował się na serio w żaden romans. Kiedy był nastolatkiem, lubił błyskać białymi jak u wilka zębami w stronę dziewczyn, zwłaszcza ładnych i dobrze wychowanych, bo sprawiało mu przyjemność, kiedy czerwieniły się i w zmieszaniu uciekały. Oczywiście były też dziewczyny bardziej uświadomione, które same potrafiły mu zaproponować niejedno i to on wtedy czasami się czerwienił. Dzięki nim poznał podstawowe prawa, rządzące podażą i popytem na tym polu. Bardzo szybko nauczył się, że „przyzwoite” dziewczyny trzeba obchodzić z daleka - więcej było z nimi zacho-  
dów i kłopotów, niż było to warte. I tej zasady zawsze się w swym życiu trzymał - póki nie poznał Corey.

Doprawdy, mógłby się z tego wszystkiego śmiać, gdyby nie było to takie dotkliwe i bolesne. Oto więc byli obok siebie - on, z duszą tak czarną, że

w ciemności nocy nie wychwyciłyby jej chyba nawet sonary tropikalnych nietoperzy, i ona, ta czysta, biała Lilijka. A przecież taka osoba jak ona nigdy nie mogłaby pokochać takiego oberwańca jak on. Wiedział o tym dobrze. I to właśnie tak sakramencko mu teraz doskwierało.

Nie za bardzo zdawał sobie sprawę, jak długo leżał i rozmyślał. Serce z jakiegoś powodu zaczęło mu bić nerwowo i nieregularnie, skórę pokryła cieniutka warstewka potu. Był przerażony. Nie pamiętał już, kiedy przedtem bał się aż tak bardzo.

Powinien natychmiast stąd wyjść. Zanim zrobi coś zupełnie szalonego. W rodzaju błagania jej, żeby została.

Wkrótce powinno zacząć świtać. Gdyby część drogi przebył biegiem, mógłby dotrzeć do samolotu w trzy, cztery godziny. Nie więcej niż drugie tyle wystarczyłoby, żeby Corey znalazła się już w drodze do siebie. Do Stanów, do tego swojego miasteczka, gdzie było jej miejsce.

Podniósł się ostrożnie, całą siłą woli zakazując sobie pocałowania jej na pożegnanie. Nie mógł ryzykować jej obudzenia. Bo gdyby teraz popatrzyła na niego, przepadłby na amen. Zaraz znalazłby jakiś pretekst, żeby jeszcze tu została, na jeden dzień... a potem może jeszcze na jeden... Nie, nie było innego sposobu, tylko iść stąd natychmiast, póki jeszcze mógł się na to zdobyć. W końcu panowanie nad sobą nigdy nie było jego mocną stroną, pomyślał z gorzką autoironią.

Ostrożnie zamknął za sobą drzwi i przeszedł do pokoju. Wrzucił kilka rzeczy do plecaka, nakazał psu zostać na miejscu i bladym świtem ruszył w okrywającą się poranną rosą dżunglę. Nikt nie towarzyszył mu w tej drodze, chyba że za towarzysza uznać to dojmujące poczucie, że *jednak stało* się coś złego. I ten niepokój i ból, który przygniatał klatkę piersiową i ścisnął mu boleśnie gardło.

## *Rozdział dziewiętnasty*

Nim zdążyła otworzyć oczy, już wiedziała, że Ash sobie poszedł. Wyczuła to. Wyczuła jego nieobecność - podobne uczucie miewa się czasami w pustej sali koncertowej, kiedy już nie brzmi w niej muzyka i wszyscy ludzie wyszli.

Ona też wkrótce będzie musiała stąd wyjść. Wyjechać. Nim miną dwadzieścia cztery godziny, powinna już być w domu.

Leżała nieruchomo i przyglądała się poczerniałym belkom i deskom sufitu. Pierwszy raz w życiu zdarzyło się jej robić coś bez namysłu i bez zastanawiania się nad tym, co będzie jutro i jakie mogą być skutki jej postępowania. Aż do tej chwili myślała tylko o jednym - być z Ashem. Dotykać go i być dotykana.

Czy dobrze wybrała? Czy też może ciężki i parny klimat Amazonii sprawił, że zatraciła zdolność jasnego rozumowania? Za dużo było znaków zapytania w tej historii. Skąd miała wiedzieć, czy postępowała słusznie? Życie było niezwykle skomplikowane i w niczym nie przypominało mapy samochodowej z precyzyjnie oznaczonymi trasami. W realnym życiu często nie sposób wiedzieć, czy jakaś droga jest dobra, dopóki się na nią nie wejdzie. A i wtedy nie zawsze można być pewnym.

Usłyszała znajome już uderzenia w drzwi werandy.

To Elwira waliła w nie twarde, drobnymi kopytkami. Trzeba było się nią zająć. Corey westchnęła, podniosła się i sięgnęła po swoje rzeczy.

- Czy ty przynajmniej zdajesz sobie sprawę, że nawet jak na kozę jesteś wyjątkowo źle wychowana? - zapytała Elwirę poprzez zieloną siatkę na oknach werandy. Nacisnęła klamkę i wyjrzała. Kozka patrzyła na nią oczami o dziwnych, prostokątnych źrenicach. Zabeczała i znów stuknęła kopytami o odrapane deski drzwi.

- Oczywiście, że zdajesz sobie z tego sprawę. W końcu takich obyczajów nauczył cię twój pan - Corey żartowała, ale gdzieś tam na dnie jej słów była i odrobina smutku.

Wydoiła kozę, nakarmiła psa i kury, a potem zeszła do rzeki, żeby się wykapać.

W dwie godziny później rzuciła walizkę na łóżko i zaczęła się pakować. Ash przykazał jej, żeby była gotowa. Będzie więc gotowa, niezależnie od tego, co naprawdę czuła. Uczucia trzeba odsunąć na bok.

Właśnie dopinała ostatni zamek walizki, kiedy usłyszała warkot silnika. Jeszcze raz obrzuciła wzrokiem mały, zagracony pokoik. Aparat fotograficzny zawiesiła na szyi, torbę na ramieniu. Wzięła walizkę i szybkim krokiem - żeby determinacja nie zdążyła osłabnąć - wyszła przed dom, by tam czekać na lądujący samolot.

Było już niemal południe i palące promienie słońca bez trudu przebijały się przez cienką tkaninę jej bluzki, czuła je nawet na skórze pod włosami. Przysłoniła oczy dłonią i przyglądała się lądowaniu samolotu. Dymiący spalonym olejem s«Mk kichnął parokrotnie i samolot zatrzymał się kilkanaście metrów od niej. Nad blachą kadłuba można było dostrzec migotliwe falowanie unoszącego się gorącego powietrza.

Corey mocniej ścisnęła w dłoni uchwyt walizki. Drzwi samolotu otworzyły się i pojawił się w nich Ash. Wyglądał na zaskoczonego, najwyraźniej nie spodziewał się, że będzie już na niego czekać.

Zamierzała zachować rezerwę i powściągliwość, ale nie było to wcale łatwe. Znowu poczuła, że coś ciągnie ją do niego z niepohamowaną siłą. Zawsze tak było, od pierwszego dnia, kiedy ujrzała go w poczekalni na lotnisku. Kiedy zdjął ciemne okulary, zobaczyła jego niezwykle oczy i poczuła, że poprzez te szare źrenice zagląda gdzieś w głąb jego mrocznej duszy. Przyciągał ją tak jak magnes żelazo albo - tak chyba właśnie było w jej przypadku - jak płomień świecy przyciąga bezradną ćmę, by opalić jej skrzydła.

Przyglądała mu się teraz na nowo. Znała już jego lepsze i gorsze strony, ale niczego to nie zmieniało. Patrzyła na niego oczami miłości, a on wyglądał tak jak zawsze. Miał na sobie cienką koszulę bez rękawów, której kolor khaki wypłowił już niemal do białości, włosy wydawały się jeszcze bardziej rozwichrzone i domagały się pilnej wizyty u fryzjera, ale cóż to mogło mieć za znaczenie? Liczyła się tylko świadomość, że go kocha.

- Już się spakowałam - powiedział Ash i na czole pojawiły mu się pionowe zmarszczki, które mogły oznaczać zdziwienie albo nagły przypływ złego humoru. Corey nie próbowała zgadywać, jak było tym razem.

Postawiła walizkę na ziemi. - Powiedziałeś, że mam być gotowa, kiedy wrócisz.

Sama nie przypuszczała, że potrafi być aż tak dobrą aktorką. Mówiła tonem uprzejmym i spokojnym. Zdobyła się też na leciutkie wzruszenie ramion, które - taką przynajmniej miała nadzieję - miało wykazać, że i ona potrafi to wszystko lekko traktować.

- Wiem, że tak powiedziałem, ale...

Zeskoczył na ziemię i zaczął iść w jej stronę. Pionowe zmarszczki na czole pogłębiły się. Podszedł do niej, zatrzymał się i znajomym gestem klepnął się po koszuli. Długie, opalone palce szybko przeszukały kieszeń.

Corey patrzyła, jak zapala papierosa, rzuca na ziemię zapałkę i zaciąga się głęboko. W jego ruchach można było zauważyć napięcie i nawet pewną nerwowość, której dotychczas u niego nie widziała.

- Nie powinieneś palić - napomniała niemal odruchowo, bez zastanowienia. *Chętnie* cofnęłaby te słowa, ale już było za późno.

Ash wydmuchał teraz dym jednym przedłużonym oddechem. Wyglądał na zaskoczony jej uwagą. Niebieskawy obłoczek utrzymywał się przez dłuższą chwilę w ciężkim, nieruchomym powietrzu, by wreszcie rozproszyć się ostatecznie po wielu sekundach. - I czemuż to, do wszystkich diabłów, nie powinienem?

Czy to możliwe, żeby rozmawiający w ten sposób ludzie mogli się zaledwie przed kilkoma godzinami kochać ze sobą? Teraz sprawiali wrażenie niemal obcych.

Corey skrzyżowała ręce na piersiach. - Nie powinieneś, bo ci szkodzi.

- Coś podobnego? - zaśmiał się Ash, choć nie wyglądał na szczególnie rozbawionego. - A ja właśnie najbardziej lubię robić rzeczy, które mi szkodzą. Gdybym zrezygnował ze wszystkiego, co mi szkodzi, nie zostałoby w ogóle nic.

- Dlaczego zawsze jesteś taki?

- Jaki?

- Dlaczego wciąż udajesz, że jesteś taki twardy i gruboskórny?

Wiedziała dlaczego. To była samoobrona, maska ochronna. Ale chciała wiedzieć, co on sam na to odpowie.

- A więc tak o mnie myślisz? - spytał i zmrużył oczy z powodu papierosowego dymu. Zaciągnął się jeszcze raz, po czym jednym pstryknięciem palca wyrzucił nie dopalonego papierosa, który, koziółkując w locie, szerokim łukiem spadł o parę metrów za nim. - No a ty oczywiście uważasz, że pod tym wszystkim - rozłożył szeroko ramiona - ukrywa się dobre serce i dusza cholernie pozytywnego bohatera, prawie że dżentelmena? Może nawet takiego jak ten twój?...

Corey nie dała się speszzyć. - Wiem, że jest w tobie znacznie więcej, niż okazujesz, choć nie chcesz, by ludzie o tym wiedzieli. Widziałam cię z Indianami i wiem, że oni ci ufają. Wiem, że potrafisz się troszczyć o innych, że potrafisz być życzliwy... - Zamilkła na chwilę, przypominając sobie, jak czuły był wobec niej, jak nieprawdopodobnie delikatny. Coś ścisnęło ją w gardle i wtedy zdała sobie sprawę, że już nie potrafi udawać obojętności i nonszalancji. - Wiem, że potrafisz być dobry i czuły.

W jego oczach na chwilę zapaliło się światełko, ale nie była w stanie odczytać jego myśli. Wiedziała tylko, że i on też wciąż jej pragnie.

Tak bardzo chciała, żeby znów wziął ją w ramiona, właśnie tak jak wtedy, kiedy po raz pierwszy przyszedł do jej pokoju. Chciała jeszcze raz przeżyć to wszystko. Poczuć w nim także i to, co wydawało się bliskie jakiegś z trudem opanowywanej desperacji - oczywiście jeżeli nie było to tylko wytworem jej własnej wyobraźni. Ale przede wszystkim chciała go po prostu całować, przed rozstaniem jeszcze raz czuć jego wargi na swoich ustach. Tymczasem on zachowywał się tak, jak gdyby byli - w najlepszym razie - przelotnymi znajomymi.

Ash zrobił krok w jej kierunku i znów się zatrzymał.

Kochał ją. To było dla niego jasne. Słońce wschodziło, a potem zachodziło, a on kochał Corey McKinney. Teraz ta myśl już nie była dla niego zaskoczeniem. Zresztą słowo „zaskoczenie” w ogóle nie za bardzo miało tu sens. To nie zaskoczenie sprawiało, że czuł teraz przygniatający go ciężar i niemal fizyczny ból.

Oczami wyobraźni widział ją na wielkiej białej werandzie jej przyszłego domu. Widział kota, wygrzewającego się na jej kolanach i otwarte okno pokoju dziecięcego, gdzie spało niemowlę. Widział cały ten spokojny i leniwy świat niedzielnego popołudnia w małym miasteczku, towarzyskie spotkania i rozmowy przy lodach z owocami, spacerujących dżentelmenów i damy



w białych rękawiczkach. Była w tym pewnie jakaś skłonność do idealizacji - może śmieszna, jeśli uwzględnić, że dotyczyło to kogoś, kto uważał się za wręcz wyjątkowego cynika - ale tak właśnie ją widział. Do takiego świata należała.

Musiała tam wracać. A on będzie się musiał przyglądać, jak odjeżdża. Mogłoby to być dużo łatwiejsze, dla nich obojga, gdyby go nienawidziła... To wcale nie było takie niemożliwe. W końcu zawsze potrafił znaleźć odpowiednie słowa, w każdej sytuacji. Można byłoby go nawet uważać za mistrza w tym względzie. Właściwie już jako dziecko w szkole zrozumiał, że słowa potrafią ranić mocniej niż kije i kamienie.

Spojrzał na Corey, na jej twarz i malujące się na niej jawne oczekiwanie. Wiedział, że spodziewa się po nim jakiejś czulszej odpowiedzi, jakiegoś odwołania się do tego, co wydarzyło się tej i poprzedniej nocy. Kąciki jego warg wygięły się w ledwie dostrzegalnym, smutnym uśmiechu. Zdawał sobie sprawę, że musi być w tym naprawdę przekonujący. Raz już próbował ostrzegać ją bardzo delikatnie, ale wtedy to nie podziałało. Przejrzała go po prostu. Powinien więc zadbać, żeby tym razem to się nie powtórzyło.

- Powiem ci tylko tyle, że gorąca z ciebie babka, zwłaszcza jak na taką białą Lilijkę. Ktoś mógłby pomyśleć, żeś nowicjuszka i w ogóle wytwornisia, a tu proszę! Znakomita cizia, w życiu nie zdarzyło mi się rznąć lepszej...

Mówił to i widział, jak Corey walczy ze sobą, jak broni się przed zrozumieniem tych jednoznacznych słów. Widział, jak ją to rani, jak niespodziewany wstrząs przekształca się w oburzenie i gniew. I postanowił doprowadzić do tego, by znenawidziła go jeszcze bardziej.

- A jakie oczy zrobi ten twój, jak mu tam... kiedy mu teraz pokażesz te wszystkie nowe sztuczki? To mu się na pewno spodoba. Bo ja na przykład najbardziej lubiłem, kiedy...

Jej dłoń uniosła się i wymierzyła mu policzek. Powinno było go zabołec, a tymczasem ledwie to poczuł. - Ty sukinsynu!

Nie potrafił ruszyć się z miejsca. Stał i wciąż patrzył na nią, niejasno tylko uświadamiając sobie falę gorąca, rozlewającą się po policzku.

Zranił ją mocno. Zrobił coś, czego nigdy nie chciał. Od pierwszej chwili, gdy tylko ją zobaczył, instynktownie pragnął ją chronić. Uważał, że wygląda na zbyt delikatną i kruchą, by jechać do dżungli, że łatwo zrobić jej krzywdę. Nigdy nie powstało mu w głowie, że to on będzie tym, który ją skrzywdzi.

Czuł się zrozpaczony, a jednocześnie wiedział, że to nic nowego dla Asha

Adamsa. Właściwie przez całe życie musiał jakby uciekać od tych, których kochał.

Corey wreszcie odezwała się. Jej głos był cichy i drżący od poczucia krzywdy, choć starała się, żeby zabrzmiał surowo. Ale i tak jej słowa zabołały go znacznie bardziej, niż najsilniejsze nawet uderzenie dłoni. - Żebyś wiedział, jak ja cię nienawidzę!

Przyglądał się łzom, które zbierały się w jej oczach i w końcu spłynęły w dół po błędnych policzkach. Nie odwrócił twarzy. Może w ramach pokuty za to, co zrobił.

- Wiem - powiedział w końcu. Postarał się, żeby te słowa zabrzmiały chłodno i obojętnie.

Chryste Panie! Nigdy nie przypuszczał, że potrafi tak grzebać nożem w otwartej ranie. - Przez cały czas usiłowałem ci to właśnie powiedzieć. Powinnaś mnie nienawidzić. Twoja matka powinna była cię zawczasu ostrzec przed takimi jak ja.

Pochylił się i sięgnął po walizkę, a potem odwrócił się i ruszył w stronę samolotu.

Pozbiera się po tym wszystkim i będzie w porządku, próbował tłumaczyć sam sobie. Jeżeli idzie o nią, wszystko będzie dobrze, jak tylko znajdzie się u siebie i wśród swoich.

No, a on?

Przecież to, co kiedyś o nim powiedziała, było prawdą. Że kiedy już się kimś przejął, to do końca i na zawsze. Po prostu taki był.

Wrzucił walizkę do pomieszczenia bagażowego. Jednego przynajmniej był pewny - nie będzie się do niej odwracać. Nie zamierzał jeszcze raz spojrzeć w jej twarz. Zdarzało mu się nierzadko spotykać oko w oko ze śmiercią i nigdy wtedy nie drpał ani się nie zawahał. Ale teraz nie znajdował w sobie dość odwagi, by spojrzeć w oczy, w których odczytałby tylko ból i poczucie krzywdy. Wiedział, że to z jego powodu.

- Niech to cholera! - mruknął i uderzył mocno pięścią w metalowe poszycie kadłuba. Nawet nie poczuł, że szorski metal otarł mu naskórek na palcach. Jak teraz jeszcze wytrzymać trzygodzinny wspólny lot do Santarem?

Nagle usłyszał warkot silnika samolotu. To ha pewno Mikę Jones. Tylko on miał tak ciężką rękę na manetce przepustnicy. A więc George wrócił, pomyślał apatycznie. Tyle że o jakieś dwa dni za późno...

Gdy tylko samolot się zatrzymał, drzwi się otworzyły i wytoczył się z nich przysadzisty, łyśawy i siwiejący, ale nad wiek ruchliwy mężczyzna. George Dupree, zawsze aktywny niczym uniwersalny generator.

- Możecie mnie wszyscy całować w pięty, jeżeli tylko macie na to ochotę - oświadczył, obciągając podejrzaną czystości podkoszulek na mocno sterującym brzuchu. - Możecie też postawić mi szampana, w pełni na to zasłużyłem! Dostaliśmy te fundusze! - Dumnym krokiem maszerował w ich stronę. Zbliżył się do stojącego nieruchomo Asha, chwycił go za ramię i potrząsnął nim, najwyraźniej zniecierpliwiony. - Słyszałeś? Mamy to! To, o co tak staraliśmy się przez ostatnie trzy lata!

Popatrzył na niego i powtórzył tonem, jakim się mówi do opóźnionego w rozwoju dziecka. - Ej, Ash, dociera coś do ciebie? Fundacja przyznała pieniądze. Mamy fundusze, jutro tu będzie Eldorado!

Ash z najwyższym trudem starał się skupić na tym, co mówił jego przyjaciel. - Tak, to wspaniale, George. Po prostu wspaniale.

George najwyraźniej nie zauważał braku entuzjazmu w głosie Asha. Poklepał go po plecach mocno i donośnie. - Żałuj, że cię tam nie było, kiedy przedstawiałem nasz projekt. Adrenalina tryskała mi uszami, poziom elokwencji absolutnie nieosiągalny dla zwykłych śmiertelników. Krótko mówiąc, moja wymową sprawiłem, że w oczach niejednego z tych starych sukinsynów błysnęła łza. Po tym, co im powiedziałem, po prostu nie mogli postąpić inaczej, tylko jednogłośnie przyznać nam fundusze. Od tej chwili już wszystko było na tak.

Ash próbował wziąć się w garść i jakoś zatuszować wrażenie, że w ogóle go nie obeszła wiadomość, na którą obaj czekali przeszło trzy lata. - A nie przyszła ci do tej łysej pały myśl, że dali ci fundusze przede wszystkim po to, żeby się wreszcie od ciebie odczepić?

George uśmiechnął się, zdjął z nosa okulary w grubej oprawie i starannie wytarł je w podkoszulek. - Fakt, że mogli już mieć mnie dosyć. Stale ich tam nachodziłem.

Corey stała trochę z boku, a George dopiero po przetarciu okularów przyjrzał się jej uważniej. - O, ktoś nowy. Czy tutejsze dziewczyny robią się z dnia na dzień coraz ładniejsze?

- Wstydzilibyś się, ty stary lubieżniku. To jest pani Corey McKinney, pracownik Pomocy Społecznej ze Stanów. Zaprosiłeś ją tutaj, jeżeli to pamiętasz.

- O Boże drogi! - wykrzyknął George z nie udanym zakłopotaniem. - Biedna dziewczyna! Bardzo przepraszam! A już zwłaszcza za to, że w rezultacie musiała tu pani być sama z tym nieokrzesanym osobnikiem. - Wskazał na Asha.

- George, posłuchaj - zaczął Ash, mając nadzieję, że sama jego mina skłoni przyjaciela, żeby zamilkł. Ale George ani myślał teraz przerywać.

- Mam nadzieję, że ten ponurak nie zadreżczył tu pani. Ogólnie biorąc, ma w sobie tyle czaru i subtelnego wdzięku, co warczący na ludzi pies chory na zaawansowaną wściekliznę.

Nikt się nie roześmiał, choć George najwyraźniej się tego spodziewał. Corey zainteresowało zupełnie co innego. - Te fundusze, o których pan wspominał - powiedziała. - Czy ja dobrze zrozumiałam, że właśnie otrzymaliście pieniądze z Fundacji?

Ashowi dość rzadko zdarzało się uciekać cichaczem, w tym momencie pomyślał jednak, że nie za bardzo chciałby być świadkiem tego, jak George będzie jej tłumaczył, że przyjechała do Brazylii właściwie zupełnie bez potrzeby. Jako że dzięki pomocy Fundacji Indian Brazylijskich teraz już będą mieli pieniądze na wszystko, czego tu potrzebowali.

- Muszę poszukać zapałek - powiedział i ruszył w stronę domu. Czuł na plecach spojrzenia ich obojga.

**W pięć minut później George wszedł do kuchni. - A więc wygląda na to,** że podczas mojej nieobecności zachowywałaś się tu jak zwykle, czyli z całym wdziękiem osobowości starego, upartego osła - powiedział sucho i zepchnął z blatu stołu skrzyżowane nogi Asha w granatowych tenisówkach.

Ash zaciągnął się głęboko papierosem i znów ułożył nogi na stole. - Tylko nie próbuj mi robić kolejnego wykładu. Z góry dziękuję.

- Dobrze, nie zapomniałem, że od początku sprzeciwiałaś się zapraszaniu tu kogokolwiek z Opieki Społecznej. Ale czy to, do cholery, musiało oznaczać, że masz być wobec niej niemiły czy nawet grubiański? Przecież to prawie dziecko. Nie mogłeś trzymać tej swojej niewyparzonej gęby zamkniętej na kłódkę, choćby tylko przez dwa dni?

- Widać nie mogłem. - Ash pochylał się i rozgniół niedopałek w popielniczkę. - A co do oceny mojego zachowania, to tu akurat jest między nami pełna zgodność. Zachowałem się jak osioł. Jesteś zadowolony?

- Nie wiem, coś ty tu nabroił, ale z całą pewnością udało ci się zrobić na niej wrażenie. Jeszcze nie widziałem nikogo, kto aż tak bardzo chciałby odjechać, byle jak najszybciej i jak najdalej. Skorzystała z pierwszej okazji...

Sens tych słów dotarł do Asha dopiero wtedy, gdy usłyszał znajome kasznięcie zapuszczanego silnika, a potem szum obracającego się śmigła.

- Poczekaj, przecież to... A to sukinsyn! - Stopy Asha w jednej chwili znalazły się na ziemi, a on sam skoczył do drzwi, omal nie przewracając George'a. Cudem tylko nie wyrwał drzwi z zawiasów.

Samolot Jonesa stał na końcu pasa startowego, zapuszczony silnik obracał śmigło, które cięło powietrze z odgłosem podobnym do jęku w coraz wyższej tonacji. Samolot ruszył i zaczął kołować.

A to kawał drania! - powtórzył w myśli Ash.

Pobiegł na ukos w stronę samolotu i dogonił go, zanim jeszcze maszyna nabrała szybkości. Skoczył na skrzydło, chwytając się zastrzałów, a pęd powietrza od śmigła sprasował mu wprost włosy, przyciskając je do czaszki. Po krótkim zmaganiu się z zatrzaśniętą klamką udało mu się otworzyć drzwi. Zajrzał do środka i odniósł wrażenie, że Corey cofnęła się na jego widok i mimo woli wtuliła w głąb fotela.

Mikę Jones popatrzył na niego rozwścieczony. - Ty zwariowany szajbusie! Co ty sobie, do cholery, wyobrazasz?

Cała kabina cuchnęła tym, czym zawsze cuchnął Jones - odorem taniej whisky i kwaśnego, zastarzałego potu. Ash powiedział sobie, że choćby się waliło i paliło, nie pozwoli, żeby Corey odleciała z tą nędzną kreaturą.

Mikę próbował dodać gazu, ale Ash jednym ruchem odtrącił jego rękę na bok i wyłączył zapłon. Śmigło gwałtownie zwolniło i zatrzymało się, a wraz z nim i samolot.

Ash przeniósł wzrok na Corey. - Wsiadaj.

- Nie! - oświadczyła Corey.

- Nigdy w życiu nie pozwolę ci lecieć z tak zaszranym pilotem jak Jones.

- Nie sądzę, żeby ci naprawdę o mnie chodziło. Jestem tylko dobrym pretekstem dla was obu, żebyście znów mieli okazję się pobić.

Ash nagle poczuł w sobie i żal, i gniew jednocześnie. - Po prostu nie chcę, żeby ci się stała jakaś krzywda, rozumiesz!?

Corey roześmiała się gorzko, a Ash pomyślał, jak niewiele czasu trzeba było, by ta gorycz się w niej pojawiła. - Jeżeli idzie o krzywdę, to ty już się

do tego przyłożyłeś wystarczająco, możesz być pewny. A teraz zostaw mnie w spokoju!

Boże kochany, teraz ona się uparła! Pochylił się i jednym ruchem odpiął zaczep jej pasa bezpieczeństwa.

Drobne dłonie Corey próbowały odepchnąć jego ręce. Potem uchwyciły się nylonowej taśmy pasa, usiłując zapiąć go z powrotem.

- Corey!... - W tym momencie powiedział sobie, że w razie czego wyciągnie ją z tej kabiny siłą.

Corey nagle opuściła ręce. Odchyliła głowę i spojrzała w górę na niego.

- Nie pójde z tobą - powiedziała obcym, wyższym niż zwykłe głosem. Wystarczyło spojrzeć w jej oczy, by widzieć, jak bardzo ją zranił i jak dalece się w tym wszystkim pogubiła. Była bliska łez.

I to wszystko przez niego. To jego wina. - Corey, ja...

Nie zdążył skończyć, bo Mike Jones nagle uderzył go pięścią, ładując w to całą swoją masę. Cios w sam środek klatki piersiowej był tak mocny, że przez chwilę Ash nie mógł złapać oddechu.

Corey krzyknęła z przerażenia. Ash zdążył wyciągnąć ręce i uchwycić się metalowej framugi, dzięki czemu nie wypadł przez otwarte drzwi.

- Słyszałeś, co ci powiedziała? - spytał szyderczo Mike. - Wynoś się z mojego samolotu, i to już! - Teraz złapał się metalowego uchwyty pod sufitem i ciężkim butem próbował kopnąć Asha w żołądek.

Ash zręcznie usunął się przed uderzeniem, chwycił Mike'a za nogi i pociągnął z taką siłą, że atakujący nagle znalazł się na ziemi.

- Zawsze biłeś się jak zasrany maminsynek - powiedział nieco zdyszany Ash i już bez trudu wsunął się z powrotem do kabiny.

Jones podniósł się chwiejnie na nogi, zamierzył się pięścią i uderzył. Ash wychwycił cios na bark i trafił prawym hakiem tak, że Mike nagle znów znalazł się w fotelu pilota.

Potrząsnął głową i podniósł rękę do nosa. Ze zgrozą przyglądał się krwi, która obficie spływała z nosa. - Ja krwawię! Ty sukinsynu, rozbiłeś mi nos!

- Idź do diabła - odrzekł zmęczonym głosem Ash. - Nic ci nie będzie.

Odwrócił się i popatrzył na Corey, która siedziała wciśnięta w fotel, skulona, z kolanami podciągniętymi aż do brody tak, jak to czasami robią dzieci. Ogromne oczy wydawały się podkrążone, na powiekach leżały głębokie cienie. Ash wyciągnął do niej rękę. - Chodź.

Corey zawahała się. Ash zdawał sobie sprawę, że mu nie ufa i waha się, co zrobić. Wyobraża sobie, co teraz czuje, zmuszona do wybierania, z którym z dwóch podejrzanych osobników ma stąd odlecieć. - Chodźmy stąd - powtórzył, tonem już znacznie łagodniejszym. - Sam cię zawiozę.

Spojrzała jeszcze na Jonesa, a potem wyciągnęła rękę do Asha, który pomógł jej stanąć na nogi. Czuł, że jej drobna dłoń drży.

- Corey, przepraszam cię. .

Najchętniej objąłby ją ramieniem, utulił i uspokoił - zapewne nie tylko ją, ale i siebie - jednakże było już na to za późno. '

- Adams! - usłyszał z tyłu za sobą.

W tym głosie było coś, co sprawiło, że się odwrócił.

Mikę wciąż siedział w fotelu pilota, a jego twarz ociekała nie tylko potem i krwią, ale przede wszystkim nienawiścią. W dłoni miał teraz rewolwer Magnum 22, którego pięciocalowa niebiesko oksydowana lufa wymierzona była prosto w klatkę piersiową Asha. Ash usłyszał jeszcze, jak Corey nagle głośno westchnęła i odruchowo przesunął się tak, żeby ją sobą zasłonić.

- Zwariowałeś, Jones? Uspokój się, do cholery, bo to może wystrzelić.

- Nie pieprz! - powiedział Mikę i palcem odciągnął kurek. Ash miał wrażenie, że ciche pstryknięcie metalu odbiło się od ścian samolotu głośnym echem.

Myśli w szaleńczym tempie przelatywały mu przez głowę. Było dość prawdopodobne, że broń w ogóle nie była naładowana. Ale nie mógł ryzykować. Nie w sytuacji, gdy Corey była tuż za nim.

- Corey, wyjdź stąd - powiedział cicho, lecz stanowczo.

- Stać! Ani kroku! - rozkazał Mikę. - Chciała lecieć ze mną i polecą z mną. A ty, Adams, wyniesiesz się stąd... - W głosie Jonesa pobrzmiwała jadowita satysfakcja.

- Ash, lepiej go zostaw - powiedziała Corey. Jej głos lekko drżał. - Polecę z nim. A ty zrób, co ci każe.

Corey była z tyłu, niemal na wprost otwartych drzwi. Wystarczyłoby, żeby zrobiła krok i wyskoczyła. Wtedy mógłby skrócić kark temu bydlakowi.

- Corey, uciekaj stąd natychmiast, do cholery - powiedział z naciskiem, doprowadzony do ostateczności. - Wyskakuj przez drzwi. Ale już!

Poczuł, że Corey zaczęła się przesuwać, ale nie mógł już odwrócić się, by to sprawdzić.

Westchnął głęboko i zwrócił się teraz do Mike'a. - A teraz odłóż broń,

Jones. No już! Sam wiesz, że nie mógłbyś zrobić nic głupszego. Pewnie, że z chęcią wpakowałbyś mi kulkę w głowę, wiem o tym doskonale. Ale ryzykujesz, że za to cię postawią przed plutonem egzekucyjnym, a na to już jesteś za wielkim tchórzem, może nie?

Oczy Mike'a ziały nienawiścią. - Nie boję się żadnego plutonu egzekucyjnego - wykrzyknął. - Tu jest Amazonia, tu prawo nie sięga. Powinieneś o tym dobrze wiedzieć. - Oblizął wargi, a potem wytarł je wierzchem dłoni. - Tu można załatwić, kogo się tylko chce. Jak cię nie znajdą, po prostu uznają, że przepadłeś w dżungli. Tak jak ten twój brat. - Mike'ę parsknął krótkim, złośliwym śmiechem. - Twój świątobliwy, dobro czyniący braciszek.

Ash ani drgnął. Dobrze znał Jonesa i wiedział, że chce go wyprowadzić z równowagi, szydząc z Luke'a. Ale trudno mu było się powstrzymać, a Mike'ę o tym wiedział i właśnie dlatego go prowokował.

- Zostaw Luke'a w spokoju, dobrze?

Jones roześmiał się szyderczo. - Aha! Przez tyle lat... przez tyle lat szukać truposza! Śmiać mi się chce, tak jak i wszystkim dookoła...

- Jeżeli nawet nie wiesz, co mówisz, to lepiej zaniknij swą głupią japo.'

- Coś ci powiem. Lukę zawsze był dla mnie dobry, zawsze... - W przekrwionych oczach Mike'a błysnęło coś jeszcze poza nienawiścią. - Ale tak, jak można być dobrym dla jakiegoś bezdomnego psa. Rzucić mu ochłap, ale trzymać go od siebie z daleka. Tak właśnie twój Lukę mnie traktował. No a jeżeli... - Na twarzy Jonesa pojawił się chytry uśmieszek. - A jeżeli ja wiem na pewno, że Lukę nie żyje, to co? Może naprawdę wiem, bo to ja go na przykład zabiłem?...

- To módl się lepiej, żeby to było kłamstwo - powiedział głucho Ash, zaciskając pięści.

- Nie masz się co martwić, przecież zabijając go oddałem mu prawdziwą przysługę. Nie można zostać świętym, póki się żyje.

Ash nie zwracał już najmniejszej uwagi na wymierzony weń rewolwer. Z wściekłym okrzykiem rzucił się na Mike'a. - Zabiję cię!

- Ash, proszę cię! Nie! - usłyszał za sobą krzyk Corey. Potem zdążył jeszcze poczuć, jak jej ręce odepchnęły go na bok, a ona sama nagle znalazła się między nim a Jonesem. W tej samej chwili rozległ się huk wystrzału, który donośnym echem odbił się od metalowych ścianek samolotu.

Corey. Chryste Panie...!



## *Rozdział dwudziesty*

Najpierw ogarnął ją eksplodujący, wszechogarniający ból. Nie było miejsca na nic innego poza tym potwornym bólem. Zacisnęła powieki, czując jak ogień rozdziera jej ramię. Ból rzucił ją na kolana, mięśnie skurczyły się i zwiotczały, aż wreszcie zrozumiała, że leży na podłodze w dziwnej pozycji na prawym boku.

Jak przez mgłę słyszała dziwny i udręczony głos Asha, wykrzykującego jej *imię*. I w tym samym momencie usłyszała nagły ryk wściekłości, z jakim rzucił się na Jonesa. W odpowiedzi rozległ się jeszcze jeden wystrzał, wręcz ogłuszający w małym i ciasnym pomieszczeniu kabiny. Wystrzał musiał być niecelny, ponieważ potem jeszcze przez jakiś czas słychać było ciężkie i głuche odgłosy ciosów pięści trafiających w czyjeś ciało.

- Adams, po...słuchaj m...mnie... O Jezu! Nie... - dobiegł ją głos Mike'a, który niespodziewanie zaczął się jękać z obłądnego przerażenia. - Ja przecież nnie... nie chciałem. Nie powinieneś być tak na mnie... - Głos Jonesa przeszedł nagle w skowyt. - Nie! Nie strzelaj!... Nie!...

To był jakiś koszmarny sen. Albo jeszcze coś gorszego.

- Ash - krzyknęła przerażona. - O Boże, nie rób tego! Nie strzelaj do niego! - Jej zduszony głos był przerywany łkaniem.

- Adams, na miłość boską, nie zabijaj mnie!

Corey łkała coraz głośniej. - Ash! proszę cię!

Wreszcie usłyszała, jak Ash głęboko wciąga powietrze do płuc. Była więc szansa, że oprzytomnieje.

- Jeżeli kiedykolwiek jeszcze wejdiesz mi w drogę - głos Asha był śmiertelnie spokojny - to po prostu cię zabiję. Zrozumiałeś?

Groźba najwyraźniej zabrzmiała przekonywająco.

Później wszystko się rozplątało. Corey zdawało się, że czas nie płynie, a faluje. A potem ktoś wypowiedział jej imię.

- Corey?...

To był głos Asha. Ale jakże inny. Pełen niepokoju, czułości i troski.

Corey nie chciało się otworzyć oczu. Miała poczucie, że jeżeli je będzie trzymała zamknięte, to może nie dopuści do siebie tego wszystkiego, co stało się na przestrzeni ostatnich godzin. I może wtedy tego wszystkiego w ogóle nie będzie.

- Corey... Pozwól, chcę obejrzeć ranę.

Poczuła dłonie, które dotykały jej barku i ramienia, pokrytego czymś wilgotnym i kleistym. Zmusiła się do otworzenia oczu. Ash klęczał obok niej z zaciśniętymi mocno ustami, co nadawało twarzy wyraz zaciętości. Corey pomyślała, że to w jakiś sposób odbija i jej uczucia - bolesny wstrząs i jednocześnie jakby niewiarę, że coś takiego w ogóle mogło się stać.

Uniosła głowę i w otepieniu patrzyła na poplamioną krwią białą bluzkę. Z postrzałem jako takim miała dotąd do czynienia raz w życiu, i to wyłącznie na przezroczach, podczas kursu pielęgniarstwa. W takich przypadkach należy przede wszystkim zatamować krwawienie i zwrócić szczególną uwagę na objawy ewentualnego krwotoku wewnętrznego... i tak dalej.

Ale jej umysł odmawiał przyjęcia do wiadomości tego, co się naprawdę stało. Nie rozumiała, że ta ciepła wilgotna strużka, spływająca wzdłuż jej boku i wsiąkająca w górną część dżinsów, to krew, jej krew.

Takie rzeczy nie zdarzają się normalnym ludziom w normalnym życiu, powtarzała w myśli.

Potem spojrzała na Asha. - Chyba jestem ranna - wyjąkała, dziwiąc się, że jej drżący głos brzmi to za głośno, to znowu za cicho. - Ja... to znaczy... Nigdy dotąd nikt do mnie nie strzelał...

Ostre linie wokół ust Asha jeszcze się pogłębiły. - Nie martw się. Wszystko będzie dobrze.

- Boli mnie.

Powiedziała to i w jego oczach nagle zobaczyła swój własny ból i przerażenie.

Czuła, jak ogarniają ją lodowate macki paniki, wkradającej się do serca.

- Strasznie się boję - zapłakała.

- Ciii... Wszystko będzie dobrze, Corey. Zobaczysz. - Jego głos znów brzmiał uspokajająco. - Zabiorę cię do Santarem moim samolotem. Jest szybszy. Zgadzasz się?

Zamrugnęła szybko powiekami i kiwnęła potakująco głową, a z jej piersi wydobyło się głębokie, drżące westchnienie. Tak, 'wszystko będzie dobrze. Ash był przy niej.

Objął ją powoli i delikatnie ramionami i podniósł do góry. Pocałował w czoło, a potem bardzo ostrożnie wyniósł na rękach z kabiny, stawiając ostrożnie nogi, kiedy schodził na skrzydło i dalej na ziemię. Mimo tej ostrożności każdy ruch wzmagął ból w udręczonym ciele Corey. Oddychała z trudem i czuła się bardzo słaba. Chyba najlepiej byłoby, gdybym po prostu zemdląła, pomyślała bez przekonania.

Trzasnęła furtka ogrodzenia i obok nich pojawił się zdyszany George. - Słyszałem strzały. Co się stało? - Spojrzał na zakrwawione ramię Corey i krzyknął: - O Boże!

- Biegnij natychmiast i rozgrzej silnik mojego samolotu - rozkazał Ash.

George ruszył, przedtem jeszcze odwrócił się i zawołał do Asha: - Ale to ty będziesz musiał pilotować. Wiesz, że dla mnie ten pas startowy jest za krótki!

Ash zaniósł Corey do samolotu i ułożył ją w pomieszczeniu bagażowym. Jak przez mgłę docierały do niej dźwięki z kabiny, gdzie George zasiadł w fotelu i pospiesznie przestawiał przełączniki. Potem dał się słyszeć zgrzyt i pokaszający dźwięk silnika, próbującego obrócić ciężkie śmigło. Po paru zwolnionych obrotach śmigło nabrało szybkości; szum stawał się coraz głośniejszy i wyższy, a wibracja chwilami przenosiła się na cały kadłub.

- Pogrzej silnik przez pięć minut, ja tymczasem zajmę się raną Corey - krzyknął Ash w stronę George'a. Dał się słyszeć niegłośny zgrzyt metalu o metal. To Ash przesunął blaszaną walizeczkę z lekami i otworzył wieko.

Kiedy leżała nieruchomo, ból nie był aż tak dotkliwy. Spojrzała na twarz pochylonego nad nią Asha. Dlaczego się aż tak przejmuje i martwi? Nie trzeba. Potem przeniosła wzrok na jego koszulę, która jeszcze niedawno była biała, a teraz lepiła się od krwi z jej rany. - Przepraszam - szepnęła. Głos jej drżał, czuła, że w każdej chwili może się rozpłakać. - Przepraszam, że masz ze mną tyle kłopotów. I że... że tak poplamiałam ci koszulę.

- Chryste Panie, Corey, co ty wygadujesz! - Jego głos też się załamywał i drżał, ale może to wynikało z wibracji silnika. - Ty przecież... Rany boskie, zasłoniłaś mnie przed kulą, która była przeznaczona dla mnie. Ty mnie jeszcze przepraszasz, a czy wiesz, jak ja się teraz czuję?

Nie wiedziała. Jak czuje się człowiek w takiej sytuacji? Czuje się winny?

Czy przede wszystkim zobowiązany? Czy może przerażony tym, że teraz będzie czuł się w obowiązku trwać przy niej aż do splącenia dłup?

Ash pochylił się nad nią i rozpiął jej bluzkę. Brwi nad pełnymi skupienia szarymi oczami miał ściągnięte, a jego zacisnięte wargi wydawały się niemal białe.

Ich spojrzenia znów się na chwilę spotkały. Rozpoznawała wyraz bólu w jego oczach. Czuł się winny.

- Miałaś kiedyś ranę od kuli? - z pewnym zaskoczeniem usłyszała własny głos, który był cichy niczym szept. Oddychała szybko i płytko.

Ash nie odwrócił oczu, wciąż całą uwagę skupił na jej ramieniu. - Mnóstwo razy - powiedział jakby w roztargnieniu.

To nie mogła być prawda, przecież znała jego ciało. Nie było tam żadnych blizn pozostawionych przez kule.

- Kłamca! - odparła i natychmiast syknęła, ponieważ w tym właśnie momencie Ash położył opatrunek z wyjąłowanej gazy prosto na ranę.

- Przepraszam cię. Będę to musiał jeszcze mocniej docisnąć. Trochę będzie bolało.

Oczyrna wyobraźni Corey widziała już kulę, która ugrzęzła między poszarpanymi tkankami mięśni i strzaskaną kością. A na kursie uczono ją, że nie należy samemu usuwać żadnych obcych ciał z rany...

Ash bandażował ciasno jej ramię. Corey wstrzymała oddech i zacisnęła zęby, żeby nie krzyczeć.

- Boże kochany... Przepraszam cię, Corey... - Głos Asha brzmiał dziwnie, a jego twarz stała się kredowo białą.

Godzinę temu też zadawał jej ból. Wtedy ranił ją tymi strasznymi słowami. A teraz... Powinna była gniewać się na niego, lecz nie potrafiła.

Ból w ramieniu trochę złagodniał, stał się jakby bardziej tępy. - A wiesz, co przede wszystkim spostrzegłam w tobie, kiedy cię tylko zobaczyłam? - szepnęła po chwili.

- No co?

- Jeżeli nie liczyć twoich pięknych szarych oczu, to przede wszystkim spostrzegłam, że jesteś kłamcą.

W kąciu jego ust pojawił się znajomy, trochę krzywy i trochę ironiczny uśmiešek. Ale jego oczy wciąż patrzyły tylko na jej ramię i nasiąkający krwią opatrunek.

A jej głos stał się jeszcze cichszy. - Może teraz już byś mi nie kłamał. Powiedziałabyś prawdę?

- O czym?

Corey poczuła, że rumieniec zalewa jej policzki. - O... o moich piegach. Naprawdę ci nie przeszkadzały?

Tym razem Ash przeniósł spojrzenie na jej twarz. - Nie, Corey. Nie przeszkadzały mi w ogóle. Przeciwnie.

Powiedział to tak, że nie można było wątpić w jego szczerość. Poprawił jej włosy, odgarniając je z czoła, a potem spojrzał w stronę kabiny.

- Wszystko gotowe, George. Chodź teraz tutaj, a ja cię zastąpię i wystartuję. Zamienili się miejscami.

- Przez cały czas przytrzymuj ten opatrunek równo i mocno - powiedział Ash.

Corey podniosła wzrok i popatrzyła na niego, a potem na jego przyjaciela. Polubiła George'a, którego otwarta osobowość sprawiała, że wszyscy natychmiast czuli się z nim dobrze.

- Bardzo pana przeproszam - powiedziała nieco nierównym głosem. - Ash *mówił* mi, że pan źle znosi widok krwi.

- Kompletnie łągarstwo. A zresztą to właściwie tylko draśnięcie. Drobne zadrapanie, nic więcej.

Jeszcze jeden kłamca, pomyślała Corey. To chyba tu jest nagminne. - Aha, i jeszcze powiedział mi, że startuje pan jak postrzelona kura...

- No, to akurat jest prawda, ale nie powinna się pani tym przejmować. Powietrze też może być moim żywiołem.

Corey próbowała się uśmiechnąć, ale okazało się to za trudne.

Tymczasem Ash w kabynie szybko przestawiał różne wajchy i przełączniki, dodał gazu i jeszcze zwiększył szybkość. Corey oczami wyobraźni widziała jego smukłe ręce, tak pewnie i sprawnie kierujące tym wszystkim. Samolot oderwał się od ziemi, a Corey poczuła mocniejszy ból w ramieniu. Jęknęła cicho, lecz zaraz potem udało jej się nad sobą zapanować.

Kiedy samolot był już na stałym kursie, Ash i George znów zamienili się miejscami.

- Krwawienie nie zmniejsza się tak, jak powinno - powiedział półgłosem George.

Ash szybko zamienił przesiąknięty krwią opatrunek na następny. Potem zaczął delikatnie przesuwac palcami wzdłuż jej szyi, szukając tętna.

Corey pamiętała, jak niezwykle spokojny i zarazem skuteczny w działaniu wydawał się Ash podczas operacji, którą przeprowadził w wiosce. Ale teraz niewiele pozostało z tego spokoju. Na jego czole i wargach widoczne były drobniutkie kropelki potu, czuła też, jak drżą jego palce przytrzymujące opatrunek i dotykające jej skóry.

Ile krwi teraz straciła? W głowie czuła pewną zdradliwą lekkość, z wolna ogarniała ją senność. A do Santarem było jeszcze daleko.

- Zastanawiam się... Zastanawiam się, czy umrę.

Dopiero kiedy Ash głośno krzyknął „Nie!”, zdała sobie sprawę, że powiedziała to na głos.

Twarz Asha wydawała się zacięta i gniewna, ale Corey już wiedziała, że ten gniew był tylko maską, ukrywającą przede wszystkim lęk. Ash bał się o nią, chociaż starał się tego nie okazywać. - To tylko powierzchowna rana. Chodzi jedynie o to, żeby zatamować krwawienie. Po prostu leż spokojnie, a wszystko będzie dobrze.

Corey miała wrażenie, że jej język staje się obrzmiały i gruby, jak po wypiciu za dużo wina. - Opowiedz mi... opowiedz o wielkiej fali. O tej ścianie wodnej.

- Chodzi ci o *powrót*? - spytał zaskoczony Ash.

- Tak - powiedziała Corey. Jej oczy były zamglone i niezbyt przytomne.

- Lubię słuchać twoich opowieści o Amazonii. A najbardziej lubię tę o wędrującej ścianie wodnej.

Głos Asha dobiegał jak gdyby przez gęstniejącą mgłę. Docierała do niej ledwie część tego, co mówił, ale to nie miało większego znaczenia. Po prostu chciała słyszeć jego głos, niski, głęboki i uspokajający.

Na szczęście ból przeszedł teraz w rodzaj gorączkowego otępienia. Coraz trudniej przychodziło jej zebrać myśli. Ogarniała ją przemożna chęć, żeby zamknąć oczy i odpocząć. Sen wydawał się czymś niezmiernie kuszącym. Ziewnęła parę razy, choć zdawała sobie sprawę, że jest to wysoce nieuprzejme, zwłaszcza jeśli w tym czasie ktoś do nas mówi. Ale nie potrafiła z tym walczyć. Była zbyt zmęczona, żeby mogła sama mówić. A nawet zbyt zmęczona, by słuchać. Ciężkie powieki opadły i zamknęły się natychmiast.

Spała głęboko przez pewien czas, a potem znów w jej umyśle zaczęły przebłykiwać strzępki zdań, senne obrazy przemieszane z rzeczywistością. Od czasu do czasu docierały do niej głosy, to donośniejsze, to znów bardzo ciche.

- Wydusiłeś z maszyny wszystko, co można? - rozpoznała głos Asha.

- Przez cały czas lecimy z maksymalną prędkością. Szybciej już się nie da, bo ten rzęch po prostu może się rozlecieć. A jak. z nią? Krwawienie ustało?

Ash nie odpowiedział od razu. - Nie - usłyszała dopiero po chwili. - Ale się zmniejszyło. Trochę. - I znów zapadła cisza.

- Dlaczego musiało to spotkać właśnie ją? - Głos Asha, tak zazwyczaj kojący, teraz wydawał się bliski paniki.

A przecież Asher Adams nigdy nie wpadał w panikę. Corey z wysiłkiem otworzyła oczy i westchnęła głęboko.

- Obudziłaś się? Jak się czujesz? - zapytał oclirypłym głosem. Niejasno zdawała sobie sprawę, że jego ręka delikatnie głaszcząc jej włosy.

- Tak... dziwnie, jakbym pływała. I jestem zmęczona...

Myślała teraz o kwiatach i o cioci Genevieve. Tyle lat w ogóle o niej nie myślała... Kwiaty i ciocia Genevieve wydawały się nierozłączne. Większość ludzi miała ogrody warzywne, ale ciocia aż do samej śmierci uprawiała w swoim ogrodzie tylko kwiaty. Wyszukiwała gatunki, których kwiaty były największe, ogromne. Todd mawiał, że ciotka zwariowała, ale Todd zawsze myślał praktycznie i nie był w stanie tego zrozumieć.

- Ciocia Genevieve zawsze... sadiła cebulki tulipanów... po południowej stronie domu. Dzięki temu tulipany wyrastały... już wczesną wiosną.

Patrzyła na twarz Asha i odczytywała w niej miotające nim uczucia. Nie widziała zbyt wyraźnie, ale była przekonana, że najsilniejszym z tych uczuć znów był lęk o nią.

- Takie bardzo wczesne tulipany łatwo mogą zginąć od mrozu... jeżeli pogoda nagle się zmieni. Podejrzewam, że to jest cena, którą... trzeba zapłacić, jeżeli chce się mieć wczesne kwiaty.

Później, już po tulipanach, w ogrodzie ciotki kwitły jaśminy.

- Kiedyś, kiedy jeszcze byłam mała, ciocia Genevieve zabrała mnie do ogrodu, żebym zobaczyła jaśminy, które zakwitają nocą. Czekaliśmy i czekałyśmy, przez długie godziny. A ja miałam na sobie tylko nocną koszulę, taką w różyczki... I potem koszula była cała mokra od rosy... i jeszcze poplamiona trawą. Ta trawa była strasznie zimna... było mi zimno w stopy i... strasznie mi się chciało spać...

Wzdrygnęła się, jakby czując te same macki chłodu, które ją przed laty ogarniały. Pamiętała, że było jej coraz zimniej i robiła się coraz bardziej senna... ale przynajmniej nic już nie bolało.

- Podobno... kiedy człowiek już zamarza na śmierć, przestaje odczuwać

zimno. Zawsze zastanawiałam się... czy to prawda. - Zatrzepotała powiekami, a potem przymknęła oczy. - To zupełnie tak, jak w tej bajce o dziewczynce z zapałkami. Ta bajka zawsze wydawała mi się bardzo... smutna. A u nas nie wiadomo dlaczego uważa się ją za opowieść wigilijną... Bajkę w sam raz dla dzieci na Gwiazdkę. Nigdy własnemu dziecku... nie czytałabym czegoś takiego na Gwiazdkę.

Corey zdawała sobie sprawę, że jest okryta czymś grubym i chroniącym przed utratą ciepła, ale mimo to czuła, że chłód przenika ją do szpiku kości. To okrycie pomagało akurat tyle, ile płomyczek zapalanej zapałki mógł pomóc dziewczynce z tamtej bajki. Dawało tylko złudzenie ciepła.

- Corey... Corey, słyszysz mnie?!

To Ash. Koniecznie chce ją budzić. Co za uparty, niezwykle uparty człowiek.

- Lilijko...!

Teraz już wyraźnie słyszała niemal paniczny lęk w jego głębokim, ochrypłym głosie. No czy to nie dziwne? Zawsze myślała, że Ash nie boi się nikogo i niczego.

Z wielkim trudem uniosła ciężkie powieki. Popatrzyła w górę na niego i ze zdziwieniem zobaczyła, że jego oczy niezwykle błyszczą.

Choć w zasadzie nie powinno to jej przecież dziwić. Jego oczy zawsze przypominały jej gwiazdy.

Ale jedna z tych gwiazd nagle spadła na jej policzek. Corey pomyślała, że chyba śni.

Z oczu Asha padały gwiazdy.

Wciąż jeszcze bardzo senna, pomyślała, że mogłyby to być bardzo miły kaprys, miła zabawa - pozbierać te gwiazdy i trzymać je w szklanej szkatułce na parapecie okna. W ten sposób mogłyby świecić zawsze i prowadzić go prostą drogą do domu, nawet podczas największych ciemności.

Potem nagle zdała sobie sprawę, że to przecież niemożliwe. To w ogóle nie były gwiazdy, to były łzy. I to właśnie wydawało się czymś niezwykle dziwnym. Przecież tacy twardziele jak Ash Adams w ogóle nie płaczą. Z zasady.

Przypomniała sobie jednak, że już raz widziała, jak płakał i że nawet go wtedy pocieszała. Kiedy to było?

Zmarszczyła brwi i spróbowała się skupić. Luke. Tak, to było wtedy, kiedy opowiadał jej o swym bracie. Ash płakał, bo kochał Luke'a. A teraz płakał tu, nad nią bo...



Tak, w twarzy Asha było coś, co widziała w jego spojrzeniu już wcześniej, ale wtedy jeszcze nie potrafiła tego rozpoznać.

To po prostu była miłość. Asher Adams ją kochał.

A ona raniła go, sprawiała mu ból. Nie chciała go ranić. I bez tego miał dosyć cierpienia. Bólu wielkiego jak świat.

Nie kochaj mnie, Ash, powiedziałaaby pewnie, gdyby w ogóle była w stanie coś powiedzieć. Z trudem przełknęła ślinę, nawet to ją zabolalo. Proszę cię, nie kochaj mnie, Ash.

Powieki znów opadły i zamknęły się. Corey poczuła, jak ogarnia ją ciepła i kojąca ciemność...

Ash dostrzegł niezwykłą bladłość Corey i drżącymi palcami dotknął jej policzka. Wilgotna skóra była niepokojąco chłodna. Pospiesznie chwycił ją za przegub. Puls był przyspieszony i jednocześnie ledwie wyczuwalny.

Objawy wstrząsu. Chryste Panie, teraz była w stanie szoku!

Ash wsunął jej chłodną rękę z powrotem do śpiwora. Dokładnie otulił ją całą miękkim flanelowym kocem i ponownie zaciągnął suwak.

Ach. Lily, Lilijko!...

To była jego wina. Zawsze był za bardzo porywczy, nie umiał panować nad emocjami. Zresztą nigdy nie miał najmniejszej ochoty nad nimi panować. Aż do dzisiejszego dnia.

Przyjął, że broń nie jest naładowana. Nigdy nie wolno robić takiego założenia. Broń to jest broń.

Ta kula była przeznaczona dla niego. Dla niego...

Przysiągł sobie na wszystko, że Corey musi z tego wyjść. Choćby miał w tym celu zaprzedać duszę diabłu.

Zapadł się głębiej w plastikowym fotelu w poczekalni szpitala i kolejny raz zaciągnął się papierosem. Nawet nie pamiętał, kiedy go zapalił. W płucach czuł nieprzyjemne drapanie. Zawsze tak było, kiedy zapalał papierosa od papierosa. Pod powiekami czuł piasek. Nic dziwnego, po nieprzespanej nocy...

Wgniół na wpół tylko wypalonego papierosa w wypełnioną piaskiem

popielniczkę na stojaku. - Do ciężkiej cholery, ile czasu można wyjmować jedną kulę z czyjegoś ramienia?

George podniósł wzrok znad trzymanego w rękach ilustrowanego tygodnika.

- Spokojnie, Ash. Znasz się na tym lepiej niż ja, więc powinienś wiedzieć, że teraz już wszystko będzie w porządku. Utraciła sporo krwi, ale tu jej to wyrównają.

Ash zerwał się na równe nogi i nerwowo przejechał palcami po zmierzwionych włosach. Potem znów wsadził ręce do kieszeni i usiadł na oparciu fotela. - Nie potrafię zrozumieć, dlaczego trwa to tak cholernie długo

- mruknął na w pół do siebie.

Wydawał się otepiały i nieprzytomny, ale pierwszy usłyszał ciche kroki lekarza. Ciemnoskóry doktor Perterka ściągnął z czoła zieloną czapeczkę chirurga, a uwolnione spod niej gęste i mocno kędzierzawe czarne włosy wystrzeliły jak sprężyny we wszystkich kierunkach.

- Będzie dobrze - powiedział swą nieco dziwną, śpiewną angielszczyzną.

- Dzięki Bogu - odparł Ash. Głos miał krańcowo ochrypliwy.

- Utraciła bardzo dużo krwi. A poza tym kula wbiła kawałki tkaniny w ranę, więc trzeba było ją czyścić.

Na czole Asha pojawił się zimny pot.

- Musieliśmy zrobić blisko dziesięciocentymetrowe nacięcie, żeby wydobyć kulę.

Ash nagle niezwykle plastycznie wyobraził sobie ostrze skalpela, rozcinające białą skórę Corey. Tę samą skórę, którą całował przecież tak niedawno. Czy to możliwe, że to było tak niewiele godzin temu? A zdawałoby się, że upłynęły wieki.

- Miała naprawdę ogromne szczęście. Gdyby kula nie ugrzęzła, miałyby ogromną dziurę wylotową. Takie kule dają niewielki otwór wlotowy, natomiast rozwalają ciało przy wylocie. Mogłaby stracić rękę. I w ogóle nie wiadomo, czy by z tego wyszła z życiem. A więc miała niezwykle szczęście. Aha, byłbym zapomniiał... - Chirurg wyciągnął dłoń i otworzył ją. - Kaliber dwadzieścia dwa, krótka. Całe szczęście. Gdyby to była jakaś inna kula, cięższa i większa... o większym kalibrze...

Dalszych słów lekarza Ash już nie usłyszał. Przez moment miał wrażenie, że w głowie narasta ogłuszający i rozwalający czaszkę huk. Po raz pierwszy w całym swym trzydziestopięcioletnim życiu Asher Jonathan Adams zwałił się na podłogę nieprzytomny - bez pomocy alkoholu.

## *Rozdział dwudziesty pierwszy*

George ostrożnie podtrzymawał łokieć Corey, pomagając jej wysiąść z taksówki. Od dnia wypadku minął już tydzień. Nie za dokładnie pamiętała wydarzenia tamtego dnia, ale nie przejmowała się tym zbyt. Było jeszcze za wcześnie, żeby o tym rozmyślać. I w ogóle było to zbyt straszne. Niewiele brakowało, a Ash zginąłby - przez nią.

Nawet się nie pojawił, kiedy potem leżała w szpitalu. Mogła tylko przypuszczać, że z prawdziwą ulgą odetchnie, kiedy Corey wreszcie na zawsze opuści kontynent południowoamerykański. Okazało się, że miał rację we wszystkim. Udało jej się sprawić co najmniej tyle kłopotów, ile w związku z jej przyjazdem przepowiadał - a może nawet więcej. No, ale wreszcie stąd wyjeżdżała, by wrócić do domu.

George pochylił się przy otwartym oknie taksówki, zapłacił kierowcy, a potem chwycił stojącą na krawężniku walizkę Corey. - Przykro mi, że Ash nie mógł cię odwiedzić na lotnisko. Coś mu wypadło.

George mówił to już po raz drugi i, zdaniem Corey, kłamał wyjątkowo marnie. Chyba w życiu nie spotkała nikogo, kto mniej nadawałby się do tego, żeby kłamać. Ale nieobecność Asha musiała mu się wydawać wyjątkowo niegrzeczna. Zwłaszcza że to ona, wedle słów samego Asha, „zasłoniła go przed kulą, która była przeznaczona dla niego”. Jednak to wszystko w ogóle by się nie wydarzyło, gdyby tylko miała dość rozumu, żeby nie wsiadać do samolotu razem z Jonesem.

- W porządku, George - powiedziała. - Nie musisz się za niego tłumaczyć. Ja wszystko rozumiem.

George otworzył przed nią ciężkie drzwi wejściowe, a chłodny powiew przeciągu rozwiewał szare kępy włosów, okalających jego lśniąca łysinę.

- Parszywie to wyszło. W ogóle wszystko. - Spojrzał na jej grubo obandażowane ramię, unieruchomione na temblaku.

- Nie martw się o mnie. Doktor Perterka powiedział, że po krótkiej rehabilitacji i odpowiednich ćwiczeniach wszystko będzie dobrze.

Odprawiano już pasażerów z jej lotu. Corey skierowała się do właściwego stanowiska. Jej wysokie obcasy stuknęły po zielonkawych ceramicznych płytkach podłogi. Po potwierdzeniu miejsca i odebraniu kwitu bagażowego, Corey obróciła się i wyciągnęła zdrową rękę do George'a. - Bardzo ci dziękuję za wszystko.

George pochwylił jej dłoń obiema rękami i kilkakrotnie, jakby uspokajająco, poklepał ją czule. Jednakże jego krzaczaste brwi wciąż były ściągnięte ponad grubymi okularami w ciemnej oprawie. - Ash powinien był cię odprowadzić. Ale nie myśl o nim aż tak bardzo źle. On jest trochę inny od nas, inaczej myśli, inaczej funkcjonuje. Nigdy nie nauczył się, że jeżeli jest znak stop, to trzeba się zatrzymać.

- Wiem - powiedziała Corey.

- Po prostu nie podporządkowuje się żadnym zasadom.

- Może to jest jakiś sposób. W każdym razie chciałabym, żeby ten jego...  
- nie dokończyła rozpoczętego zdania. Miała zamiar powiedzieć, że życzy Ashowi, by okazało się, że jego brat żyje, by go wreszcie odnalazł. Ale zamiast tego powiedziała tylko parę zwykłych, uprzejmych słów. - Mam nadzieję, że wszystko tu teraz pójdzie dobrze, tobie i jemu. I naprawdę bardzo się cieszę, że dostaliście te fundusze.

- Tak, pieniądze są bardzo ważne, ale niewiele by nam pomogły, gdybyśmy nie mieli Asha. Tylko on umie rozmawiać z Indianami i naprawdę się z nimi porozumieć. I choć może on sam w to nie wierzy, podejrzewam, że bez niego cały ten nasz projekt w ogóle by się nie powiódł.

- Prawdopodobnie. Miałam okazję widzieć go rozmawiającego z Indianami.

Ogłoszono odlot jej samolotu. Corey spojrzała w stronę wyjścia dla pasażerów. - Muszę już iść.

- Masz przy sobie tabletki przeciwbólowe, które ci dał doktor Perterka?

Corey kiwnęła głową.

- A w Chicago będzie ktoś, żeby cię odebrać?

- Tak, oczywiście.

- Jeszcze raz za wszystko przepraszam. To w gruncie rzeczy była moja wina, przecież to ja cię tu zaprosiłem.

- Nie żałuj tego za bardzo. Ja nie żałuję. - Uśmiechnęła się nieco smutno, może nawet rzewnie. Czowała się doroślejsza, starsza. A może nawet prawie stuletnia. - Po prostu trzeba popatrzeć na to z innej strony. W końcu była to pewnie największa przygoda w. moim życiu.

- Coś takiego, o czym będziesz opowiadać twoim wnukom?

- No właśnie. Moim wnukom.

Zamrugwała nagle i pospiesznie odwróciła twarz, żeby George nie zauważył łez, zbierających się w kąciakach oczu. Ostatnio bardzo łatwo można było ją doprowadzić do płaczu. Ale doktor Perterka utrzymywał, że to wynik przebytego wstrząsu i że z czasem to przejdzie.

Ruszyła w stronę wyjścia, lecz po chwili zatrzymała się. Zdała sobie sprawę, że nie może tak po prostu odejść. Musi jeszcze coś powiedzieć, coś przekazać. Odwróciła się i zawołała. - George!

Wiedziała, że Ash nadal nie będzie dbał o to, co je. Że na pewno będzie za dużo pił i za dużo palił. I oczywiście będzie za mało spał. - George, będziesz go trochę pilnował? On tak kompletnie o siebie nie dba.

George pokiwał głową ze spokojną rezygnacją, tak jak to czasami robią zmęczeni rodzice dzieci, nad którymi już nie da się zapanować- On i tak bardzo złagodniał w porównaniu z tym, jaki był kiedyś. Z tego co słyszałem, jako dziecko potrafił być kompletnie dziki. Lukę opowiadał, że niejednokrotnie bywał wręcz chory, tak martwił się o swojego nie do okiełznania brata.

Corey pomyślała, że potrafi sobie wyobrazić Asha jako dziesięciolatka: zaszargany, czarny podkoszulek, dżinsy i dziurawe tenisówki.

Czuła, że musi George'a zapytać jeszcze i o to: - Czy jest jakakolwiek szansa, że Lukę wciąż żyje?

George zdjął okulary i przetarł je brzegiem koszuli. Corey znała go już na tyle, żeby wiedzieć, że zawsze tak robi, kiedy się nad czymś zastanawia. - Powiem ci tylko tyle, że Lukę rzeczywiście miał w sobie coś niezwykłego, czarodziejskiego czy może świętego... czego zresztą nie dawało się nazwać ani pojąć. Bardzo trudno wyobrazić sobie, że ktoś taki po prostu nie żyje. Ale prawdę mówiąc nie bardzo widzę, jak Lukę mógłby przeżyć w dżungli choćby kilka dni... a co tu dopiero mówić o trzech latach. Lukę nie był osobą,

która umiałaby żyć bez innych ludzi. To zupełnie co innego niż Ash, który w dżungli czuje się jak w domu. - George znów przetarł okulary. - Tak więc gdzieś tam w głębi duszy skłonny jestem podejrzewać, że Lukę jednak już nie żyje.

Corey bardzo chciała, żeby było inaczej, ale obawiała się, że George może mieć rację.

- Przekażesz Ashowi coś ode mnie? Powiesz mu, że...

W myślach widziała go znów, jak zwyczajnie chodzi sobie po dżungli, jakby był jej właścicielem. Wyobrażała sobie znajome kpiące iskierki w szarych oczach, odtwarzała w pamięci chwile, kiedy ze sobą tańczyli, oboje boso, przy świetle księżyca wpadającym przez zasłonięte siatką okna werandy.

Powinna byłaby przekazać mu to, co naprawdę czuła: to, że kochała w nim chłopca, ale kochała też i mężczyznę. Że dokładnie tak samo kochała to, co było w nim smutne, jak i to, co było spontanicznie radosne i wesołe.

George czekał.

Corey przełknęła ślinę. To było trudniejsze, niż sobie wyobrażała. Miała poczucie, że za chwilę rozpadnie się na tysiąc drobnych kawałków.

- Powiedz mu... Powiedz mu tylko, że prosiłam, żebyś go ode mnie pożepała.

- Zrobię to.

Corey odwróciła się i ruszyła w stronę przejścia, prowadzącego do odlatujących samolotów.

Zrobiło się już ciemno, kiedy samolot zaczął obniżać lot przed lądowaniem w Chicago. Corey wyglądała przez okno, aby w końcu dojść do wniosku, że mało co jest równie zniechęcające, jak wczesny zimowy zmrok, nazbyt szybko zapadający nad monotonnym krajobrazem.

Pilot radośnie oznajmił przez głośnik, że w rejonie Chicago niebo jest wolne od pokrywy chmur, a po chwili dodał jeszcze, już nieco mniej radośnie, że temperatura powietrza wynosi około minus piętnastu stopni.

Wobec tego Corey narzuciła na siebie wełnianą kurtkę. Udało jej się zdrową rękę włożyć w rękaw, a tę na temblaku ukryć pod zarzuconą na ramię połą. Pospiesznie mruknęła „przepraszam”, kiedy przy tej okazji niechcący potrąciła pasażera, który przez całą drogę zajmował miejsce obok niej.

Prawdę mówiąc, dopiero w tym momencie w ogóle dotarło do niej, że miała w podróży jakiegoś sąsiada.

Przejmujący do szpiku kości mróz poczuła natychmiast, kiedy po wyjściu z samolotu znalazła się w harmonijkowym rękawie, prowadzącym do głównego budynku. Cienkie ściany zdawały się nie dawać żadnej osłony przed zimnem. Nawet kiedy już znalazła się wewnątrz ogrzanego budynku, wciąż jeszcze czuła przenikliwy chłód. Ciekawe, czy kiedykolwiek jeszcze będzie jej naprawdę ciepło?

Wczoraj, przed samym odlotem, nagrała przez telefon wiadomość na automatycznej sekretarce Todda. Teraz zastanawiała się, czy wiadomość dotarła. Początkowo zamierzała zatelefonować do rodziców, ostatecznie jednak zdecydowała, że lepiej tego nie robić.

Chodziło głównie o to, że pani Grace McKinney kochała swą córkę po swojemu, to znaczy z intensywnością niejednokrotnie przekraczającą wszelką miarę. Z pewnością była to wręcz fanatyczna miłość matczyzna. Jednak w tym właśnie momencie Corey nie za bardzo czuła w sobie siły, by zapanować nad tym żywiołem. A poza tym doszła do wniosku, że powinna całą sprawę wypadku raczej zachować w tajemnicy. Potrzebowała więc trochę czasu, żeby wydobrzeć, nim pokaże się na oczy rodzinie.

- Corey! - dobiegł ją z daleka głos Todda.

Rozejrzała się po morzu oczekujących ludzi i wnet dostrzegła ponad głowami innych jego jak zawsze nienaganną fryzurę i gładko wygoloną twarz. Szedł w jej stronę, przeciskając się przez tłum ze swobodą i pewnością siebie. Kobiety oglądały się za nim, kiedy je wymijał, i Corey zdała sobie sprawę, że w jakiś sposób jest tym zaskoczona. Nigdy nie zastanawiała się nad jego urodą, ale teraz spostrzegła, że rzeczywiście jest przystojny, choć może w sposób dość konwencjonalny. Według wzorca - na przykład - cokolwiek snobistycznej Ivy-League. Wiele osób prawdopodobnie uznałoby, że Todd jest przystojniejszy od Asha, ale zdaniem Corey miało to mniej więcej taki sam sens, jak porównywanie domowego kota do dzikiego lwa. Patrzyła teraz na zbliżającego się Todda i musiała przyznać, że jego rysy są doskonałe. Może nawet zbyt doskonałe. Trochę za bardzo przypominały urodę męskiego modela, tak jakby Todd zszedł tu wprost ze stron jakiegoś katalogu, reklamującego wytworną męską odzież.

- Nie masz pojęcia, jak się cieszę, że już wróciłaś - powiedział. Objął ją

i przyciągnął do siebie, a Corey poczuła, że policzkiem dotyka kłapy jego zimowego płaszcza z wełny w modną jodełkę. Todd pachniał kosztownym płynem po goleniu i miętowymi cukierkami odświeżającymi oddech, choć to wszystko razem mogło też przypominać zapach środków dezynfekujących, stosowanych w szpitalach.

Todd schylił się, jeszcze chłodnymi od mrozu wargami dotknął jej ust i niespodziewanie cofnął się o krok. - Corey, co ci się stało?

Corey na wszelki wypadek ciaśniej obciągnęła wełniany szal wokół szyi. - To... nic ważnego. Naprawdę.

- Jak to, nic ważnego? - Przyciągnął ją do siebie i razem z nią przesunął się w bok, by przepuścić idących z tyłu. - Masz rękę na temblaku. - W jego niebieskich oczach, ocienionych czarnymi rzęsami, czytała nie ukrywaną dezaprobatę.

Jeszcze przed wyjazdem Todd wraz z matką doszli do zgodnego wniosku, że Corey nie powinna w ogóle lecieć do Brazylii, choćby dlatego, że jest zdecydowanie zbyt delikatna jak na taką podróż. Nie mówiąc już o tym, że w ogóle powinna trzymać się jak najdalej od cudzoziemców, a już zwłaszcza dzikich. Teraz Todd będzie miał okazję wykazać jej, kto miał rację.

Corey poczuła się bardzo zmęczona. - To naprawdę nic nie jest. Trochę naciągnęłam ścięgno, i to wszystko. - W rzeczywistości jej ramię przeszywał dotkliwy, pulsujący ból, jakby drwiąc sobie z tych kłamliwych zapewnień. Corey skrzywiła się lekko i pomyślała, że czegoś się jednak nauczyła podczas tej wyprawy, przynajmniej jeśli idzie o trudną sztukę kłamstwa.

- No dobrze - powiedział Todd, uznając naciągnięcie ścięgna za przypadek rzeczywiście zbyt błahy, żeby się nim zajmować. - Daj mi kwity bagażowe.

Już przejął inicjatywę i kierował wszystkim, jak zawsze. Podała mu kwity i przy okazji zauważyła, jak wypielęgnowane są jego dłonie i paznokcie. A on prowadził ją już wśród tłumu pasażerów, podobnie jak oni zmierzających do podziemnej hali odbioru bagażu.

Idąc za nim przyglądała mu się i doszła do wniosku, że byłby z niego wcale dobry mąż. Dla kogoś - pomyślała - i aż zdziwiła się, że myśli teraz o tym z takim dystansem.

- Tyle mam ci do opowiedzenia. Przede wszystkim: doktor Pearsons powiedział mi, że widziałby mnie w swej klinice St. Michael's w Bostonie. Tam się zarabia wielkie pieniądze. Nie ma się zresztą co dziwić, ich



specjalność to przede wszystkim chirurgia kosmetyczna, likwidowanie zmarszczek, odsysanie tkanki tłuszczowej, takie rzeczy. Czy to twój bagaż?

- Wskazała na elegancką walizkę, która przejeżdżała obok nich na taśmociągu.

- Nie - powiedziała Corey. - Moja jest ta czarna. - W domu miała co prawda nowszą i ładniejszą walizkę, ale lubiła tę, która kiedyś należała jeszcze do jej dziadka.

- Chyba przydałyby ci się nowszy, ładniejszy komplet - powiedział Todd, zdejmując walizkę z taśmy. - Myślę, że już wiem, co ci kupić na następną Gwiazdkę.

- Mmmm... - mruknęła Corey.

- Pomyślałem też, że skoro już tu jesteśmy, moglibyśmy pojechać do śródmieścia i zjeść wspólnie kolację.

- Todd, jestem strasznie zmęczona.

- Tak? Rozumiem. No cóż, odłożymy to na kiedy indziej. Znam tu nowe, świetne miejsce.

- Powiedz, zawiadomiłeś moją rodzinę? Wiedzą, że przyjeżdżam?

- Nie. Myślałem, że może zechcesz przedtem pobyć trochę u mnie. To już przecież przeszło dwa tygodnie, jak cię nie widziałem.

Czyli miał ochotę iść z nią do łóżka. - Todd... - odpowiedziała Corey.

- Jestem strasznie zmęczona. Chcę jechać do siebie.

Todd nie nalegał. - Mówiłem ci, że nie powinnaś była lecieć do Ameryki Południowej. Twoja matka przez cały czas się zamartwiała. Dzwoniła do mnie niemal codziennie.

- *Mea culpa, mea culpa...*

- Proszę?

- Nie, nic ważnego.

Sposób, w jaki się teraz zachowuję, to wyraźny wpływ Asha, pomyślała. I to, że kłamie... i to, że zaczyna myśleć cynicznie.

Drzwi wyjściowe na końcu korytarza otworzyły się przed nimi automatycznie. Fala ostrego, mroźnego powietrza uderzyła Corey w odsłonięte czoło i policzki. Było tak zimno, że wręcz zapierało dech.

- Twoja matka przez cały czas zamartwiała się, że stanie się z tobą coś strasznego - powiedział Todd i roześmiał się. - Że na przykład tubylcy cię ugotują i zjedzą, to zdaje się miała na myśli. No, ale na szczęście wróciłaś cała i zdrowa, jeżeli nie liczyć tego naciągniętego ścięgna.

- Tak. Jestem i cała, i zdrowa.

Todd otworzył tylną klapę swego wypieszczonego BMW i ułożył walizkę na miękkiej jak dywan wykładzinie ogromnego bagażnika.

- Chyba nie powiedziałem ci jeszcze, ile mi Pearsons zaproponował. No więc on uważa, że już w pierwszym roku mogę zarobić ponad sto tysięcy.

- Todd zatrzasnął klapę. - Powiem ci, że na przykład Josh Myers wciąż jeszcze tyle nie zarabia, a siedzi w klinice Mayo już piąty rok.

- Myślałam, że rozpoczniesz praktykę w Pleasant Grove - powiedziała Corey. Wargi miała już prawie przemarznięte. - Kiedyś mówiłeś, że w naszym miasteczku potrzebny jest dobry anestezjolog.

- Oczywiście, że jest potrzebny. Ale przecież nie mogę nie wykorzystać takiej okazji. - Przeszedł do przodu wozu i otworzył drzwi po prawej stronie.

Corey pochyliła głowę i usiadła na miejscu obok kierowcy. Fotel obciągnięty był luksusową skórą, ale tak wyziębioną, że miało się wrażenie siedzenia na bryle lodu. Całe wnętrze wręcz lśniło nowością i czystością nieco bezosobową.

Todd umościł się na fotelu za kierownicą, wyciągnął spod siebie poły swego grubego zimowego płaszcza, a następnie bardzo metodycznie odszukał i otworzył skórzany portfelik na klucze. Odnalazł właściwy, zamknął resztę kluczy i ponownie schował do kieszeni. Tymczasem Corey miała wrażenie, że za chwilę zamieni się w bryłę lodu.

W dodatku ramię bolało ją coraz bardziej. Do tego stopnia, że coraz trudniej przychodziło jej koncentrowanie się na tym, co mówił Todd. Tęsknie pomyślała o pigułkach przeciwbólowych, które miała w torebce, i żałowała, że przed wyjściem z samolotu nie zażyła jednej. Teraz przy Toddzie nie mogła już tego zrobić. Gdyby dowiedział się, co się naprawdę stało, już nigdy nie dałby jej spokoju. A przede wszystkim powiedziałaby o wszystkim matce, która z całą pewnością zameczyłaby ją wtedy przesadną opieką i czułością. A ona sama miałaby jeszcze większe poczucie winy, którego przecież i tak jej nie brakowało.

Todd wreszcie uruchomił silnik. Potem, równie metodycznie, sprawdził światła i ustawienie lusterek. - Mam nadzieję, że nie masz nic przeciw zamieszkaniu w Bostonie, co? - zapytał, ustawiając z kolei dysze nawiewu powietrza. - Wiem, że jesteś przywiązana do rodzinnych stron, ale na pewno się przyzwyczaisz. Będziemy tam mieli ładny duży dom. Na tyle duży, żebyśmy mogli przyjmować gości, kolegów lekarzy i ich żony...

Corey pomyślała, że mnóstwo kobiet byłoby gotowych na wszystko, byle osiągnąć ten status i standard życia, który Toddjej oferował. A dla niej samej to wszystko stało się nagle puste i bez znaczenia. To, co było tak ważne dla niego, dla niej się nie liczyło.

Liczyło się zupełnie co innego, i to właśnie powinna mu powiedzieć. Teraz, natychmiast.

- Todd, jeżeli chodzi o nas... •

Todd prowadził w skupieniu, kończąc długi manewr, który za skrzyżowaniem miał ich wyprowadzić na międzystanową drogę szybkiego ruchu. Wielkie znaki drogowe lśniły w świetle reflektorów.

- Jeżeli chodzi o nas, to znaczy o nasz planowany ślub. Otóż... - Corey zawahała się. Nie wiedziała, co ma dokładnie powiedzieć, obawiała się jakiejś przykrej sceny, na którą naprawdę nie miała ani siły, ani ochoty. Zwłaszcza teraz.

- Chcesz, żebyśmy to jeszcze odłożyli? O to ci chodzi?

Nie, nie powinna w ogóle myśleć o tym, na ile to będzie taktowne bądź nietaktowne i czy sprawi mu to przykrość, czy nie. Trzeba raz z tym skończyć. Ból w ramieniu nasilał się. Promieniował teraz w dół do łokcia i w górę do karku i szyi. - Chcę, żebyśmy to odłożyli... I to na zawsze. Nie powinniśmy się pobierać tylko dlatego, że ludzie się tego po nas spodziewają.

Todd spojrzął na nią, potem znów przeniósł wzrok na drogę przed nimi. - Przepowiadałem ci, że ta podróż wyczerpie cię ponad wszelką miarę.

Corey nie podniosła wzroku. Dlaczego jego głos jest tak cholernie, protekcyjnie wyrozumiały. A Todd mówił dalej: - Ty po prostu nie masz w sobie dość siły, żeby znosić takie obciążenia. Że przypomnę ci tylko nocne dyżury w szpitalu St. Mary's. Wychodziłaś z nich ciężko chora.

- Todd, proszę cię. Nie jestem wcale chora.

Todd wyciągnął rękę i poklepał ją po kolanie. - Może nie jesteś chora, ale na pewno przemęczona. Odpoczniesz trochę i zupełnie inaczej się poczujesz. Jestem pewny.

To wszystko było na nic. Nie czuła się teraz na siłach, by prowadzić z nim tę walkę słów. Zrobi to później.

Zagryzła wargi i dla uspokojenia zaczęła przyglądać się gwiazdom na rozpościerającym się nad nimi ciemnogrnatowym niebie.

*Ursa Major*. Tak, to była *Ursa Major* - Wielka Niedźwiedzica. Prawdę

mówiąc, nigdy nie dostrzegała tam jakiegokolwiek podobieństwa do niedźwiedzia. Ale podobno układ gwiazd się zmienia, więc może kiedyś rzeczywiście było jakieś podobieństwo. Teraz chyba już lepiej nazywać to Wielkim Wozem. A jeśli się przeciągnie linię wzdłuż tych dwóch gwiazd, to w pewnej odległości natrafi się na Gwiazdę Polarną.

Todd włączył radio i szukając czegoś dobrego znalazła wreszcie stację, nadającą muzykę klasyczną. - To zdumiewające, jak wiele zależy u nas po prostu od dobrego snu. Kilkanaście godzin w wygodnym łóżku i poczujesz się jak nowo narodzona.

Ale Corey nie chciała podejmować tego tematu. - Powiedz mi, czy chodzisz jeszcze, tak jak kiedyś, na spotkania miłośników astronomii? - Pamiętała, jak bardzo był w to wszystko kiedyś zaangażowany, jak przejmował się wszechświatem i odległymi gwiazdami. Przecież ją samą też nauczył wtedy nazw wielu konstelacji. To były miłe wspomnienia. Może dlatego, że pozostały jeszcze z lat dzieciństwa. Sam Todd też przecież był częścią tego dzieciństwa, i to ogromnie ważną. Tyle że teraz ona się zmieniła. I on się zmienił.

- Nie byłem na takim spotkaniu od wielu, wielu lat. To zabawa w sam raz dla dzieci.

- Tak. - Corey pomyślała o tamtym dorosłym mężczyźnie, który wciąż zajmował się ściganiem księżycy.

Siedziała w fotelu odchyłona do tyłu i wpatrywała się w Gwiazdę Polarną, przez cały czas czując niejasno, że próbuje z wysiłkiem i daremnie trzymać się czegoś, co i tak było już dla niej stracone.

Potem jeszcze zaczęła się zastanawiać, jak właściwie ma się pozbierać na nowo ktoś, kto ma duszę zupełnie skamieniałą.

**W trzy godziny później dojechali do domu rodziców. Todd od początku mówił za siebie i za nią, i przynajmniej tym razem Corey była z tego zadowolona.**

- Jest strasznie zmęczona - tłumaczył pani Grace McKinney.

Ta zareagowała jak zawsze. - Moje biedactwo. Tylko zrobię jej coś do zjedzenia i zaraz będzie mogła pójść do łóżka.

W przekonaniu matki „coś do zjedzenia” było niezastąpionym i uniwersal-

nym środkiem na wszelkie kłopoty i problemy w życiu. Corey nigdy nie była w stanie pojąć, jakim cudem jej matka pozostawała mimo to drobna i szczupła.

- Nie, mamo - powiedziała kategorycznie. - Jestem za bardzo zmęczona, żeby mi się chciało jeść.

- O mój Boże! - wykrzyknęła pani McKinney.

Co oznaczało, że dostrzegła temblak. Szeroko otwartymi oczami przypatrywała mu się z prawdziwą zgrozą. - O mój Boże - powtórzyła i machinalnie zasłoniła usta drobną, pomarszczoną dłonią. Podbiegła do Corey, żeby pomóc jej zdjąć kurtkę. - Byłam pewna, że przydarzy ci się coś straszego. Złamałaś rękę. I to lewą, tę samą, którą już raz złamałaś, kiedy zrzucił cię ten koń... A mówiłam, żeby ci nie kupować konia.

- To był kucyk, a nie koń.

- Proszę pani, tym razem to tylko zwykłe naciągnięcie ścięgna - zapewnił Todd autorytatywnym tonem świeżo upieczonego lekarza.

- Dajcie jej spokój, przecież ledwo trzyma się na nogach - dał się słyszeć niski, szorstki głos.

To ojciec Corey pojawił się od strony kuchni. Jak zawsze energiczny i krzepki, z tą swoją coraz bardziej siwiejącą jasnorudą brodą i raczej przydługimi rękawami podkoszulka, wystającymi spod podwiniętych rękawów swetra. Dzięki Bogu, wyglądał dobrze i zdrowo, pomyślała z ulgą Corey.

- Tato!

I już po chwili znalazła się w jego niemal niedźwiedzim - choć bardzo ostrożnym - uścisku. Ulubiona flanelowa koszula ojca ciągle pachniała dymem z ogniska i w ogóle polem i lasem. Potem ojciec odsunął ją na odległość wyciągniętych rąk i przyjrzał się swoimi ciemnymi oczami, które zawsze potrafiły wyczytać więcej, niż ona by chciała.

- No, może idź spać - powiedział spokojnie. - Będzie dość czasu, żeby porozmawiać o wszystkim jutro.

Corey kiwnęła głową i półprzytomna ze zmęczenia zaczęła się wspinać po pokrytych wykładziną schodach do swego pokoju na piętrze. Mama dreptała tuż za nią.

Otworzyła drzwi i zapaliła światło. Jej pokój wyglądał dokładnie tak, jak wtedy, gdy wyjeżdżała. I nie było w tym nic dziwnego. Przecież nie wyjechała na lata, a tylko na dwa tygodnie. Zaledwie dwa tygodnie.

Jej wielkie staroświeckie łóżko nadal było pokryte barwną patchworkową

narzuta, zrobioną przez babcię McKinney. Niewielki pleciony dywanik leżał na wyfoterowanej do połysku sosnowej podłodze. A pod ścianą stał domek dla lalek, który ojciec zrobił dla niej na szóste urodziny. W środku domek został wypełniony miniaturowymi mebelkami, które gromadziła tam sukcesywnie wraz z matką. Wiele godzin spędziły razem na przycinaniu i klejeniu kawałków tapet dla poszczególnych pomieszczeń domku, na wycinaniu i obszywaniu maleńkich firanek i obrusów. Corey podniosła wzrok i popatrzyła dookoła. Tak, w każdym miejscu jej pokoju wciąż czuło się, że włożono weń dużo miłości.

Odwróciła się i spojrzała na matkę. Były obie mniej więcej tego samego wzrostu i tej samej wagi, ale na tym ich podobieństwo się kończyło. Matka miała ciemne, teraz już siwujące włosy. Była zawsze mocno opalona od stałej pracy na powietrzu, razem z ojcem. W kącikach oczu i ust powstały zmarszczki, pogłębiające się, kiedy się uśmiechała.

Corey pomyślała o Ashu, który przez całe życie nie miał nikogo, kto by się o niego troszczył. Nikt mu nigdy nie przygotował herbaty z malinowym sokiem na przeziębienie, nikt mu z pewnością nie czytał bajek przed zaśnięciem, nikt nie dodawał mu odwagi, gdy noce były szczególnie ciemne i pełne groźnych cieni. I nikt go nigdy nie pocieszył, nie wycałował tam, gdzie go bolało, żeby poczuł się lepiej.

Podeszła do matki i objęła ją. - Dziękuję, mamo. Dziękuję, że tak się o mnie troszczysz. Dobrze jest wrócić do domu.

Grace McKinney uśmiechnęła się tak, jak uśmiechają się wszystkie matki. - No to rozbieraj się i szykuj się do spania. Ja jeszcze tylko przyniosę ci filiżankę gorącej czekolady.

- Dobrze, mamo, chętnie się napiję.

Matka wyszła, a Corey podeszła do fotela ustawionego przy oknie i usiadła. Przez staroświeckie okno z drobnymi szybkami patrzyła na ciemniejący na zewnątrz mrok. Jedna lampa w głębi podwórza oświetlała fragment oblodzonej ścieżki i stojącą przy ścianie wielką dzieżę, w której jesienią trzymało się kukurydzę. Druga lampa oświetlała zagrodę, gdzie trzymano owce, kiedy miały się okocić. Teraz były tam tylko podłużne zasypy śniegu, które lodowaty wiatr nawiewał ukośnie do ogrodzenia z kolczastego drutu. Bezlistne gałęzie drzew rzucały długie, nagie cienie.

Należałoby wziąć tabletkę przeciwbólową, nim matka zdąży wrócić na

górze. Pomyślała jednak, że wstawanie w tym celu z fotela to nazbyt wielki wysiłek. Wyciągnęła rękę i końcem palca dotknęła lodowego krystalicznego wzoru, którym silny mróz ozdobił szyby.

Gdzieś z daleka dobiegło ją wycie kojota. Ten niesamowity głos wydawał się pełen smutku i rozpacz. Corey zawsze uważała, że wycie kojota bardzo przypomina krzyk ludzki... albo pełen cierpienia jęk opuszczonych i potępionych dusz. Po chwili wycie ustało i znów dookoła zapadła cisza. Noc spowijała wszystko jakimś gigantycznym trumiennym całunem.

Ale Corey wiedziała już, że istnieje takie miejsce, bardzo szczególne i wyjątkowe, gdzie nawet podczas najgłębszej nocy nieustannie śpiewają miliony owadów, gdzie od ciężkich od rosy liści tropikalnych roślin odbijają się echem krzyki nocnych ptaków i przeciągłe nawoływania człekokształtnych wycjów, do złudzenia przypominające daleki odgłos przejeżdżającego pociągu. Tak, było gdzieś takie miejsce, wyjątkowe i szczególne. I życie tam toczyło się nadal - bez niej.

Corey siedziała na kanapie i wpatrywała się w ciemny ekran. Powinna była włączyć telewizor, ale nie miała na to ani siły, ani ochoty. Tak więc tylko owinęła się szczelnie grubym kolorowym pledem i jeszcze głębiej zapadła w poduszki, którymi jej matka zarzuciła całą kanapę.

Minęły dwa tygodnie od powrotu do pracy, ale wciąż nie potrafiła wciągnąć się w nią, jak kiedyś. Chyba nie miała już do tego serca. Prawdę mówiąc, ta praca przestała ją obchodzić, częściowo z tego powodu, że ona sama się zmieniła. Znacznie trudniej przychodziło jej odnajdywanie w sobie dawnej naturalnej sympatii w stosunku do wielu z jej podopiecznych. Ostatnio na przykład pomagała wypełniać formularz wniosku o pomoc z Opieki Społecznej pewnej kobiecie, która z pewnością nie kapała się już od wielu miesięcy, a w dodatku dymiła jak lokomotywa, zapalając papierosa od papierosa. W jej przypadku było niemal pewne, że bardzo niewiele z przyznanych pieniędzy pójdzie rzeczywiście na potrzeby jej dzieci. Corey czuła się przez to coraz bardziej sfrustrowana i wręcz niepotrzebna.

Westchnęła cicho i poruszyła bolącą ręką. Przestała nosić ją już na temblaku, głównie po to, by wreszcie przestano ją o to wypytywać. Jednakże ramię i bark ciągle jeszcze były sztywne i nieraz bolesne.

Dobrze, że przynajmniej Todd przestał mówić o ślubie. Corey wciąż nie była pewna, czy jej odmowę potraktował dostatecznie serio. Bardziej prawdopodobne było, że po prostu przeczekiwał, w nadziei, że jej to minie i że znów będzie się zachowywała „normalnie”. W każdym razie wciąż przychodził do nich, niemal codziennie, choć Corey miała poczucie, że robi to głównie z przyzwyczajenia. Nie jest łatwo przestać, jeśli robiło się coś prawie całe życie.

Zmusiła się wreszcie do wstania z kanapy. Włączyła telewizor i usadowiła się przed ekranem.

Właśnie nadawano wiadomości. Corey od jakiegoś czasu wręcz ich nie zносиła. Były zbyt deprymujące. W ogóle nie warto było tego włączać.

Niewiele więc brakowało, żeby zasnęła w wygodnym fotelu, gdy nagle zainteresowała ją zapowiedź następnego tematu. Miała to być relacja o jakimś sensacyjnym wydarzeniu, o tym, jak ktoś w sensie niemal biblijnym okazał się „stróżem i opiekunem brata swego...”

Zaciekawiło ją to na tyle, że przeczekiwała głupawy wideoklip z tańczącymi hamburgerami i chichoczącymi nastolatkami, a potem jeszcze reklamę dżinsów. Prawdę mówiąc, tę ostatnią reklamę nawet lubiła, ponieważ jeden z występujących tam mężczyzn miał ciemne, rozwichrzone włosy, dwudniowy zarost i prowokujący uśmiech.

Przypominał Asha.

Reklama się skończyła i na ekranie pojawił się popularny prezenter, telewizyjna znakomitość tego programu. Wyglądało na to, że rzeczywiście ma do przekazania coś niezwykłego.

- W ciągu dwudziestu lat mojej pracy w telewizji - prezenter mówił wyszkolonym głosem - znacznie częściej przekazywałem państwu wiadomości złe niż dobre. Taka jest nasza praca. Dlatego też z tym więźbą radością przekażę państwu dziś opowieść optymistyczną i całkowicie prawdziwą. Opowieść romantyczną, pełną przygód, niebezpieczeństw i bohaterskich czynów.

Niektórzy z was, a może wielu z was przypomni sobie, że kilka lat temu pojawił się wśród nas pewien człowiek. Niestety na zbyt krótko, żebyśmy go w pełni podówcza docenili. Pozwólcie więc, że teraz przypomnę wam od samego początku niezwykłą historię tego człowieka, który nazywa się - Lucas Quincy Adams!



Corey zastygła przed telewizorem. Boże, to chyba niemożliwe! To niemożliwe... Wstrzymała oddech, nie miała odwagi zrobić najmniejszego ruchu.

Wsluchiwała się w płynące z telewizora słowa.

„Lucas Adams utracił oboje rodziców jeszcze we wczesnym dzieciństwie. Wraz ze swym młodszym bratem, Asherem Adamsem, wychowywał się w dzielnicach nowojorskiej nędzy. I stało się to, co się często w takich przypadkach dzieje. Stali się ulicznikami, a w wieku dziesięciu lat już nieletnimi przestępcami. A jednak nawet tak demoralizujące otoczenie i brak jakichkolwiek perspektyw nie zepchnęły Lucasa Adamsa na drogę zbrodni. Stało się nawet wręcz przeciwnie. Kiedy skończył dwadzieścia pięć lat, Lukę Adams zorganizował i uruchomił pierwsze kuchnie z bezpłatnymi posiłkami dla bezdomnych, najpierw w Nowym Jorku, a następnie i w innych miastach kraju. A kiedy miał trzydzieści pięć lat rozszerzył pole swej dobroczynnej aktywności na Amerykę Południową, ze szczególnym uwzględnieniem obszarów leżących w tropikalnej dżungli nad Amazonką.”

Na ekranie pojawiły się przygotowane do programu materiały filmowe. Pierwsze ujęcie przedstawiało widzianą z góry szeroką, wijącą się rzekę. Brzegi rzeki porośnięte były bujną roślinnością, tak gęstą, że miało się wrażenie, iż można by wędrować po szczytach tych rozłożystych drzew niczym po zielonych pagórkach.

„Jak olbrzymie i nie zbadane są te przestrzenie, niech świadczy fakt, że dopiero ostatnio odkryto tam nie znaną dotąd rzekę o długości przeszło trzystu kilometrów, przy czym odkryto ją wyłącznie dzięki satelitarnym zdjęciom tego rejonu Amazonii. I właśnie w tym bezkresnym i nie zbadanym obszarze Lucas Adams zaginął bez wieści przeszło trzy lata temu.”

Corey słuchała tego z zapartym tchem. Wciąż jeszcze nie ważyła się mieć nadziei, nie ważyła się myśleć...

„Droży państwo - mam przyjemność poinformować was, że Lucas Adams powrócił!”

- O Boże! - wyszeptała wstrząśnięta Corey. Ścisnęła ją w gardle, splecione palce zacisnęła tak mocno, że ostre paznokcie wbijały się w skórę. Czuła, że jej oczy wilgotnieją i zaczęła pospiesznie mrugać powiekami, żeby się nie rozpłakać.

Na ekranie tymczasem już pokazywano ujęcia z lotniska. Lądowanie samolotu, potem przebitka na dwóch mężczyzn, którzy pojawili się na czele całej grupy wysiadających.

- Ash! - wykrzyknęła mimo woli Corey.

Kamera nie dawała zbliżeń, ale Corey go rozpoznała. Z jej piersi wyrwał się nagły szloch, opanowała się jednak natychmiast. Otwartą dłońią zamknęła sobie usta i jak zaczarowana wpatrywała się w ekran telewizora.

„Tak więc - po trzech latach spędzonych wśród pierwotnych Indian - zmęczony, lecz szczęśliwy Lucas Adams wysiadł z samolotu na międzynarodowym lotnisku imienia Kennedy'ego.”

Kamera pokazała zbliżenie. W obiektyw patrzył wychudzony mężczyzna o jasnych, siwiejących włosach. To był Luke. Brat Asha. Musiał być bardzo wycieńczony, wyglądał na dużo starszego, niż był nim naprawdę.

„Zapytany, czy uważa, że można go porównywać ze słynnym niegdyś doktorem Livingstonem, Lucas Adams odparł: - Doktor L.Wingstone tak naprawdę nigdy nie przepadł w dżungli.”

Luke uśmiechnął się, mówiąc te słowa. Ten uśmiech był nieco smutny, ale serdeczny. Przypominał uśmiech brata, lecz bez dostrzegalnej u Asha goryczy.

- „Natomiast ja rzeczywiście przepadłem...”

Corey zdała sobie sprawę, że widzi coraz mniej ostro i pospiesznie otarła oczy wierzchem dłoni.

Kiedy patrzyło się na Luke'a, nawet w telewizji, można było odnieść wrażenie, że jego oczy zdradzają jego duszę. Można z nich wszystko wyczytać. W spojrzeniu Luke'a był cały świat, to była twarz Jezusa, człowieka, który ukochał wszystkich i wszystko, bez stawiania jakichkolwiek

warunków. Tak, ten człowiek dokonał wielkich rzeczy, a dokona zapewne jeszcze większych. Podobnie jak Ash.

Ash stał z tyłu, górując nad niższym i szczuplejszym bratem, i wyglądał... wyglądał... jak Ash. Jakby dopiero co zwałówał się z łóżka, na którym spał nie zdejmując ubrania. Powinien się być ogolić, przebrać się...

„Po prostu miałem niezwykle szczęście, że mój braciszek okazał się aż tak uparty...”

Głos Luke'a był łagodny, czysty, głos Asha schrypnięty.

„Lucas Adams został odnaleziony przez swojego brata, Ashera, który nigdy się nie poddał i nie stracił nadziei.”

Tak rzeczywiście było. Nie odrywając oczu od ekranu Corey sięgnęła poprzez stół po papierowe chusteczki. Wyciągnęła kilka i otarła sobie oczy.

Teraz kamera przesunęła się na Asha. Był chudszy. Tak, z pewnością musiał schudnąć, przecież obraz w kamerze zawsze raczej pogrubia. Wyglądał też na zmęczonego, ale przede wszystkim na szczęśliwego.

„Zapytaliśmy pana Ashera Adamsa, jakie to uczucie, kiedy wbrew całemu światu udowodni się, że miało się rację. Asher Adams odpowiedział: - To wspaniałe uczucie. Wspaniałe.”

Na zbliżeniu widać było, że niczego ponad to, co powiedział, już się po nim nie należało spodziewać. Zacisnął mocno usta i wysunął szczękę do przodu.

A Corey nagle zdała sobie sprawę, że Ash jest po prostu zdenerwowany i spięty. Nigdy go takim nie widziała. Był fascynujący.

„Asher Adams został okrzyknięty bohaterem. Ale on sam zareagował na tę etykietkę - łagodnie mówiąc - mało entuzjastycznie.”

Na zbliżeniu można było dostrzec, jak nerwowe napięcie w jego twarzy znika. Znajomy, kpiący i ironiczny uśmiech znów pojawił się w kącikach ust.

„Moim zdaniem takie gadanie, to jedno wielkie...”

Ostatnie słowo bohatera realizator zagłuszył piosenką, którym w telewizji zastępuje się słowa nieparlamentarne.

„Pan Asher Adams tak właśnie zechciał to określić - skomentował prezenter. - Czasami tego rodzaju wypowiedzi trafiają nawet do ksiąg historycznych.”

Odwrócił stronicę trzymany w ręku notatek i spojrzął w stronę kamery.

„Lucas Adams powiedział nam, że na razie ma dosyć dżungli i nie przewiduje natychmiastowego powrotu do Amazonii. Natomiast kiedy to samo pytanie zadaliśmy Asherowi Adamsowi, oświadczył, że zaraz po odwiezieniu brata wraca nad Amazonkę, ponieważ tam jest jego dom.

Tak więc, drodzy państwo, dzisiaj nasze wydanie wiadomości mogliśmy zakończyć w tonacji prawdziwie radosnej. Lucas Adams żyje, a Asher Adams pokazał, jak rzeczywiście można i trzeba być »stróżem i opiekunem brata swego«.

Życzę państwu miłego weekendu.”

Jeszcze przez dłuższą chwilę Corey wpatrywała się w ekran nie widzącymi oczami, wstrząśnięta i oszołomiona. I dumna. Niezwykle wprost dumna.

A więc może być i tak. Życie czasami potrafi dorównywać temu, co zdarza się tylko w filmach Disneya. Może pojawić się w nim rzeczywisty czarodziej czy dobra wróżka - jeżeli tylko dostatecznie mocno w to wierzymy.

## *Rozdział dwudziesty drugi*

Ash przejechał na lewy pas jezdni i mocniej nacisnął pedał gazu. Niewielki czterocylindrowy silnik natychmiast zadławił się i prawie zgasł, potem jednak udało mu się wejść na obroty.

Te wozy z wypożyczalni są beznadziejne.

Kątem oka spojrzął na mijanego Chevroleta 57. Jasne zimowe słońce odbijało się w błyszczących polakierowanych na szaro błotnikach i w lśniących chromach wiekowego modelu. W środku bardzo starego samochodu jechała para bardzo starych ludzi, którzy wybrali się zapewne na niedzielną małżeńską wycieczkę. Ot tak, żeby się niespiesznie przejechać, popatrzeć na okolicę.

Wszystko więc zdawało się wskazywać, że musi być już blisko rodzinnego miasteczka Lily. Ale kiedy już się tam znajdzie, to co właściwie, do ciężkiej cholery, ma jej powiedzieć?

Wyprzedził Chevroleta i ponownie zjechał na prawy pas jezdni. Czuł, że zaczyna się pocić. No właśnie, temperatura dobrze poniżej zera, a on się poci. Wszystko przez tę przeklętą zimową odzież. Nienawidził konieczności nakładania na siebie ciepłej bielizny i grubego zimowego ubrania. Po co ludzie w ogóle żyją w takim klimacie, gdzie trzeba na siebie włożyć kilkanaście dodatkowych kilogramów różnych łachów, żeby w ogóle móc wysunąć nos z ciepłego mieszkania?

Rozsunął suwak skórzanej lotniczej kurtki, a potem opuścił nieco boczną szybę, wpuszczając do środka trochę mroźnego powietrza.

Prawdę mówiąc, na samą kurtkę aż tak bardzo nie narzekał. To był model noszony jeszcze podczas drugiej wojny światowej przez pilotów ze słynnej

formacji Latających Tygrysów. Ash wygrał ją od kogoś w pokera kilka lat temu. Dobrze się w niej czuł, lubił dotyk miękkiego, wytartego już futerka, lubił też zapach starej skóry.

Ciekawe, czy Corey w ogóle będzie w domu?

Jako młody chłopiec zawsze chciał być pilotem w eskadrze Latających Tygrysów. Tyle że urodził się o trzydzieści lat za późno.

Dźwięk włączonego radia zanikał i znów się nasilał. Ash sięgnął do gałki i zaczął przeszukiwać pasmo, natrafiając kolejno na stacje nadające *country*, potem na muzykę z lat czterdziestych i wreszcie na jakąś stację rockową, układającą program według życzeń słuchaczy.

Przez chwilę pozostał przy tej stacji, słuchając znanego przeboju Neila Younga. Miał nadzieję, że dobra muzyka go uspokoi, że nerwy przestaną w nim dygotać.

W końcu zobaczył malowniczy znak drogowy oznajmiający, że wjechał właśnie do miasteczka Pleasant Grove w stanie Illinois. Przyhamował i zjechał z jezdni na żwirowe pobocze.

To był głupi pomysł, żeby tu przyjechać. Cholernie głupi pomysł.

Sięgnął po leżącą na półeczce paczkę papierosów, zmięta i już prawie pusta. Wybrał i zapalił najmniej zgniecionego papierosa, wyrzucił zapałkę za okno i zaciągnął się głęboko. Trzeba było podjąć decyzję.

Znów wjechał więc na jezdnię i z piskiem opon zrobił zwrot o sto osiemdziesiąt stopni. Przejechał chyba z pięć kilometrów w przeciwnym kierunku, potem zwolnił i ponownie zjechał na pobocze.

Nie, no nie może tak po prostu uciec. Powinien przynajmniej ją zobaczyć, kurczę blade! Upewnić się, że z nią wszystko w porządku. Tyle przynajmniej był jej winien. Przecież w końcu nie musi się nikomu przyznawać, że tylko po to, by z czystej uprzejmości spytać ją, jak się czuje, najpierw przez ileś tam godzin leciał z Nowego Jorku do Chicago, a potem jeszcze dołożył do tego ładnych kilkaset kilometrów w tej wynajętej w „Avisie” parodii samochodu.

Oczywiście, było to zakłamywanie się. Wmawianie sobie, że nic do niej nie czuje, nie mogło przecież być niczym innym. Ale to była także samoobrona. A tak naprawdę - sam nie miał pojęcia, po co tu przyjechał. Wiedział tylko, że to, co go tu ciągnęło, okazało się zbyt silne, by mógł się temu przeciwstawić.

Ale przecież, do ciężkiej cholery, nie po to jechał taki kawał drogi, żeby w końcu zwać stąd z podwiniętym ogonem.

Jeszcze raz zawrócił i ruszył w kierunku miasteczka.

Jednakże tym razem, przed samym wjazdem do Pleasant Grove, skrzył jeszcze do stacji benzynowej, by zapytać o drogę.

I od razu poczuł się niemal w samym środku prowincjonalnej, wiejskiej Ameryki. Tak to właśnie musiało wyglądać prawie w każdym miasteczku Środkowego Zachodu. Ash wyraźnie poczuł, że nie za bardzo mu to odpowiada. To nie dla niego, czuł się w tym wszystkim niewygodnie i obco - tak, jak mógłby się czuć w jakimś wypożyczonym, nie dopasowanym ubraniu.

Za pokrytym linoleum kontuarem stał wysoki i chudy szesnastolatek w żółtej baseballowej czapce i dżinsowej bluzie.

- Szukam farny państwa McKinney - powiedział Ash. - Wiesz może, jak tam dojechać?

Chłopak wzruszył ramionami. - To chyba gdzieś po tamtej stronie. Ale Slim na pewno będzie wiedział dokładniej, proszę go zapytać. - Trzymaną w rękę nie dopiłą butelką coli wskazał na kilku mężczyzn, grających w karty przy stole ustawionym obok pękatego piecyka. Jeden z nich, ubrany w roboczy kombinezon, podniósł wzrok znad kart.

- Jeżeli chciałby pan dziś obejrzeć bydło albo owce do kupienia, to nic z tego. Tu u nas każdy wie, że stary Les McKinney w niedziele nie rozmawia o interesach.

- Nie przyjechałem w interesach.

Teraz już wszyscy grający patrzyli na niego, nawet nie próbując ukryć zaniepokojenia.

No i dobrze, i niech sobie zgadują.

Mężczyzna w wypłowiałym kombinezonie znów się odezwał. - Trzeba jechać asfaltową drogą na południe aż do znaku z napisem „Okręg Jackson”. Wtedy należy skrzyć w lewo i jechać tak około półtora kilometra. Nie można nie trafić.

- Dziękuję.

Przed wyjściem Ash kupił jeszcze paczkę papierosów. Kiedy potem szedł obok trochę pordzewiałych pomp benzynowych, był pewien, że co najmniej kilka par oczu wpatruje się w jego plecy.

Farmę rzeczywiście nietrudno było odnaleźć, tak jak to zapowiedział Slim. Ash przyhamował obok umieszczonej na słupku skrzynki na listy i skręcił w wyspany grubym żwirem podjazd.

To był cholernie głupi pomysł z tym przyjeżdżaniem tutaj. Wręcz kretyński pomysł.

Ash wyłączył silnik i wysiadł z samochodu, zatrzasnąwszy za sobą drzwi. Zatrzymał się i przez chwilę przyglądał się domowi, który był piętrowy, pomalowany na biało.

I rzeczywiście, od frontu była wielka weranda. A także obowiązkowa w tym otoczeniu huśtająca się ława, zawieszona pod wystającym daszkiem, chroniącym od niepogody. Nie ma co, trafił dokładnie w sam środek świata, opisywanego w powieściach autorów w rodzaju miss Norman Rockwell.

Ash przejechał palcami po rozwichrzonych włosach. Pewnie należało ostrzec się przed przyjazdem. Tymczasem on nawet nie pamiętał, kiedy ostatni raz był u fryzjera. Wzruszył ramionami i powiedział sobie, że w końcu nie przyszedł po to, żeby zaprosić dziewczynę na sobotnią potańcówkę, nawet jeżeli tak właśnie się teraz czuł. Wsadził ręce do kieszeni kurtki, ruszył w stronę domu i zapukał.

Drzwi otworzyły się, ale za nimi wcale nie pojawiła się Corey ani też jej matka czy ojciec. Stał tam natomiast jakiś wyelegantowany facet. Nieskazitelnie odprasowana koszula, do tego zielony krawat, jasnożółty pulower i spodnie z grubego tweedu. I - o kurczę blade! - wytworne, skórzane pantofle ozdobione chwaścikami. Wyglądało na to, że Ash właśnie oderwał go od lektury „Gentleman Quarterly”.

A jeszcze bardziej denerwujący był wyraz twarzy tego faceta, który spoglądał na niego niemal jak na szczura, który wpełza ze swej nory pod kamieniem, żeby zwędzić ludziom coś do jedzenia.

Ash nagle doznał olśnienia: to musiał być ten jej Dudley. Wcale nie aż taki zapyziały mól książkowy, jak można było przypuszczać. Ani przyszczaty, ani szczególnie brzydki. Mimo całej niechęci Ash musiał przyznać, że facet był na swój sposób nawet przystojny - choć oczywiście i bezbarwny przy tym i na pewno nudny. Ale nie to było w nim najbardziej irytujące. Nie chodziło o jego wymuskany i przesadnie schludny wygląd, tylko przede wszystkim o pozę. Musiał być cholernym snobem.

Ash spotykał już takich facetów i szczerze ich nie cierpiał. Pewno



niektórzy młodzi lekarze po zaliczonej internie musieli przejść przez tę fazę. Pojawiała się w nich pycha, przekonanie, że są o co najmniej kilka kresek lepsi od wszystkich innych ludzi. Większość z nich później z tego wyrastała, byli jednak i tacy, którym pozostawało to już na całe życie.

Ogarnęło go przykre poczucie rozczarowania. Zdał sobie sprawę, iż gdzieś w głębi duszy miał nadzieję, że Lily jednak pozbędzie się Dudleya.

Wyjął ręce z kieszeni i pochylił się do przodu, opierając się dłonią o wymalowaną na biało framugę. - Zastałem Corey? - zapytał z fałszywą uprzejmością.

Oczy Dudleya zwięziły się. Zmierzył Asha od góry do dołu, oglądając kolejno zmierzwiłone włosy, skórzaną kurtkę i wytarte dzinsy. - Pani Corey McKinney nie przyjmuje klientów Opieki Społecznej w swoim mieszkaniu - powiedział. - Proszę się zgłosić jutro do biura.

Spróbował zamknąć drzwi, ale Ash natychmiast zastawił je barkiem, z najwyższym trudem powstrzymując się przy tym, by nie chwycić Dudleya za ten jego wytworny osiemdziesięciodolarowy krawat. - Nie zmuszaj mnie, żebym ci przyłożył.

Z dużą przyjemnością ujrzał, jak Dudley blednie i cofa się o krok w głąb mieszkania.

- Todd, kto to przyszedł?

To był jej głos. Ash uśmiechnął się do stojącego przed nim mężczyzny.

- Todd...?

Tym razem głos był bliżej. A potem otworzyły się drzwi i stanęła w nich - ona.

- Ash!

Patrzyła na niego tak, jak gdyby wciąż nie mogła uwierzyć własnym oczom. - Ash! - powtórzyła.

Ash opuścił rękę, opartą dotąd o framugę. O Dudleyu już w ogóle zapomniał. - Cześć, Lilijko - powiedział cicho.

Corey wyminęła zdumionego Todda i podbiegła do Asha, chwytając go za ręce i ściskając je mocno w swych drobnych dłoniach. Oglądała go od góry do dołu i jeszcze raz od stóp do głów, jakby nie mogąc się napatrzeć... aż wreszcie, ogromnie wzruszona, wykrzyknęła: - A więc jednak odnalazłeś Luke'a! Wygrałeś nawet z tropikalną dżunglą! Ash, tak się cieszę! I taka jestem z Ciebie dumna!... - Przełknęła ślinę. - Żałuję tylko, że mnie tam wtedy nie było...

Jej głos się załamał i Ash przez chwilę nawet się obawiał, że Corey się rozpłacze. Opanowała się jednak, zrobiła głęboki uspokajający wdech i znów uśmiechnęła się do niego. Nawet jeżeli jej oczy wciąż były zażawione, to już tylko trochę. - Nie masz pojęcia, jak się cieszę, że odnalazłeś brata.

Ash patrzył na nią i starał się nie pokazać, jak wstrząsnęło nim to, co zobaczył. Jak chwyciło go wprost za serce, za to samo serce, o którym jeszcze do niedawna skłonny był mówić, że w ogóle go nie ma. I że jest wręcz wstrząśnięty jej wyglądem. Wyraźnie schudła, była jeszcze szczuplejsza niż wtedy, kiedy ostatni raz widział ją w szpitalu. Jej podkrążone oczy wydawały się jeszcze większe w zestawieniu z bladością twarzy. Ale przede wszystkim zaskoczyło go to, co nagle dostrzegł w oczach. Coś, czego przedtem nigdy w jej spojrzeniu nie było, przynajmniej w stosunku do niego, i co go zaniepokoiło. To było coś dziwnego - jakby pogodzenie się albo może rezygnacja.

Jeżeli wtedy prosił George'a, by ją odwiózł i wsadził do samolotu natychmiast, jak tylko będzie się nadawała do podróżowania - to zrobił to przede wszystkim dlatego, że wierzył, iż u siebie i wśród swoich szybciej i pewniej wyzdrowieje. Tymczasem ona była równie blada jak tam, w szpitalu, w chwilę po usunięciu kuli, kiedy jeszcze się nawet nie ocknęła z operacyjnej narkozy.

Chciał ją wziąć w ramiona, utulić, mówić do niej czule, dowiedzieć się, dlaczego wygląda jak bezradne zbłąkane zwierzątko, dlaczego jej oczy przypominają oczy sierociego dziecka ze znanego plakatu. Ale nie mógł też nie widzieć, że tuż za nią wciąż stoi ten jej Romeo. Miał ogromną ochotę powiedzieć Dudleyowi, żeby się wyniósł, poszedł poczytać ostatnią tabelę kursów giełdowych lub coś w tym rodzaju. Ale też natychmiast uświadomił sobie, że ten facet bądź co bądź jest jej narzeczonym, podczas gdy on sam ledwie gościem, i to nawet nieproszonym.

Jej dłonie, które wciąż trzymały jego ręce, zdawały się zimne jak lód. - Powinnaś chyba wejść do środka - powiedział cicho. Spojrzył na Todda. Prawdę mówiąc, to raczej on powinien ją objąć i ogrzać. - Może lepiej już sobie pójdę.

- Jak to, pójdę? Nie możesz teraz nigdzie iść. Dopiero przyszedłeś. - Na policzkach Corey pojawiły się rumieńce. Ciągnęła go za rękę jak dziecko, chciała, żeby wraz z nią wszedł do środka.

Ale Ash wciąż się wzdragał. - Corey, nie sądzę, żeby to był dobry pomysł. Chyba nie powinienem być tu przyjeżdżać.

- Ależ ja się bardzo cieszę, że przyjechałeś. Wejdz do środka. Chciałabym, żebyś poznał moich rodziców. Proszę cię, Ash!

Jej oczy patrzyły błagalnie, a w głosie można było wyczuć nutkę nie udawanej desperacji. A on przecież dobrze wiedział, co to oznacza, kiedy człowiek jest zdesperowany, bliski rozpaczy.

Zebrał się na odwagę i wszedł za nią do środka.

ro co przyjechał tu Asher Adams? Po co?

Corey nie mogła uwierzyć, że Ash naprawdę siedzi w kuchni przy okrągłym dębowym stole wraz z jej rodzicami, między ojcem i Toddem. Je ciasto czekoladowe, upieczone przez matkę, i -jak to on - wręcz rozbijając do tego wszystkiego nie pasuje.

Musiałoby mu chyba bardziej na niej zależeć, niż przypuszczała. Tak, musiało mu na niej chociaż trochę zależeć.

Jej logicznie myśląca część umysłu starała się odsunąć tę wątlą iskierkę nadziei. Najpewniej przyjechał, żeby się upewnić, że z nią jest wszystko w porządku. W końcu to przecież dla niego była przeznaczona kula, która w nią trafiła.

Przez krótką chwilę była bliska paniki, kiedy zapytał o jej ramię. Opanowała się jednak i pospiesznie zapewniła, że z ręką już wszystko w porządku. I na tym sprawę zakończono.

- Doprawdy przepyszne ciasto - powiedział Todd, zwracając się do pani McKinney. Jego głos i spojrzenie było żywcem skopiowane z filmu z Eddie Haskellem.

Todd w rzeczywistości nie znosił czekolady w żadnej postaci, jednak przez wszystkie te lata udawało mu się oszukiwać panią Grace McKinney. Nie wiedział, że było odwrotnie. Matka Corey dobrze wiedziała, że go nie lubi. Ale zawsze go nim częstowała, traktując to jako niewinny, tradycyjny już żart.

- Cieszę się, Todd, że ci smakuje - powiedziała i usiadła między córką i mężem. - Dobrze wiem, jaki masz stosunek do czekolady. Ty i ona.

Ash popatrzył pytająco na Corey. - Co z tą czekoladą? Jaki masz do niej stosunek?

Corey najpierw spuściła oczy i patrzyła w talerz, potem jednak spojrzała na niego z niepewnym uśmiechem. - Ja... to znaczy... Podejrzewam, że rzeczywiście lubię czekoladę trochę za bardzo.

Ash zobaczył, jak Todd gestem posiadacza poklepał ją uspokajająco po ramieniu. Corey cofnęła ramię.

- Corey po prostu jest czekoladoholiczką - oświadczył tata McKinney i roześmiał się, rozbawiony jej miną.

Corey zauważyła, że ojciec niemal od razu polubił Asha. Czego oczywiście nie można było powiedzieć o Toddzie, ale trudno było się dziwić. Natomiast mama McKinney raz po raz spoglądała na Asha z wyrazem pewnego lęku przemieszanego jednak z wyraźną fascynacją. Corey nie mogła mieć tego matce za złe. Jej samej też nieraz zdarzało się spoglądać na niego właśnie w ten sam sposób.

Ash tym razem był ogolony i nawet miał na sobie czystą trykotową koszulę, spod której prawie nie było widać spłowiełego czarnego podkoszulka - ale i tak czuło się jego nieokiełznaną naturę, dziką i lekkomyślną. Ku zaskoczeniu Corey, dawało się to wyczuć nawet tu, w tak spokojnym i uładowanym otoczeniu.

Dotychczas myślała, że może Ash zmieni się trochę po odnalezieniu brata. Że stanie się łagodniejszy, bardziej miękki. Ale to chyba nie były właściwe przymiotniki w odniesieniu do niego. Przepełniająca go energia była po prostu częścią jego natury. Corey miała nadzieję, że po tych wydarzeniach Ash odzyska może jakiś spokój wewnętrzny. Ale na razie czuło się, że nadal ponosi go temperament.

- Pamiętam, kiedy oboje byliśmy jeszcze mali... - zaczął Todd.

Corey stłumiła westchnienie. Już trzeci raz w ciągu ostatniego kwadransu zaczynał opowiadać o tym, jak oboje byli mali.

- Corey chowała wtedy czekoladę, gdzie tylko się dało - ciągnął Todd.  
- Pamiętasz, jak wrzuciłaś rozpakowaną tabliczkę do mojego tornistra? A potem czekolada się roztopiła i zasmarowała mi wszystkie zeszyty z odrobionymi lekcjami. - Todd roześmiał się, a Corey pomyślała, że rzadko mu się to teraz zdarza, zwłaszcza ostatnio. A przecież kiedyś się tak śmiał. Nagle wydawał się Toddem z dawnych lat.

Corey też się roześmiała i kiwnęła potakująco głową. Tak, to było bardzo śmieszne. - Pani Jamison nie chciała ci uwierzyć, dopóki nie rzuciłeś

wysmarowanych czekoladą zeszytów na jej stół. A wtedy postawiła cię przed frontem całej klasy i kazała ci to wszystko zjeść.

Może to dlatego Todd tak nie znosił czekolady, pomyślała Corey i roześmiała się.

Todd też się śmiał, a raczej uśmiechnął.

Przez ostatnich kilka tygodni Corey łudziła się, że może doszli z Toddem do jakiegoś porozumienia. Okazywało się jednak, że Todd najpewniej w ogóle nie słuchał tego, co wtedy do niego mówiła. W każdym razie teraz jawnie zaznaczał swoje prawa do niej, najwyraźniej chcąc pokazać Ashowi, do kogo należy Corey.

- Jak rozumieś, pan jest anestezjologiem - powiedział Ash, tym samym kpiąco uprzejmym tonem, którym zawsze zwracał się do Todda.

- Tak jest - odpowiedział niechętnie Todd.

- Znałem kiedyś pewnego anestezjologa... - Z wyrazem pewnego zamyślenia przeniósł wzrok z twarzy Todda na zasłonięte białą firaneczką okno nad zlewem. Miał taki wyraz oczu, jak gdyby zastanawiał się, w jaki sposób zacząć dosyć ryzykowną opowieść.

Corey nie wytrzymała. - Ash! - powiedziała na wpół prosząco, na wpół ostrzegawczo. Nie zapomniła przecież opowiadania o anestezjologu usłyszanego zaraz pierwszego dnia jej pobytu w Amazonii. Nie dało się zapomnieć opowieści tak dosadnej i nieprzyzwoitej.

Ash przestał się wpatrywać w firankę na oknie i przeniósł teraz na Corey spojrzenie niewinnego dziecka. Uśmiechnął się uspokajająco - co zresztą wcale jej nie uspokoiło - a potem znów zwrócił się do naburmuszonego Todda.

- Zostawmy anestezjologów - powiedział, a Corey odetchnęła z ulgą, jako że przynajmniej na razie wysoce nieprzystojna anegdota o anestezjologu im nie zagrażała. - Rozumiem, że i pan niezbyt chętnie rozmawia na tematy zawodowe, kiedy już uda się panu wyjść ze szpitala. Ale proszę mi powiedzieć, jakie wy tu możecie mieć rozrywki we dwoje, w tej okolicy?

Todd zacisnął wargi i odpowiedział raczej chłodno: - No cóż, mój rozkład zajęć zazwyczaj jest dosyć napięty. Prawdę mówiąc, nie mam za dużo wolnego czasu. A i Corey jeszcze nie wróciła do sił po tej bezsensownej podróży do Amazonii.

Słowo „Amazonia” wypowiedziane było z nie ukrywaną pogardą. Todd wymawiając je miał taką minę, jak gdyby właśnie chciał wypluć coś obrzydliwego.

Ale Ash nawet nie mrugnął okiem, co wydawało się dosyć dziwne, zważywszy jego wojowniczy temperament. Corey miała niepokojące przecucie, że Ash coś zamierza i tylko czeka na odpowiednią chwilę.

- A więc, nie macie za wiele wspólnych rozrywek?

- No, w zeszłym tygodniu byliście przecież na kolacji w takim lokalu, gdzie dają przedstawienia - poddała pani McKinney.

- Ooo! - powiedział uprzejmie Ash, a Corey wyczuła w jego głosie satysfakcję myśliwego, który widzi, jak zwierzyna zbliża się do zastawionej pułapki. - A więc kolacja we dwoje z przedstawieniem? No proszę.

Ash założył rękę za oparcie krzesła ze swobodą, która mogłaby zadziwić Corey, gdyby nie wiedziała, że to wszystko jest tylko zagrane. Zbyt dobrze czuła w nim wewnętrzne napięcie, a w jego spojrzeniu znów dostrzegła ledwie widoczną, znajomą iskierkę. Była już pewna, że Ash szykuje się, żeby się zabawić kosztem Todda. No cóż, Todd sam sobie był winien, nie powinien był tak pogardliwie wyrażać się o Amazonii.

- Wie pan, ja też raz byłem na kolacji połączonej z przedstawieniem.

- Głos Asha był podejrzanie gładki i uprzejmy, ale Corey wiedziała, że to tylko dymna zasłona.

Ona sama zdążyła się już przyzwyczać do prowokacyjnie bezczelnych tekstów Asha i mało co mogło ją jeszcze zaszokować. Ale co na to powie Todd, nie mówiąc już o nic nie podejrzewających rodzicach, a zwłaszcza o biednej, naiwnej mamie?

- Bardzo ciekawe przedstawienie, naprawdę. W tym lokalu na samym środku ustawiony był ring i podczas jedzenia można było patrzeć, jak gołe kobiety biją się w błocie.

W kuchni nagle zrobiło się tak cicho, że można było słyszeć tykanie zawieszzonego na ścianie nad zlewem zegara.

- One nie miały na sobie kompletnie nic, jeżeli nie liczyć samego błota. Ale za to znały cholernie świetne chwytty zapaśnicze. Stoliki, zwłaszcza te blisko ringu, zawsze były zajęte na wiele dni naprzód.

Corey nieomal fizycznie poczuła szok, który wstrząsnął siedzącą obok matką. Od strony ojca dało się słyszeć jakieś zduszone prychnięcie, ale nie miała odwagi tam spojrzeć, bo sama ledwie mogła ukryć śmiech. Z gatunku tych, które czasami ogarniają człowieka na przykład w bibliotece, gdzie obowiązuje cisza, albo w zatłoczonej windzie, gdy nagle stoi się nos w nos

z jakąś kompletnie obcą osobą. Corey przygryzła wargi i spróbowała skupić się na cieście. Na talerzyku leżał jeszcze spory kawałek, z blisko centymetrową warstwą pysznego kremu ułożonego w zmyślne zawijasy. Mama McKinney miała specjalny przyrząd do wyciskania takich ozdóbek.

Corey czuła, że powinna coś zrobić, jakoś zareagować. Ale zamiast tego nałożyła sobie jeszcze jeden kawałek ciasta.

Ash tymczasem nie zamierzał poprzestawać na tym, co już osiągnął).  
- A ty, Todd, chodzisz czasami na takie przedstawienia?

- Bardzo śmieszne - skrzywił się Todd.

Ale to, że Todda takie widowiska nie bawiły w najmniejszym nawet stopniu, najwyraźniej tylko podbechtało Asha. - Daj spokój, Todd. Nie powiesz mi, że przynajmniej czasami nie zdarzyło ci się pójść na film z mocno rozebranymi damami.

Todd zachował stoicki spokój i tylko westchnął, mniej więcej tak, jak się wzdycha, daremnie próbując zapanować nad nadmiernie aktywnym dzieckiem. - Nie.

- Do lokali też za często nie chodzicie, jak rozumiem. To co wy właściwie robicie, ty i Corey? Siedzicie w domu i gracie w bingo?

Corey nagle zakrztusiła się przełykanym właśnie ciastem. Jej matka natychmiast zaczęła ją klepać dłońią po plecach. Nie wiedziała, oczywiście, że zamiast przynieść tym ulgę, zwiększa tylko cierpienie córki, raz po raz potracając ledwo zagojoną ranę.

Starając się nie pokazywać zażawionych od bólu oczu, Corey na oślep sięgnęła po szklankę z mlekiem. Czubkami palców poczuła chłodne szkło i poprzez wzbierające pod powiekami łzy zobaczyła, że to Ash podsunął szklankę w jej stronę. Sięgnęła po jednorazową chusteczkę i przycisnęła ją do oczu, a potem spojrzała w jego stronę. Kąciki jego ust uniosły się lekko, ale rodzący się uśmiech zdawał się nie docierać do stalowoszarych oczu. Corey zaczęła się zastanawiać, co takiego zrobiła, że wywołało to jego gniew.

- W przypadku zakrztuszenia nie należy uderzać w plecy, chyba że pokarm utkwiał w tchawicy i poszkodowany nie może oddychać - powiedział Todd do wciąż pochylonej nad córką pani McKinney.

- Nie wiedziałam. Dobrze się już czujesz, kochanie? - Pani McKinney zaniechała niewczesnej pomocy, ale wciąż przyglądała się córce z niepokojem.

Corey wypijała kilka łyków mleka i otarła usta. - Już dobrze, mamo. Już

wszystko w porządku - wydukała. Pospiesznie pochwyciła serwetkę i zaczęła zgarniać rozsypane okruchy. - Przepraszam, że narobiłam tyle zamieszania - powiedziała. Przez cały czas czuła, jak palą ją zaczerwienione policzki. Krew intensywnie pulsowała w żyłach, w skroniach czuła jej przyspieszone uderzenia.

A tymczasem Todd wciąż nic nie rozumiał. - Czy my z Corey grywamy... w bingo? - powtórzył.

- Tak, w bingo. To bardzo ciekawa gra, zwłaszcza we dwoje. W każdym razie my z Corey graliśmy parę razy, w czasie jej pobytu nad Amazonką. I mogę powiedzieć, że wręcz się do tego zapaliła. Spodobało jej się.

Corey pospiesznie odwróciła się w stronę zlewu, by nie można było z wyrazu twarzy wyczytać jej myśli. Czuła, jak jej dłonie mimo woli zwijają się w pięści. Niby ona się do tego zapaliła! Owszem, teraz się zapaliła. Żeby go zabić albo udusić!

Gniewnym ruchem odkręciła kran aż do końca i podstawiła serwetkę pod tryskający z wielką siłą strumień wody, opryskując własny sweter. Potem równie gniewnie zakręciła kran. Nie była tak wściekła już od... chyba właśnie od pobytu w Ameryce Południowej. No tak!

Powiedział, że ona się zapaliła!

Przecież wszyscy musieli natychmiast zrozumieć, o czym mówił. To było tak oczywiste.

- Nigdy mi nie mówiłaś, że tak lubisz bingo - powiedziała Grace McKinney tonem wyrzutu, a Corey popatrzyła na nią i poczuła się winna. Wykręciła serwetkę z siłą wystarczającą skrócić kark Asherowi Adamsowi.

- To nic takiego, mam - starała się mówić spokojnie. - Wcale mi nie zależy na takich grach.

Ale matka przyjmowała wszystko w dobrej wierze. - Gdzieś tu mieliśmy pudełko ze wszystkim, co potrzebne do gry w bingo. Dlaczego nie mielibyśmy zagrać?

Z ust Todda wydobyło się stłumione westchnienie.

Corey obróciła się na pięcie. - Mamo, daj pokój. Naprawdę nie ma sensu grać w to właśnie teraz.

- A dlaczego nie? - zapytał Ash. Patrzył teraz prosto w oczy Corey, światło odbijało się migotliwymi iskierkami w jego szarych źrenicach. - Znudziłaś się już tą grą? Często w to grałaś, od kiedy wróciłaś? - Przez cały czas Ash nie spuszczał z niej wzroku.



Dlaczego jej to robił, dlaczego był tak złośliwy? Nie umiała tego zrozumieć, ale poczuła, że musi mu powiedzieć prawdę, że to jest z jakiegoś powodu ważne, żeby wiedział.

- Nie, Ash - powiedziała. Uparcie wpatrywała się we wciąż trzymaną w rękę mokrą serwetkę, ale potem podniosła wzrok i wytrzymała jego spojrzenie. - Nie grałam w to. Ani razu.

Z największym zainteresowaniem przysłuchiwał się tej rozmowie ojciec Corey. Spoglądał uważnie to na córkę, to znów na Asha. W końcu zatarł dłonie. - No to zagrajmy partyjkę. - Uśmiechnął się, a zaskoczona Corey pomyślała, że ojciec ma teraz minę równie zadowoloną jak Ash.

Pani McKinney zaczęła rozdawać grającym karty do bingo, a Corey wszelkimi siłami powstrzymywała się, żeby nie wybuchnąć śmiechem na widok miny Todda. To jego zaskoczenie i zbulwersowanie, by nie powiedzieć - zgroza! Corey nie miała wątpliwości, że dla Todda bingo było grą zbyt prostacką i prymitywną. Ale wiedziała też, że Todd nie odejdzie, dopóki nie wyjdzie też Ash. Ta sytuacja stawała się coraz bardziej śmieszna. Niczym w znanym serialu z Lucille Bali „Kocham Lucy”.

- Nie wiem, gdzie się podziała kasetka ze znacznikami - oświadczyła pani McKinney. Zamiast nich przyniosła ze spiżarni kolbę kukurydzy i kciukiem wyłuskała kupkę ziarenek przed każdym z uczestników gry. - Kukurydza też się do tego nada. Trzymamy trochę takich nie oczyszczonych kolb, żeby zimą karmić nimi wiewiórki.

Corey widziała, że siedzący obok Todd kręci się i wzdycha. Ash wziął do ręki pojemnik, w którym były drewniane krążki oznaczone liczbami, i zaczął nim potrząsać. - Ja będę wywoływał numery, a wy zaznaczajcie. - Jeszcze raz potrząsnął pojemniczkiem, wyrzucił pierwszy krążek na dłoń i głośno odczytał numer.

Po kwadransie okazało się, że pani McKinney wygrała jedną grę, a Ash trzy.

Corey zauważyła, że jej mama już przestawała bać się Asha i nawet śmiała się z niektórych jego żartów - na szczęście w miarę przyzwoitych.

Ledwie zaczęli następną grę, gdy Ash wykrzyknął: - Bingo!

- Jak to możliwe? - zapytała Corey. - Przecież wywołałeś zaledwie sześć liczb?

Ash przesunął swoją kartę w jej stronę i wskazywał kolejne liczby długim, opalonym na brąz palcem. - Możesz sama zobaczyć.

Wszystkie liczby się zgadzały.

- Jak w pysk strzelił. Linia pozioma! - oświadczył z komicznie przesadną dumą.

- No, bracie...! - roześmiała cię Corey i przesunęła kartę z powrotem do Asha.

Ash uśmiechnął się i niebezpiecznie odchylił się w krzesło do tyłu, sięgając po paczkę papierosów, którą wcześniej wetknął sobie za kołnierz. Potem zaczął się klepać po kieszeniach, aż wreszcie znalazł wymięty kartonik zapalek.

- Co ci się tym razem nie podoba? - zapytał Corey, która mu się przyglądała, z miną niby niewinna, ale jednocześnie prowokująca.

Corey nawet nie zdawała sobie sprawy, że mu się tak jawnie przygląda. Nie za bardzo wiedząc, co powiedzieć, spojrzała na papierosy i zapytała:

- Masz zamiar palić to okropieństwo?

Ash leniwie sięgnął po papierosa, zapalił i - swoim zwyczajem - zgasił zapalstkę potrząsając nią w powietrzu. Potem podniósł wzrok i spojrzał prosto w jej oczy. - Zawsze muszę zapalić po dobrej grze w bingo.

## *Rozdział dwudziesty trzeci*

Corey sama się dziwiła, że aż tak może się śmiać. Ostatnio prawie w ogóle się nie śmiała, a na pewno nie tak serdecznie i szczerze. I nagle zdała sobie sprawę, że to zasługa Asha. To dzięki niemu wszystko znów zaczynało być żywe i kolorowe.

Wiedziała od dawna, że w stosunku do Asha rzadko kiedy potrafiła zdobyć się na uczucia umiarkowane i ułożone. Po prostu Ash miał w sobie coś takiego. Przy nim, kiedy już się człowiek śmiał, to śmiał się całym sercem, a jeżeli płakał, to też bez opamiętania.

Przy nim czuła się tak, jak ta mała Dorotka ze znanej opowieści dla dzieci, która otwiera wrota wiejskiego gospodarstwa i rozszerzonymi ze zdziwienia oczami patrzy na jasny, kolorowy świat, który tam na nią czeka.

Ciągle jeszcze grali w bingo. Corey zorientowała się, że w samej grze trochę się już pogubiła. Nadal siedziała przy stole, ale myślała już o czymś zupełnie innym. Przede wszystkim próbowała sobie przemyśleć to, co się wydarzyło. Wiedziała już na pewno, że oszukiwała się, próbując sobie wmówić, że wszystko układa się pomyślnie, że jej życie nadal rozwija się według rozsądnego planu. Tymczasem po prostu tkwiła w miejscu, a ostatnie tygodnie równie dobrze mogłaby przeżyć jak w jakiejś zapaści.

Teraz natomiast czuła i radość, i zakłopotanie, i pień. Wystarczyło, że Ash przyjechał, a natychmiast zbudziły się wszystkie drzemiące w niej uczucia. Czuła też coś jeszcze - lęk. Bała się przede wszystkim tego, co musiało się stać już niebawem. Wiedziała, że Ash wyjedzie równie nagle jak przyjechał, a ona - niczym owa Dorotka z opowieści - będzie musiała powrócić do swego czarno-białego świata.

Wyciągnęła rękę i wskazującym palcem poprzestawiała ziarenka kukurydzy na swej karcie, porządkując je w układ geometryczny z samych prostych linii. To oczywiście nie było zgodne z regułami gry. W grach obowiązywały pewne zasady, ale czy można było to samo powiedzieć o miłości? Miłość powinna być czymś dobrym, ciepłym i czułym. Skąd więc nagle tyle skaleczeń, tyle bólu? Rzecz jasna, wszystko wyglądałoby zupełnie inaczej, gdyby to była miłość odwzajemniona. W niej też pewnie nie obywałoby się bez bólu, ale to byłby inny ból. Inne, dużo lepsze, byłyby też skutki.

- Kochanie, w ogóle nie uważasz - powiedziała pani McKinney. - Znowu nie sprawdziłaś ostatnich dwóch liczb.

- Tak, możliwe... Przepraszam.

To dało Toddowi okazję, by grzecznie się wycofać. Odsunął swą kartę na środek stołu. - Z wielką przykrością przerywam tę interesującą grę, ale muszę już iść - powiedział, spoglądając na zegarek. - Za godzinę mam być w szpitalu.

- Wielka szkoda - mruknął Ash.

Todd zignorował te słowa i zwrócił się do Corey. - Zechcesz mnie odprowadzić do wyjścia?

Corey w zamyśleniu wpatrywała się w długie, szczupłe palce Asha, zbierające krawki z numerkami i wrzucające je do pudełka.

- Corey! - powtórzył Todd, trochę głośniej.

Z pewnym oporem przeniosła wzrok z rąk Asha na twarz Todda. Wiedziała, że jest poirytowany. Wreszcie dotarło do niej to, co powiedział. - O, tak, oczywiście. Odprowadzę cię.

Ledwie po paru krokach, kiedy z kuchni nie można było już ich słyszeć, Todd zaczął mówić. Widać było, że jest zawiedziony i sfrustrowany. - Wiesz, prawdę mówiąc, już się prawie pogodziłem z tym, że nie chcesz wyjść za mnie. Takie rzeczy się zdarzają i ja to rozumiem. Ale po dzisiejszym dniu muszę ci powiedzieć, że jestem wręcz zakłopotany.

- Todd, bardzo cię proszę. Nie tu i nie teraz. - Corey nacisnęła klamkę drzwi.

- To przez niego, prawda? - Kiwnął głową w stronę kuchni. - To on jest powodem, że nie chcesz już wyjść za mnie, tak?

Poprzez nie domknięte drzwi kuchni Corey słyszała stłumione odgłosy ożywionej rozmowy ojca i Asha, a zaraz potem głośny wybuch ich śmiechu. Najwyraźniej dobrze im się ze sobą rozmawiało. - Todd, to nie jest takie proste. Ja się zmieniłam. Nie jestem już tą osobą, jaką byłam.

- Daj spokój. Powiedz mi, czy ty jesteś ślepa? Nie widzisz, co to za gatunek? Facet, który zawsze przegrywa. Niemożliwe, żebyś tego nie widziała.

- Nieprawda, że zawsze przegrywa. Nie znasz go tak, jak ja go znam.

- No, z całą pewnością nie - powiedział Todd z jawnym sarkazmem.

Corey za wszelką cenę nie chciała dopuścić do niemiłej rozmowy, a może i sceny. - No a jeżelilibym ci powiedziała, że go kocham?

- Wtedy ja musiałbym ci powiedzieć, że coś ci się poplątało. - Wyciągnął rękę i delikatnie położył je na jej ramionach. Patrzył na nią, a jego jasnyniebieskie oczy były pełne powagi. - Corey, opamiętaj się, zastanów się, co ty mówisz. Nikt nie zakochuje się w tak krótkim czasie, coś takiego najzwyczajniej się nie zdarza.

No cóż, Todd po prostu tego nie wiedział i tyle. - Ja też dotąd tak myślałam. Ale przekonałam się, że to jednak jest możliwe.

Miała nadzieję, że kiedyś może i on się o tym przekona.

Todd westchnął ciężko i zdjął dłoń z jej ramion. - Posłuchaj, Corey, nie chciałem ci tego mówić, ale ten twój przyjaciel tam w kuchni oszukuje w grze. Pomyśl sobie. Jakim człowiekiem trzeba być, żeby oszukiwać w bingo?

Corey musiała się pilnować, żeby się nie uśmiechnąć i nadal wyglądać poważnie. - Naprawdę oszukiwał?

- Sam widziałem. Ostatnią grę powinienem wygrać ja, ale on wyciągnął numerek, który wcześniej ukrył w dłoni.

- Tak zrobił? - Corey nie potrafiła już dłużej powstrzymać uśmiechu. Jakież to było typowe dla Asha!

Tymczasem Todd nie widział w tym nic śmiesznego. Czyżby traktował teraz siebie aż tak poważnie? A może zawsze taki był, tylko ona tego nie zauważała?

To wszystko zdawało się jej bardzo dziwne. Przecież gdyby nie pojechała nad Amazonkę i nie spotkała Asha, najpewniej byłaby w pełni zadowolona z życia z Toddem. Nawet jeśli od czasu do czasu pojawiałyby się w niej przelotne poczucie pustki. Zdarzało się to już wcześniej, jednak dopiero teraz wiedziała, co to było. To tęsknota za tym, czego się nigdy nie poznało, chęć wyruszenia gdzieś drogą, którą się nigdy dotąd nie chodziło.

- Zegnaj, Todd - rzekła Corey i otworzyła drzwi.

- Corey, po prostu nie mogę w to uwierzyć...

- Todd, bardzo cię proszę. I tak jest mi wystarczająco przykro. Nigdy nie chciałam sprawić ci bólu, uwierz mi.

Pomyślała o wszystkich latach, które spędzili razem, o wspomnieniach, które przecież tak ich wiązały. - I uwierz mi, że tak będzie lepiej dla nas obojga. - Jej głos, początkowo dość pewny, pod koniec przeszedł w niewyraźny szept.

Todd chciał jeszcze coś powiedzieć, najpewniej chciał ją przekonywać, ale zrezygnował, a jego niebieskie oczy nabrały wyrazu zdecydowania. Zdała sobie sprawę, że i on usiłuje ją zrozumieć. Odniosła też wrażenie, a może jej się przywidziało, że Todd jakby w jednej chwili wydorósł. Zaciśnął usta i skierował się do wyjścia. Już zamykał za sobą drzwi, ale jeszcze odwrócił się i zapytał: - A co ja powiem ludziom?

- Po prostu powiesz im, że zmieniliśmy zdanie. To wszystko.

To wszystko. Oczywiście, to wcale nie wszystko. To się tylko tak gładko mówi.

Furtka zatrzasnęła się i to już był koniec. Corey oparła czoło o zimne drewno framugi i starała się o nim nie myśleć. Nie pamiętać o tych niezliczonych fotografiach, leżących w różnych szufladach. Fotografiami z różnych lat, poczynając od bardzo starych i już trochę zniszczonych, na których można było zobaczyć jasnowłosą dziewczynkę i wszędzie jej towarzyszącego ślicznego chłopczyka o niebieskich oczach.

Może kiedyś, w przyszłości, znów się spotkają. Todd pozna kogoś odpowiedniego, ożeni się z kobietą, która będzie go podziwiać i kochać, która będzie przekonana, że właśnie Todd jest najmądrzejszym i najprzystojniejszym lekarzem na świecie. Może wtedy sobie o tym porozmawiają i powspominają.

Ale teraz to odrywanie się od przeszłości było bolesne. Bardzo...

- No to co, kiedy odbędzie się wielka uroczystość?

To był głos Asha.

Odwróciła się i spojrzała na niego. Był już w kurtce.

Serce Corey zaczęło łomotać w nagłym przerażeniu, tak że nie dotarł do niej sens jego pytania. Wiedziała tylko, że Ash wyjeżdża. A ona stoi w drzwiach i pozwala, żeby mężczyzna jej życia tak sobie po prostu odszedł.

Nie będzie go prosić, żeby został dłużej. I nie będzie go prosić, żeby ją zabrał ze sobą. Tam, nad Amazonkę.

Pewno w przyszłości, kiedy już będzie tak stara, że wewnętrzny chłód będzie ją zmuszał do noszenia ciepłych swetrów nawet podczas gorącego lata, miejscowe dzieci będą szeptać o niej za jej plecami, chichocąc nerwowo,

żeby ukryć lęk przed starą panną. A ona będzie sobie wtedy powtarzać: - To przez ciebie, Ash. Przez to, że byłeś taki, jaki byłeś.

Natomiast teraz rzekła co innego: - Todd mówił, że oszukiwałeś przy bingo. I że dlatego wygrałeś tyle gier.

- Tak ci powiedział?

- Tak. Widział, jak ukrywasz numerki w dłoni.

- Musiałem wyjść z wprawy - powiedział Ash. Na jego szczupłej twarzy nie dostrzegało się nawet śladu zaambarasowania.

- Wyjeżdżasz. - To było stwierdzenie, nie pytanie. Nie miała szans wypytać go o Luke'a, o George'a... ani o Bobbie'ego.

- Spodziewam się, że lokalna prasa ogłosi szczegółowe sprawozdanie z mojej wizyty w tym mieście. - Ash wzruszył ramionami, a Corey nagle poczuła znajomy zapach kabiny jego samolotu, z ulotnym odcieniem tropikalnej stęchlizny... I czegoś jeszcze, co sprawiało, że nagle ogarnęła ją dojmująca tęsknota. Tak bardzo chciała wrócić tam... jak do domu.

- W każdym razie na stacji benzynowej paru facetów gapiło się na mnie z zainteresowaniem - kontynuował Ash. - Wprost umierali z ciekawości, kim też mogę być i po co tu przyjechałem.

A więc Ash był tam, na tej ich starej stacji benzynowej? Corey uśmiechnęła się bezwiednie. - I co, twoim zdaniem, ta nasza gazeta powinna napisać?

Wprawdzie wiedziała, co jej odpowie, ale postanowiła zapytać go wprost.

- Po co tu przyjechałeś?

- Żeby zapytać o stan zdrowia niejakiej miss Corey McKinney.

- I stwierdziłeś, że jest już w pełni wyleczona i funkcjonuje normalnie?

- No taak... - w jego potwierdzeniu można było wychwycić prawie niedostrzegalne wahanie. - W sumie chyba wszyscy byli zadowoleni.

Wszyscy byli zadowoleni, akurat, pomyślała gniewnie Corey. To nie było w porządku z jego strony, tak sobie po prostu przyjeżdżać. Bo teraz także i tu, w domu, zostaną po nim jakieś cienie, ślady w pamięci. I będzie jeszcze gorzej niż przedtem, ponieważ wszystko będzie go jej przypominało - także i tutaj. Dotąd czuła tylko otępienie, teraz to znów będzie ból.

Musisz go pożegnać i pozwolić mu iść. Przecież on tylko na to czeka, więc po prostu pozwól mu odejść...

Próbowała w myślach ułożyć jakieś nic nie znaczące zdanie, gdy nagle z głębi domu przyszedł ojciec.

- Pomyślałem sobie, że może zechciałybyś pokazać gościowi nasze obejście? Na przykład owczarnię... te jagnięta, które musimy karmić z butelki...  
- Głos ojca brzmiał jak na niego nazbyt niewinnie. Uśmiechał się, a w dłoniach trzymał przygotowane butelki z mlekiem.

Tak, mech tak będzie. Niech Ash pozna ich życie i niech zostawi jeszcze więcej śladów po sobie. Wszędzie.

Przypomniała sobie, że Ash kiedyś poddawał w wątpliwość, czy kiedykolwiek w życiu naprawdę doiła kozę. - Czy karmiłeś kiedyś jagnięta z butelki?  
- zapytała.

- Nie - odpowiedział. Podejrzliwie przyglądał się butelkom z nasadzonymi na nie smoczkami z czarnej gumy. - Nigdy dotąd niczego takiego nie robiłem.

Ojciec Corey włożył ciepłe od podgrzanego mleka butelki w dłoń Asha.  
- No to idźcie i nakarmcie je. - Z nieprzeniknioną miną patrzył gdzieś w przestrzeń poza nimi. - Bo my z mamą jedziemy teraz do kościoła, gdzie ojciec Michael będzie mówił do starszych parafian na temat współczesnej interpretacji Biblii. Nie możemy tego opuścić.

Co było łągarstwem największym z możliwych. Corey doskonale wiedziała, że ojciec Michael od lat próbował ściągnąć jej ojca na wykłady o Biblii - bez żadnego skutku.

- Rozumiem - powiedziała Corey. - I podejrzewam, że potem jeszcze zabierzesz mamę na tańce?

Ojciec nigdy nie tańczył, wręcz nie znosił tańczenia i zawsze mówił, że człowiek wygląda przy tym jak głupek. Ale teraz...

- Wiesz, że chyba tak - powiedział. - Chyba ją zabiorę.



## *Rozdział dwudziesty czwarty*

Promiennik podczerwieni w kształcie wielkiej żarówki sprawiał, że wnętrze małego stanowiska dla jagniąt w środku większego budynku było jasne i ciepłe. Pachniało tam trawą, sianem i owczą wełną. Słodka woń lucerny unosiła się ku krokwiom, przypominając o lecie, które minęło, i o tym, które miało nadejść.

Corey karmiła jagnię, ale niemal przez cały czas patrzyła na Asha. Przyglądała się, jak z wielkim przejęciem karmi to malutkie stworzenie i czuła, że na ten widok serce jej topnieje. Ogarnął ją żal, wielki, tęskny żal za tym, co nigdy nie mogło się ziścić. Za tym, czego nigdy nie poznają, nie przeżyją wspólnie, nie będą dzielić ze sobą.

Ash był gwałtowny i nieokrzesany, ale był też czuły i delikatny. Miło jej było pomyśleć, że jest jedną z tych nielicznych osób, które miały możliwość poznać go od tej dobrej strony.

Oczywiście, on sam pewnie by się śmiał, gdyby się dowiedział, co ona o nim myśli. Ale to była prawda. Asher Adams miał piękną duszę.

I znów uderzyło ją, jak bardzo - mimo wszystko - wydawał się tu nie na miejscu. To nie był jego świat. Nie dlatego, że nie pasował do farmy, bo z całą pewnością mógłby dobrze pracować na roli. Ale Ash po prostu nie mógł należeć do świata, gdzie wszystko było szare, gdzie nie było intensywnego życia. Nie mógł mieszkać w miejscu, gdzie chłód przenikał człowieka aż do kości, odbierał całe wewnętrzne ciepło i energię, nic nie dając w zamian.

Ash należał do świata, gdzie zawsze było parno, gorąco, gdzie wszystko zieleniło się i kwitło, buchało życiem. Rozpasanym życiem.

Ash musiał poczuć jej spojrzenie na sobie. - Co się stało? - zapytał niepewnie. - Czy robię coś nie tak?

- Nie - uśmiechnęła się Corey. - Pomyślałam tylko, że to całe otoczenie nie za bardzo do ciebie pasuje. To chyba nie twój żywioł, prawda?

- Kiedyś pracowałem na farmie.

- Tak? - zapytała Corey, nie bardzo przekonana, czy ma mu wierzyć.

Na zewnątrz dało się słyszeć trzaśnięcie drzwi samochodu, a potem odgłos uruchamianego silnika. Opony zapiszczały przy skręcie na żwirze przemieszonym ze śniegiem i lodem. To jej rodzice wyjeżdżali do kościoła.

Jagniątko wysało z butelki ostatnią kroplę mleka i zaczęło trącać pyszczkiem w kolana Asha, domagając się więcej. Ash pogłaskał je po miękkim kędzierzawym łebku. - Muszę przyznać, że dla mnie to miejsce byłoby dużo atrakcyjniejsze, gdyby teraz było porządne, gorące lato.

- Nie lubisz zimna?

- Cholernie. Ujmijmy to może tak, że nie przepadam za przebywaniem w okolicach, gdzie nie można wytknąć nosa za próg, żeby nie narazić się na odmrożenie wszystkiego.

- Bardzo rozsądna postawa.

To już właściwie była zwykła rozmowa towarzyska. Może nie zupełnie taka, jak te, które prowadzi się w sklepie na rogu, ale różnica nie była aż tak wielka. A jagnięta były nakarmione i na dobrą sprawę Asha nic już nie zatrzymywało.

Odeszli od jagniąt i od przyjemnie grzejącej lampy promiennika. Ash podał Corey pustą butelkę, a sam zamknął dębowe wrota stanowiska dla owiec.

- Rodzice nie wiedzą, prawda?

W zimnym powietrzu z jego ust wydobywały się białe obłoczki pary. - Nie powiedziałaś rodzicom ani Toddowi o tym, co naprawdę było z twoim ramieniem, prawda? - Ash domknął wrota i popatrzył na Corey. - Dlaczego?

Zrobiła nieokreślony, na w pół przepaszający gest. - Poznałeś już moją mamę. Mogłaby się tak przejąć, że dostałaby spazmów. Nie ma co udawać, jeszcze i teraz zareagowałaby okropnie.

Przez twarz przebiegł mu cień zawodu czy może gniewu. Wsadził ręce do kieszeni i podniósł głowę do góry, przyglądając się wystającym krokwiom.

- Powinnaś była jednak komuś powiedzieć. Byłem pewien, że przynajmniej u ciebie w domu ktoś się tobą odpowiednio zajmie.

Stał tak nieruchomo, z zadartą głową, pogrążony w swoich myślach. Potem westchnął głośno, znów wypuszczając obłoczek pary, i wolno skierował się w stronę głównych wrót obory, przesuwając je w bok po wyslizganych metalowych szynach. Poprzez wpółotwarte drzwi Corey zobaczyła, że zrobiło się już ciemno.

No tak. I teraz na pewno pojedzie.

Ash zatrzymał się przed czerwonym ciągnikiem International i przeciągnął dłońią po grubo karbowanym bieżniku olbrzymiej opony.

- Prowadziłeś kiedyś traktor? - zapytała Corey, podchodząc do niego.

Ash spojrział na nią, a potem znów na ciągnik. - Nie. Ale zawsze myślałem, że to coś takiego, co mogłoby mnie cieszyć. Może nawet tak jak latanie. Też człowiek jest sam w przestrzeni, tyle że na ziemi zamiast w powietrzu.

- Tak, to uspokaja. Można rozmyślać całymi godzinami - powiedziała Corey i nagle wpadło jej na myśl, że tego roku nie będzie to już przyjemność. Na pewno nie będzie miała ochoty na rozmyślania... o tym wszystkim. - Tata nauczył mnie prowadzić ciągnik, kiedy miałam trzynaście lat. Wtedy mieliśmy trochę inny model. Wyjeżdżałam i czułam się tak, jakbym się kompletnie gubiła w tej szerokiej, otwartej przestrzeni.

Zdawała sobie sprawę, że mówi za dużo i niepotrzebnie. Ale im dłużej mówiła, tym dłużej on był przy niej i nie odjeżdżał. - Potem mama miała atak serca, więc następnej wiosny już sama wyjeżdżałam z tarczowym kultywátorem, nauczyłam się spulchniać glebę. A w dwa lata później pozwalano mi już sadzić.

- A co najbardziej lubiłaś?

- Myśle, że właśnie jeżdżenie z kultywátorem.

W Ashu najwyraźniej przebudził się ciekawy wszystkiego chłopak. Nacisnął klamkę i otworzył drzwi kabiny. Wspiął się po metalowych stopniach drabinki ciągnika i już po chwili był w środku. Usiadł wygodnie i spróbował miękkość siedzenia. Potem sięgnął do usytuowanego u góry wyłącznika radia. - Widzę, że macie tu świetny sprzęt, FM stereo. - Nacisnął przycisk, ale bez rezultatu.

- Tata na zimę wyjmuję akumulator.

Ash machnął ręką, rozejrzał się po wnętrzu kabiny, położył dłonie na kierownicy i kolejnych dźwigniach. - Tak, myślę, że to mogłoby mi się podobać.

Corey stała obok ciągnika i przyglądała mu się, jak mości się w kabinie,

przestawia dźwignie i próbuje kręcić kierownicą. W słabym świetle pojedynczej zawieszanej u sufitu żarówki wyglądał tak młodo. Niemal jak nastolatek. O wiele za młodo jak na bohatera. Jak na to, czego dokonał, jak na rodzaj życia, które prowadził.

- Nie opowiedziałeś mi, jak odnalazłeś Luke'a - powiedziała Corey.

Ash spojrział na nią i gestem zaprosił ją do środka. - Wsiądź, to ci wszystko opowiem.

Corey oparła butelki o potężną oponę i wspięła się po zimnych metalowych stopniach drabinki.

Wewnątrz było tylko jedno siedzenie, wobec czego usiadła na obudowie skrzyni biegów, z lewej strony Asha. W rezultacie znalazła się wyżej niż on, jej prawe kolano prawie dotykało jego biodra.

- W odnalezieniu Luke'a bardzo istotny udział miałaś ty - powiedział Ash.

- Ja? - zdziwiła się. - Przecież mnie tam nie było.

- A jednak... Uważaj, coś ci pokażę. - Ash przechylił się na bok i sięgnął głęboko do kieszeni džinsów. - Daj tu rękę i otwórz dłoń, o tak.

Położył na jej dłoni czerwony scyzoryk, jeszcze ciepły od niemal bezpośredniego kontaktu z jego ciałem. Przez chwilę ich palce zetknęły się.

- Ależ ty masz kompletnie zmarznięte ręce! - Ash ujął jej obie dłonie i bez trudu zmieścił je w jednej swojej. Potem drugą rękę podniósł do jej twarzy i grzbietem dłoni dotknął chłodnego policzka. - Chodź tu do mnie - powiedział.

Pociągnął ją na siedzenie obok siebie, tak że teraz ich ciała się dotykały. - Czemu nic nie mówiłaś? Czemu nie powiedziałaś, że ci zimno?

- Mnie zawsze jest zimno - powiedziała Corey. Nie przyznała się jednak, jak bardzo się boi, że już nigdy nie poczuje prawdziwego ciepła.

- Włóż szybko ręce pod moją kurtkę. Albo jeszcze lepiej... - Zabrał scyzoryk i wcisnął jej obie dłonie między własne gorące uda. Tam było naprawdę ciepło.

Ash przechylił się, żeby włożyć scyzoryk z powrotem do kieszeni. Wyglądało na to, że nie dostrzega, jak ich fizyczna bliskość na nią działa. Na nim nie robiło to, zdaje się, żadnego wrażenia.

Corey z najwyższym wysiłkiem udało się zebrać myśli i wrócić do przerwanej rozmowy. - Ten scyzoryk... jest chyba taki sam jak ten, który dałeś Takariemu.

Wypowiadała te słowa, ale nie za bardzo myślała o tym, co mówi. Jej

wszystkie zmysły chłoneły teraz zachłannie bliskość Asha. Jego zapach, jego ciało tuż przy niej. Nigdy nie sądziła, że jeszcze raz znajdą się tak blisko.

- Nie tylko taki sam, ale nawet ten sam. Po twoim wyjeździe któregoś dnia znów wybrałem się do rezerwatu Czikao, żeby sprawdzić, jak goi się noga kobiety, którą leczyliśmy, pamiętasz?

Ash rozsunał do końca zamek błyskawiczny kurtki i przyciągnął Corey do siebie, otulając ją fiitranymi połamami niczym ciepłym kokonem. Nie mogła się zmieścić tam w środku cała, ale nie dbała o to. Ten gorzkawy i jednocześnie słodki zapach starej skóry wywoływał w niej tysiące wspomnień. Wszystkie były dobre, bo dotyczyły Asha.

- Więc kiedy tam byłem, spróbowałem odzyskać mój scyzoryk od Takariego, wymienić się z nim na coś innego. Ale Takari powiedział, że już go nie ma.

Ash oparł się podbródkiem o czubek jej głowy tak, jak gdyby to było czymś zupełnie naturalnym, jak gdyby w ogóle nie zdawał sobie sprawy z tego, że to robi. Corey czuła, jak poprzez kurtkę głaszcze jej plecy.

- Powiedział mi, że zamienił się z kimś z dżungli. A potem przyniósł klatkę i pokazał, na co się zamienił. Na jakąś przeklętą papugę! Potem jednak okazało się, że papuga potrafi mówić, i to - po angielsku! A kiedy zapytałem Takariego, od kogo dostał tę papugę, powiedział, że od człowieka, który ma włosy koloru słońca... - Corey niespodziewanie zdała sobie sprawę, że w głosie Asha tym razem nie było nawet śladu ironii czy cynizmu.

- A to był Luke, tak? - szepnęła. Wzruszenie ścisnęło jej gardło, a do oczu napływały łzy. Nie mogła przecież teraz się rozplakać. Za często zdarzało się jej płakać w obecności Asha.

- Tak, to był Luke - powiedział cicho Ash.

Po brzmieniu jego głosu odgadła, że się uśmiecha. Mogłaby przysiąc, że poprzez włosy poczuła lekkie dotknięcie jego warg na głowie, ale pewnie to sobie tylko wyobraziła.

- Okazało się, że Luke żył wśród ludzi z jakiegoś wędrownego plemienia, którzy odwiedzili wioskę Czikao dwa dni wcześniej. Potem już tylko musiałem odnaleźć to plemię. I pomyśl tylko, gdybym nie przehandlował wtedy tego scyzoryka za ciebie, mógłbym Luke'a nigdy nie odnaleźć.

- Tak, czasami układa się zupełnie nieprawdopodobnie. Jedno drobne wydarzenie może całkowicie zmienić życie.

W tym przypadku zmieniło życie aż trojga osób.

Corey przesunęła lewą dłoń jeszcze głębiej, do ciepłego zakątka futrzanej kurtki, a jej palce prześliznęły się po jego torsie. Mięśnie Asha nagle stężały, a on sam na chwilę przestał oddychać. A więc nie był aż tak odporny na jej bliskość... choć usiłował sprawiać takie wrażenie.

Wcisnęła się w niego jeszcze głębiej i przyłgnęła policzkiem do miękkiej tkaniny trykotowej koszuli, czując poprzez nią głucho bicie jego serca. Było jej coraz cieplej, krew zaczęła szybciej krążyć w jej żyłach, czuła to nawet w koniuszkach palców. - A Bobbie? Przywiozłeś go może ze sobą do Stanów?

- Nie. Uznałem, że lepiej będzie zostawić go z George'em w San Reys - odpowiedział Ash. Jego oddech był wyraźnie przyspieszony.

- Taki mróz chyba nie byłby dla niego dobry.

- Chyba nie.

Corey poczuła, że jego dłoń przestała kojąco gładzić jej plecy, a rytmicznie unosząca się i opadająca klatka piersiowa nagle znieruchomiała. Ash wstrzymał oddech, jak gdyby w milczeniu na coś czekał.

Corey uniosła rękę i dotknęła jego twarzy, przesunęła koniuszkiem palca po ostrej szczecinie podbródka. Ash pochwycił jej rękę i przytrzymał. - Co robisz, Corey?- spytał ochryple.

- Dotykam cię - odpowiedziała szeptem. - Kocham... - Niewiele brakowało, a przyznałaby się do najgłębiej skrywanej tajemnicy. - Kocham to... kiedy mogę cię tak dotykać.

- Lilijko...

To chyba nie była prawda, że kiedyś byli ze sobą tak blisko, że pozwalała mu się dotykać w sposób, w jaki nie dotykał jej nikt inny. To, że teraz znów było tak samo, wydawało się czymś nowym, przejmującym i wspaniałym.

- Corey... zdaje się, że o czymś zapomniałaś.

- Ja? O czym? - Nie miała już ochoty myśleć, była zmęczona. Nie myśleć, tylko trwać tak przy nim i po prostu czuć go obok siebie, było znacznie przyjemniej.

- Nie pamiętasz już o planowanym domu z dwoma garażami? O lekcjach fortepianu dla dzieci? O tym twoim Dudleyu?

No tak, dawny, tak dobrze znany sarkazm znów dawał się słyszeć w jego głosie.

Corey nie zamierzała teraz mówić o tym, co się stało, że zrezygnowała z małżeństwa z Toddem. Nie chciała, żeby pomyślał, że szuka współczucia.

Nie chciała, żeby czuł się winny, gdyby uznał, że to z jego powodu zaręczyny zostały zerwane.

- Przecież tak właśnie powinno być. Powinnaś mieć piękne stroje i dobrane do nich luksusowe obuwie, nosić sznury pereł i uczestniczyć w posiedzeniach komitetów wśród najbardziej szanowanych dam miasteczka.

- Uważasz, że tego właśnie mi potrzeba?

- Zawsze sądziłem, że tak powinno wyglądać twoje życie.

A może jednak jest zazdrosny o Todda? - pomyślała nagle. Jeżeli tak, to znacząłoby, że mu na niej zależy.

Nie uważała się nigdy za szczególnie śmiałą. Ale jeżeli istniała jakaś szansa dla nich dwojga, nie mogła jej teraz nie wykorzystać. Nie mogła mu pozwolić odejść z jej życia i nawet nie spróbować go zatrzymać. Nie mogła już dłużej udawać, że nie ma dla niej znaczenia, czy on zaakceptuje jej miłość, czy też ją odrzuci. Była pełna desperacji i wiedziała tylko jedno - że musi być z nim.

- Zabierz mnie ze sobą.

- Co?!

Te słowa nim wstrząsnęły. Nagle odsunął ją na odległość ramion, żeby móc widzieć jej twarz.

- Zabierz mnie ze sobą, kiedy będziesz wracał nad Amazonkę.

- O czym ty, u diabła, mówisz?

Corey wyciągnęła rękę i powoli przeciągnęła koniuszkiem palca po jego dolnej wardze. Musiała mu powiedzieć. Nie mogła już dłużej kryć tego w sobie.

- Kocham cię - powiedziała po prostu.

Początkowo Ash wydawał się tylko oszołomiony i Corey zaczęła się nawet zastanawiać, czy nie popełniła błędu. Ale potem wyraz jego twarzy zaczął się zmieniać. Można było w nim odczytać nieufność i podejrzenie, a później nagłe zrozumienie.

- Już załapałem. To taki żart, prawda? Odegrałaś się za to, co mówiłem o granii z tobą w bingo we dwoje. No więc dobrze, sam czuję się głupio z powodu tych aluzji. To był tam dowcip, przyznaję.

To po prostu śmieszne. W ogóle nie przyszło jej do głowy, że może nie uwierzyć w jej słowa. Choć nie było to aż tak dziwne. Ash w swym życiu chyba nie za często spotykał się z miłością... więc kiedy na nią trafił, po prostu nie potrafił jej rozpoznać.

- To wcale nie był żart. Nigdy nie pozwoliłabym sobie na żarty z czegoś takiego.

- Nie? - zapytał Ash, wciąż jeszcze podejrzliwie.

- Nie.

- No a co z tym twoim Dudleyem? Byłem absolutnie pewny, że wy dwoje macie piękną przyszłość, ustaloną na mur beton. Długie szczęśliwe życie, słodkie jak ciasto z owocami.

- Właśnie o to chodzi. Nie wiedziałam, jak szara jest moja egzystencja, dopóki nie spotkałam ciebie - powiedziała cicho Corey.

Ash ściągnął brwi. Można było wyczuć, że jest strasznie zdenerwowany, na chwilę niemal przestał oddychać. We wpatrujących się w nią oczach, w tych szarych źrenicach z ulotnym rysunkiem gwiazdy, przebijała nie udawana desperacja. Corey przechyliła się do niego, ich wargi były coraz bliżej.

Usłyszała pełne udręki westchnienie. Potem Ash nagle chwycił ją w ramiona i przyciągnął ku sobie, a jego palce wpiły się w jej bolące ramię. Corey zeszywniała pod wpływem ostrego bólu w ledwie zaleczonej ranie.

Ash gwałtownie odsunął się od niej. - O mój Boże! Corey, przepraszam cię! - wykrzyknął szczerze przerażony, a ból w jego oczach był chyba większy od jej bólu.

- W porządku, nic się nie stało.

- Nie, to nie jest w porządku. Jak ja, do cholery, mogłem zapomnieć o twoim ramieniu?! - Patrzył gdzieś w przestrzeń, jak gdyby na starym odrapanym murze chciał wyczytać odpowiedź. Miał dziwny, nieodgadniony wyraz twarzy, a jednocześnie sprawiał wrażenie człowieka beznadziejnie zagubionego.

Jak, u diabła, mógł zapomnieć o tym najokropniejszym dniu w całym jego życiu? Jak mógł zapomnieć o czymś, co prześladowało go nieustannie od tamtej chwili? Teraz znów widział wszystko z dojmującą jasnością, od której zamierało bicie jego serca. Wyraźnie widział krew, jej krew na swoich rękach. Niema! fizycznie czuł to lepkie ciepło i przez cały czas wiedział, że to przecież on powinien być trafiony, nie ona. W całym swym przeklętym życiu nie przeżył tak potwornego lęku. I nie chciał, żeby to się kiedyś mogło powtórzyć.

- Muszę iść - oświadczył niespodziewanie.

- Iść? Jak to?...



- Posłuchaj, Corey. Ja cię bardzo przepraszam. Nie powinienem był tu przyjeżdżać, to był błąd.

Patrzyła na niego tak, jak gdyby nie była w stanie uwierzyć, że to się mogło stać, że mógł to powiedzieć. A jednak mógł.

Jego przeznaczeniem będzie teraz noszenie w pamięci obrazu jej twarzy. Do końca dni, aż do grobu. Będzie musiał pamiętać, jak bezradnie na to patrzył i pozwalał jej cierpieć. Potwornie się bał, że to się może powtórzyć, że ona kiedyś może się naprawdę wykrwawić na śmierć w jego ramionach... I ten lęk dodał mu siły potrzebnej, żeby powiedzieć to, co powiedział.

- Musisz zrozumieć - mówił nie patrząc jej w oczy. - To, co było między nami, to tylko seks, i nic ponadto. Nie myślałem o niczym stałym i oczywiście nie przyszło mi do głowy, że ty mogłabyś tak myśleć.

To, co mówił, bolało go tak, jak chyba nie bolało go dotąd nic w całym jego życiu. Ale nie mógł pozwolić, żeby jechała razem z nim, nie mógł pozwolić, żeby znów narażała się na to, co przecież tak łatwo mogło się powtórzyć. Następnym razem mogłaby umrzeć, a on już wiedział, że tego nie byłby w stanie przetrzymać. Nigdy i za nic. Lepiej już postąpić tak, jak właśnie postępował. Przynajmniej będzie tu na pewno bezpieczna, w tej spokojnej wiejskiej okolicy - i taki jej obraz on jeszcze będzie w stanie jakoś znieść.

Bał się, że malujący się na jej twarzy ból może go przy niej zatrzymać. Pospiesznie otworzył drzwi i zeskoczył na ziemię.

Zatrzymał się jeszcze na chwilę, zastanawiając się, czy nie powinien jej tego wszystkiego jakoś wytłumaczyć, dodać jej otuchy w tak trudnej chwili. Ale nie potrafiłby znaleźć słów, które nie zabrzmiałyby głupio i fałszywie.

Był w stanie wyobrazić sobie cały ciężar jej smutku, przygniatającego również i jego. Na swój smutek nie był w stanie nic poradzić. Odwrócił się i spojrzał na nią. Dlaczego, u diabła, nie może go po prostu zniechęcić? Obojgu byłoby z tym o wiele łatwiej.

Myślała chyba o tym samym. Jak gdyby oboje nadawali na tej samej częstotliwości albo jak gdyby była w stanie czytać jego myśli.

- Nienawidzę cię, Ash.

Nawet nie podniosła głosu. W jej słowach był tylko smutek.

Ash odpowiedział podobnie cicho. - Wiem. Ja też cię nienawidzę. Myślę, że zawsze cię nienawidziłem. Od pierwszego momentu, od chwili, gdy zobaczyłem cię w tej poczekalni na lotnisku.

Oboje kłamali i oboje o tym wiedzieli.

Ash odwrócił się i nie zamykając za sobą drzwi odszedł w gęstniejący mrok mroźnej, zimowej nocy.

Corey nie widzącym wzrokiem spoglądała gdzieś przed siebie. Potem odwróciła głowę i zaczęła patrzeć w ślad za odchodzącym.

Widziała go idącego wydeptaną w śniegu ścieżką w stronę samochodu. Szedł powoli, z rękami w kieszeniach, a zimny wiatr rozwiewał mu włosy. Z każdą chwilą ten obraz stawał się jakby coraz mniej ostry.

Nie była już w stanie tego wytrzymać, nie miała na to dość sił. To ją po prostu zabijało. Próbowwała ocierać i powstrzymywać łzy, ale równie dobrze mogłaby próbować powstrzymywać deszcz, wicher czy w ogóle upływ czasu.

Jak mogła mu pozwolić tak odejść?

Po prostu taka była. Nie umiała być zaborcza, nie umiała sięgać po to, czego pragnęła. Zawsze ustawiała się jakby na uboczu życia, czekała na to, co się miało zdarzyć... ale zdarzyć samo z siebie. Spodziewała się, że co ma przyjść, i tak przyjdzie do niej. Nie umiała wybiegać naprzód z własnej inicjatywy, nie potrafiła się narzucać, nie chciała być tam, gdzie jej nie chciano.

Drżącymi rękami otarła policzki i spojrzała w kierunku widocznego w głębi podwórza samochodu. Ash był już przy nim.

A przed jej zapłakanymi oczami majaczyły wszystkie przyszłe dni, niczym nieskończony szereg posepnych, wędrujących bez nadziei dusz.

Ash doszedł do drzwi samochodu. Corey wiedziała, że przyglądanie się, jak odjeżdża, tylko zwiększy udrękę, ale nie była w stanie odwrócić wzroku.

Potem zeszała po metalowych stopniach drabinki i podeszła do wciąż otwartych wrót. Zdołała jeszcze dostrzec w oddali rozplývające się w mroku czerwone światła pozycyjne wozu Asha.

- Może pojedę za tobą, Ash - wyszeptła ochryplym, ledwo słyszalnym głosem. - Może pojedę.

Ale wiedziała, że tego nie zrobi.

Uświadomiła sobie, że z całą siłą ścisła palcami szorstkie, nie heblowane drewno framugi. Tak, jakby szukała w niej oparcia, jakby to trzymanie się z całej siły mogło jej pomóc w znalezieniu odpowiedzi na pytanie - co teraz? Nie jutro, ale teraz, w tej chwili.

Nie była w stanie tego znieść. Mogła tylko płakać i starać się tłumić wciąż powracające fale gwahownego łkania, wręcz rozdzierającego serce. Jak długo

będzie ją tak bołało? Jak długo to potrwa, nim powróci znane jej już, błogosławione otępienie?

Nie zdawała sobie sprawy, ile czasu upłynęło, kiedy nagle usłyszała odgłos zbliżającego się samochodu. Zobaczyła z daleka podwójne światła reflektorów. Snopy promieni unosiły się w górę i w dół, kiedy nadjeżdżający pojazd podskakiwał na wybojach polnej drogi prowadzącej przez zaorane pole po zeszłorocznej kukurydzy.

Corey usunęła się w cień, chowając się za nie domknięte wrota. Nie byłyaby w stanie teraz patrzeć w oczy rodzicom, nie wytrzymałyby pytań matki ani milczącego współczucia ojca.

Lepiej wrócić do jagniąt. Tak właśnie postanowiła zrobić. Nawet dodało jej to otuchy, że była w stanie podjąć decyzję, choćby tak mało znaczącą.

Jagniątka ułożyły się obok siebie i spały pod grzejącą je z góry lampą. Corey pomyślała o ich matce, która padła przy porodzie. Może i wśród owiec trafiają się też takie, które nie mają w sobie wystarczającej woli życia.

- Lilijko... - usłyszała za sobą.

Pospiesznie otarła oczy i odwróciła się.

Ash stał na progu. Za nim skrzyło się gwiazdami granatowe, chłodne niebo. Było niczym ogromny gobelin, usiany klejnotami, obsyty srebrnymi nitkami promieni.

- Wróciłeś...

- Zdążyłem dojechać do stacji benzynowej, ale przez cały czas myślałem o... to znaczy... - Nie skończył i zniechęcony machnął ręką. - Niech to diabli, nie umiem znaleźć słów!

Potem już mówił bardzo szybko, jakby się spieszył... i jakby był z jakiegoś powodu zły i na siebie, i na nią. - Po prostu cholernie nie spodobała mi się myśl, że miałabyś spędzić resztę życia znieczulona na wszystko... przez tego twojego doktora Jakmutam.

Co to miało znaczyć? Nie rozumiała, o co naprawdę mu szło, co właściwie chciał jej teraz powiedzieć?

I wtedy przyszedł jej do głowy pomysł. Nie szczególnie nowy czy odkrywczy. Kobiety wpadały na takie pomysły od lat.

- Powiedz mi jedno... - zapytała, odrobinę oszołomiona własną śmiałością.  
- Czy kiedy powiedziałeś o mnie: najlepsza cizia z tych, z którymi... to robięś, to naprawdę tak właśnie myślałeś?

Zatkało go bardziej, niż gdyby nagle dostał od niej cios w żołądek.  
- Przepraszam cię za to, co mówiłem - wykrztusił w końcu.

- Ale czy tak myślałeś naprawdę? Że jestem w tym dobra? - Poczwała się prawie dumna, że jej głos brzmiał tak spokojnie, że nawet nie mrugnęła okiem, zadając to pytanie.

- Prawdę mówiąc, tak... - Wyglądał na zaskoczonego. - Tak, mówiłem szczerą prawdę.

Corey spostrzegła, że wyraz jego twarzy się zmienił. Jakby stał teraz przed nią mały chłopiec, który w ogóle nie był pewny niczego.

- A ty...? Czy ty też mówiłaś prawdę?

Jego głos też się zmienił. To był wzruszający, bezradny szept... Głos człowieka, który nagle czuje się słaby i którego można bardzo łatwo zranić.

- Czy ty też mówiłaś prawdę, kiedy powiedziałaś, że... że mnie kochasz?

Corey poczuła, że opuszczają ją siły, które dopiero co z takim wysiłkiem w sobie zebrała. Uchwyciła się drewnianej belki, żeby nie upaść. Już miała zrealizować swój pomysł, zaproponować mu seks bez żadnych zobowiązań - a tu nagle Ash zrobił zupełnie niespodziewany zwrot. Poplątał wszystko i sam zaczął mówić o miłości.

Umrę, jeżeli mnie znów zostawisz, Ash! To właśnie najchętniej by mu powiedziała, ale zabrzmiałoby to zbyt melodramatycznie. On mógłby się nawet z tego śmiać.

No, a jeżeli mu odpowie, że tak, że go kocha - to co wtedy? Jak on na to zareaguje? Czy to znów wystraszy w nim tego wiecznie niedorośłego chłopca, Piotrusia Pana, który tak obawia się zaangażowania się? Czy nie lepiej przyjąć jego postawę i po prostu kłamać ile wlezie? Powiedzieć, że jest jej z nim dobrze w łóżku?

Bo kto mógł odgadnąć, co naprawdę działo się teraz w jego głowie, w jego sercu? Trzeba chyba całego życia, żeby go poznać do końca, a pewnie i tego by nie starczyło. Jednego była pewna - że chce takiego właśnie życia.

Co zatem powinna teraz zrobić? Teraz nadeszła najważniejsza chwila, a ona wciąż nie wiedziała, co ma robić, nie wiedziała, jak ma go przekonać, że powinni być razem.

Potem przypomniało jej się coś dziwnego. Z rzeczywistości, ale też jak gdyby ze snu. Widziała go niemal realnie, jak pochyła się nad nią, a w jego źrenicach widać lśniące gwiazdy. Ale przecież to wcale nie były gwiazdy.

Tak, dobrze pamiętała, co to było... I zadziwiona wciągnęła zimne powietrze tak głęboko, że aż zakłuło ją w płucach.

Przecież to były jego łzy...

Uśmiechnęła się na to wspomnienie. Nawet jeśli zabołało ją to gdzieś w głębi duszy, to był to dobry ból. Dzięki niemu myślała o nim jeszcze cieplej.

Jakież z pana niepoprawny oszust, panie Adams. Jaki mistrz udawania i przywdziewania różnych masek. I na co się to zdało?

Wreszcie mogła bezpiecznie puścić nieszczęsną belkę, której się tak rozpaczliwie trzymała. I powiedzieć to, co chciała powiedzieć. - Tak. Mówiłam prawdę. Naprawdę cię kocham.

Ash patrzył na nią, a jego szare oczy wciąż jeszcze wydawały się nieuihe i ostrożne. - Mimo że jestem kompletnym przeciwieństwem wszelkich powszechnie szanowanych Dudleyów Jakimtam?

- Tak.

- I że potrafię się zachowywać jak prawdziwy sukinsyn, nawet jeśli nie mam takiego zamiaru?

- Wiem o tym.

- Jestem przemądrzały i lubię się zgrywać.

- Naprawdę nie powiedziałaś mi niczego nowego.

- Więc jeszcze chcę ci tylko powiedzieć, że nie ma we mnie nic ze szlachetnego, altruistycznego dobroczyńcy. I żebyś nigdy czegoś takiego ode mnie nie oczekiwała! - powiedział to tak, jakby na samą myśl o tym ogarniała go panika.

Cały on, cały Ash! Nigdy nie pozna własnej wartości i nigdy nie zechce uwierzyć, że na swój sposób właśnie jest bohaterem. Będzie temu uparcie i wytrwale zaprzeczać.

- Nigdy nie oczekiwałam, że staniesz się inny - powiedziała i uśmiechnęła się, widząc nagłą ulgę i odprężenie w jego rysach. W dodatku to nawet nie było kłamstwo. To było trochę tak, jak ze słońcem: nie oczekuje się, że ono ma wzejść każdego ranka - ono po prostu to robi.

- Jednej rzeczy potwornie się boję. Gdyby znów miało ci się coś stać...

- Ash, ja wcale nie liczę na to, że się ze mną ożenisz. Wiem, że po prostu nie jesteś takim typem mężczyzny. Ja tylko chcę być z tobą.

Ash uśmiechnął się, spojrzął na nią i potrząsnął głową. - Znów próbujesz mnie zdeprawować, co?

Zbliżył się i wreszcie wziął ją ostrożnie w ramiona, by nie urazić bolącego miejsca. Przytulił ją do siebie, pieczołtliwie głaskał po głowie, całował włosy, oczy, usta. Corey znowu poczuła ciepło, którego przez tak długi czas jej brakowało. O którym sądziła z trwogą, że już nigdy go nie poczuje.

- Kocham cię, Lily - powiedział Ash. Jego głos był niski, zduszony, może stłumiony przez jej włosy, w które wtulił swą twarz. - Nawet Amazonka nie jest już taka sama, od kiedy cię zabrakło. I nie ma z kim tańczyć przy świetle księżyca.

Corey uśmiechnęła się. To już była poezja. Asher Adams potrafił być wszystkim, nawet poetą.

Ash podniósł rękę, dotknął jej policzków, oczu i czoła. Potem powoli przeciągnął czubkami swych długich, czułych palców po jej włosach, od skroni w dół, aż do końca. - Wciąż masz te włosy przedzione z promieni księżyca.

Oczarowana patrzyła, jak jego twarz pochyla się nad nią. Czuła jego oddech na swoim policzku, delikatny obłoczek pary w zimnym powietrzu. Rozchyliła usta i westchnęła głęboko, kiedy poczuła jego wargi. Ash znów ją całował! Czuła skurcz w żołądku, w sercu, potem znajome mrowienie, które jakby przesunęło się niżej. Czuła niecierpliwość łona i czuła też, jak wilgotne wargi Asha przenoszą się z ust na szyję i kark, i coraz niżej.

Po chwili Ash westchnął cicho i powiedział: - Te zimowe ubrania to coś okropnego. Do diabła z takim ubieraniem się! - Corey poczuła, że jego usta zawracają do góry i całują ją w sam koniuszek ucha. - W ogóle nie mogę cię odnaleźć pod tymi wszystkimi łachami!

Ale jakoś stało się tak, że obie jego dłonie mimo wszystko znalazły drogę pod jej płaszcz, i to bez większego trudu. A potem przesunęły się aż na jej pośladki i przyciągnęły ciasno do siebie. - O, tak jest znacznie lepiej!

Corey czuła, jak te miłe, wędrujące po całym ciele skurcze i mrowienia zbiegają się w okolicy jej rozgrzanego od pulsującej krwi łona. Wtuliła się w niego, przechyliła głowę i westchnęła. - Tak, pamiętam już to, co teraz znów w sobie czuję.

Ash roześmiał się niemal bezgłośnie. - No tak, z tym, co teraz czujesz, raczej nie ma żartów. Chodzi tylko o to, czy to polubiłaś?

- Nawet bardzo! - wyznała i pospiesznie wcisnęła twarz w ciepłe zagłębienie między jego ramieniem i szyją. Był przy niej. Był z nią. Nie musiała już tęsknić.

## *Rozdział dwudziesty piąty*

Wracali do siebie. Do domu, do San Reys.

Ich samolot natrafił właśnie na jakiś większy bąbel gorącego powietrza, poderwał się nagle w górę, a następnie spadł o parę metrów. Jeszcze miesiąc temu Corey w takiej sytuacji uczepiłaby się kurczowo krawędzi fotela i drżała z niepokoju o życie. Teraz tylko stłumiła ziewnięcie i odchyliła się jeszcze bardziej na oparcie fotela. Wilgotne powietrze i wysoka temperatura wewnątrz kabiny sprawiały, że czuła się rozkosznie senna.

Ale zamiast przymknąć oczy, spojrzała na Asha. Prawdę mówiąc, patrzyła na niego niemal bez przerwy przez ostatnie cztery dni, to znaczy od owej nocy, która zaczęła się od karmienia jagniąt w oborze jej rodziców.

Teraz Ash znów miał na sobie bawełniany podkoszulek, pod którym szczególnie wyraźnie rysowały się wszystkie mięśnie jego ramion i piersi. Nosił oczywiście czapkę kibica nowojorskich Jankesów, jak zawsze zsuniętą na tył głowy. Opalone dłonie mocno i pewnie trzymały stery samolotu.

Corey westchnęła cicho, ale było to westchnienie pełne głębokiej satysfakcji. Jeszcze miesiąc temu w ogóle nie potrafiła sobie wyobrazić, że mogłaby się tak czuć. Nie wiedziała, że miłość między mężczyzną i kobietą może być taka..., taka silna, taka wiążąca.

Dwa dni temu ojciec Michael udzielił im ślubu. Jedynymi świadkami byli jej rodzice i Luke, który specjalnie przyleciał z Nowego Jorku.

Corey uśmiechnęła się, przypominając sobie, jak to po zakończeniu uroczystości Ash kompletnie oszołomił panią McKinney, chwytając ją w niemal niedźwiedzi uścisk i całując w oba policzki. Co więcej, zaczął do

niej mówić „mamo” i obiecał, że na wiosnę, w porze siewu i sadzenia, oboje przylecą do rodziców, po to, żeby Corey mogła go nauczyć, jak się prowadzi ciągnik.

Następne czterdzieści osiem godzin spędzili praktycznie nie wychodząc z pokoju w hotelu w Santarem. Leżeli na ogromnym łóżku na skotłowanych prześcieradłach, a wielkie trójramienne śmigło zawieszzonego pod sufitem wentylatora chłodziło ich wilgotne od goąca ciało. Kiedy Corey przyglądała się mężowi, czasami zdarzało jej się dostrzec w jego oczach nie tylko miłość, ale i prześladowający go, wciąż głęboko ukryty lęk. Wtedy i ona sama przestawała oddychać i czuła ból w sercu. Dobrze wiedziała, że lęk o kogoś, kogo się kocha, jest zawsze najgorszy.

Wiedziała też, że żadne słowa, żadne argumenty nie przekonają go, że zrobił dobrze, zabierając ją ze sobą do Amazonii. Wierzyła jednak, że w końcu sam się o tym przekona. A zanim to nie nastąpi, ona będzie starała się go cierpliwie uspokajać... wygładzać i przepędzać z jego twarzy zmarszczki trosk. Będzie całować go tak długo i wytrwale, aż ukojony pieszczotą weźmie ją w ramiona i znów będzie się z nią kochał czule i mocno.

Corey z pewnym wysiłkiem oderwała wzrok od Asha i spojrzała przez okno kabiny w dół.

Ash mówił jej, że podczas lotu najlepiej orientować się według biegu rzeki. I właśnie teraz lecieli nad wspaniałym, nieprawdopodobnie szerokim, łagodnie zmieniającym kierunek głównym korytem Amazonki. Słońce już zdążyło się schować, a na niebie pojawił się wschodzący księżyc w pełni, którego niezwykle światło zdawało się świecić jednocześnie z góry i z dołu, jako że z nie mniejszą intensywnością odbijało się od migotliwej powierzchni wody. Wszystko dookoła zdawało się kąpać w bladopomarańczowej poświacie. Nierówne pasma mgły zbierały się w zagłębieniach, tworzących płytkie doliny między wystającymi z masywu gęstej zieleni szczytami najwyższych drzew.

- Lubisz domy budowane na drzewach? - zapytał niespodziewanie Ash.  
- Chciałabyś zamieszkać w czymś takim?

- Domy na drzewach? Nie wiem. Pamiętam, że kiedy byłam mała, taki jeden chłopak na sąsiedniej farmie miał dom na drzewie, ale nie pozwalał tam wchodzić dziewczynkom.



- Bo ja przed paroma laty właśnie zacząłem budować coś takiego. Dom na drzewie według projektu Swiss Family Robinson. Trzy kondygnacje, a nad tym jeszcze specjalny mostek do obserwacji. Przy dobrej pogodzie widzi się cholernie daleko, aż po góry Akarai. Jeszcze z tym dużo roboty, trzeba dokończyć ściany i górny pokład. I muszę zamówić okna w Samarem...

A więc on buduje domy... na szczytach drzew! - pomyślała wzruszona Corey. Zastanawiała się, czy kiedykolwiek uda się jej poznać wszystkie pomysły Asha. Wszystkie powody, dla których trzeba go było kochać.

Przypomniała sobie, jak kiedyś zapisała się na kurs fotografii, w ramach którego kazano jej ustawić aparat na statywie na wprost stodoły rodziców i - od świtu aż do zmierzchu - co godzinę robić kolejne zdjęcie. Po wywołaniu negatywów Corey była zaskoczona tym, jak bardzo różniły się między sobą poszczególne klatki. Na niektórych ujęciach głębokie cienie całkowicie zakrywały okna w dachu i zdawały się w ogóle zmieniać cały zarys budynku. A na innych dokładnie widziało się każdą dziurę po sęku, każde włókno w desce i każdą rysę na kruszejącym w powietrzu drewnie.

I dokładnie tak samo było z Ashem. Gdy zdawało się jej, że już zobaczyła go dostatecznie jasno i wyraźnie, światło się zmieniało, padało z innej strony i ukazywało w nim coś zupełnie nowego.

Ash zauważył jej milczenie i opacznie je odczytał. - Boisz się wysokości, tak? Nie przejmuj się, ja to rozumiem.

Corey przecząco potrząsnęła głową i uśmiechnęła się do niego. Z nim nie bała się niczego.

- Nie boisz się? Więc podoba ci się pomysł z domem na drzewie?

- Jestem nim zachwycona!

Samolot natrafił na powietrzną dziurę i opadł o kilka metrów. Ash machinalnie poprawił kurs i nagle wykrzyknął: - O kurczę blade!... To niesłychane! - Chwycił Corey za łokieć i pokazał coś przed nimi.

- Co takiego?

- Tam! Popatrz, tam...!

Przez zasmarowaną setkami porozbijanych owadów przednią szybę Corey intensywnie wpatrywała się w ciemną, gęstmejącą pod nimi zieleń. Podniecenie Asha udzieliło się także i jej. Ash obniżył lot i po niewielkim skrócie skierował samolot wprost na dziwny biały pas, który zdawał się przecinać rzekę od brzegu do brzegu.

Corey westchnęła i wstrzymała oddech. To, co oglądali, miało wymiar niemal biblijny, niewyobrażalnie majestatyczny. Biały spieniony pas był w rzeczywistości gigantyczną ścianą wodną, wysokości co najmniej dziesięciu pięter. Ta potężna ściana sunęła powoli w górę rzeki, po drodze wyrwijąc z korzeniami najwyższe drzewa z taką łatwością, jak gdyby były drobnym, ledwie zakorzenionym zielkiem. Drzewa z hukiem waliły się w spienioną wodę.

- *Pororoca!* ~ wrzasnął Ash, usiłując przekrzyknąć połączony w jedno potężny ryk wody i huk samolotowego silnika. Przez chwilę znajdowali się tuż nad tą gigantyczną falą, potem minęli ją i pozostawili za sobą. Ash zwiększył obroty silnika i położył maszynę w ciasny skręt, a siła odśrodkowa wcisnęła ich oboje głębiej w fotele.

Na to, by zawrócić i znów znaleźć się w tym samym miejscu nad rzeką, potrzebowali ledwie kilku chwil. Ale i tego wystarczyło, by *pororoca* rozmyła się gdzieś i przepadła. Jedyнным dowodem, że to wszystko im się nie przywidziało, była już tylko głęboko zmacona woda i poprzewracane drzewa.

Patrzyli na to z góry i milczeli, oboje do głębi wstrząśnięci tym, co zobaczyli. Silnik samolotu pracował równo, dołem znowu spokojnie płynęła rzeka, wciąż jeszcze zmacona podniesionym z dna czerwonym iłem.

W końcu Ash pokręcił głową, zdjął czapkę i po chwili znów ją włożył, przesuując ją jeszcze bardziej do tyłu. - Kurczę blade! - westchnął z podziwem. - To było coś! To naprawdę było coś! Niespodzianka przygotowana specjalnie dla nas, z okazji powrotu do domu.

Dopiero teraz Corey przypomniała sobie o aparacie fotograficznym i ogarnęła ją uczucie żalu. - Nie zrobiłam nawet zdjęcia - szepnęła.

Aż do dzisiejszego dnia opowieści o gigantycznej fali *pororoca* były dla niej tylko legendą, czymś w rodzaju opowieści o zatopionej Atlantydzie. Nigdy w to nie wierzyła tak naprawdę. Ash czekał na tę chwilę przez tyle lat, a ona nawet nie zrobiła zdjęcia. Chciało jej się płakać ze złości i żalu.

Ash zauważył to i położył dłoń na jej ramieniu. - W porządku, nie przejmuj się - powiedział cicho.

- Nie. To wcale nie jest w porządku. Teraz nikt nam nie uwierzy.

- Co to ma za znaczenie, czy nam uwierzą, czy nie? Ty wiesz, że to prawda, i ja też to wiem. - Wyciągnął rękę i długimi palcami objął jej drobną dłoń. A potem powoli podniósł do ust i całował kolejno każdy palec.

Tego wystarczyło, by w jej oczach znowu pojawiły się łzy. Ash potrafił ją pocieszyć.

- Teraz jesteśmy znów tylko we troje. Ty, ja i Amazonka - powiedział i uśmiechnął się, a na jego policzkach pojawiły się uroczne dołeczki.

Słuchała jego słów z ogromną ulgą, ponieważ zdawała sobie sprawę, że Ash mówi nie tylko o dniu dzisiejszym. Znaczyłoby to, że w jakiś sposób pogodził się wreszcie z samym sobą. Mogła to dostrzec w jego rozjaśnionych oczach, z których chyba już znikły prześladowające go dotąd cienie przeszłości. Wiedziała, że Ash, w odróżnieniu od wielu innych ludzi, potrafił wierzyć. I wyglądało na to, że jeżeli w coś naprawdę uwierzył, to w końcu stawało się to rzeczywistością. Jak teraz.

- Chcesz, żebyśmy poszli do tego pomieszczenia tam z tyłu... i posłuchali nagrań, które zabrałem ze Stanów? - zapytał Ash. - Bo samolot mogę przecież ustawić na automatycznego pilota, wiesz...

Corey uśmiechnęła się przez łzy. Łzy, które zresztą już wysychały, o których już zapomniła.

- Mam na przykład Normana Batesa, który śpiewa bardzo przyjemne kawałki z koncertów.

- Ty chyba zwariowałaś! - Roześmiała się, patrząc na jego minę... i znajomy, prowokacyjny uśmiech.

- No, jeżeli płyty cię nie kuszą, to może tatuaż? Zamkniemy się tam i obejrzymy mój tatuaż. Chciałabyś?

- Bardzo.

- Naprawdę? - zapytał udając zaskoczenie. - A może także moją bliznę? Chciałabyś ją obejrzeć?... może nawet dotknąć?

- Dotknąć chciałabym najbardziej.

Nie mogła nie dostrzec błysku pożądania w jego spojrzeniu, nawet gdy odwrócił wzrok i zaczął patrzeć przed siebie. - Wiesz co, może jednak zacznijmy rozmawiać o czymś mniej podniecającym. Zanim ostatecznie stracę zdolność panowania nad sobą i wszystkim innym, łącznie z tym samolotem.

- Ale... ja lubię, kiedy tak tracisz zdolność panowania...

Usłyszała, jak Ash nagle wstrzymał oddech. Milczał przez chwilę, a potem zapytał. - Naprawdę to lubisz?

- Mmmm... - powiedziała Corey. - Lubię, i to bardzo.

Spojrzała w dół i zobaczyła pasmo nie zarośniętego, piaszczystego gruntu wzdłuż brzegu. W miejscowym języku nazywało się *to playa*. Doskonałe miejsce do lądowania.

- Chyba nie musimy przylecieć do San Reys koniecznie dzisiaj, prawda?

- zapytała niewinnie. - O ile wiem, George nawet się nas nie spodziewa.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - zapytał Ash. Odwrócił głowę w stronę, w którą patrzyła Corey, i w kącikach jego ust pojawił się ten sam uśmiešek.

- O, już rozumiem - powiedział wolno, głosem, który wydał się jej niezmiernie leniwy i niezmiernie sexy.

- Po prostu pomyślałam sobie, że moglibyśmy zrobić małą przerwę w podróży. Kilka godzin, powiedzmy...

Nie zdążyła mrugnąć, kiedy przód samolotu już pochylił się ostro w dół.

- Ile godzin, to może później ustalimy, ale pomysł jest świetny. Zaskakujący, ale naprawdę świetny. I pomyśleć, że to sama z siebie wykombinowała taka biała Lilijka... - powiedział i roześmiał się, patrząc na jej rumieniec.

W tym spojrzeniu było wszystko - i młodzieńczo niewinny zachwyt, i jawne fizyczne pragnienie. Była w tym czysta i bezinteresowna miłość chłopca i pełna rozpalonego pożądania miłość dojrzałego mężczyzny.

Dobrze było znaleźć się w tym żarze.